ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 100 **CENA 14,70 ZŁ** (w tym VAT 5%) **NR 9 (200) WRZESIEŃ 2015**

200-NY NUMER!

AŻ 84 STRONY!

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

www.odkrywca.pl

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR
WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!
podwodny
wodoszczelny do 3m
odporny na warunki atmosferyczne
do poszukiwania złota
GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com
Ace 150
Ace 250
Euro Ace
AT Pro
AT Gold
GTI 2500
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
ATX
white's
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
NOWOŚĆ Treasure Master
NOWOŚĆ Treasure Pro
MX5
Matrix M6
MXT Tracker
MXT Pro
Spectra VX3
Spectra V3i
BeachHunter
TM 808
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F5
NOWOŚĆ F11
NOWOŚĆ F22
NOWOŚĆ F44
F19
F70
F75
F75 LTD
Pro-Tech
Pro-Arc
CZ 21
1280-X Aquanaut
MINELAB
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Safari
E-Trac
CTX 3030
GPZ 7000
SDC 2300
Excalibur II
NOWOŚĆ GO-FIND20
NOWOŚĆ GO-FIND40
NOWOŚĆ GO-FIND60
XP METAL DETECTORS
ADX150
Adventis 2
GMaxx II
Gold Maxx
Deus
Nokta
DETECTION TECHNOLOGIES
VELOX One
FORS CoRe
GROUND EFX
NOWOŚĆ MX100E
NOWOŚĆ MX200E
NOWOŚĆ MX300
NOWOŚĆ MX400
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sklep stacjonarny, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

WRZESIEŃ 2015

W NUMERZE

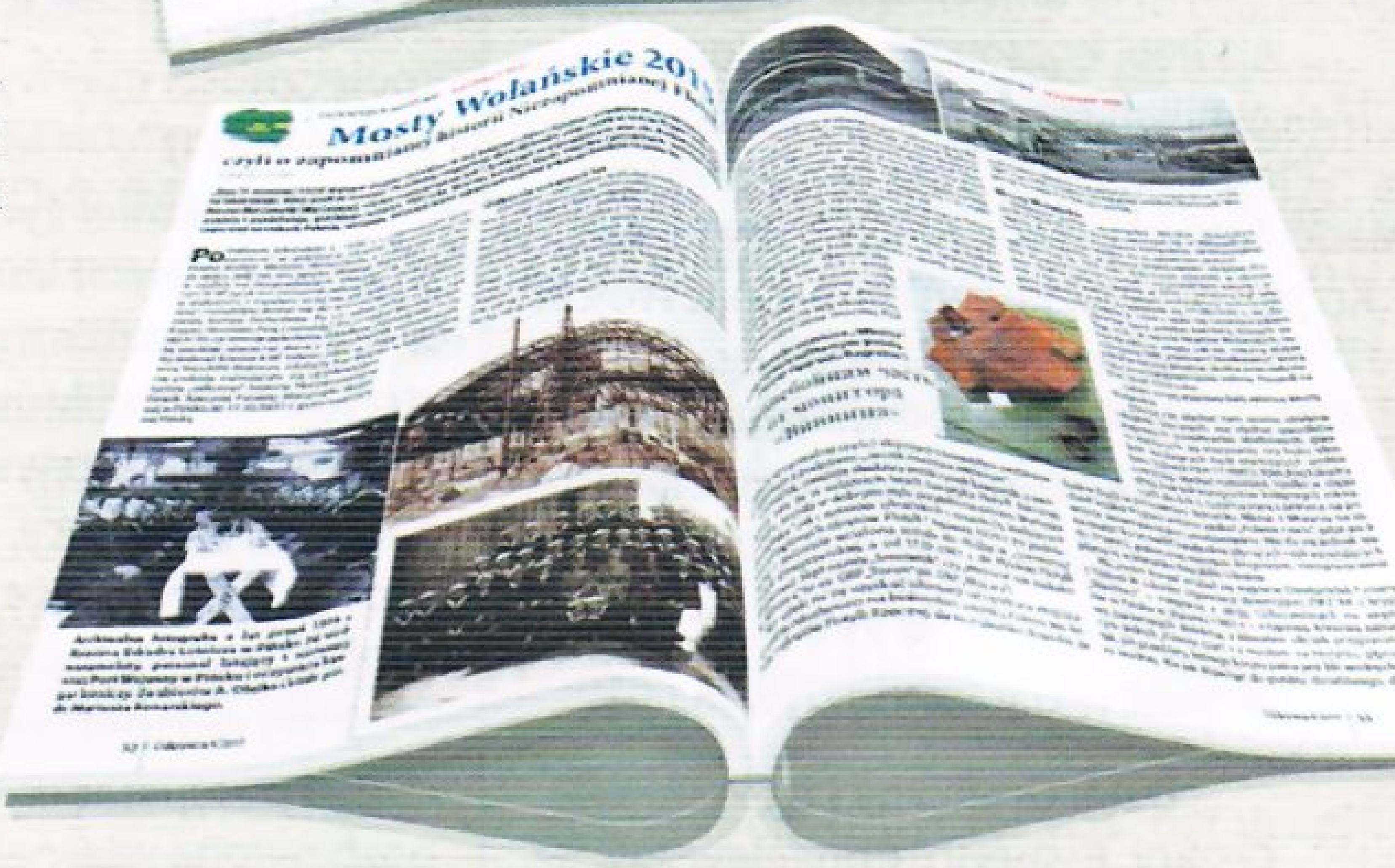

POSZUKIWANIA

3 **Z agendy poszukiwaczy**
Działania Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca".
Łukasz Orlicki

6 **Wielkie odkrycie koło Jerzwałdu**
Sensacyjne odkrycie wczesnośredniowiecznej osady.
Krzysztof Kępiński, Sebastian Zieliński

11 **Śladami zbrodni 1944-196(?)**
Zaczęło się jak na klasycznym filmie o poszukiwaniu skarbów, tyle że wszystko było inaczej... Była mapa, ale nie z zaznaczonym złotem, a mogiłą; był zmarły strażnik tajemnicy, ale nie kapitan statku, a były funkcjonariusz więzienny; do tego „skarb" przed nami odkryli inni poszukiwacze. I wszystko zaczęło się komplikować...
Robert Wit Wyrostkiewicz

18 **Kostrzyńska starówka ujawnia kolejne tajemnice**
Maksymilian Frąckowiak, Krzysztof Socha

ROZMOWA

22 **Archeologia w służbie pamięci**
Od września 1939 roku mija właśnie 76 lat. Mimo to, ta jedna z najtragiczniejszych kart historii Polski wciąż skrywa wiele zapomnianych wydarzeń. Należą do nich bez wątpienia szczegóły licznych zbrodni, jakie zostały popełnione na Kresach Wschodnich po agresji Związku Radzieckiego. Przez długi czas temat ten skrzętnie omijany, obecnie stanowi jeden z głównych kierunków badań. Badań, w które zaangażowani są również archeolodzy.
Z dr Dominiką Siemińską, archeologiem wyspecjalizowanym w badaniach mogił żołnierskich i ekshumacjach szczątków ofiar zbrodni wojennych na terenach d. Kresów Wschodnich rozmawiają Izabela Kwiecińska i Piotr Maszkowski.

TAJEMNICE HISTORII – WRZESIEŃ 1939

26 **Aresztowani dla własnego bezpieczeństwa...**
Leszek Adamczewski

32 **Mosty Wolańskie 2015, czyli o zapomnianej historii Niezapomnianej Flotylli**
Mosty Wolańskie, strategiczny punkt na Kresach II RP prezentują się w XXI w. zacnie. Odnowione, tchnące nowoczesnością, a jednak Prypeć i jej rozlewisko ze stojącą wodą w starorzeczu nadal pozwalają na „wycieczkę w lata II Rzeczpospolitej".
Andrzej Olejko

39 **Odyseja wrześniowych lawet**
Unikatowe zabytki techniki wojskowej pozyskane przez Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy.
Łukasz Skoczek

43 **Wrześniowym szlakiem**
Rajd lokalnym szlakiem Września 1939 r.
Bartosz Bijak

KULISY HISTORII

48 **„Noc i Mgła"... w Lubaniu**
Z dziejów dolnośląskiego więziennictwa (cz. 2)
Szymon Wrzesiński

53 **Śladami Bodo Ebhardta**
Janusz Skowroński

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

58 **Wulkan historii, czyli trzy Ścinawki**
Dariusz Pietrucha

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

64 **Odnaleziona tablica z czasów istnienia KL Auschwitz**
Adam Cyra

KOLEKCJONERSTWO

65 **Sztylet „Zuchwałych", czyli recykling po włosku**
Rafał Kucharski

68 **Niezbędniki Armii Czerwonej 1939-1945**
Wojna od kuchni (cz. 7)
Tomasz Bienek

72 **Sznury kwalifikacyjne armii austro-węgierskiej**
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

75 **Walki o MRU w nowym świetle**
Martin Büren, tłum. Jerzy Sadowski

80 **Polowy schron żelbetowy pozycji „Rytro"**
Marek Bednarski

82 **Razem w (nie)znane**
III Rajd Szlakiem Fortyfikacji Wału Pomorskiego 2015
Joanna Kopinska

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

83 **Nowości września w Księgarni Odkrywcy**

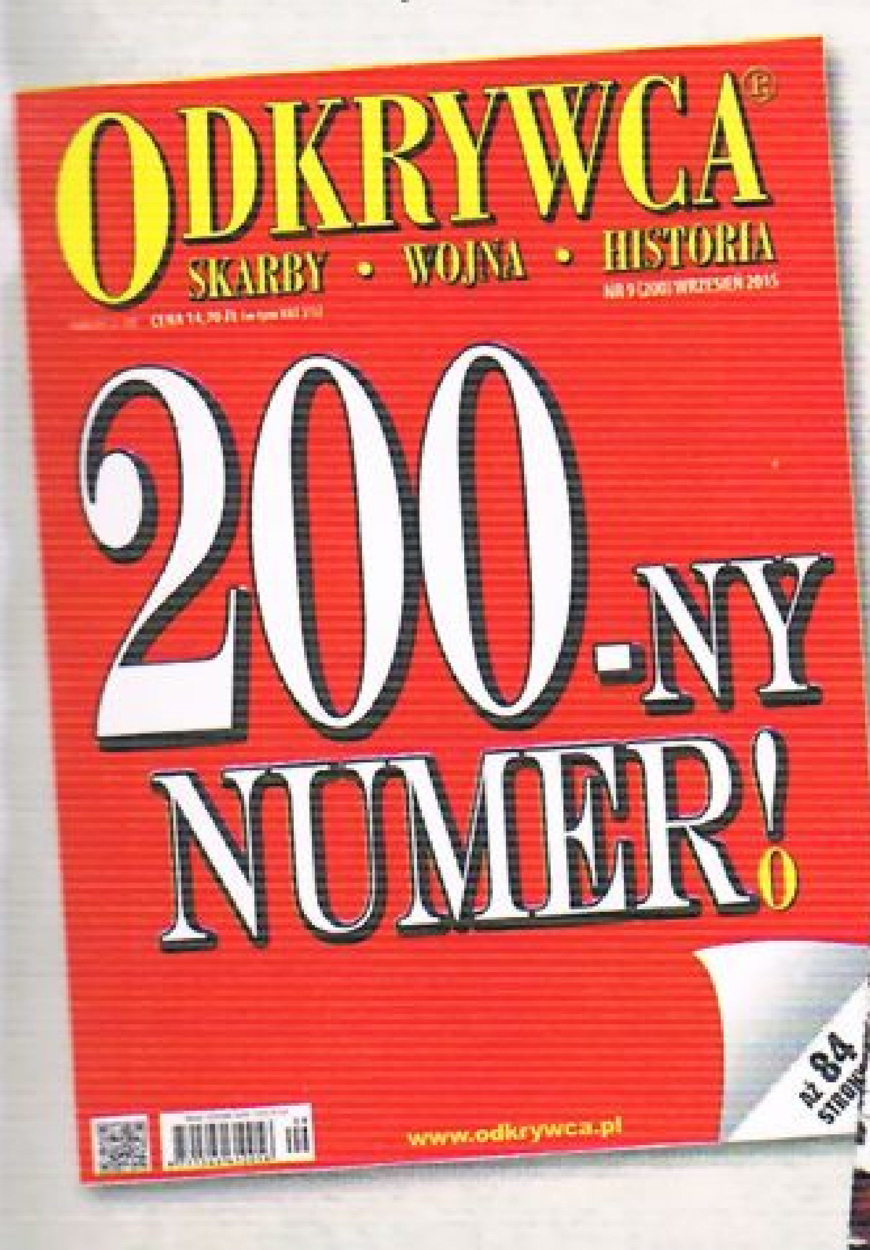

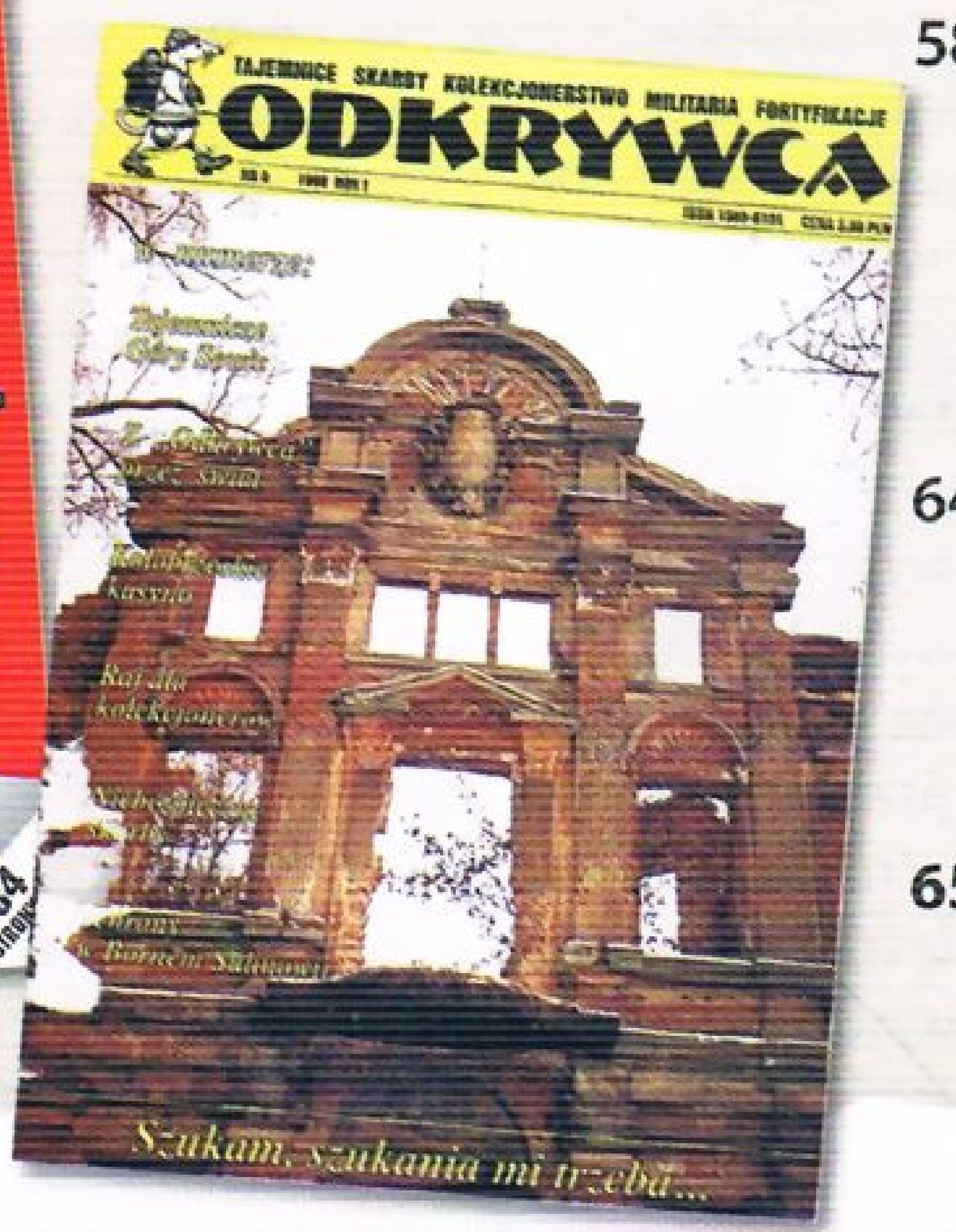

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

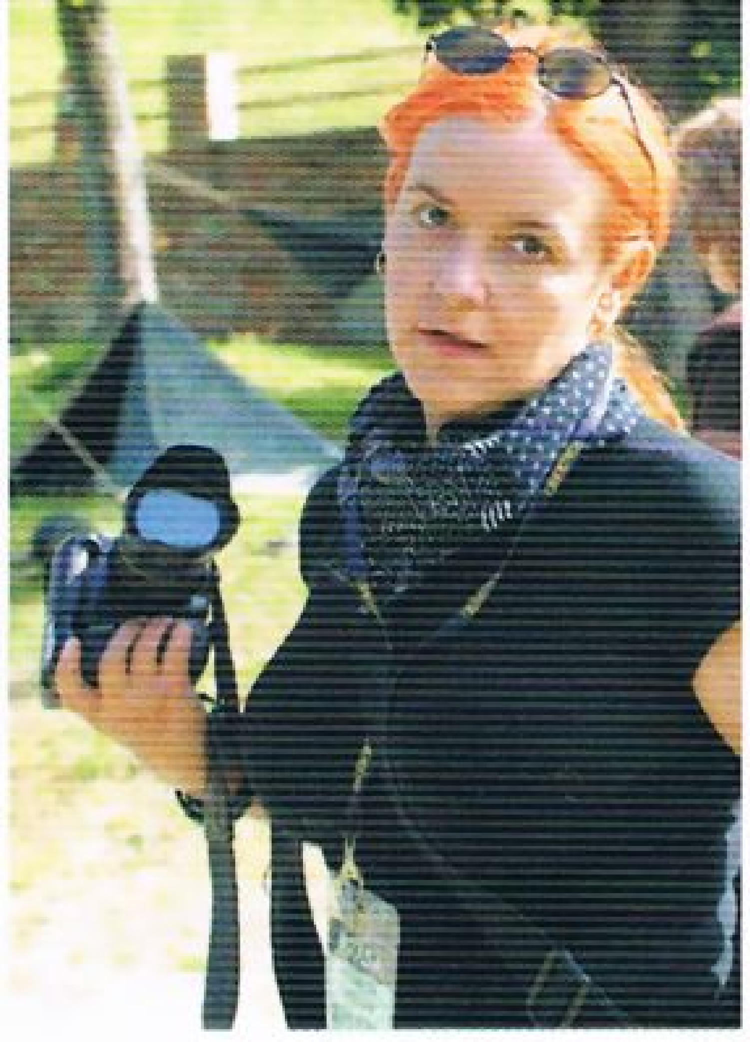

Drodzy Czytelnicy

Jest taki równoważnik zdania, który od blisko stu lat (od zakończenia I wojny światowej) oznajmia słuchaczom najwyższą humanistyczną rację, fundamentalną moralną wartość i potrzebę – Nigdy więcej wojny! To pewnie jedno z tych wypowiedzeń, które mimo swojego nacechowania kategoryczną siłą moralnego przesłania, wielokrotnie bankrutowało w sposób absolutny i niewyobrażalny na przestrzeni ostatniego stulecia. I bankrutuje wciąż na nowo…

Na wrześniową rocznicę wybuchu II wojny światowej można patrzeć z wielu perspektyw. Ta historyczna jest w oczywisty sposób najbardziej narzucająca się, ale co z perspektywą humanistycznego wezwania? Dlaczego „nigdy więcej" nie staje się rzeczywistością, skoro jest powszechną potrzebą?

Ocenia się, że tylko od zakończenia w 1945 roku zmagań wojennych na świecie wybuchło 250 konfliktów, których skala wyczerpuje definicję wojny. Zginęło w nich ok. 50 milinów ludzi, dziesiątki milionów pozbawione zostały swoich domów, liczba rannych jest po prostu niepoliczalna. W ciągu ostatnich 90. lat w wyniku wojen zginęło trzykrotnie więcej ludzi niż w poprzednich pięciuset latach. Nie ma zakątku świata, którego nie dotknąłby wojenny koszmar. To obraz całkowitej katastrofy, którą uzupełniają szacunki mówiące, że od roku 3600 p.n.e. do dzisiaj było nie więcej niż 292 lata pokoju, a 14 500 wojen spowodowało śmierć 4 miliardów ludzi…

Beatles, John Lennon śpiewał w 1969 roku – kolejnym roku młodzieżowej kontrkultury – „give peace a chance" – dajcie szansę pokojowi – i stał się podejrzanym pacyfistą, podobnie jak ruch pacyfistyczny, którego źródła uważa się za niejasne, w najlepszym wypadku wątpliwe, a w rzeczywistości prowadzi do osłabienia i demobilizacji. I prawdą jest, niestety, że bywał (jest?) traktowany instrumentalnie przez konkurujące siły polityczne. Ale czy to unieważnia samo przesłanie ?

Jak to jest, że ani siła ekspresji masowej kultury popularnej, ani aktywność wybitnych intelektualistów (Albert Einstein, Linus Pauling, Bertrand Russell, których zaangażowanie na rzecz światowego pokoju podjął działający do dziś ruch Pugwash), ani wreszcie powszechnie formułowane żądanie społeczności międzynarodowej nie materializuje hasła: „Nie wieder Krieg"; „No More War"; „Nigdy więcej wojny" – w kształt pokojowego współistnienia narodów, ras, kultur, religii i społeczeństw.

Najwyraźniej życie społeczne, życie zbiorowości, a nawet jednostek w zbiorowości, wiąże się z nieuchronnymi konfliktami. Tak samo jak współpracujemy, tak samo konkurujemy i popadamy w konflikty rozbieżnych potrzeb, interesów, ideologii czy religii. Wojny stają więc sposobem rozstrzygania konfliktów, gdy pokojowe metody nie przynoszą rozwiązań. Doświadczenie człowieka, jako gatunku, przynosi tę fatalną konstatację, że nie potrafimy ich rozstrzygać w sposób nieangażujący przemocy, a co gorsze, jesteśmy w stanie uruchamiać wizje, projekty i idee w oczywisty sposób prowadzące do zderzenia z racjami, normami, interesami i wartościami innych narodów, społeczeństw i jednostek.

Z tej perspektywy pacyfizm staje się naiwnością – postawą życiową, która ujawnia się w niechęci i potępieniu wszelkiego rodzaju użycia przemocy w rozwiązywaniu konfliktów, która jednak pozbawiona własnej siły sprawczej, staje się humanistyczną utopią.

Jednocześnie jednak warto pamiętać, że nie było wojny, której nie wywołano by w imię przyszłego pokoju. Ten jest zawsze w tle, podobnie jak inne wzniosłe pobudki i dobra, które przekraczają dobra indywidualne – wśród nich jest interes narodu, sprawiedliwość, jakiś rodzaj ładu itd. Usprawiedliwienie wojny następuje więc poprzez odwoływanie się do tych wielkich kategorii i pojęć abstrakcyjnych.

Zabijanie to nieuniknione zło, towarzysząca szkoda, która się przytrafia. Charakterystyczne, że żadna armia nie przyznaje orderów za samo zabijanie – te są za wykonanie… zadania, za męstwo, za poświęcenie, ale zabijanie, które jest nieodłącznym atrybutem wojny, stanowi tabu, które przyobleka się jedynie w postać liczb.

W obliczu wojny, zwłaszcza II wojny światowej humanista (historyk jest nim przecież) staje przed zadaniem wyodrębnienia ludzi z wielotysięcznej czy milionowej skali, musi oprzeć się moralnie i intelektualnie pokusie operowania skalą, jako miarą strat. Liczbie ofiar trzeba nadać ludzki wymiar i rozumieć cierpienie z perspektywy człowieka. Hitler i Stalin – czy chcemy tego czy nie chcemy, ukształtowali nasz świat, rzecz w tym, by nie kształtowali naszego człowieczeństwa, które domaga się skupienia na indywidualnym losie, tak nieważnym dla zbrodniczej inżynierii społecznej, jaką były oba totalitaryzmy – hitlerowski nazizm i stalinowski komunizm.

„Pamiętaj o swoim człowieczeństwie i zapomnij o reszcie" – może to hasło pacyfistycznych intelektualistów jest przesłaniem, które warto przytoczyć przy okazji wrześniowej rocznicy na łamach czasopisma, które w swoich 199 wydaniach tak często na historię patrzyło z perspektywy indywidualnych losów ludzi z nią się zmagających. Hasło to oczywiście metafora, my raczej staramy się nie zapominać o reszcie, a już na pewno nie zapominamy o naszych Czytelnikach, dla których z okazji 200. wydania poszerzyliśmy objętość czasopisma oraz przygotowaliśmy kilka archiwalnych niespodzianek. Dziękując za Waszą życzliwość i zainteresowanie, serdecznie zapraszam do lektury jubileuszowego wydania „Odkrywcy"!

Izabela Kwiecińska

Działania Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca”

Z agendy poszukiwaczy

ŁUKASZ ORLICKI

Od ostatniej prezentacji naszych planów upłynął prawie rok (patrz „Odkrywca” nr 10/2014). Wiele z zapowiadanych wówczas badań zostało przeprowadzonych i praktycznie zakończonych. Do obu kategorii należą poszukiwania pancernych wraków, które miały zalegać na dnie jeziora Stobno w woj. lubuskim (patrz „Odkrywca” nr 3/2015). Wiele elementów tej historii znalazło potwierdzenie, m.in. udało się nam odnaleźć ślady po walkach z 1945 roku, które wpasowały się w relację o wycofujących się przez jezioro oddziałach niemieckich, i mających ich ścigać pancernych pojazdach Armii Czerwonej. Zabrakło jednak najważniejszego – czołgów. Być może nigdy ich tam nie było, a być może, podobnie jak w innych tego typu historiach, zostały one wydobyte wiele lat po wojnie – w ramach szeroko zakrojonej akcji „czyszczenia” lasów i wód z powojennego złomu.

Zupełnie inne zakończenie miały badania miejsca katastrofy lotniczej w rejonie Bolesławca na Dolnym Śląsku. Odnalezione podczas kilkudniowej akcji szczątki maszyny należą do niemieckiego samolotu wielozadaniowego Ju 188, który został zniszczony na ziemi, po powrocie z lotu bojowego. Świadczyły o tym zarówno wystrzelone łuski, jak i stan odkrytego uzbrojenia. Tuż po zakończeniu letniego sezonu wykopaliskowego uzupełnimy dokumentację dotyczącą efektów naszych prac, a odnalezione fragmenty i szczątki Ju 188 zostaną przekazane do Muzeum w Bolesławcu.

Są to już nasze czwarte zakończone sukcesem badania pobojowiska lotniczego. Do tej pory bowiem udało się nam zlokalizować miejsca zestrzelenia dwóch samolotów z września 1939 roku – niemieckiego Henschla 126 B1 (znajduje się w Muzeum Regionalnym w Radomsku) i polskiego RWD-8 (Muzeum w Zduńskiej Woli) oraz pozostałości kilku samolotów pozostawionych przez wycofujące się niemieckie oddziały przy lotnisku w pobliżu Oławy (Izba Muzealna na Ziemi Oławskiej). Mamy nadzieję, że do końca br. rozwiążemy sprawę kolejnego lotniczego wraku – tym razem niezidentyfikowanej alianckiej maszyny, która spadła na ziemię w rejonie Dolnego Śląska.

Niestety, mimo wielu wysiłków i pomocy pasjonatów, jak dotąd, nie udało się nam natrafić na ślad zakopanych dokumentów Zgrupowania AK „Kampinos”, które zostały ukryte na terenie miejscowości Budy Zosine. Nastąpiło to w końcowej fazie bitwy toczonej 29 września 1944 roku pod Jaktorowem, gdy żołnierze Zgrupowania próbowali przedzierać się w kierunku Gór Świętokrzyskich. Sprawa ta należy do jednej z najtrudniejszych jakimi się zajmujemy. Jesteśmy praktycznie pewni, że dokumenty zostały ukryte. Świadczy o tym raport sporządzony przez jednego z oficerów wywiadu „Kampinosu”. Jednak naszkicowana przez niego mapka, udostępniona nam z Archiwum Akt Nowych, nie jest precyzyjna. Choć od biedy oddaje ona najbliższe otoczenie gospodarstwa na terenie Bud Zosinych, w pobliżu którego dokonano ukrycia, to zawarte w niej szczegóły topograficzne „ograniczają” rejon poszukiwań do kilkudziesięciu lokalizacji, a każda z nich, niestety, jest niemalże odrębnym rejonem badań. Co dodatkowo komplikuje poszukiwania. Na szczęście dzięki wnikliwej i długotrwałej analizie dostępnych relacji dotyczących ostatniej fazy bitwy, i nieocenionej pomocy pp. Andrzeja Walczaka i Sławomira Abczyńskiego, udało się nam ograniczyć ilość lokalizacji do kilku punktów. Nadal jednak wszelkie czynności poszukiwawcze wydają się być szukaniem igły w stogu siana. Mamy nadzieję, że będzie jeszcze możliwa zmiana proporcji… z korzyścią dla eksploratorów.

Zaginione podziemia i ślady zbrodni

Od kilku lat kontynuujemy nasz program mający na celu dokładne opracowanie tematyki związanej z niemieckimi

W numerze zerowym z 1998 roku nie mogło zabraknąć najbardziej kultowych tematów eksploracyjnych. Pierwszym raportem był oczywiście obszerny materiał dotyczacy kompleksu "Riese" w Górach Sowich.

Góry Sowie pełne tajemnic

Zaginiony kompleks

Stąd można było zdobyć świat

ODKRYWCA

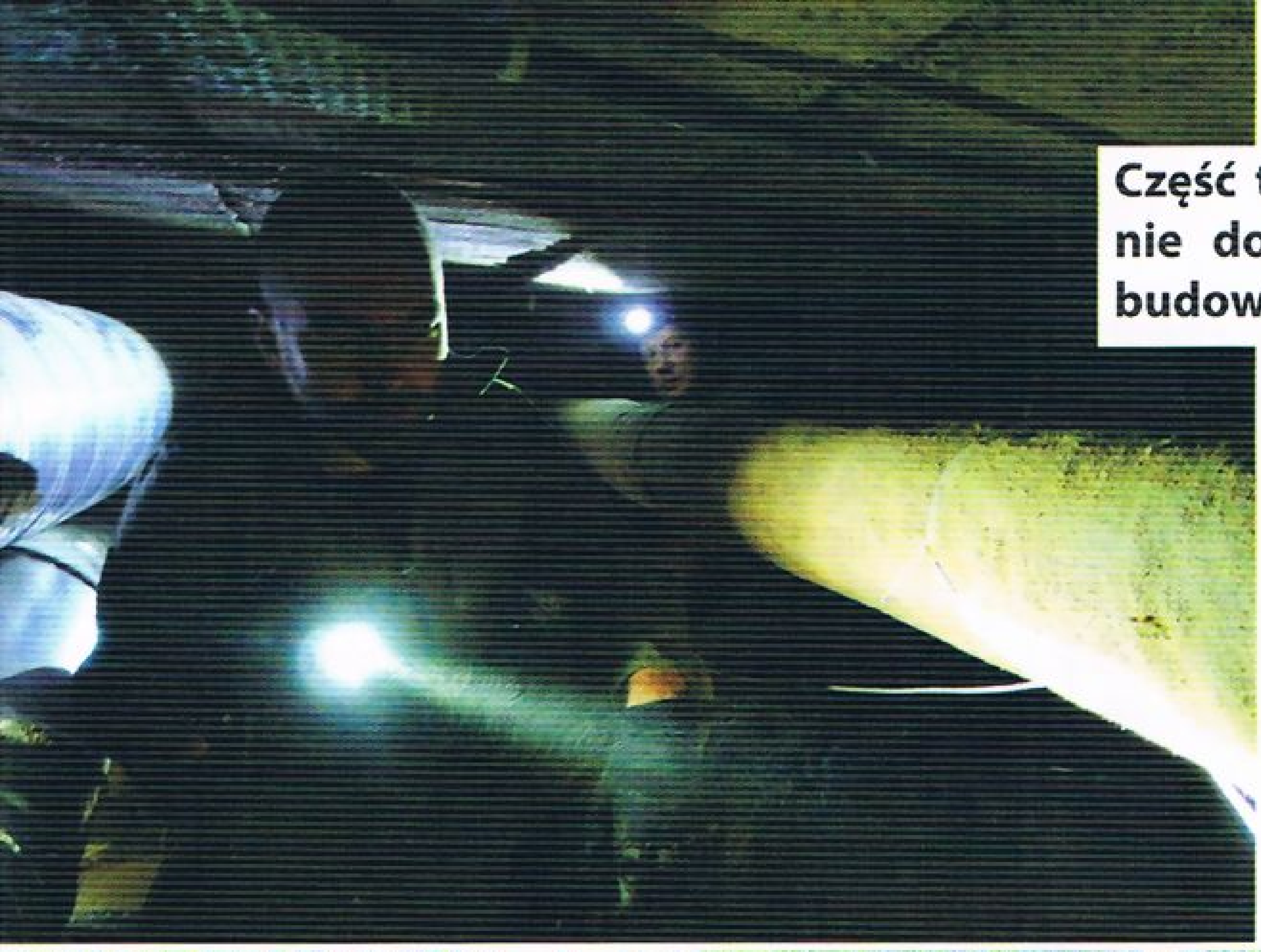

Część tajemnic zamku w Rydzynie dotyczy podziemnej części budowli.

Czy w tym miejscu znajduje się jedno z drugowojennych zrzutowisk?

podziemnymi zakładami ulokowanymi na obecnych ziemiach polskich. Przede wszystkim z wymienionymi w tzw. liście Wicherta obiektami na Dolnym Śląsku i Pomorzu. W tym roku próbowaliśmy rozwikłać zagadkę fabryk o kryptonimie „Dachs VIII" w pobliżu Kłodzka i „Krabbe", którą planowano uruchomić w podziemiach kopalni gipsu w okolicach Dzierżysławia i Kietrza.

Obiekt o kryptonimie „Dachs VIII" sprawił nam sporo kłopotów. Po prostu nie pozostało po nim zbyt wiele śladów w terenie. Okazało się jednak, że istnieje dokumentacja sporządzona przez Niemców na potrzeby budowy zakładu. Obecnie materiały te są tłumaczone i opracowywane. Wkrótce część z nich opublikujemy na łamach „Odkrywcy".

Drugi z podziemnych obiektów, o zwierzęcym kryptonimie „Krab", był przygotowywany z myślą o produkcji elementów silnika Argus 411, używanego m.in. w rozpoznawczym Focke Wulf Fw 189. Traf chciał, że podobnie jak w poprzednim obiekcie, kwerenda archiwalna okazała się bardzo owocna i przyniosła zbiór dokumentacji zawierającej wiele szczegółów dotyczących zarówno przeniesienia produkcji, jak i planowanej rozbudowy zakładów służących już innemu celowi niż wydobycie gipsu.

I na tym kończą się podobieństwa między tymi obiektami.

Bowiem, o ile w przypadku „Dachs VIII" w terenie odnajdujemy minimalną ilość śladów, to po „Krabbe" pozostałości są bardzo rozległe. Do tego stopnia, że odpowiedź na pytanie: który z poziomów zalanej kopalni stanowi pozostałość drugowojennej produkcji, jest prawie niemożliwa. Podczas kilku wypraw, wspomagani przez nurków ze Szkoły Nurkowania Andatek i Grupę Nurków Jaskiniowych przy PZA, udało się nam potwierdzić wiele informacji, które obrazują stopień zaawansowania produkcji, jaką miano tu podczas wojny prowadzić. Przy okazji uwidoczniło nam skalę trudności, z jaką przyszło się zmierzyć powojennym, państwowym „łowcom skarbów" z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych, których poszukiwania na terenie kopalni przyniosły efekt w postaci wydobycia niezidentyfikowanych maszyn z zalanych chodników. W lecie 2015 roku nasze prace zostały niemal zakończone, pozostaje nam jedynie opublikować ich wyniki na łamach „Odkrywcy".

W majowym i lipcowym numerze „Odkrywcy" (5, 7/2015) opisaliśmy postępy śledztwa dotyczącego „Operacji Lawina" – zbrodni UB dokonanej na członkach oddziału NSZ „Bartka" w 1946 roku. Udało się nam odnaleźć miejsce po zniszczonym baraku znajdującym się w obrębie lotniska nieopodal Starego Grodkowa, gdzie miał zostać zaatakowany drugi z transportów wiozący partyzantów NSZ, który wyruszył z okolic Baraniej Góry. Na podstawie naszych ustaleń zostały przeprowadzone badania terenowe organizowane przez IPN i prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Choć nie odnaleziono miejsca, gdzie zostali pochowani zamordowani partyzanci, to w naszej ocenie jesteśmy tak blisko rozwiązania zagadki, jak nigdy, w dotychczasowej, ponad dwudziestoletniej historii śledztwa. Aby jednak zweryfikować wszystkie tezy i domysły, musimy przeprowadzić bardziej zaawansowane badania terenowe, które wiążą się z wykonaniem wykopów na terenie gruntów leśnych. Obecnie pierwsze formalności już za nami, i w niedługim czasie będziemy mogli dokończyć nasze poszukiwania na terenie lotniska. W ich ramach spróbujemy również dostać się do wnętrza rzekomego tunelu usytuowanego w pobliżu ruin naziemnych budowli. Być może jego zniknięcie w drugiej połowie lat 40. jest powiązane z Operacją „Lawina".

Tajemnicze znalezisko w lesie. Według relacji świadka miał tu się znajdować schron. Tymczasem odnaleźliśmy jedynie... piecyk? Czy to początek nowego tematu?

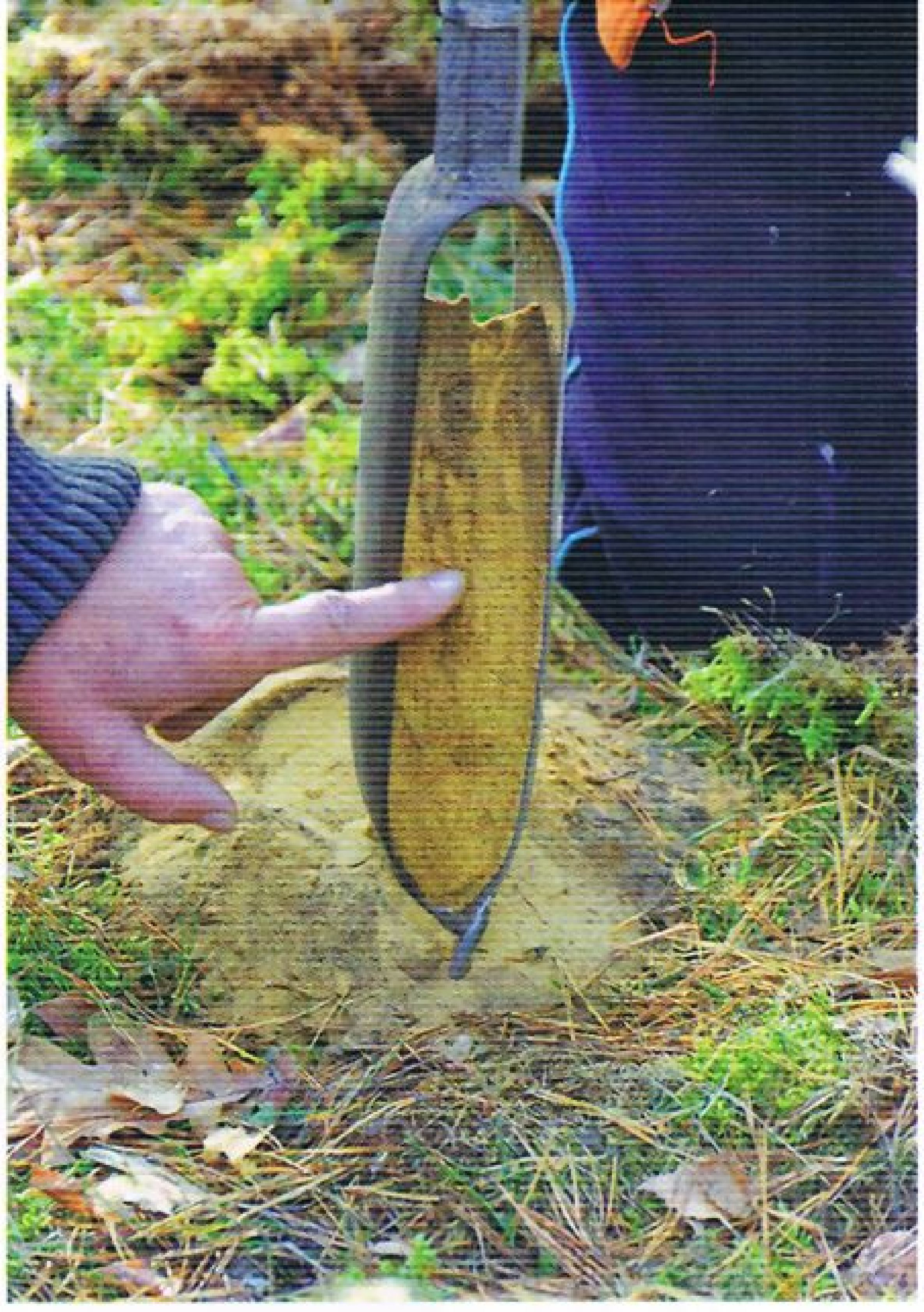

Profil struktury ziemi w jednym z licznych odwiertów wykonanych w Zantyrze. Na ich podstawie wytypowane zostały miejsca pod wykopy. II etap badań już we wrześniu br.

Średniowieczne tajemnice

„W roku 1280 zamek Santyr zmienił nazwę i miejsce, a mianowicie został przeniesiony w to miejsce, gdzie znajduje się obecnie; nadano mu nazwę Marienburg [Malbork]*, to znaczy zamek Najświętszej Marii, na której cześć i chwałę tych przenosin dokonano".*

Tak pisał krzyżacki kronikarz Piotr z Dusburga o chwili, gdy przestał istnieć zamek w Zantyrze. Miejsce to jest obecnie uważane za pierwszą siedzibę krzyżackiego konwentu na ziemiach pruskich, i co najważniejsze, do dzisiaj pozostaje nieodnalezione. Gdy wiele miesięcy temu zapowiadaliśmy rozpoczęcie prac archeologicznych mających na celu dokładne zlokalizowanie Zantyru („Odkrywca" nr 12/2014), nie spodziewaliśmy się, że napotkamy kilka przeszkód natury logistycznej. Ostatecznie udało nam się zorganizować jedynie pierwszy etap inwazyjnych badań, który zakończył się co prawda nielicznymi, ale za to bardzo obiecującymi wynikami. Już wkrótce, we wrześniu br., planujemy dokończenie prac terenowych i mamy nadzieję, że pozwolą nam one rozwiązać zagadkę Zantyru.

Nieco inny charakter będą miały nasze kolejne badania – na terenie należącym do zamku w Rydzynie. Ta piękna XVII-, XVIII-wieczna budowla kryje w sobie kilka architektonicznych zagadek związanych z podziemnymi strukturami i równie ciekawym parkiem, gdzie zamierzamy odnaleźć jedno z niedostępnych dziś pomieszczeń.

Na zakończenie pozostaje nam uchylić rąbka tajemnicy dotyczącej zlokalizowanego przez nas niewielkiego zbiornika wodnego w południowych rejonach Śląska Opolskiego. Jest to miejsce, gdzie kryje się jedno z dużych zrzutowisk drugowojennego sprzętu, jakie powstawały w 1945 roku. Obecnie, licząc na szybkie załatwienie formalności, przygotowujemy się do dużej i bardzo ciekawej akcji, dzięki której, mamy nadzieję, jedno z polskich muzeów wzbogaci swoje zbiory o drugowojenne pamiątki. CDN

ZDJĘCIA: PAWEŁ PIĄTKIEWICZ, GRZEGORZ GÓRA.

Działania GEMO wspomagane są przez stale współpracujące z Grupą firmy specjalistyczne:

HELIKON-TEX.com Dräger GRALmarine ARPOL www.arpol.pl

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Sensacyjne odkrycie wczesnośredniowiecznej osady, czyli o tym, jak poszukiwacze z Susza dokonali jednego z największych archeologicznych odkryć ostatnich lat.

Wielkie odkrycie koło Jerzwałdu

KRZYSZTOF KĘPIŃSKI, WSPÓŁPRACA SEBASTIAN ZIELIŃSKI

O współpracy poszukiwaczy z archeologami, muzealnikami i konserwatorami zabytków słyszy się coraz częściej. Przykładów takiej kooperacji nie trzeba szukać daleko, wystarczy chociażby wspomnieć rozpoczęte w ubiegłym roku badania, mające na celu ustalenie miejsca rozegrania bitwy pod Grunwaldem. Dziś, drodzy Czytelnicy, chciałbym Wam przedstawić, jak współpraca pasjonatów historii, zrzeszonych w Klubie Odkrywcy Towarzystwa Miłośników Ziemi Suskiej, z archeologami z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie oraz Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w Olsztynie Delegatura w Elblągu, doprowadziła do sensacyjnego odkrycia wczesnośredniowiecznej osady handlowej w okolicach Jerzwałdu.

Klub Odkrywcy

Zanim jednak opiszę samo odkrycie, chciałbym w kilku zdaniach przybliżyć nasze Stowarzyszenie oraz efekty naszej dotychczasowej działalności, bo choć stanowi to tło mojej opowieści, to nie pozostaje bez znaczenia dla całej sprawy.

Wszystko zaczęło się stosunkowo niedawno, bo w grudniu 2008 roku. Wówczas to, blisko 30-to osobowa grupa mieszkańców Susza utworzyła Stowarzyszenie pod nazwą Towarzystwo Miłośników Ziemi Suskiej, którego celem jest nieodpłatna działalność na rzecz mieszkańców Susza oraz promocja walorów naturalnych, historycznych i kulturalnych regionu. Z chwilą powstania Stowarzyszenia, wśród jego członków narodziła się także idea utworzenia w mieście placówki o charakterze muzealnym. Na początku 2009 r. powołano do życia grupę zadaniową pod nazwą „Klub Odkrywcy", w skład której weszło pięciu członków, a której zadaniem było pozyskiwanie regionalnych pamiątek i zabytków na potrzeby utworzenia placówki muzealnej. Jednocześnie Stowarzyszenie nawiązało współpracę z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie oraz Konserwatorem Zabytków elbląskiej Delegatury WUOZ w Olsztynie. Całość przedsięwzięcia utworzenia lokalnej placówki o charakterze muzealnym, wieńczyła przychylność i współpraca z lokalnym samorządem, mieszkańcami, firmami oraz Nadleśnictwem.

Już wiosną 2009 r. uzyskaliśmy pierwsze pozwolenie na prowadzenie poszukiwań ukrytych lub porzuconych zabytków przy użyciu detektorów metali. Uznaliśmy, że prowadzenie poszukiwań może być jedną z form pozyskiwania przyszłych eksponatów do suskiego mini muzeum, co wskazaliśmy w uzasadnieniu wniosku do WUOZ o pozwolenie na prowadzenie poszukiwań. W tym samym czasie specjaliści z Działu Archeologii olsztyńskiego muzeum przeszkolili nas z zakresu obowią-

Miłośnicy Ziemi Suskiej oraz Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia" uczestniczący w pracach archeologicznych. Pierwszy od prawej Krzysztof Kępiński, obok Sławomir Zieliński – Autorzy. Poniżej, drugi od lewej (w charakterystycznym granatowym kapeluszu) kierujący badaniami Kacper Martyka z olsztyńskiego Muzeum Warmii i Mazur.

W grudniu 2014 r. odbyła się wizja lokalna na odkrytej osadzie koło Jerzwałdu, w której wziął udział badacz emporium handlowego w Truso – dr Marek Jagodziński (drugi od lewej w okularach).

zujących przepisów prawnych oraz rozpoznawania ruchomych i nieruchomych zabytków archeologicznych, co miało kapitalne znaczenie w naszych dalszych pracach.

Nasze odkrycia...

Na efekty prac naszej grupy nie czekaliśmy długo. Już jesienią 2009 r. w pobliżu Susza znaleźliśmy skarb składający się ze 141 szelągów krzyżackich. Znalezisko trafiło oczywiście do muzeum w Olsztynie i zyskało miano „Skarbu Monet z Susza", a Stowarzyszenie otrzymało zaszczytny tytuł „Mecenasa Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie". Jak się okazało, kolejne lata prowadzonych poszukiwań nie były mniej owocne. W ciągu pięciu lat działalności zebraliśmy kilka tysięcy eksponatów do Izby Historii Regionu w Suszu, którą otworzyliśmy we wrześniu 2012 r. oraz kilkaset ruchomych zabytków archeologicznych, które trafiły do olsztyńskiego muzeum. Dzięki podjętej współpracy z muzealnikami i posiadanemu przeszkoleniu, pomagaliśmy w licznych ekspedycjach archeologicznych. Między innymi braliśmy udział w badaniach wzgórza zamkowego w Kurzętniku, grodziska w Starym Dzierzgoniu, grodziska w Suszu, czy miejscach odkrycia srebrnych skarbów na terenie Pojezierza Iławskiego. Poza znalezieniem wspomnianego wcześniej skarbu szelągów krzyżackich do największych sukcesów „Klubu Odkrywcy" można zaliczyć m.in. odkrycie cmentarzyska kultury wielbarskiej w okolicach Kamieńca, pradziejowego cmentarzyska w Jawtach Wielkich oraz średniowiecznej osady koło Bronowa. Wiosną 2014 r. na granicy gminy Susz i Zalewo natrafiliśmy na skupisko przedmiotów pochodzących z wczesnego i późnego średniowiecza. Wówczas nie wiedzieliśmy, że odkrycie to w środowisku naukowym zostanie okrzyknięte najbardziej sensacyjnym odkryciem ostatnich dziesięcioleci.

Droga do skarbu

Nasza droga prowadząca do odkrycia osady koło Jerzwałdu rozpoczęła się w 2010 r., kilkanaście kilometrów dalej, a dokładnie, na terenie miejscowości Kamieniec. Ta niewielka miejscowość leżąca w odległości kilku kilometrów na północny-wschód od Susza, odwiedzana jest corocznie przez licznych turystów i pasjonatów historii, którzy pragną zobaczyć ruiny pałacu rodów zu Dohna i Finckenstein, nazywanego onegdaj pruskim Wersalem. Kamieniec stał się słynny również dlatego, że na początku XIX w. w pałacu przez kilka miesięcy przebywał Napoleon Bonaparte, lokując tam swoją kwaterę główną. Historia Kamieńca nie pozostawała obojętna dla naszego Stowarzyszenia. Myśląc o utworzeniu placówki muzealnej, chcieliśmy, aby znalazły się w niej pamiątki związane z tym dawnym majątkiem ziemskim, no i oczywiście te, związane z pobytem Napoleona i jego wojsk.

Dokładnie w maju 2010 r. w pobliżu jeziora Gaudy znaleźliśmy pierwszy wykonany z brązu trzewik, czyli dolne okucie pochwy miecza, pochodzący mniej więcej z okresu X-XI wieku. Znalezisko to dało nam dużo do myślenia, więc postanowiliśmy zbadać tereny biegnące wzdłuż jeziora Gaudy w kierunku miejscowości Olbrachtowo i Zieleń. Tak dotarliśmy

Niektóre z wczesnośredniowiecznych trzewików odkrytych podczas poszukiwań w 2014 roku. Trzewiki – okucia dolne pochwy miecza, były wyznacznikiem wysokiego statusu ich właścicieli.

Las koło Jerzwałdu – miejsce, gdzie pracownicy Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie prowadzili badania archeologiczne. Wykopaliska odbywały się w miejscu odkrycia „Klubu Odkrywcy".

do dawnego siedliska w Gostyczynie, gdzie znajdują się ruiny młyna oraz dworku myśliwskiego Finckensteinów.

Mniej więcej w tym czasie zastępca Nadleśniczego, Stanisław Blonkowski, oraz Kazimierz Madela z Jerzwałdu opowiedzieli nam o wałach ziemnych znajdujących się niedaleko Gostyczyna. Poszukując informacji na ich temat nie znaleźliśmy praktycznie niczego. W dostępnych publikacjach ich pochodzenie przypisywano Prusom. Chronologia ta nigdy jednak nie była potwierdzona jakimikolwiek badaniami, czy też znaleziskami. Historia tych ponad półkilometrowych umocnień ziemnych wydawała się o tyle ciekawa, że w miejscu ich położenia historycy lokują przebieg dawnej granicy między pruskimi włościami Resia i Geria. Na ową granicę ostatecznie dotarliśmy wiosną 2014 roku. Pierwsze kroki skierowaliśmy na same wały, a ich kilkugodzinne przeczesywanie zakończyło się odkryciem brązowej zapinki (fibuli) z okresu wpływów rzymskich oraz ażurowego okucia pochwy miecza (trzewika). Znalezione zabytki nie zwiastowały żadnej sensacji, zostały bowiem wydobyte w odległości kilkuset metrów od siebie, a brak innych przedmiotów sugerował, że po prostu mogły zostać zgubione. I w tym miejscu cała historia mogłaby się zakończyć. Coś jednak nie dawało nam spokoju.

Okolica wałów wydawała nam się jakaś mistyczna, tajemnicza. Krótko mówiąc, miejsce to przyciągało nas do siebie jak magnes. Na pewno znacie to uczucie, kiedy zobaczymy jakieś miejsce, po prostu nie potrafimy o nim zapomnieć, a wyobraźnia podpowiada nam, że są tam ukryte „skarby". Właśnie tak było w tym przypadku. Zgodziliśmy się, że trzeba tam spędzić kilka dni i zbadać całą okolicę.

Pojawiły się pierwsze skrawki arabskich monet oraz średniowieczne przedmioty z oporządzenia końskiego. Z biegiem czasu w nasze ręce zaczęły wpadać coraz to ciekawsze zabytki. Dirhemy arabskie, odważniki kruszcowe, pozłacane ozdoby, wisiorki, strzemiona, podkowy, grot włóczni i wiele innych. Ostatecznie liczba wydobytych przedmiotów sięgnęła blisko 200 sztuk, co było naszym absolutnym rekordem. Największą sensacją okazały się oczywiście trzewiki, których w sumie odkryliśmy 10 sztuk. Takiej ilości, tych dolnych okuć pochew mieczy, nie znaleziono dotychczas nigdzie na terenie Polski. Największy problem polegał na określeniu rodzaju odkrytego stanowiska archeologicznego. Zabytki występowały pojedynczo i w niewielkich skupiskach na obszarze kilkunastu hektarów. Nigdy z czymś takim nie mieliśmy do czynienia. Znaczna część odkrytych artefaktów pochodziła z czasów pruskich, a Prusowie przecież nie zamieszkiwali w osadach. Jedyną sensowną analogią, jaką dostrzegaliśmy, było legendarne Truso, czyli wikińska osada handlowo-rzemieślnicza istniejąca od VIII do XI w. leżąca na brzegu jeziora Druzno.[1]

Janczarki.

O znalezionych przedmiotach niezwłocznie powiadomiliśmy Konserwatora Zabytków w Elblągu oraz muzealników z Olsztyna. Informacja o niecodziennym odkryciu „Klubu Odkrywcy" bardzo szybko obiegła całe środowisko naukowe w kraju, a nawet Europie. Między innymi dowiedzieliśmy się, że jeden z trzewików jest pierwszym znanym egzemplarzem na świecie (!)o czym poinformował nas Andrzej

Dirhemy arabskie.

Odważniki kruszcowe.

Topór bojowy.

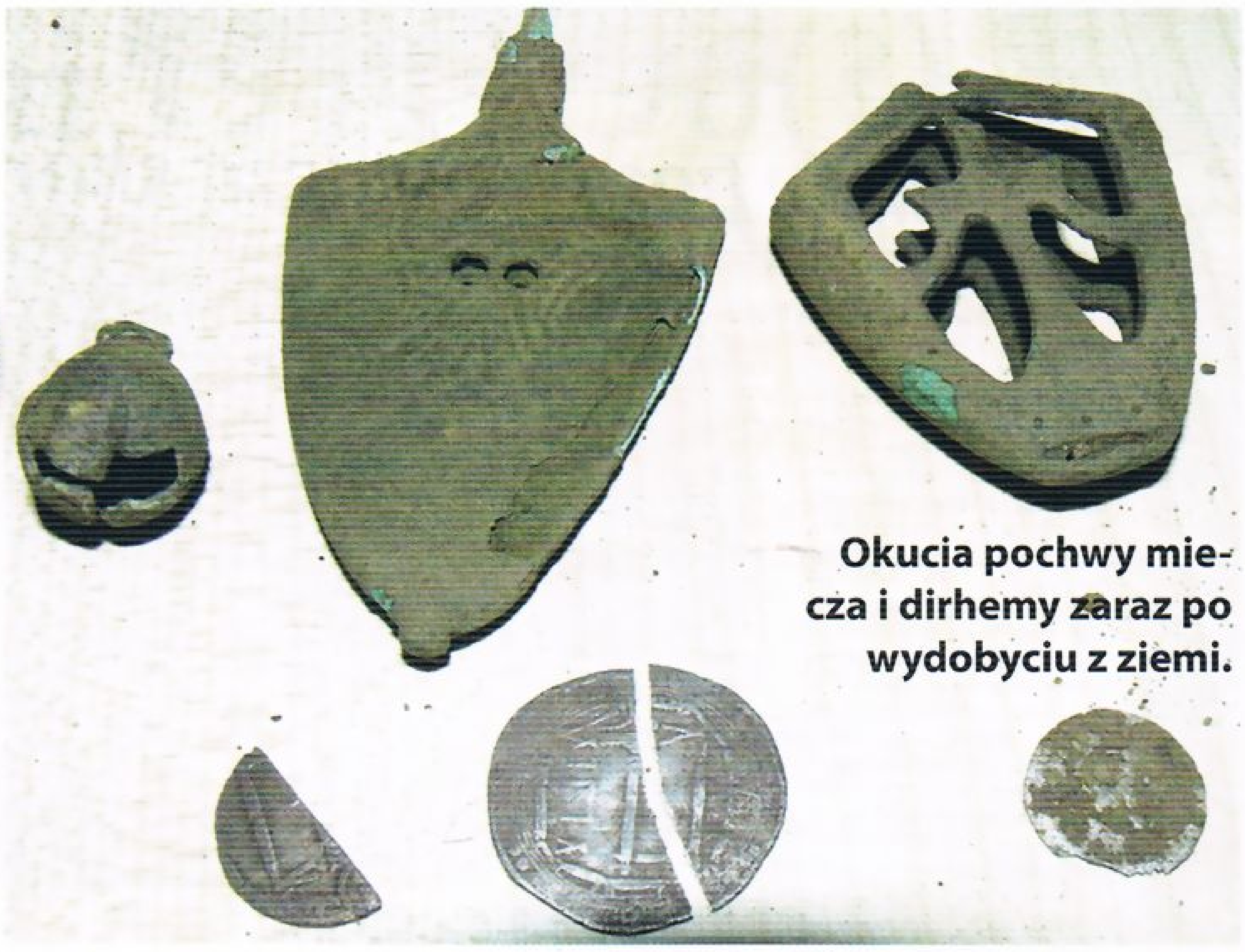

Okucia pochwy miecza i dirhemy zaraz po wydobyciu z ziemi.

Janowski z Instytutu Archeologii i Etnologii Państwowej Akademii Nauk w Szczecinie. W grudniu odbyła się wizja lokalna, w której wziął udział badacz emporium handlowego w Truso – dr. Marek Jagodziński. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że odkryte stanowisko nie posiada żadnych analogii na terenie naszego kraju, i konieczne są jak najszybsze badania archeologiczne w tym miejscu. Między wierszami dało się usłyszeć, że koło Jerzwałdu najprawdopodobniej istniała osada handlowa, która bezpośrednio musiała być związana ze wspomnianym emporium znad jeziora Druzno.

W lipcu br. koło Jerzwałdu przeprowadzono pierwsze badania archeologiczne, którymi kierował Kacper Martyka z Działu Archeologii Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Członkowie „Klubu Odkrywcy" wspomagali prace naukowców w formie wolontariatu. Na nasze zaproszenie w badaniach wzięli także udział członkowie Stowarzyszenia Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia". W sumie otwarto tam sześć wykopów, które przyniosły rewelacyjne i sensacyjne od-

REKLAMA

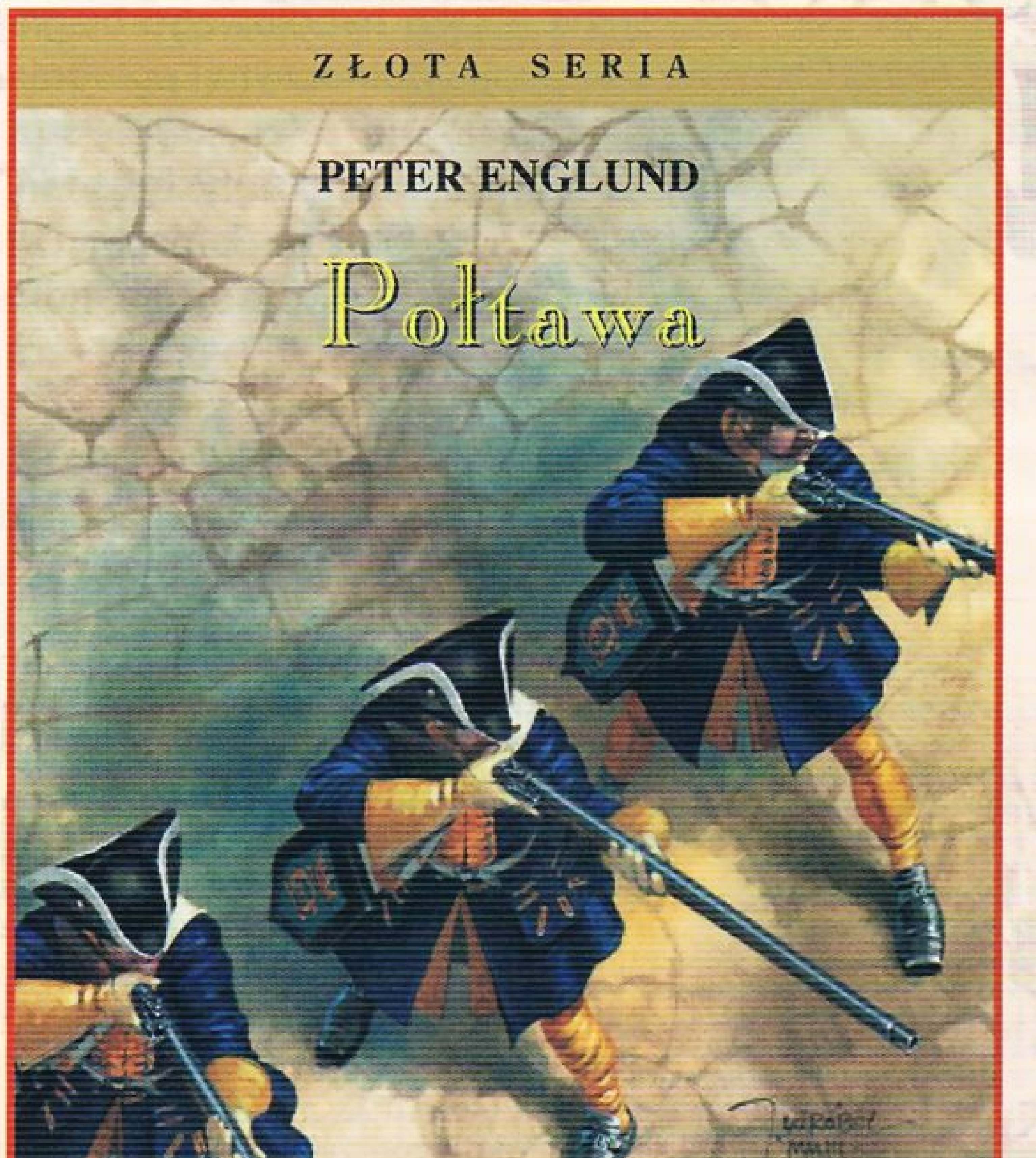

PETER ENGLUND,
POŁTAWA

Połtawa jest tym dla Rosjan, czym dla nas Grunwald.
[...] To tam niewątpliwie miała miejsce jedna z tych bitew, które zmieniły obraz Europy. Zamknęła ona pewną epokę – okres potęgi Szwecji.
[...] Mistrzowskie pióro Englunda sprawia, że mamy wrażenie, jakbyśmy byli naocznymi obserwatorami bitwy.
Ze wstępu do wydania polskiego

Peter Englund łączy w tej książce z jednej strony stanowisko naukowca i związany z tym obiektywizm, z wizjonerską siłą twórcy i mistrzowskim stylem pisarskim...
John Jeppson, *Skanska Dagbladet*

Englund wzrusza do głębi, jego analizy są jasne, a tempo akcji doskonałe.
The European

sprzedaż w sieci empik

empik

HISTORIA .ORG.PL

ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

TVP HISTORIA

konflikty.pl portal historyczno - militarny

MILITARIA

Prawo i prawość

Dylematy poszukiwacza skarbów

WOJCIECH STOJAK: GRZEBIEMY W CUDZYM ŻYCIU

Niedawno znalazłem swoją pierwszą w życiu beczkę poniemiecką.

To była zupełnie byle jaka beczka, „kuchenna" – dwa półmiski, dwie szczotki do butów, pędzel do golenia, dwie drewniane, mocno zużyte łyżki do mieszania konfitur, parę kubków, niedomyty garnek... Nic cennego. Obok beczki był jeszcze garnek z upchaną w środku poduszką. Początkowo nie mogłem rozpoznać, co to jest, bo pierze zmieniło się w jednolitą maź. W sąsiedztwie mojego znaleziska na pewno znajdowały się inne beczki, z bardziej wartościowymi rzeczami, ale ktoś już je, widać, wcześniej wykopał, może sam właściciel. (Wiedział, co zabrać; poszukiwacz skarbów przekopałby cały teren dookoła i trafiłby również na kuchenną beczkę.) Jestem przekonany, że „moja" beczka miała towarzystwo. Świadczy o tym spory dół tuż obok. Na ogół wszystko zakopywano w jednym miejscu – nie było czasu ani możliwości (zmarznięta ziemia, beczki ciężkie), żeby rozsiewać po lesie. Poprzedzona złą sławą nawała ze wschodu zbliżała się szybko, może nawet bardzo szybko, skoro porządna Niemka schowała niedomyty garnek.

Mimo woli człowiek cofa się myślą do tamtych czasów, do atmosfery 1945 roku. Próbuje sobie wyobrazić scenerię, w której chowano te wszystkie przedmioty wierząc, że ocaleją od rabunku i zniszczenia.

Z odnalezienia beczki zrobiłem film. Nie poruszyłem w nim jednego ważnego zagadnienia: aspektu prawnego wykopywania tych niemieckich beczek i aspektu moralnego, etycznego. Zgodnie z dekretem z 1946 roku mienie ruchome i nieruchome Niemców zostało przejęte przez państwo polskie, a państwa nie interesują przedmioty domowego użytku, więc z prawnego punktu widzenia wszystko jest w porządku – wolno mi taką beczkę zabrać. Można oczywiście dywagować na temat sprawiedliwości owego prawa. Przedmioty, o których mówimy, nie były przecież własnością Rzeszy, tylko należały do jakiegoś Hansa czy Jurgena, być może nawet przeciwnego faszyzmowi, a dekretem wrzuconego do tego samego worka. Nieszczęsna sprawiedliwość dziejowa. Cóż, tak się stało, więc prawnie, powtarzam, wszystko w porządku.

Ale jest jeszcze ten drugi aspekt: moralny. Bo ja jednak zabieram cudze rzeczy. Prawda, akurat to, co znalazłem, nie przedstawia żadnej wartości. A gdybym znalazł coś, co sprawiłoby, że właściciel beczki przestałby być bezimienny – jakieś dokumenty, zdjęcia, książeczkę oszczędnościową?... Wiedziałbym, jak się ten człowiek nazywał, jak wyglądał... To już jest grzebanie w czyimś życiu. Czasem można natknąć się na przedmioty pamiątkowe, przechodzące w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Ma się do czynienia z rzeczą całkiem prywatną, ściśle związaną z konkretnym człowiekiem. I we mnie budzi to wątpliwości, dylematy moralne, chociaż wiem, że część poszukiwaczy podchodzi do sprawy merkantylnie i takich dylematów nie ma...

Był lipiec 1998 r., jednak wiele tekstów z numeru 1. nadal pozostaje aktualnymi. Dylematy poszukiwaczy również...

krycia. Wykop na wale jednoznacznie wskazał, że był on formowany dwukrotnie, tzn. we wczesnym średniowieczu oraz ponownie po jakiś 200-300 latach. Ponad wszelką wątpliwość wykazano, że w miejscu tym przebiegał szlak dalekosiężnego handlu. W jednym z wykopów znaleziono urnę z grobu ciałopalnego. *„W okazałym naczyniu o bogatej ornamentyce znajdowały się fragmenty spalonych kości ludzkich. Nieopodal urny odsłonięto duży obiekt z licznymi fragmentami węgli drzewnych, resztkami skremowanych kości, dużą ilością ceramiki oraz fragmentami srebrnych ozdób. Badacze domniemywali, że jest to relikt miejsca kremacji zwłok ludzkich, lub tzw. Aschenplatz – przestrzeń kulturowa o charakterze magiczno-sepulkralno-wotowym, w obrzędku pogrzebowym Prusów na Sambii i w Natangii. Tymczasem okazało się, że pod wspomnianym obiektem znajduje się inny, o niejasnej jeszcze funkcji i chronologii, być może relikt domostwa półziemniankowego"* – czytamy na stronie Muzeum Warmii i Mazur.

W ciągu dwutygodniowych badań odkryto blisko 1500 zabytków, wśród których znalazły się kolejne dwa trzewiki, liczne elementy uzbrojenia, rzędu końskiego, monety oraz liczna ceramika. O dokonanym odkryciu mówi Kacper Martyka: – *odkryte pod Jerzwałdem zabytki, ich kontekst kulturowy i sekwencja warstw osadniczych sugerują, że może to być unikalne w świecie Bałtów Zachodnich miejsce intensywnego i dalekosiężnego handlu, położone daleko w głębi lądu i związane z konkretnym, lądowym szlakiem handlowym. Być może stanowiło ono zaplecze ekonomiczne dla legendarnego Truso – portu i ośrodka handlowo-rzemieślniczego, który istniał od VIII do XI wieku u ujścia Wisły, w okolicach dzisiejszego Janowa Pomorskiego".*

Na temat samej osady, określanej też mianem fortu handlowego, niestety, nie wiemy jeszcze zbyt wiele. Podejrzewamy, że mogła ona istnieć i funkcjonować w analogicznym okresie co emporium w Truso, co poniekąd znajduje potwierdzenie w znaleziskach. Badania wykazały, że pierwotny, dalekosiężny szlak handlowy był intensywnie użytkowany także w późniejszym czasie, mniej więcej do końca XV wieku. Obecnie z omawianą osadą z całą pewnością możemy wiązać wczesnośredniowieczny skarb monet i ozdób odkryty koło miejscowości Olbrachtówko w 2011 r. przez Zbigniewa Krysińskiego. W skład tego skarbu wchodziło: 155 srebrnych monet, głównie dirhemów arabskich i denarów zachodnioeuropejskich, 80 unikalnych ozdób ze srebra oraz 135 wyrobów z bursztynu, kryształu górskiego, karneolu i szkła. Naukowcy zwrócili również uwagę na newralgiczną lokalizację tego ośrodka handlowego. Okazało się bowiem, że leżał on dokładnie na trasie północ-południe na drodze do Truso. Osada leżała pomiędzy trzema jeziorami i była umocniona wałami, które odcinały jedyną, możliwą drogę w kierunku portu handlowego nad jeziorem Druzno.

Olsztyńscy muzealnicy chcieliby kontynuować dalsze prace koło Jerzwałdu. Będą starali się o sfinansowanie kilkuletniego projektu badań o większym zasięgu. Nasze Stowarzyszenie oczywiście zostało zaproszone do dalszych prac. Między innymi wspólnie z pracownikami olsztyńskiego muzeum planujemy odnalezienie i wytyczenie szlaku handlowego biegnącego w kierunku północnym i południowym. Mamy nadzieję, że znajdą się środki na kontynuację rozpoczętych badań, a my będziemy mogli na łamach „Odkrywcy" opisać dalsze losy fortu handlowego spod Jerzwałdu.

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Zapinki (fibule) z okresu wpływów rzymskich.

Nabijka do pasa.

Przypis:

[1] Truso – nazwa istniejącego od końca VIII do początku XI w. portu bałtyckiego i portowej miejscowości handlowej w okolicy ujścia Wisły. Miejsce opisał anglosaski podróżnik Wulfstan, który dotarł tam z portu Hedeby (Dania) ok. 890 r. Dokładne położenie Truso było przez długi czas nieznane, mimo że źródła wskazują dosyć precyzyjnie na okolice ujścia Wisły do Zalewu Wiślanego. Jednak zmiany topograficzne Żuław Wiślanych utrudniły rekonstrukcję geografii tych ziem w X wieku. W ramach akcji AZP archeolog dr Marek Jagodziński rozpoczął w latach 80. badania archeologiczne na wschodnim brzegu jeziora Druzno, na wysokości wsi Janów, kilka kilometrów na południe od Elbląga. Po kilku sezonach badawczych, dzięki uzyskanemu obfitemu materiałowi i przekonującym datacjom dendrochronologicznym przyjęto, że odkryte zostało – długo poszukiwane – Truso.

Śladami zbrodni 1944-196(?)

ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ

Zaczęło się jak na klasycznym filmie o poszukiwaniu skarbów, tyle że wszystko było inaczej… Była mapa, ale nie z zaznaczonym złotem, a mogiłą; był zmarły strażnik tajemnicy, ale nie kapitan statku, a były funkcjonariusz więzienny; do tego „skarb" przed nami odkryli inni poszukiwacze, zdaje się, że go nie zrozumieli, porzucili, błędnie opisali i wszystko zaczęło się komplikować.

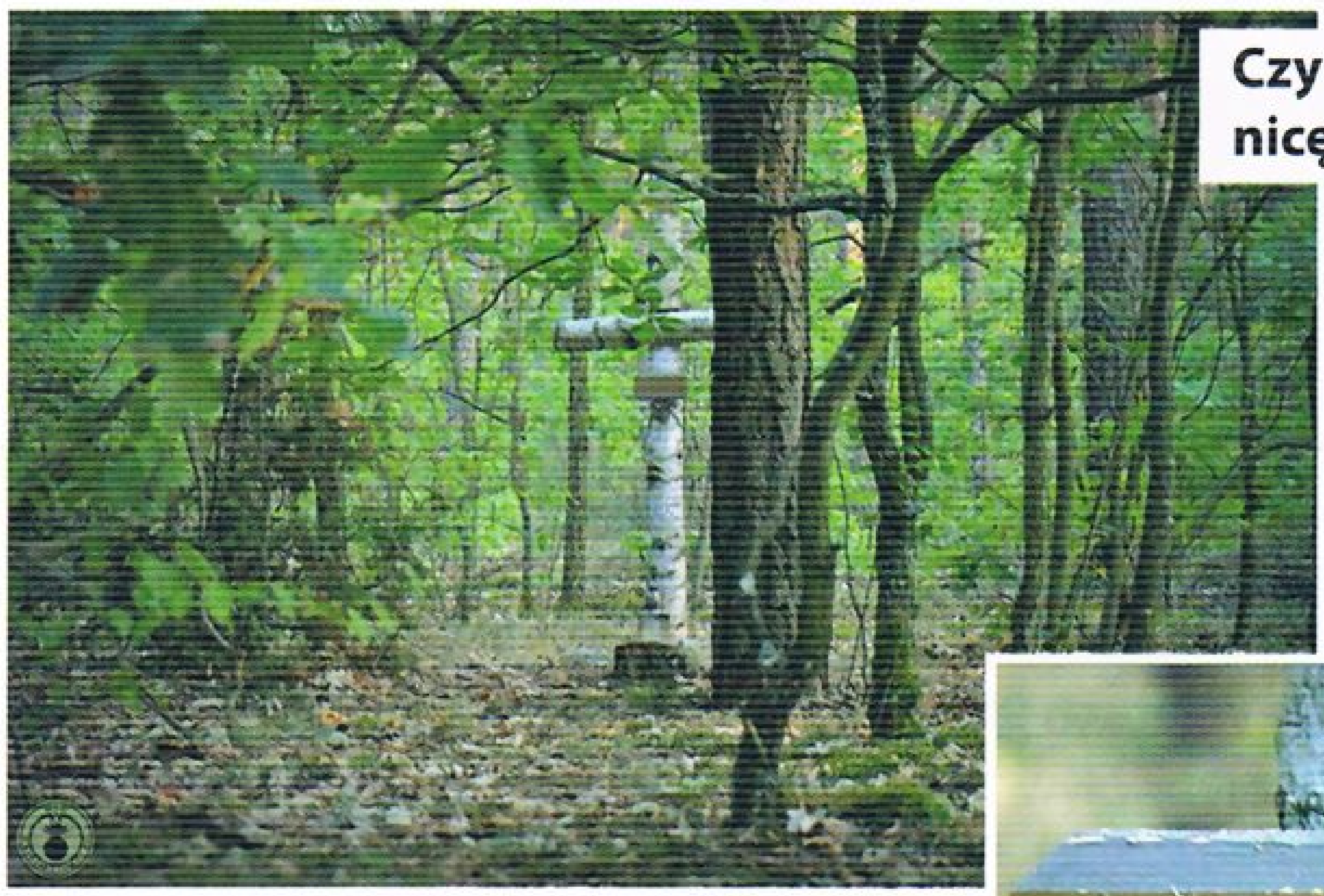

Czy ta mogiła skrywa tajemnicę zbrodni z lat 60.?

Napis na krzyżu mogiły na Choszczówce nie musi być zgodny z prawdą…

Mowa o tajemniczej mogile w lesie pod osiedlem na warszawskiej Choszczówce. To przysłowiowy „rzut beretem" od nieistniejącego już więzienia na Pradze Północ, zwanego „Toledo". Do dziś nieodkryte groby z tej czerwonej kaźni porozrzucane są po całej okolicy. Budowlańcy wiedzą o tym najlepiej, ale milczą. Poszukiwacze w okopach z 1944 r. znajdują kości i są pewni, że to zapewne „goli" czerwonoarmiści… Taka jest Praga i jej okolice, aż po legionowskie lasy. Cała dzielnica skrywa tajemnice, których tropem podążaliśmy schodząc do zatęchłych piwnic, świecąc latarkami w pustostanach, analizując zabytki wykopane przez poszukiwaczy, próbując jak najwięcej odkryć i zachować, pomimo… kontrowersyjnych decyzji stołecznego urzędu konserwatorskiego i pewnego dewelopera, którego działalność niżej podpisany musiał zgłosić policji, wszczynając tym samym śledztwo nadzorowane przez prokuraturę. A więc po kolei, bo jest o czym pisać, a o części odkrytych katowni, zabytków, napisów martyrologicznych, domniemanych i realnych mogił nie przeczytacie ani w Internecie, ani w opracowaniach IPN. Co najwyżej o wielu mrocznych miejscach prawdę mogą znać pasjonaci, ale tych nasze państwo nie zachęca do współpracy. Przeciwnie… W przypadku Pragi padł chyba rekord absurdu, jeśli chodzi o definicję prawa o poszukiwaniach z użyciem wykrywacza metali, ale o tym później. Teraz do rzeczy! Ruszamy śladami zbrodni! Powiem szczerze, takich poszukiwań wcześniej nie znaliśmy i być może już nigdy nie poznamy…

Praskie i nieistniejące już więzienie „Toledo".

Ubecka mogiła z lat… 60.!

– Wyro, jest taki temat, nie wiem czy zrobimy to jako MSHE, czy zrobi to IPN, czy ktokolwiek inny, ale coś musimy z tym zrobić – powiedział mi Michał Lićwinko z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", wyjmując na stół małą, poskładaną na cztery karteczkę i kilka tradycyjnych zdjęć na papierze fotograficznym. – *To jest mapa, którą narysował strażnik więzienny z czasów PRL. Jest na niej zaznaczona mogiła ofiar represji komunistycznych. On tę tajemnice znał już za komuny. W latach 80. działał w „Solidarności". Później, już w latach 90., był na miejscu z ludźmi, by sprawdzić czy ta mogiła nadal się tam znajduje. Wykopali dół. Znaleźli szczątki. Przestali kopać dalej. On robił zdjęcia. Masz je tutaj* – powiedział Michał, dając mi plik kolorowych fotografii drogi leśnej, punktów charakterystycznych, dołu śmierci, kości… Mapa i zdjęcia kolejnej „Łączki", i co dalej? Zapadła chwila ciszy. Informacje miały ujrzeć światło dzienne po śmierci Stefana Morawskiego, funkcjonariusza

Szczątki na Choszczówce odnalezione podczas amatorskiego wykopu sondażowego członków „Solidarności" – zdjęcie z lat 90. Stefana Morawskiego.

Jedno ze zdjęć wykonanych w latach 90. przez S. Morawskiego.

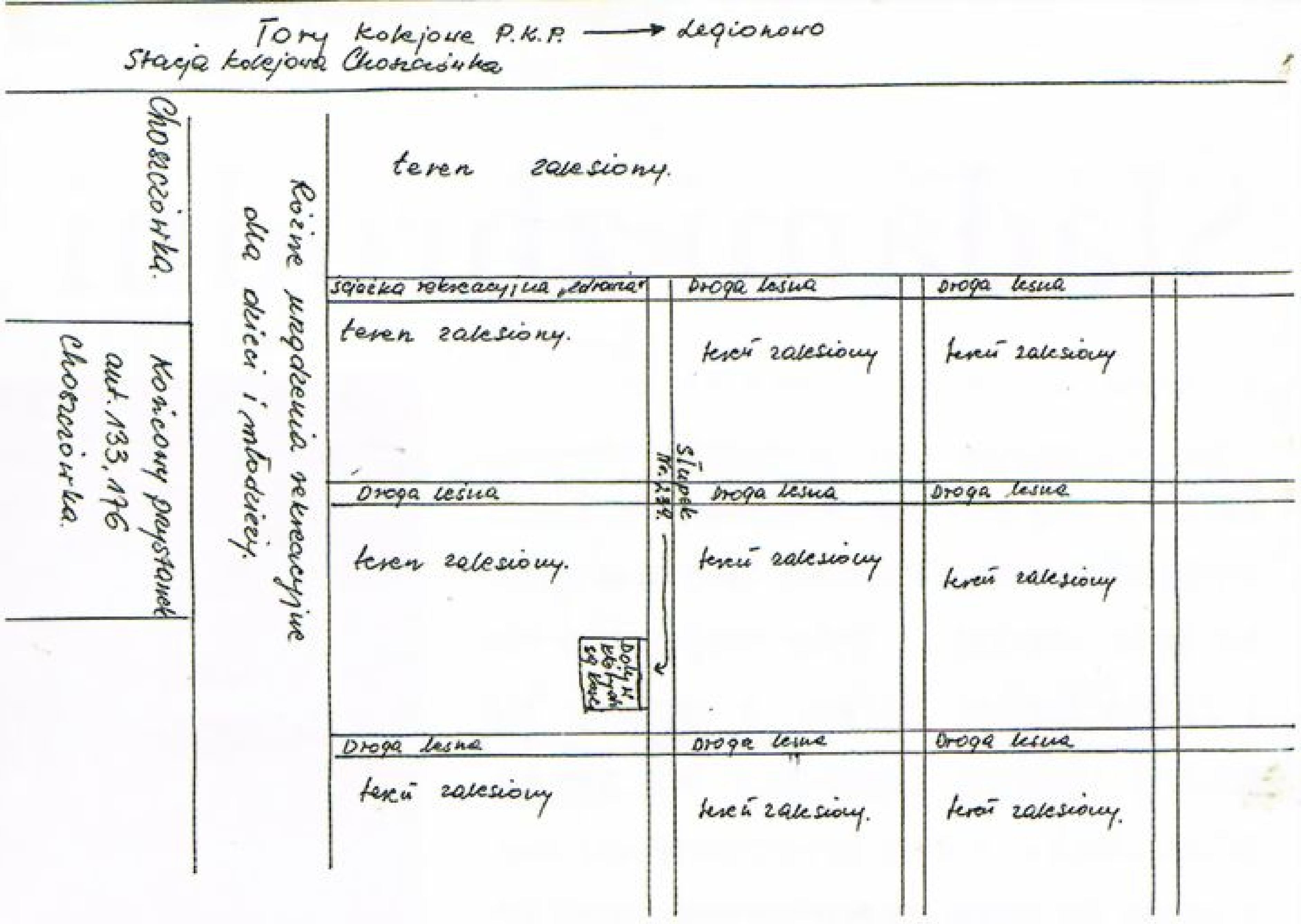

Mapa z zaznaczoną mogiłą narysowana w latach 90. przez funkcjonariusza Służby Więziennej z okresu PRL, Stefana Morawskiego.

z więzienia przy Rakowieckiej i na Białołęce. Pracownik Służby Więziennej znał wiele mrocznych tajemnic i po pewnym czasie miał popaść w niełaskę u swoich przełożonych. Był obecny przy wyrokach śmierci. Później wiedzę pozyskiwał już z drugiej strony barykady – w strukturach „Solidarności". Część jego tajemnicy trafiła do nas za sprawą jego córki, ale zanim pojechaliśmy do niej, ruszyliśmy z mapą w teren.

Co znaleźli detektoryści?

Mapa narysowana przez Stefana Morawskiego jest dokładna. Infrastruktura okalająca las, dukty leśne, nawet numer słupka geodezyjnego. Do tego zdjęcia zrobione z różnych perspektyw. Od czasu ich wykonania oraz narysowania mapy minęło ponad 20 lat, ale w terenie niewiele się zmieniło. To Choszczówka. Wyróżniki terenowe nie zmieniają się tu niemal od 1944 roku. To mekka dla poszukiwaczy. Tu przez te 20 lat pracowało setki detektorów metali. Las pokryty jest ziemiankami, a ślady walk z 1939 r., a zwłaszcza z 1944, widać niemal wszędzie. Idziemy po mapie wokół ziemianek dochodząc do celu. Spodziewaliśmy się rozkopanego przed laty okopu czy stanowiska artyleryjskiego, bo takie zagłębienia byłyby zapewne w naturalny sposób idealnym miejscem na porzucenie szczątków ludzkich, a tymczasem znajdujemy krzyż… Dość świeży, drewniany, postawiony jakby po cichu… Nieodkryta mogiła ubeckich katów została jednak odkryta, chociaż nie ma jej w rejestrach Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, czy chociażby w znanych nam zasobach Instytutu Pamięci Narodowej. Za to na krzyżu zostawiono tabliczkę wykonaną z pleksi z napisem: *„Tu spoczywają nieznani żołnierze radzieccy i jeden niemiecki"*. Wokół zasypane dołki po saperkach i fiskarsach. Stare i nowe. Jak w całym lesie. Zasięgamy języka w środowisku. – *Tak. Tę mogiłę znaleźli poszukiwacze jakieś 10 lat temu* – ustalił Paweł Gendek z MSHE i założyciel Muzeum Techniki Wojskowej i Cywilnej w Markach. – *Nic więcej nie wiadomo, albo nic więcej nikt nie chce powiedzieć* – dodał Paweł i obiecał nie zamykać środowiskowego śledztwa. Więc II wojna czy ofiary ubecji?

Wywiad

Chciałbym, żeby traktowano nas poważniej

ROZMOWA Z WOJCIECHEM STOJAKIEM

– Kim jesteś?

– Kiedyś byłem geologiem, teraz jestem poszukiwaczem skarbów. W Polsce to wciąż dziwnie brzmi – ludzie pukają się w czoło, chociaż tak Bogiem a prawdą wszyscy szukają. Kiedyś napisałem w artykule, że czekam, aby ktoś odważył się umieścić sobie na wizytówce: „poszukiwacz skarbów". I zrobił to Arek Pawełek. Chyba jedyny, a w każdym razie pierwszy w Polsce.

– Kiedy zostałeś poszukiwaczem skarbów?

– Siedem, może osiem lat temu. Oczywiście, byłem nim mając piętnaście czy szesnaście lat, ale to się nie liczy, bo jeśli kilkunastoletni chłopiec nie szuka skarbów, to znaczy, że coś z nim nie tak. Potem zapał do skarbów mija i przychodzi czas na tak zwane normalne życie. Zostałem więc geologiem. Pierwsze pięć lat jeździłem z wiertaczami po kraju i nadzorowałem wiercenia. Później pracowałem w Zakładzie Naukowo-Badawczym „Poltegor u" jako pół-urzędnik, pół-uczony. Na Politechnice Wrocławskiej byłem już całkiem uczonym. A potem mnie stamtąd wyrzucili i jestem poszukiwaczem skarbów.

– Czy zdarzyło się coś szczególnego, co spowodowało powrót do młodzieńczych fascynacji?

– Właściwie nie... Kolega dał mi książkę Włodka Antkowiaka „Przewodnik poszukiwacza skarbów". Zacząłem odwiedzać opisane w książce miejsca. Wszystko okazało się wprawdzie trochę podkolor yzowane, niemniej – to był impuls. Książka rzeczywiście zainspirowała mnie do poszukiwań.

– Masz własny program w TV 5 Wrocław – „Klub Poszukiwaczy Skarbów"...

– Tak, to jedyny w Polsce cykliczny program, poświęcony nie tyle skarbom (bo skąd, na litość boską, te skarby wziąć!), ile wszelkim dziwnym dziurom, norom, tunelom i związanym z nimi tajemnicom – wielkim, małym i całkiem malutkim. A nasze ziemie, szczególnie Dolny Śląsk, są pełne takich sekretów, zwłaszcza związanych z ostatnią wojną.

„Klub Poszukiwaczy Skarbów" to już prawie „Isaura" – w połowie marca został wyemitowany siedemdziesiąty dziewiąty odcinek. Mam nadzieję, że program utrzyma się, bo jest oglądany tak daleko, jak sięga nadajnik wrocławskiej „Piątki". Ja staram się, żeby filmy były jak najlepsze. A wiem, że program jest oglądany – mam dużo telefonów i ciągle mnie ktoś poznaje w terenie. Moi widzowie to ludzie w różnym wieku, nie tylko młodzież. Dzwonią do mnie często starsi, nobliwi panowie, niekiedy osoby na stanowiskach, i proszą, żebym sprawdził jakąś pogłoskę, odkopał tunel, bo ten czy ów pamięta z dzieciństwa, że „tam coś było", tylko bał się wejść, a później „zasypali". Pewnie nawet nie przyznają się nikomu, że oglądają taki „głupi" program o „stukniętych" poszukiwaczach skarbów... Myślę, że w każdym z nas, niezależnie od wieku, tkwi jakaś dziecięca ciekawość.

– Właściwie – udało mi się u schyłku życia, bo robię to, co lubię. Wcześniej przez wiele lat robiłem rzeczy, których tak naprawdę wcale nie lubiłem.

– Która z akcji poszukiwawczych najmocniej utkwiła Ci w pamięci?

– Chyba odpompowanie dolnej kondygnacji bunkra w Boryszynie, w Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym. Górna kondygnacja była znana, dokładnie rozrysowana i opisana. Co kryła dolna, nikt nie wiedział, ponieważ aż po sufit wypełniała ją woda.

Pojechaliśmy we czwórkę,ja z Arkiem , Jarkiem i Gołąbkiem. Była ciepła, gwiaździsta noc. Pompa mruczała w podziemiach. Woda zeszła około drugiej. Odczekaliśmy trochę, żeby spaliny wyszły i – na dół.

W filmach pokazuje się często, że w takich sytuacjach rozlegają się pełne emocji okrzyki. To wcale nie tak. Rozeszliśmy się po kątach. Panowała kompletna cisza. Byliśmy tam pierwsi po pięćdziesięciu latach. (Wcześniej zaglądali płetwonurkowie, ale to zupełnie co innego.) Atmosfera była niesamowita. Meble stały tak, jak je postawiono w 1945 roku. Na stole leżał uzbrojony granat, na łóżku zgniły mundur. To wszystko musiało przecież pływać, a opadło dokładnie na swoje miejsce!

Innego rodzaju przeżycie wiąże się z odnalezieniem archiwum AK w Gniewczynie Łańcuckiej. Stanisław Cisek, żołnierz AK, który zainicjował całe przedsięwzięcie i skierował nas na to ukrycie, tego dnia nie mógł ani jeść, ani mówić. Miał zdławione gardło. Ja – łzy w oczach, gdy wyciągnąłem metalową skrzynkę. Tam po prostu znaleźliśmy kawałek polskiej historii. Nie sądzę, żeby jakiekolwiek wzruszenie towarzyszyło np. znalezieniu skrzynki ze srebrnymi monetami.

– W tym co robisz – co Cię najbardziej fascynuje?

– Samo szukanie. Niedawno w archiwum budowlanym we Wrocławiu trafiłem na mnóstwo rysunków znanych dwudziestowiecznych architektów niemieckich. Nie zdążyli zrealizować swoich pomysłów. W centrum Wrocławia, koło ratusza, miał powstać ogromny wieżowiec, nie ustępujący wielkością nowojorskim. Jest na to dokumentacja. Okazuje się, że nawet w takim z pozoru nudnym archiwum można znaleźć rzeczy ciekawe i cenne.

Albo studnie... Zawsze jest coś na dnie, chociaż... U pani Emilii w Głuszycy po odpompowaniu zeszliśmy na dwadzieścia metrów, a nie dobrnęliśmy jeszcze do niemieckich śmieci – wciąż byliśmy w warstwie rodzimych butelek po winie i słoików typu „twist".

W Wieściszowicach (Boże! Jak tam jest pięknie!) penetrowaliśmy odpłukaną przez powódź starą sztolnię...

Nie chodzi o to, żeby coś znaleźć. Zresztą, poszukiwacz skarbów musi być przygotowany na rozczarowania, bo w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto niczego się nie znajduje. Ale przynajmniej coś zostało wyjaśnione: tam nic nie ma. A emocje – są zawsze. Dla mnie nie to jest najważniejsze, czy będą sukcesy, czy coś znajdę. Fascynuje mnie samo szukanie, odkrywanie. Myślę, że to taki sam imperatyw jak ten, który pcha ludzi w wysokie góry. Oczywiście, że część poszukiwaczy traktuje sprawę merkantylnie – chcą coś znaleźć, żeby mieć pieniądze i kupić sobie błyszczące auto czy co tam jeszcze... Pokus teraz bardzo wiele. Ale w większości z nas, poszukiwaczy, tkwi jakiś wewnętrzny niepokój, który sprawia, że szukanie, sprawdzanie, odkrywanie – staje się koniecznością, z którą trudno zerwać i w efekcie sposobem na życie.

Może urodziliśmy się sto lat za późno? Może nasze czasy to były czasy gorączki złota w Klondike... Choć korzystam z auta, a nie konia, ten dzisiejszy świat nie bardzo mi się podoba – za dużo klawiszy, guzików, komputerów, „wideów", anten satelitarnych. Jakieś to takie nieludzkie... Na szczęście jest jeszcze drugi, normalny dla mnie świat, – w lesie, w skałkach, świat, w którym goni się za nieznanym, niewiadomym,

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

fot. Arkadiusz Pawełek

fot. Arkadiusz Pawełek

ODKRYWCA

200 numerów i ponad 17 lat temu Wojtek Stojak, niestety nieżyjący już nestor polskich eksploratorów, apelował, aby władze traktowały poszukiwaczy poważnie. Niestety mimo upływu czasu niewiele w tej kwestii się zmieniło…

Jedziemy do córki strażnika z Rakowieckiej. Skromna, ciepła, otwarta osoba dopowiada nam to, czego nie można odczytać z samej mapy i zdjęć. – *To morderstwa z lat 60. Tak twierdził ojciec* – mówi nam córka Stefana Morawskiego, żeby bardziej skomplikować nam zamknięcie chronologii zbrodni. – *Do lasu na Choszczówce przewożono ciała, w różne miejsca, bo nie było już miejsca na cmentarzu bródnowskim* – mówi nam nasz rozmówca. Faktycznie, IPN całkiem niedawno odkrył masową mogiłę na cmentarzu Bródnowskim, a tak naprawdę, kilka kilometrów dalej zaczyna się las z naszą mogiłą. Zdaniem córki funkcjonariusza więziennego, jej ojciec, po asyście przy jednym z wyroków śmierci na Rakowieckiej, po jakimś oporze wobec tego, co działo się w więzieniu, został zdegradowany. W czasie stanu wojennego był już działaczem „Solidarności" i szefem struktur związkowych w szpitalu na Bródnie. Tam, w czasie stanu wojennego, miał z innymi aktywistami związku posiąść wiedzę o mogile na Choszczówce. Dopiero na początku lat 90., jako fotograf-dokumentalista, pojechał tam, zdaniem córki, m.in. ze Zbigniewem Bujakiem i Henrykiem Wujcem. I zaczęli kopać…

Efekty widać na zdjęciach. Ludzkie szczątki. Dlaczego sprawy nie nagłośnili? Nie wiemy. Dlaczego poszukiwacze, którzy już w XXI w. ponownie rozkopali mogiłę, napisali na tabliczce, że znajdują się tam szczątki żołnierzy radzieckich i jednego Niemca? Może w ziemiance znajdowały się łuski lub inne elementy po 1944 r. i stąd przypisano je mylnie szczątkom? Te przecież były już przemieszane po wykopie z lat 90. Skąd więc taka precyzja w ocenie przynależności narodowej? W odpowiedzi mogliby pomóc jedynie poszukiwacze, którzy tam kopali…

Tuż przed napisaniem tego artykułu miała miejsce rozmowa z kolejną osobą rzucającą światło na Choszczówkę, gdzie bez wątpienia także znajdują się przecież mogiły z II wojny. Maria Adamus-Jedlińska, autorka książki „Bohaterowie i kaci", powiedziała mi, że była w latach 60. na Choszczówce. – *Starszy pan, mieszkaniec rozpadającego się domku pod lasem mówił, że pewnego dnia przyjechało UB. Kazali mu zasłonić okna. Jego zdaniem zakopywali w lesie pomordowanych. To wszystko działo się w latach 60.* – relacjonowała Adamus-Jedlińska. A więc jednak lata 60.! O zbrodniach z tych czasów niemal nic nie wiemy. Zdaniem Morawskiego, jak wspomina jego córka, do lasu zabierano ciała ofiar, które formalnie uznawano za zaginione w nieznanych okolicznościach…

Mogiła czeka więc na dalsze badania. – *Wszystko jest możliwe. Wydaje się, że skoro ktoś opisał ją jako miejsce pochówku ofiar komunizmu, a później ktoś stawia tam krzyż i pisze, że to grób wojenny, to szczątki prawdopodobnie nadal się tam znajdują, jednak być może w dużej mierze przemieszane, bez tzw. układu anatomicznego* – stwierdziła Katarzyna Kuźniarska, archeolog i antropolog, uczestniczka prac IPN m.in. na powązkowskiej „Łączce". Pierwszym zadaniem, z jakim musi zmierzyć się grupa poszukiwawcza, to weryfikacja uzyskanych informacji. Później tylko prace ziemne, ekshumacyjne, najlepiej metodą archeologiczną, mogą dać optymalny wynik poznawczy w Choszczówce czy w każdym następnym tego typu miejscu. – *Jeśli istnienie mogiły potwierdzono w latach 90. XX wieku, w XXI w. rozkopali ją poszukiwacze, to trzeba niestety zajrzeć tam trzeci raz, ale po raz pierwszy profesjonalnie, godnie i z odpowiednią metodyką badawczą* – dodała Kasia, która jest także członkiem wspierającym MSHE. – *Jeśli osoby, które w amatorski sposób odnalazły na Choszczówce mogiłę i postawiły na niej krzyż posiadają przedmioty znalezione przy szczątkach lub w jamie grobowej, apelujemy do nich, niech przekażą takie informacje lub zdjęcia zabytków Redakcji „Odkrywcy" (nawet anonimowo). Każdy przedmiot odnaleziony przy szczątkach może być kluczowy w procesie identyfikacji* – apeluje z kolei Joanna Borowska, archeolog, także uczestniczka prac na „Łączce" i członek wspierający MSHE.

Dzielnica mogił, których nie ma…

Praga Północ, to od 1944 r. zagłębie katowni, trybunałów wojennych, mogił i zwykłych siedlisk NKWD czy UB. Dlatego na części ulic niemal każda kamienica skrywa ślady mrocznej przeszłości. Taką historią znaczony jest budynek przy Strzeleckiej 10a, a zwłaszcza przy Strzeleckiej 8. To trzypiętrowa kamienica z lat 30. XX w. jakich wiele na Pradze. Z zewnątrz tablica pamiątkowa będąca hołdem dla torturowanych i mordowanych tu więźniów, ofiar reżimu komunistycznego, którzy padli ofiarą bestialstwa w latach 1944-1948. Najpierw katami byli Rosjanie z Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych ZSRR (NKWD). Później w ich miejsce zainstalowano w budynku funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Mieszkańców, poza trzema rodzinami, zdążono już wykwaterować. Deweloper Spółka One-Development próbował w 2014 r. demontować oryginalne drzwi z judaszami z cel znajdujących się w piwnicach. Stowarzyszenie Kolekcjonerzy Czasu narobiło rabanu na całą Polskę. Od lat wahający się Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków w końcu wpisał całość pomieszczeń aresztu do rejestru zabytków, uznając formalnie rolę społeczników!

Cela nr 15, jedyna wpisana do rejestru zabytków…

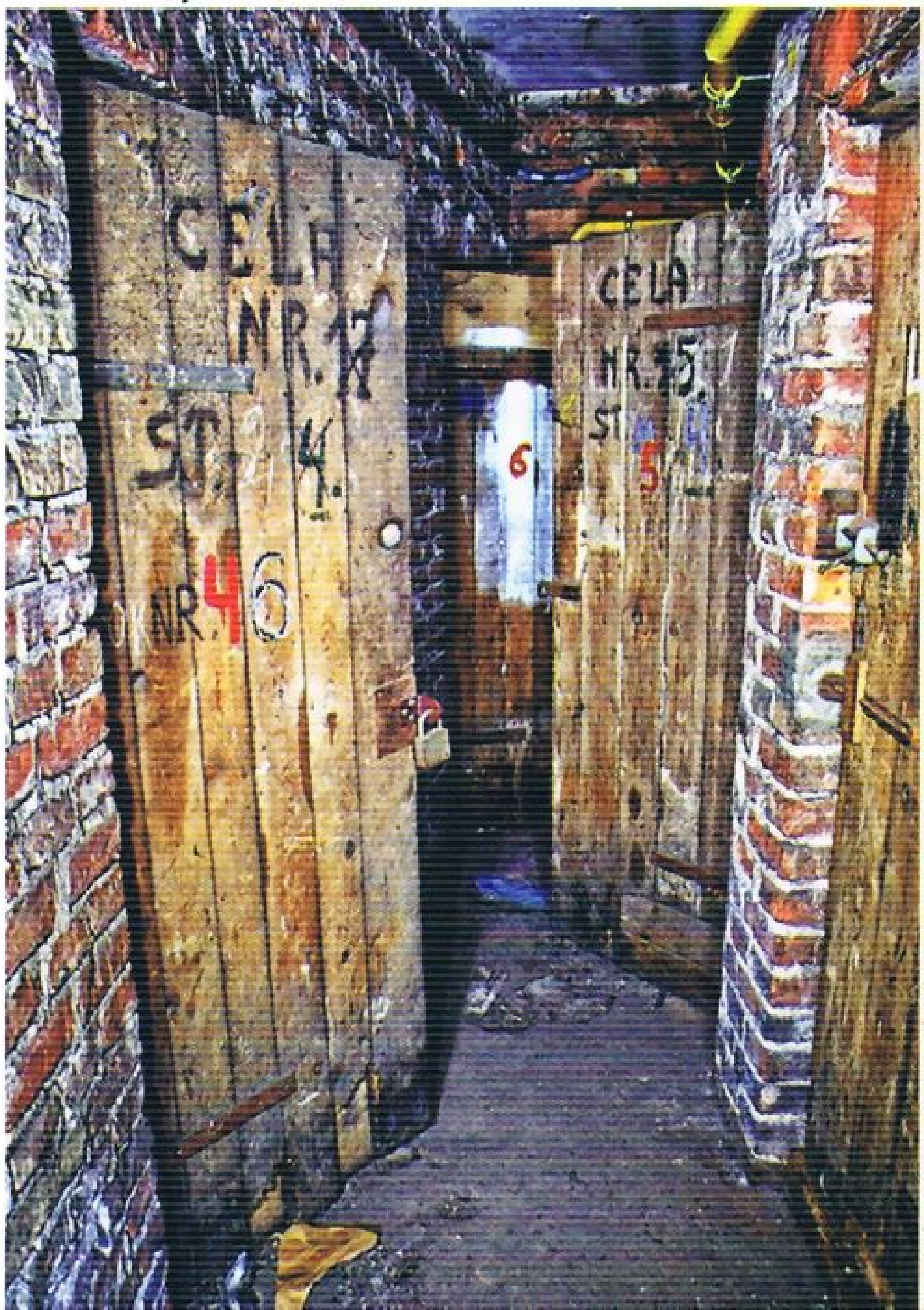

Korytarz i drzwi do cel w piwnicy przy Strzeleckiej 8.

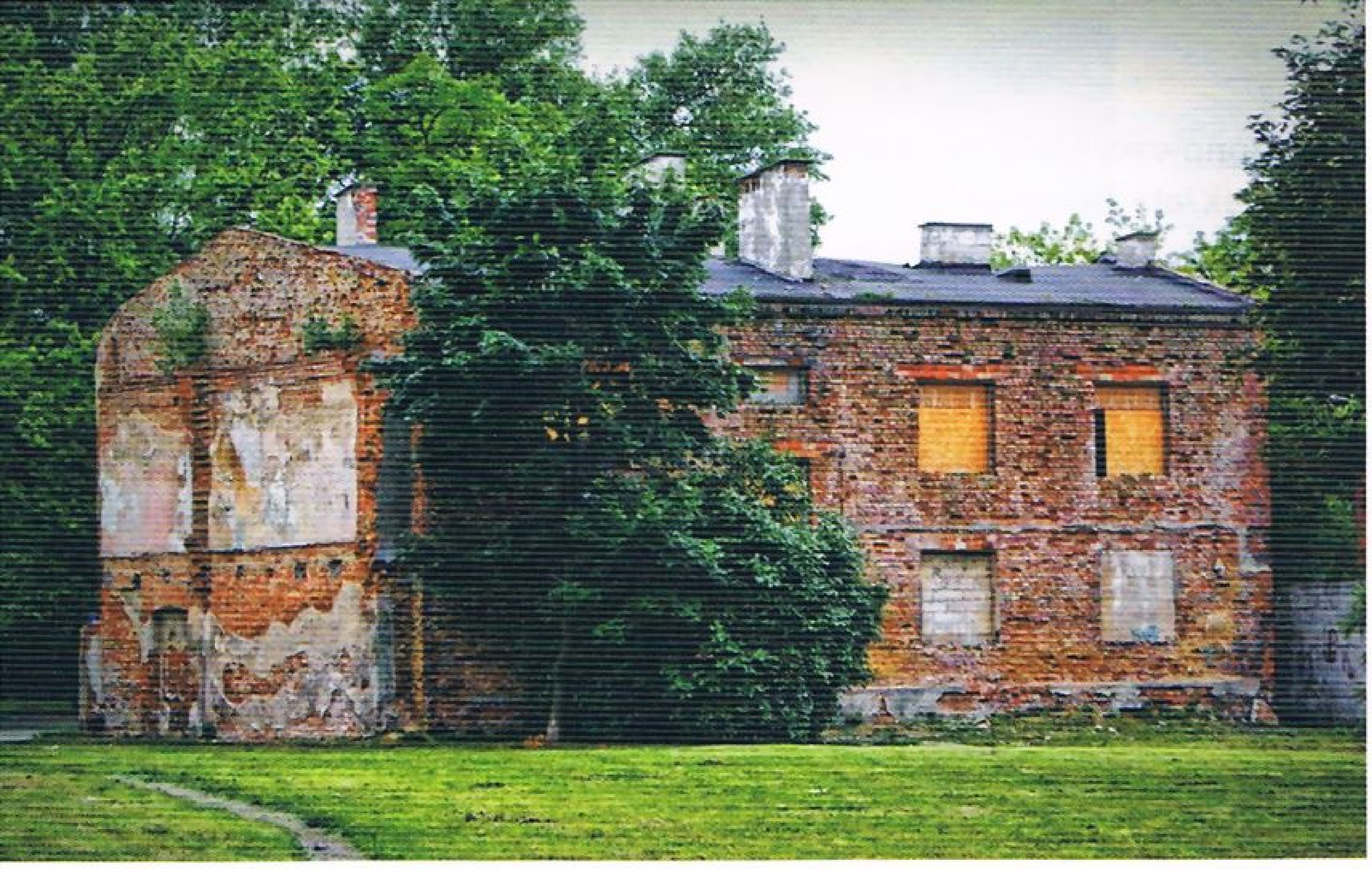

11 Listopada 66, areszt NKWD. Tego budynku prawdopodobnie niedługo nie będzie, ale używanie wykrywacza metalu w jego obrębie jest surowo zabronione… wnioski o pozwolenie na badania pozostają bez echa.

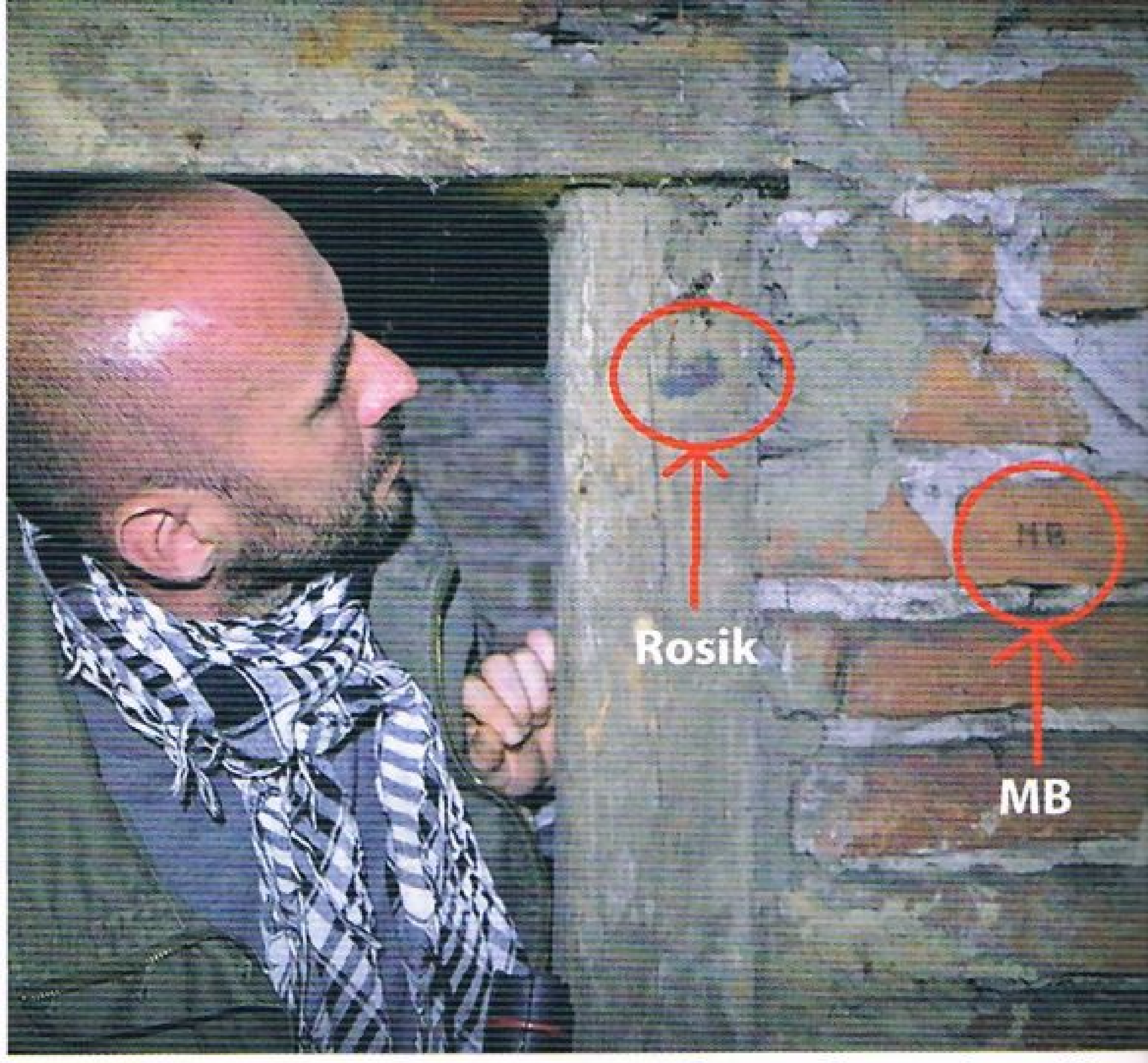

Podpis „MB" na cegle i „Rosik" na futrynie celi przy 11 Listopada 66. Na zdjęciu Robert Wit Wyrostkiewicz.

Ale na tym nie zakończyła się zła passa Strzeleckiej… W celach znajduje się pełno rysunków, modlitw, napisów martyrologicznych, kalendarzy, dat… Za każdą inskrypcją kryje się człowiek.

Największą ilość zadokumentowała Anna Straszyńska z Kolekcjonerów Czasu i członek MSHE, i w razie kataklizmu IPN będzie miał przynajmniej kogo poprosić o dokumentację. Konserwator zresztą także. Tam trzeba było spędzić godziny wśród śmieci, słoików z konfiturami z lat 80. i rozwalonych mebli, by uwiecznić jak najwięcej. W 2015 r. deweloper ruszył z remontem, a ktoś, mówiąc wprost, zrobił libację w dawnej katowni NKWD i WUBP, pozostawił fekalia, butelki i wyrył swój własny napis na jednej z cegieł tuż obok napisów Żołnierzy Wyklętych i uczestników podziemia antykomunistycznego torturowanych tu, na Strzeleckiej. Wspomniany idiota (trudno o lżejsze słowa) napisał *„SEBA 1924 1933"*. Dokumentacja stanu sprzed, nie pozostawiła nam cienia wątpliwości. To napis dewastacyjny… Do tego drzwi celi nr 15 (jedynej nigdy nie otwieranej przez instytucje zobligowane do ochrony zabytków czy pamięci narodowej) zostały otwarte przy pomocy łomu, co je częściowo zniszczyło. Na ścianie w korytarzu ktoś specjalnie, czy w pijackim zwidzie, nie wiemy, wylał zieloną farbę.

Zgłosiliśmy możliwość popełnienia przestępstwa policji (dewastacja zabytku). Ta zbadała sprawę i zadecydowała o wszczęciu śledztwa, a to nadzoruje prokuratura rejonowa. Ruszyły przesłuchania (w tym niżej podpisanego). Śledztwo trwa. W su-

NKWD i UB na Pradze Północ (oprac. Anna Straszyńska z MSHE i Kolekcjonerów Czasu)

1. Strzelecka 8 (podawana również jako Środkowa 13). Główna kwatera NKWD, a następnie WUBP.
2. Strzelecka 10 a. Areszt podręczny dla Strzeleckiej 8 i miejsce zakwaterowania oficerów i innych pracowników.
3. Strzelecka 46. Miejsce zakwaterowania oficerów i innych pracowników NKWD.
4. Szwedzka 2. W latach 40. siedziba pododdziału operacyjnego NKWD.
5. 11 Listopada 68. Trybunał Wojskowy NKWD.
6. 11 Listopada 66. Podręczny areszt Trybunału Wojskowego NKWD.
7. 11 Listopada 62. Siedziba oficerów i prawdopodobnie kolejny podręczny areszt.
8. 11 Listopada (koszary 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej) Toledo / Ratuszowa 10. Więzienie karno-śledcze III Warszawa Praga.
9. Cyryla i Metodego 4. Urząd Bezpieczeństwa na miasto Warszawę.
10. Targowa 74. Od 1945 Krajowa Rada Narodowa, Siedziba Rządu Tymczasowego, Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej.
11. Targowa 81. Intendentura i jednostki logistyczne Armii Czerwonej.
12. Targowa 76. Kamienica radzieckich oficerów.
13. Wileńska 2/4. Stołeczny Urząd Bezpieczeństwa.
14. Wileńska 11. Komisariat XIV MO nadzorowany przez władze sowieckie.
15. Wileńska 13. Tymczasowa ambasada Rosji 45-46.
16. Jagiellońska 9. Komisariat XV MO nadzorowany przez władze sowieckie.
17. Jagiellońska 17. W latach 40. siedziba komendy Armii Czerwonej.
18. Jagiellońska 28. Siedziba prokuratorów Armii Czerwonej.
19. Jagiellońska 34. Lokum przewodniczącego Trybunału Wojskowego.
20. Jagiellońska 38. Lata 45-46 Trybunał Wojskowy Armii Czerwonej.
21. Sierakowskiego 7. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.
22. Kłopotowskiego 8 (źródłowo podawana jako Szeroka 8). Kwatery pracowników MBP z Sierakowskiego 7.
23. Otwocka 3. W latach 40. siedziba komendy Armii Czerwonej, Trybunał Wojskowy, siedziba prokuratora Armii Czerwonej.
24. Kawęczyńska 12. W latach 40. siedziba komendy Armii Czerwonej.
25. Cmentarz Choleryczny. Zbiorowe mogiły.
26. Zamojskiego 43. Intendentura i jednostki logistyczne Armii Czerwonej.
27. Cmentarz Bródnowski (Dzielnica Targówek). Zbiorowe mogiły.
28. Konopacka 16. Miejsce stacjonowania i kwaterunku NKWD.
29. Fort Śliwickiego (Jasińskiego). Miejsce stacjonowania Korpusu Bezpieczeństwa Wew., Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych i Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO).

Mapa „czerwonych punktów" na Pradze Północ – oprac. Anna Straszyńska.

mie można napisać, że jak to w życiu bywa, wszyscy już wiedzą, kto zdewastował cele, w których krwawili Polacy, ale czy służby to udowodnią? Zobaczymy, chociaż mamy swoje przeczucia... Smutne jest jednak to, że mimo trwającego jeszcze śledztwa, na stronie internetowej stołecznego konserwatora zabytków pojawił się sugestywny wpis... Otóż zawiadomiony przez nas Stołeczny Konserwator Zabytków pojechał na miejsce, porozmawiał z deweloperem i na swojej stronie internetowej uspokaja, że deweloper dba... że owszem, coś tam zniszczono, ale nie same napisy martyrologiczne tylko cegły obok... Szok! To zresztą nie pierwszy przypadek świadczący o tym, że przez urzędniczą opieszałość zabytki przestałyby istnieć, gdyby nie społecznicy, więc co się dziwić? Nie warto komentować. A swoją drogą zastanawia, dlaczego niektórzy konserwatorzy częściej „trzymają stronę" deweloperów, niż pracujących za „dziękuję" pasjonatów? Dobre pytanie, co?

Kilka tygodni później cele zostały zalane wodą na skutek remontu i uszkodzenia pionów. Podnieśliśmy znowu alarm. Urząd konserwatora odpisał, że nie ma wilgoci zagrażającej zabytkowi... I tak bez końca. Ale chyba deweloper wymiękł, bo w końcu odpuścił sobie obiekt przy Strzeleckiej (news z ostatniego miesiąca!) i przejął go inny podmiot. Teraz ma tam być hotel... I nikt jakoś nie wpadnie na pomysł wykupu chyba największej i najlepiej zachowanej, z największą ilością napisów martyrologicznych, katowni, by urządzić tam np. planowane od lat Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Owszem, jest taki pomysł i nawet znaleziono już lokalizację w sąsiednim pałacyku Konopackich, tylko że jego historia nie ma nic wspólnego z Wyklętymi! Ładny, praski, ale to historia z innej, XIX-wiecznej bajki! – *Miasto powinno wykupić Strzelecką 8, ale wiem z kuluarów, że takiej woli nie ma* – powiedział mi wprost Paweł Lisiecki, burmistrz Pragi Północ. I tu stawiamy kropkę. Póki co...

A co do mogił, tak, Strzelecka 8 to też cmentarzysko (słaby wabik dla powstającego tu hotelu). Udało się nawet w tym roku ściągnąć tu IPN z georadarem, i co więcej, dzięki wspomnianej Annie Straszyńskiej, prof. Szwagrzyk z IPN przebadał także miejsca, których nie miał w planach; gdzie dzisiaj stoją garaże, a gdzie wg relacji i wspomnień, także znajdują się groby pomordowanych na Strzeleckiej. Wyniki badań mają być znane niebawem. A w sumie jeszcze o jednym wypada wspomnieć...

Radiostacja za flaszkę, guziki za alpagę...

Należy wspomnieć o zabytkach ruchomych, ale tu także narracja będzie smutna. Wiemy bez wątpienia, że Strzelecka 8 została obrabowana w 2014 i 2015 r. Tak to trzeba nazwać. Obrabowana przez tych, którzy remontowali budynek na zlecenie dewelopera. Dotarliśmy do ludzi, do sytuacji... jako dziennikarz rozmawiałem z anonimowymi informatorami, ale kładę za nich głowę. Tyle mogę napisać. Podczas remontu w jednym z mieszkań (w piwnicach były cele, w mieszkaniach sale przesłuchań i mieszkania enkawudzistów i ubeków) znaleziono zamurowaną sowiecką radiostację. Z naszych ustaleń wynika, że poszła za wódkę... Szpargały, takie jak papiery, czy skrawki dokumentów... zostały wyrzucone na śmietnik. Zwyczajnie! Przy zrywaniu podłogi robotnicy znajdowali guziki polskie (różne wzory z II RP, tzw. guziki wrześniowe), które wpadały tam (w szczeliny między deskami) prawdopodobnie podczas krwawych przesłuchań. Nie udało się ustalić ich liczby. Trafiały na rynek za przysłowiową alpagę. Cóż, taki guzik na Allegro wart jest kilka złotych, ale TAKI guzik, to dla nas relikwia... Niestety, nie każdy to rozumie. Wiemy, że kilka z nich udało się odzyskać na rynku wtórnym. Na szczęście. – *Szokujące jest to, że podczas remontu wykonywanego przez dewelopera wyrzucono dokumenty, zacierano ślady zbrodni, pozyskiwano zabytki, o guzikach przecież wszyscy wiedzą* – mówił mi w rozmowie telefonicznej burmistrz Pragi Północ. I co? I nic. Chociaż ostatnio IPN (także wiedza z prywatnej rozmowy) bierze pod uwagę śledztwo w tej sprawie. Ale uwaga, znamy polską rzeczywistość, jak urzędnicy robią śledztwo, to kto ma się obawiać: ci co kradli zabytki, czy ci co je ratowali? Znowu doskonale znamy odpowiedź. Zresztą, często chwalebny IPN w przypadku Strzeleckiej także powinien zrobić porządny rachunek sumienia (przez lata nie robił niemal nic, by obiekt stał się prawnie chronionym zabytkiem we wszystkich 41 pomieszczeniach piwnicznych).

Dwa guziki WP, prawdopodobnie Żołnierzy Wyklętych przesłuchiwanych przy Strzeleckiej 8 – wyrwane niemalże od budowlańców przez pasjonata historii. Zdjęcie od anonimowego informatora.

11 Listopada w szponach meneli i... konserwatorów

Trudno spokojnie odnieść się do decyzji Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków, a jeszcze trudniej ją zrozumieć. Urzędnicy kontra społecznicy, poszukiwacze, niezależni (ważne słowo!) archeolodzy – to nierówna walka. Dobrze, że jeszcze media chcą mówić o sprawie. To Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków stoi m.in. za negatywną opinią dot. planowanego przebadania terenu, zwłaszcza w obrębie kamienicy przy 11 Listopada 66. – *Powiem wprost, ta kamienica długo pewnie nie postoi. To co ją trzyma, to nieuregulowane sprawy własnościowe. Jej stan jest fatalny* – powiedział burmistrz Lisiecki. Lokatorów już dawno wysiedlono. Drzwi i okna zabito dechami. W środku wilgoć, brud, smród i śmieci po mieszkańcach gromadzone tam od czasów PRL. Do środka co chwilę dostają się menele. Rozkradają wydawałoby się mało wartościowe przedmioty. Na górze kiedyś były kwatery NKWD; na dole areszt podręczny. W jednym z pomieszczeń, po którym zostały jedynie fundamenty, wykonywano wyroki. Tuż obok, w miejscu dzisiejszego zakładu energetycznego u zbiegu ulic 11 Listopada, Szwedzkiej i Stolarskiej, widać zarys innego budynku. Pod siatką dostrzec można mały kurhan. Jeszcze w 2014 r. dogorywał tam drewniany krzyż. Dzisiaj nie ma po nim śladu. Budynek przed prawdopodobną mogiłą, to 11 Listopada 68. Tu znajdowała się tzw. Trojka, czyli Trybunał Wojenny NKWD. Tu zapadały kary, łącznie z tzw. „KS" czyli karą śmierci. Ci, których wywieziono stąd do obozu NKWD w Rembertowie, mogli mówić o szczęściu, o ile

Sowieckie łuski z 1944 i 1945 r. Wojna, strzelnica czy egzekucja...

nie zginęli tam na miejscu lub podczas bohaterskiego odbicia więźniów przez oddział AK „Mewa-Kamień" z Mińska Mazowieckiego. Obok jest jeszcze 11 Listopada 62. To tzw. Willa Halików. Zakwaterowani w niej byli oficerowie NKWD, a w piwnicach znajdowały się kolejne podręczne cele. Wszelkie ślady po nich zniknęły skutkiem przeprowadzonego remontu. Pytanie tylko: czy remontu, czy zacierania śladów zbrodni… – *Tu, proszę pana, mieszkali oficerowie NKWD, prowadzący śledztwa w katowni przy ul. 11 Listopada 68. Więcej nie powiem* – zapisał relację mieszkańca z pobliskiej ul. Stolarskiej Hubert Kossowski, który od lat zajmuje się tematyką praskich miejsc terroru komunistycznego.

Mariusz, Kasia i Andrzej – trzech archeologów na „cholerycznych" powierzchniówkach – praska akcja MSHE.

I wracamy na 11 Listopada 66. Stoi kamienica. W piwnicach napisy martyrologiczne więźniów. Niewiele, ale każdy z nich to CZŁOWIEK. Chcieliśmy je zadokumentować, teren wokół kamienicy i samą kamienicę przeszukać wykrywaczami. Nawet z nadzorem archeologicznym, chociaż nie ma takich wymogów prawnych. Zarząd Gospodarki Nieruchomościami powiedział: „Zgoda, ale zapytamy konserwatora zabytków". Długo oczekiwaliśmy na jego stanowisko (telefonicznie urzędniczka zapewniła mnie, że dopiero jak złożymy wniosek, to się odniosą do sprawy). I doczekaliśmy się odpowiedzi. Za radą jednego archeologa (co sformułowano w opinii dla zarządcy kamienicy), stwierdzono, że to raczej badania dla IPN; ponadto, wykrywacz doprowadzi do wyrwania zabytków z ich kontekstu, a przy dokumentacji napisów nie wystarczą zdjęcia, tylko potrzebna jest fotogrametria. – *No dobra, dobra, zrobimy, nawet zdjęcia techniką kosmiczną, tylko szybko, bo za miesiąc tej kamienicy już nie będzie* – rozkładał ręce Arek Radomski z MSHE. I teraz hit! Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków tłumaczy, dlaczego nie chce dawać pozwoleń na poszukiwania zabytków z wykrywaczem metalu, jeśli nie są to standardowe prace archeologiczne: *„Należy podkreślić, że wymogi, co do poszukiwań określane przy wydawaniu przez SKZ decyzji są znacznie ogólniejsze niż np. w przypadku wydawania pozwolenia na prowadzenie badań archeologicznych. Sprawia to, że możliwości SKZ kontrolowania przebiegu poszukiwań są ograniczone. Dlatego też wydawanie pozwolenia na poszukiwania ma zastosowanie przede wszystkim w miejscach, w których wiadomo, że zabytków najpewniej nie ma. Jeśli w danym obszarze jest szansa na odkrycie znalezisk, prowadzone są wówczas badania archeologiczne"* (wpis z 6 sierpnia 2015 r. ze strony internetowej Biura Stołecznego Konserwatora Zabytków).

Powtórzmy! **„wydawanie pozwolenia na poszukiwania ma zastosowanie przede wszystkim w miejscach, w których wiadomo, że zabytków najpewniej nie ma"** (wytłuszczenie – R.W.W.). Wystąpiliśmy z prośbą o rozszyfrowanie tego zdaje się mega absurdu do Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich.

Cmentarz choleryczny i okopy z II wojny

Przeszliśmy szkolenia BHP poprowadzone dla nas przez PLK PKP. Zakupiliśmy kamizelki ochronne i dokonaliśmy różnych opłat oraz licznych, kolejowych formalności. Wchodzimy na teren XIX-wiecznego cmentarza cholerycznego. Ciała po ekshumacji złożono w wydzielonym miejscu. Pozostał ogromny teren poza dzisiejszym cmentarzem; teren z każdej strony otoczony wałami i torami kolejowymi. Opomiarowujemy tam ziemianki i okopy z II wojny światowej. Robimy kwerendę wśród poszukiwaczy, którzy to miejsce znają od wielu lat. Zresztą na wierzchu niektórych dołków leżą łuski od „pepeszek" czy Mosina, co ciekawe, z datami 44 i… 45. Ta druga nie wskazuje już na czas wojenny, ale bliżej jej do świadectw o zabijanych tu więźniach z praskiego „Toledo" (w latach 1944-1956 było to więzienie NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa przeznaczone głównie dla Żołnierzy Wyklętych, słynęło z najokrutniejszych tortur). Skąd obok dzisiejszego cmentarza epidemicznego sowieckie wystrzelone łuski z 1945 roku? Trudno powiedzieć. Niektórzy mówią, że wały

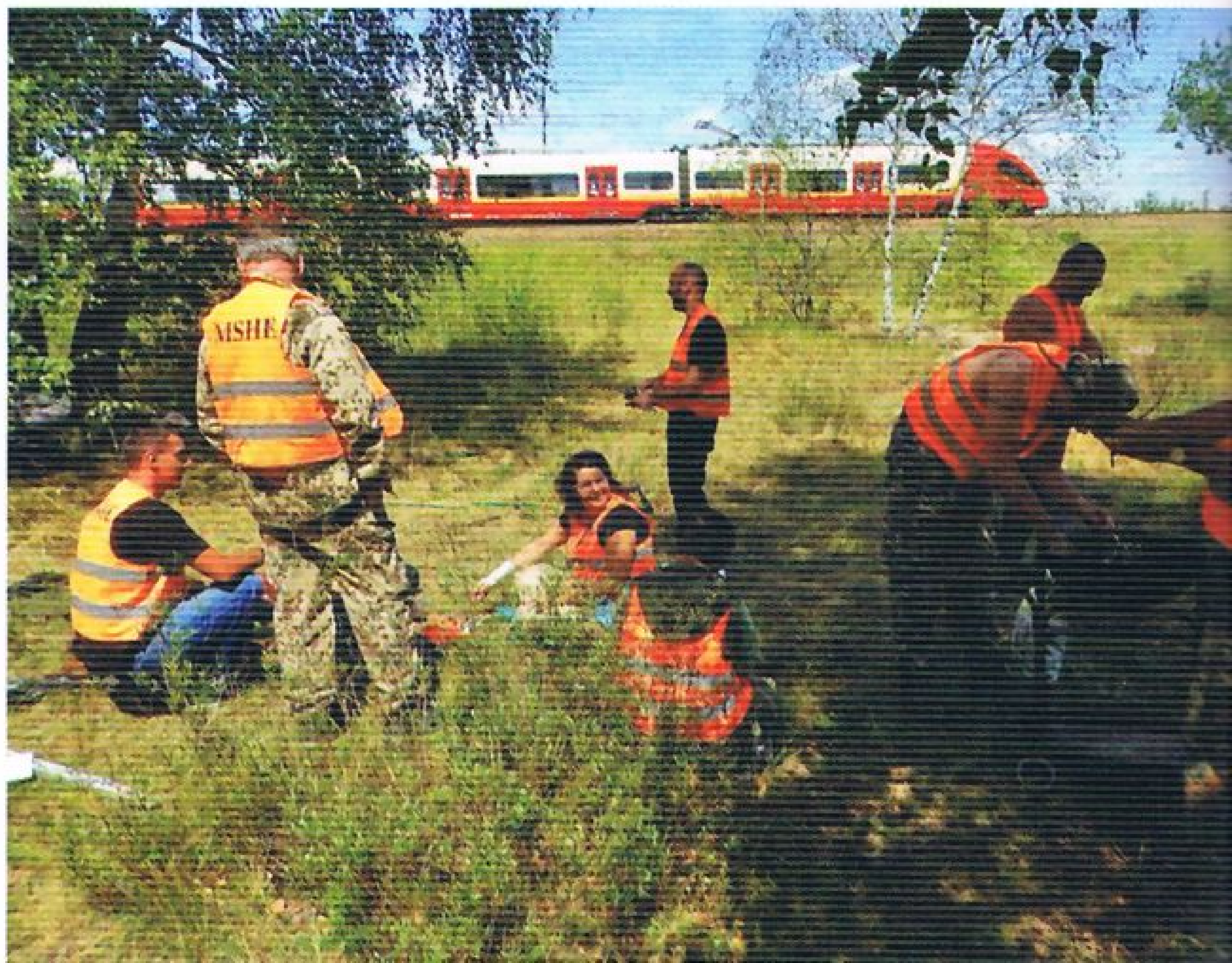

Ekipa MSHE pomiędzy wałami kolejowymi na terenie dawnego cmentarza cholerycznego z XIX wieku.

Nieznane cele na tyłach gmachu PLK PKP

Widok na piwniczną celę z zewnątrz na tyłach gmachu PLK PKP – miejsce nierozpoznane przez historyków.

wykorzystywano jako strzelnicę. Inni, że dokonywano tam egzekucji. Jedna i druga relacja może być prawdziwa. W każdym razie, teren wart pogłębienia…

Byliśmy na terenie kolejowym pomiędzy Warszawą Pragą a Warszawą Wschodnią ze stowarzyszeniowymi archeologami, porozrzucane na wierzchu kości antropolog zaklasyfikował jako zwierzęce, łuski nie rozwiążą zagadki… O prace poszukiwawcze, w kontekście dotychczasowych doświadczeń z ww. urzędem konserwatorskim, chyba nie warto pytać… Chyba, że PKP zechce tam coś zbudować. Wówczas będą mogli wykopać ziemi pod dostatkiem, bez poszukiwaczy i archeologów, wszak poza miejscem złożenia szczątków z XIX wieku (ekshumowanych w 1908 r. – 478 ofiar epidemii i siedmiu innowierców), teren nie jest chroniony prawem o ochronie zabytków, bo nie jest zabytkiem ani stanowiskiem archeologicznym, ale poszukiwaczom (nawet z archeologami i antropologami) wstęp wzbroniony! A to, że na dziko każdy tam od 10 lat kopie, a o efektach nikomu nie mówi; że miejsce jest terenem imprez miejscowej żulerki pozostawiającej tu kilogramy śmieci i kopiącej doły na opalanie kradzionych miedzianych kabli; że PKP może tam przeprowadzać inwestycje budowlane bez konserwatora, za to z użyciem ciężkiego sprzętu budowlanego, to urzędu konserwatorskiego nie dziwi… Ważne, aby nie było wykrywacza metalu, narzędzia diabła… I tyle w temacie.

Nieodkryty areszt w sercu Pragi

Ale nasze poszukiwania to przecież nie tylko detektoryzm (chociaż wykrywacz jest bardzo ważnym narzędziem). Pamiętacie aferę z pomnikiem tzw. Czterech Śpiących na Pradze? Nie ma już tego postumentu dedykowanego przyjaźni Armii Ludowej z Armią Czerwoną, ale tuż obok przy ul. Wileńskiej 2 stoi przepiękny modernistyczny gmach z lat 30. XX wieku, wieloletnia siedziba władz PKP (przed i po wojnie). Po opuszczeniu gmachu przez hitlerowców, w nim Sowieci ulokowali komunistyczny tzw. Rząd Tymczasowy oraz Krajową Radę Narodową, pod przewodnictwem sowieckiego agenta Bolesława Bieruta. Tu znajdował się także Miejski Urząd Bezpieczeństwa. Za okazałym zabytkowym gmachem kryje się niepozorny budynek, gdzie obecnie urzędują kolejowi związkowcy. – *Piwnice są niedostępne, ale to bez wątpienia dawne cele więzienne. Pamiętam wyryte tam napisy. Niestety, kilka lat temu zostały otynkowane… Nie jest to miejsce przeznaczone do zwiedzania…* – powiedział mi Marek Moczulski, wieloletni pracownik PKP, który zajmuje się prywatnie historią infrastruktury kolejowej. Wystarczy zajść budynek od tyłu, zerknąć na piwnice, kraty w oknach… Nie było tam chyba nigdy konserwatora zabytków, IPN czy urzędników z miejskiego ratusza…

Areszt na tyłach gmachu kolejowego przy Wileńskiej jest to tylko jeden z aresztów, którego odkrycie będzie polegało na prostym wejściu do środka, ewentualnie zerknięciu pod tynk… Niby proste, ale odkrywanie historii to też odpowiedzialność. Co zrobić z takim miejscem? Jak go później ocalić od dewastacji czy celowych zniszczeń jak na Strzeleckiej 8. Gdzie szukać wsparcia, kiedy wojewódzkie urzędy ochrony zabytków działają często na niekorzyść zabytków, a wielu poszukiwaczy, owszem, odkrywa historię, ale ze względu na represje prawne nie dzielą się wiedzą z nikim. A są przecież i tacy, którzy dzielić się nie chcą, bo zadawala ich jedynie samolubne kolekcjonerstwo. W tym wszystkim coraz trudniej jest mi się odnaleźć…

ZDJĘCIA: KOLEKCJONERZY CZASU, ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ, ANNA LASKOWSKA

Robert Wit Wyrostkiewicz
Poszukiwacz, redaktor naczelny serwisu Archeolog.pl, dziennikarz, współzałożyciel Komitetu Zachowania Reduty Ordona, prezes Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", uczestnik wielu badań archeologicznych i poszukiwawczych w Polsce i zagranicą. Darczyńca wielu muzeów państwowych i prywatnych.

Robert Wit Wyrostkiewicz (w środku na pierwszym planie) i prascy pasjonaci podczas zwiedzania dawnego gmachu PKP, a później UB przy zdemontowanym pomniku Czterech Śpiących.

Kostrzyńska starówka ujawnia kolejne tajemnice

MAKSYMILIAN FRĄCKOWIAK, KRZYSZTOF SOCHA

W tym roku minęło 70 lat od zakończenia II wojny światowej. Kostrzyn nad Odrą – miasto, w którym konflikt ten zebrał wyjątkowo tragiczne żniwo – postanowił nam przypomnieć o tej rocznicy w szczególny sposób. Badania archeologiczne prowadzone na starówce, kolejny raz ujawniły wojenne ślady z lutego i marca 1945 roku.

Ostatnie dni Twierdzy

Kostrzyn nad Odrą (niem. Küstrin) został ogłoszony miastem twierdzą 25 lub 26 stycznia 1945 roku.[1] Od tego momentu rozpoczęły się jeszcze bardziej dynamiczne przygotowania do obrony przed nadciągającymi w niezwykle szybkim tempie oddziałami I. Frontu Białoruskiego. Do podstawowych zadań należało powiększenie i uzbrojenie kostrzyńskiego garnizonu oraz przygotowanie do obrony istniejących, a także budowa nowych fortyfikacji, zwłaszcza polowych. Stare i Nowe Miasto zostało przecięte wielokilometrową siecią transzei, rowów i stanowisk, które w wielu miejscach widoczne są do dzisiaj.

Jako pierwsze na przedpolach Kostrzyna zameldowały się wydzielone oddziały 1. i 2. Armii Pancernej Gwardii. 30 stycznia rozpoczęła się jedna z największych bitew schyłkowej fazy II wojny światowej, która zakończyła się dopiero 30 marca 1945 roku. Czerwonoarmiści zdobywali kolejne kwartały Nowego Miasta i stopniowo zaciskali pierścień wokół serca Twierdzy – kostrzyńskiej starówki. Zdziesiątkowany garnizon rozpaczliwie bronił Wyspy Odrzańskiej, przez którą docierały konwoje z zaopatrzeniem i wywożono rannych żołnierzy. W toku dalszych walk coraz bardziej brakowało sprzętu medycznego, lekarstw i szpitalnych łóżek.

Z powodu rosnącej w olbrzymim tempie liczby ofiar, pojawił się problem pochówku poległych. Prowizoryczne cmentarze tworzone na niewielkich skwerach i podwórkach Starego Miasta, szybko się zapełniły. Dopóki było to możliwe, zmarłych chowano dosłownie wszędzie, także pod gruzami i w piwnicach budynków. Gdy sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, coraz więcej ciał żołnierzy pozostawało na miejscu swojej śmierci, zalegając na ulicach i we wnętrzach zrujnowanych kamienic i innych obiektów. Zbiorową mogiłą stały się m.in. podziemia kościoła farnego, w których urządzono punkt opatrunkowy. Trafiony pociskami dach zapalił się, a świątynia wkrótce runęła, grzebiąc żywcem pozostałych w jej wnętrzu rannych żołnierzy.[2] Podobny los spotkał gmach szkoły żeńskiej przy Schulstrasse. Walący się budynek pochłonął ciała 21 osób.[3] Nieznana liczba żołnierzy Volkssturmu została pogrzebana także w piwnicach kostrzyńskiego ratusza.[4]

28 marca czerwonoarmiści weszli na teren Starego Miasta. Wieczorem sowiecka piechota podeszła pod zamek, w piwnicach którego znajdował się szpital polowy. W podziemnych komnatach leżeli ranni, do których dochodziły coraz wyraźniejsze odgłosy ulicznych walk. Mimo wyraźnego sprzeciwu Führera, dowódca Twierdzy, Heinz Reinefarth, zezwolił na opuszczenie stanowisk. Wszyscy pozostali przy życiu żołnierze, zdolni do marszu, rozpoczęli próby wydostania się z okrążenia. Gdy mosty drogowe i kolejowe zostały wysadzo-

Grób nr 1. Ciało żołnierza położono na łóżku szpitalnym.

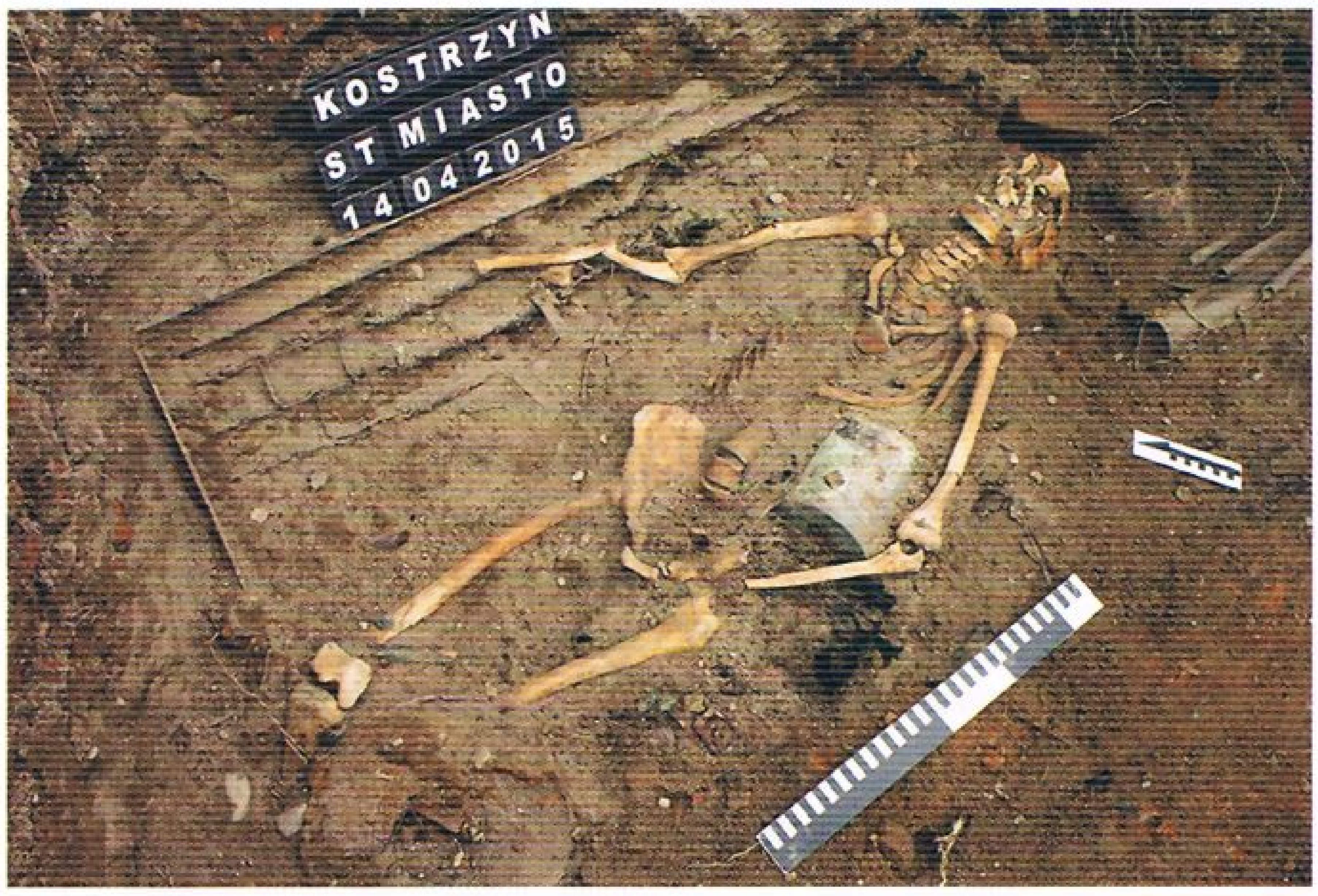

Grób nr 2. Szczątki żołnierza zarejestrowano pod ramą szpitalnego łóżka. Jego kości udowe zostały rozerwane tuż powyżej kolan. Na ciało wrzucono łuskę do niemieckiej, lekkiej haubicy polowej le. F. H. 18 kalibru 105 mm.

Grób nr 3. Fragment szkieletu żołnierza posiadał wyraźne ślady działania ognia. Przy szczątkach znaleziono znak tożsamości Policyjnego Pułku Artylerii.

Nadpalona skórzana portmonetka znaleziona w grobie nr 4.

ne, sytuacja pacjentów i personelu szpitala zamkowego stała się dramatyczna. Pozostawiono im granaty ręczne, aby w razie wkroczenia sowietów do Zamku, mogli popełnić samobójstwo. Tak też się stało. Obraz tamtych wydarzeń opisał grenadier SS, Oscar Jessen, który dostał się do sowieckiej niewoli: *„Potem trzymano nas w ruinach koło kościoła. Dzień później musieliśmy wrzucić wszystkich zabitych wraz z wyposażeniem wojskowym do rowu przeciwczołgowego na prawo od zamku. Byli tam także zmarli z zamkowego lazaretu, którzy wszyscy popełnili samobójstwo. Lekarz się zastrzelił, a pielęgniarka zażyła truciznę. Oba ciała znajdowały się w pozycji siedzącej przy stole, na którym leżał otwarty album ze zdjęciami. Nigdy nie zapomnę tamtego widoku”.*[5] Według danych Niemieckiego Czerwonego Krzyża w walkach o Kostrzyn zginęło 1400 żołnierzy niemieckich. Do tej listy należy dodać trudną do oszacowania liczbę ludności cywilnej.

Pierwszy etap badań

W październiku 2014 r. pracownicy Muzeum Twierdzy Kostrzyn wraz z członkami Stowarzyszenia Eksploracji Perkun i Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca”, przeprowadzili nieinwazyjne badania w południowo-wschodnim narożniku Placu Turniejowego (dawnego Renneplatz) w pobliżu ruin zamku. Odczyty z georadaru potwierdziły lokalizację fortyfikacji polowych, zaobserwowanych na niemieckim zdjęciu lotniczym z 18 marca 1945 roku. Na pewnym odcinku wykazały one zaleganie w ich wnętrzu licznych, metalowych przedmiotów, mogących stanowić elementy uzbrojenia i wyposażenia żołnierskiego. Lokalizacja ta pokrywała się także z miejscem pochówku żołnierzy niemieckich wskazanym w relacji Oscara Jessena.

Niemieckie znaki tożsamości odnalezione w grobie masowym podczas I etapu badań.

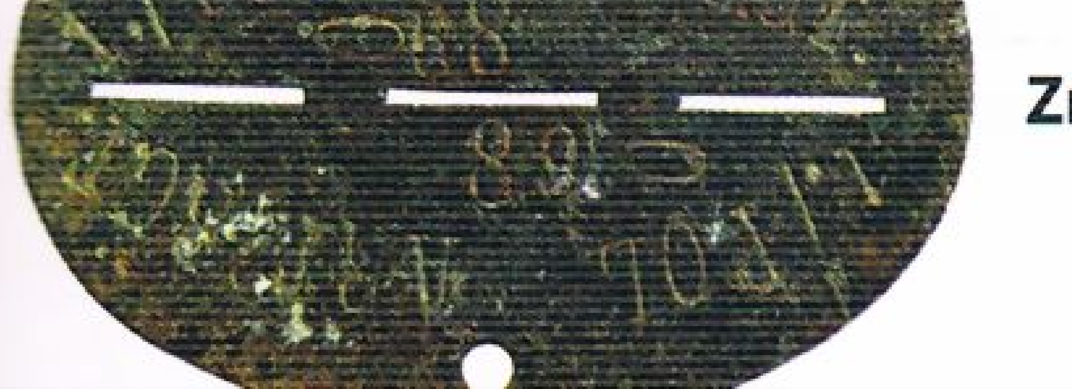

Znak tożsamości Policyjnego Pułku Artylerii odnaleziony w grobie nr 3.

Do badań wykopaliskowych przystąpiono w lutym 2015 roku.[6] W ich trakcie okazało się, że wytypowany fragment transzei posłużył za śmietnisko. W jego wnętrzu znalazły się pozostałości po zakończonych walkach. Wśród nich, liczne elementy niemieckiego uzbrojenia, m.in. granatniki przeciwpancerne Panzerfaust, pistolet Walther P-38, maski przeciwgazowe, hełmy, bagnety oraz magazynki do pistoletu maszynowego MP-40 i karabinu StG 44. W wypełnisku transzei znajdowały się także pozostałości o charakterze medycznym, w tym liczne naczynia chirurgiczne (tzw. nerki), szczypczyki, nożyczki, fiolki z morfiną, puste ampułki po lekach (m.in. eterze) i fragmenty bandaży. Ta grupa znalezisk związana była z pewnością z funkcjonującym w zamku żołnierskim lazaretem.

W toku dalszej eksploracji okazało się także, że fragment transzei wykorzystano jako masowy grób. Badania ujawniły szczątki 21 osób. Były one częściowo zdekompletowane i przemieszane z miejskim gruzem oraz sprzętem wojennym. Odkryte przedmioty świadczą, że zdecydowaną większość poległych stanowili żołnierze niemieccy. Wśród artefaktów było siedem nieprzełamanych znaków tożsamości, które w przyszłości pomogą w identyfikacji szczątków. Odnalezione nieśmiertelniki już teraz pozwalają stwierdzić, iż czterech żołnierzy należało pierwotnie do różnych oddziałów artylerii przeciwlotniczej: 323. i 231. Rezerwowego Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej, 877. Dywizjonu Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej i 36. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej. Podczas obrony Twierdzy artylerzyści ci wchodzili już prawdopodobnie w skład 114. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, będącego ważnym ogniwem kostrzyńskiego garnizonu. Na wyposażeniu jednostki były 24 ciężkie działa kal. 105 mm oraz ta sama ilość mniejszych dział kal. 37 i 20 mm.[7] Fragmenty rozbitego, 20-milimetrowego działa poczwórnie sprzężonego 2 cm Flakvierling 38 zostały znalezione w 2012 r. w zawalonej piwnicy jednej z kamienic przy ul. Chyżańskiej, znajdującej się zaledwie kilkadziesiąt metrów od odnalezionego grobu.[8] Kolejne znaki tożsamości należały do żołnierzy: 1. Zapasowego Batalionu Budowy Mostów, 137. Górskiego Pułku Strzelców Górskich oraz 464. Zapasowego Batalionu Piechoty. Oddziałów tych także próżno szukać w zestawieniu kostrzyńskiego garnizonu. Oznacza to, że żołnierze ci rozpoczęli służbę wojskową w tych właśnie jednostkach, natomiast w późniejszym czasie trafili do zupełnie innych formacji.

Wiele odnalezionych kości nosiło oznaki zabiegów medycznych, w tym amputacji. Potwierdza to przypuszczenia, iż pochowani żołnierze byli pacjentami zamkowego lazaretu. Większość szczątków nosiło także wyraźne

ślady działania ognia. Część z nich była wręcz zwęglona i znajdowała się w warstwie spalenizny złożonej w dużej mierze ze spalonych książek, gazet i ubrań. Prawdopodobnie ze względów sanitarnych ciała zabitych podpalono bezpośrednio po wrzuceniu do transzei.

Nie można wykluczyć, że do masowej mogiły trafiły także ciała osób cywilnych.

Natomiast nie potwierdziły się przypuszczenia o pochowaniu w transzei żołnierzy radzieckich. Wątpliwości takie pojawiły się w momencie odnalezienia w pobliżu szczątków fragmentów radzieckiego munduru wraz z odznaką gwardyjską oraz medalem „Za odwagę". To ostatnie odznaczenie posiada na swoim rewersie indywidualny numer nadania. Dzięki kwerendzie archiwalnej przeprowadzonej przez członków Stowarzyszenia Witeź, zajmujących się poszukiwaniem i ekshumacją szczątków żołnierzy radzieckich w Polsce, udało się ustalić dane właściciela medalu. Był nim urodzony w 1917 r. Wasilij Wasiliewicz Wasjukow. W Armii Czerwonej służył od 1938 r., a na froncie od 1943 roku. Medal „Za odwagę" nr 335829 otrzymał 11 sierpnia 1943 r. (został mu wręczony 14 sierpnia 1943 r.) jako starszy sierżant, pilot 3. Eskadry 6. Samodzielnego Pułku Lotnictwa

200-litrowa beczka na paliwo z licznymi przestrzelinami.

Granatniki Panzerfaust odnalezione w rowie łącznikowym dochodzącym do piwnicznego okienka zamkowego.

Sanitarnego (16. Armia Powietrzna), za wykonanie 157 operatywnych wylotów bojowych, przetransportowanie z przyfrontowych szpitali 89 ciężko rannych oraz dostarczenie na front 197 litrów krwi. 30 marca 1945 r., już jako młodszy lejtnant, Wasjukow odznaczony został również Orderem Gwiazdy Czerwonej. Kwerenda archiwalna wykazała także, że właściciel medalu nie figuruje w rejestrach poległych podczas II wojny światowej. Wspomniane odznaczenia mogły więc trafić do transzei w sposób przypadkowy, podczas sprzątania starówki po zakończeniu działań wojennych lub stanowiły łup wojenny. Obecnie trwają poszukiwania rodziny Wasilija Wasjukowa w celu ewentualnego przekazania odnalezionego medalu.

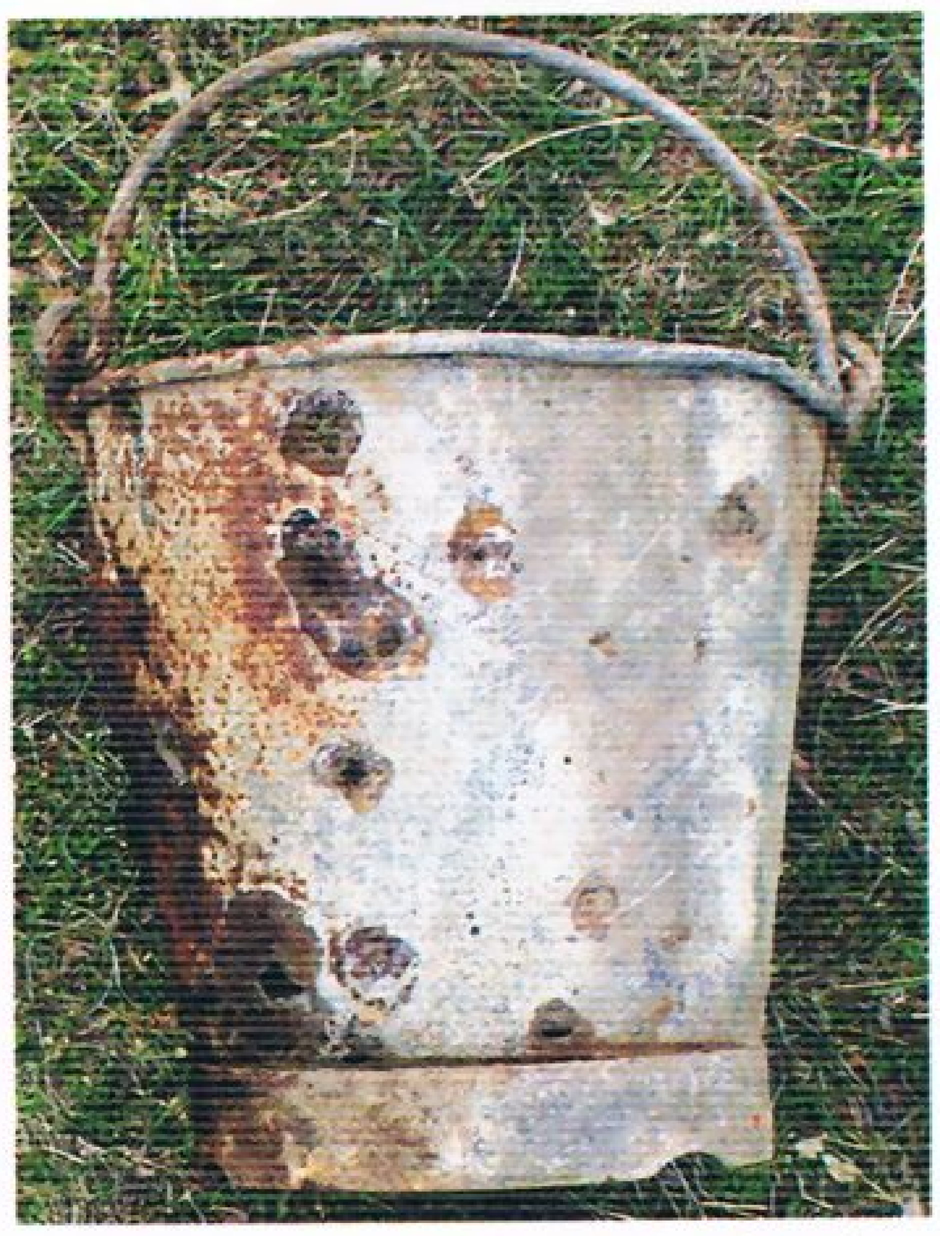

Wiadro z licznymi śladami po kulach.

Drugi etap badań

O odkryciu niemieckiego grobu wojennego na kostrzyńskiej starówce została poinformowana Pracownia Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost z Poznania, która na zlecenie Fundacji Pamięć i Niemieckiego Ludowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi poszukuje i ekshumuje szczątki niemieckich ofiar II wojny światowej. Wszystkie kości zostały odebrane i przewiezione na cmentarz komunalny na Miłostowie w Poznaniu. Podobnie jak znalezione przy nich znaki tożsamości (tzw. nieśmiertelniki), które pozwolą w przyszłości na pełną identyfikację szczątków odnalezionych żołnierzy. Zwrócono się także do Wojewody Lubuskiego oraz Lubuskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków z prośbą o wydanie zezwoleń na przeprowadzenie dalszych prac archeologiczno-ekshumacyjnych.

Do drugiego etapu badań przystąpiono w kwietniu 2015 roku. W trzydniowych pracach brali udział członkowie Pomostu oraz pracownicy kostrzyńskiego muzeum. Zaraz po otworzeniu wykopu, w miejscu zakończonych w lutym badań, ujawnił się fragment ludzkiego szkieletu (grób nr 1). Kilkugodzinna eksploracja archeologiczna pozwoliła na wyciągnięcie pierwszych, interesujących wniosków. Odnalezione szczątki niemieckiego żołnierza zalegały w transzei biegnącej wzdłuż południowej pierzei Placu Turniejowego. Jego ciało spoczywało na wrzuconym wcześniej żelaznym szkielecie łóżka, prawdopodobnie pochodzącego z zamkowego szpitala polowego. Spośród gruzu, którym zasypano transzeję, wystawały liczne elementy wyposażenia żołnierskiego oraz innych przedmiotów użytkowych. Wśród nich była m.in. łuska do niemieckiej, lekkiej haubicy polowej le. F. H. 18 kalibru 105 mm, która zalegała bezpo-

Wszystkie niebezpieczne znaleziska zostały wywiezione przez Patrol Saperski ze Stargardu Szczecińskiego.

średnio na szkielecie mężczyzny. Po jego wydobyciu okazało się, że pod ramą łóżka spoczywały szczątki kolejnego żołnierza (grób nr 2). Jego kości udowe zostały rozerwane tuż powyżej kolan. Bezpośrednią przyczyną ran był prawdopodobnie wybuch pocisku lub granatu. Z takimi obrażeniami żołnierz trafił zapewne do zamkowego lazaretu.

W toku dalszych badań powiększano wykop w kierunku zachodnim. Wkrótce zarejestrowano szczątki kolejnego żołnierza niemieckiego (grób nr 3). Jego ciało złożono pierwotnie na prawym boku wzdłuż biegu transzei. Analogicznie do lutowej ekshumacji, kości mężczyzny nosiły wyraźne ślady ognia. Podobnie jak niektóre zalegające przy szczątkach przedmioty, wśród których były m.in. srebrna obrączka, drewniana szczotka do butów, plastikowa szczoteczka do zębów oraz cynkowy nieprzełamany znak tożsamości. Po oczyszczeniu przedmiotu okazało się, że jednostką macierzystą żołnierza był Policyjny Pułk Artylerii. Bezpośrednio pod jego szczątkami zalegał kolejny, silnie zwęglony szkielet żołnierza (grób nr 4). Przy jego miednicy znajdowała się nadpalona skórzana portmonetka, zawierająca grupę żyletek oraz 5-fenigową monetę niemiecką.

Dalszy fragment transzei nie zawierał już ludzkich szczątków. Niemniej jednak znajdowały się w nim kolejne pozostałości z 1945 roku. Wśród nich potężna, 200-litrowa beczka na paliwo dla Wehrmachtu z 1944 r. posiadająca liczne przestrzeliny po pociskach. W zasypisku zalegało także wiele innych artefaktów z wojennymi „ranami", m.in. wielokrotnie przestrzelone wiadro ze stali nierdzewnej. Można przypuszczać, że zarówno beczka, jak i wiadro, posłużyły „ekipie sprzątającej" teren Starego Miasta ze zwłok w ich utylizacji – spaleniu (był kwiecień, rozkładające się zwłoki mogły spowodować epidemię). Następnie przedmioty te przestrzelono i wrzucono do transzei nieopodal masowego grobu żołnierzy niemieckich.

W ostatniej fazie wykopalisk założono kolejne sondaże. W rowie łącznikowym, wychodzącym z zamkowego okienka piwnicznego, także nie zarejestrowano ludzkich szczątków. Natomiast w profilu wykopu zaobserwowano pozostałości drewnianych konstrukcji szalujących transzeje. W jej zasypisku znajdowały się kolejne niemieckie pozostałości wojenne: cztery granatniki Panzerfaust oraz dwa karabiny Mauser. Wszystkie odnalezione podczas badań niebezpieczne przedmioty zostały zabezpieczone przez kostrzyńską policję, a następnie wywiezione przez Patrol Saperski ze Stargardu Szczecińskiego.

Odnalezione w trakcie obu etapów badań archeologiczno-ekshumacyjnych szczątki żołnierzy niemieckich zostaną pochowane 8 października 2015 r. podczas zbiorowego pogrzebu na Niemieckim Cmentarzu Wojennym w Starym Czarnowie pod Gryfinem. Natomiast wydobyte przedmioty zasiliły zbiory kostrzyńskiego muzeum, a część z nich wkrótce trafi na ekspozycję w kazamatach Bastionu Filip.

Kwietniowe wykopaliska potwierdziły, że kostrzyńska starówka nadal kryje liczne pozostałości po zmaganiach II wojny światowej. Dzięki temu, że cały jej obszar znajduje się pod ochroną konserwatorską, także relikty sprzed 70. lat są traktowane jak zabytki archeologiczne. Ruiny Starego Miasta stały się więc poligonem doświadczalnym dla rodzącej się w bólach na obszarze Polski archeologii współczesności.

Przypisy:

[1] G.-U. Herrmann, „Twierdza Kostrzyn 1945. Oczekiwania a rzeczywistość", 2015, s. 34

[2] Szczątki siedmiu żołnierzy Wehrmachtu zostały odnalezione w 1998 r. podczas badań archeologicznych prowadzonych w ruinach kościoła farnego na Starym Mieście. W zagruzowanej kotłowni przy szczątkach odkryto również jeden nieprzełamany znak tożsamości.

[3] T. Tissier, „Kostrzyn 1945. Przedpiekle Berlina", 2011, s. 204-205

[4] G.-U. Herrmann, *op. cit.*, s. 128

[5] T. Tissier, *op. cit.*, s. 252-253

[6] Szczegółowa relacja z badań: K. Socha: „ Kostrzyn 1945 – siedemdziesiąt lat później...", [w:] „Odkrywca" 4/2015

[7] T. Tissier, *op. cit.* s. 110

[8] M. Frąckowiak, „Arsenał z podziemnej twierdzy", [w:] „Odkrywca" nr 2/2012

Literatura:

1. M. Frąckowiak, „Arsenał z podziemnej twierdzy", [w:] „Odkrywca" nr 2/2012
2. G.-U. Herrmann, „Twierdza Kostrzyn 1945. Oczekiwania a rzeczywistość", 2015
3. K. Socha, „Kostrzyn 1945 – siedemdziesiąt lat później...", [w:] „Odkrywca" nr 4/2015
4. T. Tissier, „Kostrzyn 1945. Przedpiekle Berlina", 2011

Maksymilian Frąckowiak
Archeolog, numizmatyk, absolwent Instytutu Prahistorii UAM w Poznaniu. Członek Stowarzyszenia Pomost i Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost.

Krzysztof Socha
Pracownik Muzeum Twierdzy Kostrzyn, specjalista ds. archeologii.

REKLAMA

Od września 1939 roku mija właśnie 76 lat. Mimo to, ta jedna z najtragiczniejszych kart historii Polski wciąż skrywa wiele zapomnianych wydarzeń. Należą do nich bez wątpienia szczegóły licznych zbrodni, jakie zostały popełnione na Kresach Wschodnich po agresji Związku Radzieckiego. Przez długi czas temat ten skrzętnie omijany, obecnie stanowi jeden z głównych kierunków badań. Badań, w które zaangażowani są również archeolodzy, przywracający pamięć o najczęściej bezimiennych bohaterach i anonimowych ofiarach tego czasu spoczywających w zarośniętych mogiłach Polesia i Wołynia.

Z dr Dominiką Siemińską, rozmawiają Izabela Kwiecińska i Piotr Maszkowski.

Archeologia w służbie pamięci kresowych ofiar

Ostatnim razem widzieliśmy się ponad 10 lat temu podczas badań archeologicznych prowadzonych pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli na terenie obozu jenieckiego w Bornem Sulinowie. Od tego czasu stałaś się jednym z czołowym archeologów zajmującym się ekshumacjami ofiar dwóch totalitaryzmów – niemieckiego i sowieckiego na dawnych Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Tego typu prace prowadzę od 1998 roku, kiedy uczestniczyłam w badaniach cmentarza Orląt we Lwowie, następnie były ekshumacje w Bykowni, miejscu pochówku ofiar stalinowskich, potem na grodzisku we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie spoczywały szczątki ofiar zarówno niemieckich, jak i sowieckich mordów. Pomiędzy była spora ilość pomniejszych akcji.

O tym co się działo się na Kresach po 17 września 1939 roku mówiło się po wojnie wyłącznie w kontekście działań i zbrodni niemieckich. Milczeniem natomiast pomijano, bądź szeptem zaledwie wspominano, o terrorze sowieckim wobec polskich obywateli, stalinowskich represjach, wywózkach i mordach. Po transformacji ustrojowej wszystko się zmieniło, na długie lata temat jednak został, zresztą słusznie zdominowany przez zbrodnię katyńską. Jej badania zmieniły również współczesną archeologię.

Rzeczywiście, badania i ekshumacje prowadzone na szeroką skalę przez m.in. prof. Andrzeja Kolę i Mariana Głoska w Katyniu, Charkowie czy Miednoje od początku lat 90. stanowiły swoisty poligon doświadczalny, pozwalający zaadaptować nie stosowane dotychczas metody archeologiczne przy ekshumacjach mogił masowych. Nigdy wcześniej podobnych prac nie prowadzono, mimo, iż na Zachodzie od dawna rozwijał się odrębnie kierunek archeologii sądowej (Forensic archeology), czy też wojennej. U nas zresztą do dziś część środowiska uważa, że tego typu prace nie są do końca badaniami archeologicznymi. Niemniej, powoli się to zmienia, od jakiegoś czasu rozwijany jest ten kierunek jako odrębny dział – archeologii martyrologii i konfliktów XX wieku, czy też archeologii zbrodni totalitaryzmów. Ich celem jest więc nie tylko ekshumacja, ale również identyfikacja szczątków ofiar oraz określenie okoliczności w jakich straciły życie.

Jest to więc niezwykle ważna działalność, również, a może w szczególności, prowadzona na terenie dawnych Kresów Wschodnich. Gdzie i na jakich zasadach prowadzone są tego typu badania?

Podejmowane są albo po przypadkowym odkryciu szczątków, przeważnie podczas prac budowlanych, albo w ramach realizowanych badań dotyczących konkretnej zbrodni – jak np. w Bykowni. Ekshumacje prowadzone na Wschodzie są działaniami najczęściej wspieranymi i realizowanymi przez Radę Ochrony Miejsc Pamięci Walk i Męczeństwa, która dysponuje też największą ilością informacji dotyczących znajdujących się tam mogił ofiar II wojny światowej. Zgłaszają się do niej rodziny poległych lub zamordowanych poszukujące grobów swych krewnych, świadkowie przekazujący tego typu dane oraz historycy, badacze, czy regionaliści. Sporo też danych wpływa za pośrednictwem polskich placówek dyplomatycznych.

Wyniki prowadzonych prac są przekazywane do Rady, w której archiwum powstaje baza danych. Tego rodzaju działania regulują umowy międzynarodowe z rządami poszczególnych państw „o grobach i miejscach pamięci ofiar wojen i represji". Rzeczpospolita Polska ma je podpisane z Federacją Rosyjską, Republiką Białoruską i Ukrainą. Partnerem naszej Rady OPWiM na Ukrainie jest Komisja Międzyresortowa d.s. Upamiętnienia Ofiar Wojny i Represji Politycznych.

Jak wygląda współpraca ze stroną ukraińską?

My, jako strona polska, nie możemy takich prac prowadzić samodzielnie. Musimy mieć partnera po stronie ukraińskiej, który formalnie bierze całość obowiązujących procedur na siebie – analogicznie jest u nas. Przykładowo, podczas prac we

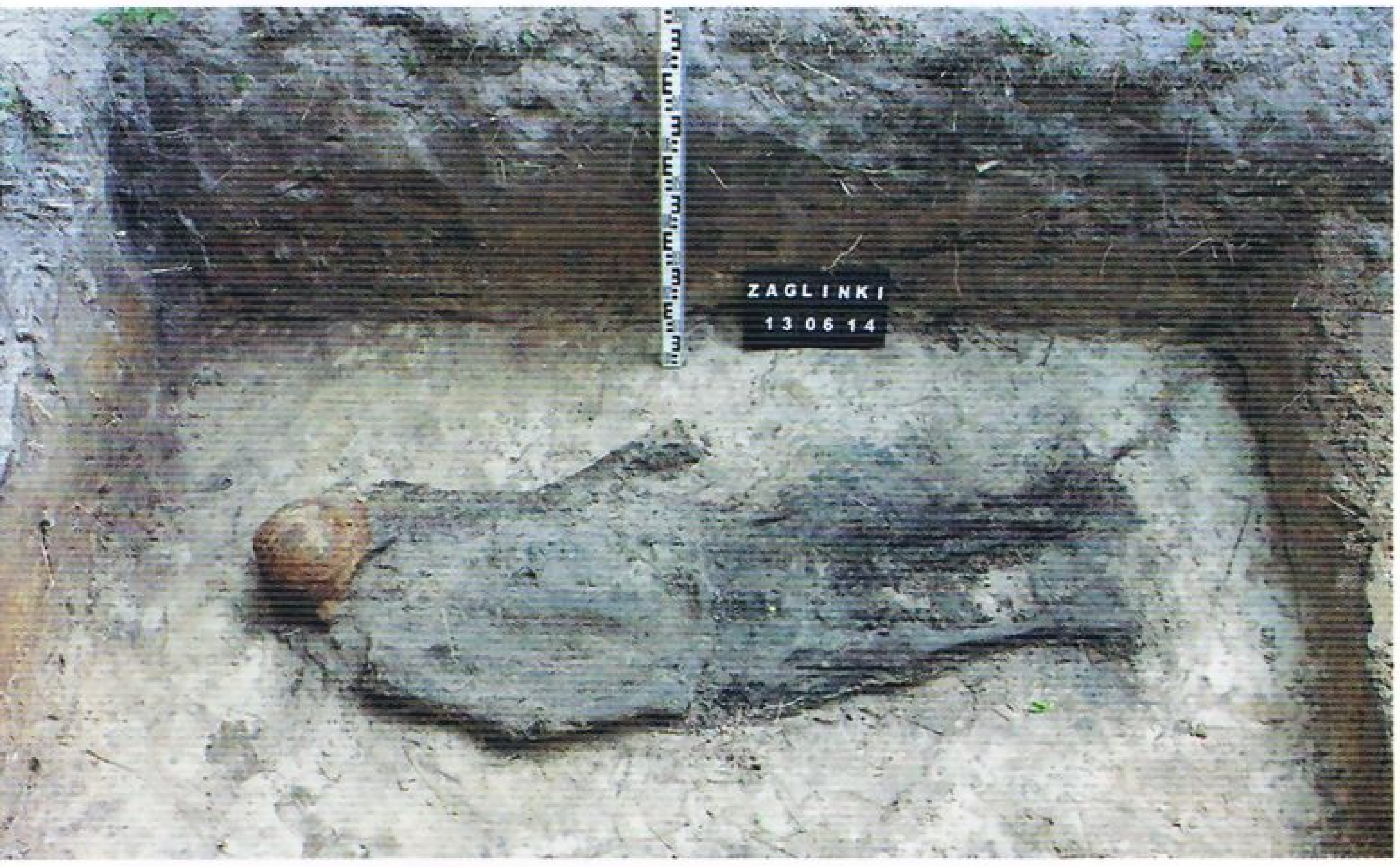

Zaglinki – szczątki żołnierza poległego we wrześniu 1939 r. Fot. A. Kuczyński, Archiwum ROPWiM.

Włodzimierzu Wołyńskim byli to archeolodzy z wołyńskiego oddziału Ukraińskiej Akademii Nauk. Podobnie jak niemiecki Volksbund, chcąc na terenie Polski ekshumować szczątki swoich rodaków, musi działania prowadzić przez swoje przedstawicielstwo w Polsce – Fundację „Pamięć" lub inne podmioty z nią współpracujące.

Podczas ekshumacji współpracujecie więc z archeologami ukraińskimi. Czy są jakieś różnice w podejściu do tego typu działań?

Podstawowa polega na tym, że wcześniej nie traktowali ekshumacji jako badań archeologicznych i dziwili się dlaczego pracujemy tą metodą. Coraz częściej jednak przekonują się, że jest o wiele bardziej skuteczna i coraz chętniej uczą się jej od nas.

Na czym więc polega ta metoda?

Jak już wspomniałam poligonem doświadczalnym były prowadzone w latach 90. XX wieku badania katyńskie. Przez zespoły naukowców, które prowadziły te badania, zostały wypracowane metody badawcze i na tych doświadczeniach opieramy się dzisiaj. Pojawiają się oczywiście nowe metody i urządzenia techniczne, które adaptuje się na potrzeby archeologicznych badań terenowych (chociażby metody geofizyczne w lokalizacji obiektów) i je również wykorzystuje się w archeologii sądowej. Badania prowadzimy zgodnie z metodyką archeologiczną. Szczegółowy dobór stosowanych metod zależy od rodzaju grobu, na jaki natrafiamy – czy jest pojedynczy czy zbiorowy. Jeżeli wiemy, jakiej mogiły szukamy, zawsze odsłaniamy warstwa po warstwie, co pozwala nam wyodrębnić jej zasięg. Następnie ściągamy kolejne warstwy, aż do pojawienia się kości. Szczątki odsłaniamy całkowicie, przesiewamy wydobytą ziemię oraz sprawdzamy wykrywaczami metalu, następnie dokumentujemy wszystkie znaleziska. Czas trwania prac zależy od wielu elementów, może to być nawet kilka miesięcy, jednak głównym czynnikiem jest wielkość mogiły.

Czy Rada OPWiM wymaga stosowania metod archeologicznych?

Rada nie ma określonego standardu prowadzenia prac, takiego jaki jest określony w ustawie o ochronie zabytków dla prowadzenia badań archeologicznych, ale na bazie swoich doświadczeń nie wyobrażają sobie innego sposobu ekshumacji. Przy prowadzeniu prac ekshumacyjnych zawsze wymagają udziału w pracach archeologa oraz antropologa.

Jedną z większych prac, które prowadziłaś były ekshumacje na grodzisku we Włodzimierzu Wołyńskim. Miejscu okrutnie naznaczonym śmiercią i cierpieniem…

Po raz pierwszy zetknęłam się z nim w 2011 roku, gdy pracowałam w Bykowni. W tym samym czasie ukraińscy archeolodzy badając pozostałości zamku Kazimierza Wielkiego, natknęli się na masową mogiłę. Zresztą nie pierwszy raz, bowiem wszystko zaczęło się od remontu tego obiektu w 1997 roku. Wówczas natrafiono na zbiorową mogiłę i po raz pierwszy przeprowadzono ekshumację na terenie grodziska.

Wiemy że było tam carskie więzienie wybudowane dla Powstańców Styczniowych. W okresie międzywojennym nie zmieniło swego przeznaczenia służąc władzom II RP. Co działo się tam po 17.09.1939 r.?

Gdy w 1939 roku wkroczyli Sowieci, wykorzystywało je NKWD, po 1941 Gestapo, a od 1944 do 1957 ponownie służył stalinowskiemu aparatowi represji. Potem obiekt został zaadaptowany na szpital gruźliczy, co w ZSRR było częstą, dość wyrafinowaną praktyką. Miała na celu zatarcie śladów dawnego przeznaczenia obiektu i jednocześnie, ze względu na zakaźny profil placówki, odstraszenie potencjalnych tropicieli mrocznej przeszłości tego miejsca. Funkcję tę obiekt pełnił do połowy lat 90. Wówczas odkryto tam pierwszą z mogił masowych ze szczątkami 97 osób. Znalezione w grobie łuski kal. 7,62 mm, oraz otwory wlotowe po pociskach w potylicznej części czaszek sugerowały, że sprawcą mordu było NKWD. Ofiarami byli Polacy, zarówno wojskowi, jak i cywile, co udało się stwierdzić po odnalezionych wówczas przedmiotach. Od 2011 do 2014 roku podczas zleconych przez Radę OPWiM ekshumacjach odkryliśmy tam kilka kolejnych mogił masowych. W sumie ponad 2700 ofiar zarówno sowieckich, jak i niemieckich mordów z lat II wojny światowej – Polaków, Ukraińców, Żydów, wszystkich, którzy byli wrogami narodu dla obu okupantów. Wśród ofiar były zarówno osoby cywilne, w tym mężczyźni, kobiety i dzieci, ale też urzędnicy państwowi, żołnierze czy przedstawiciele innych służb mundurowych.

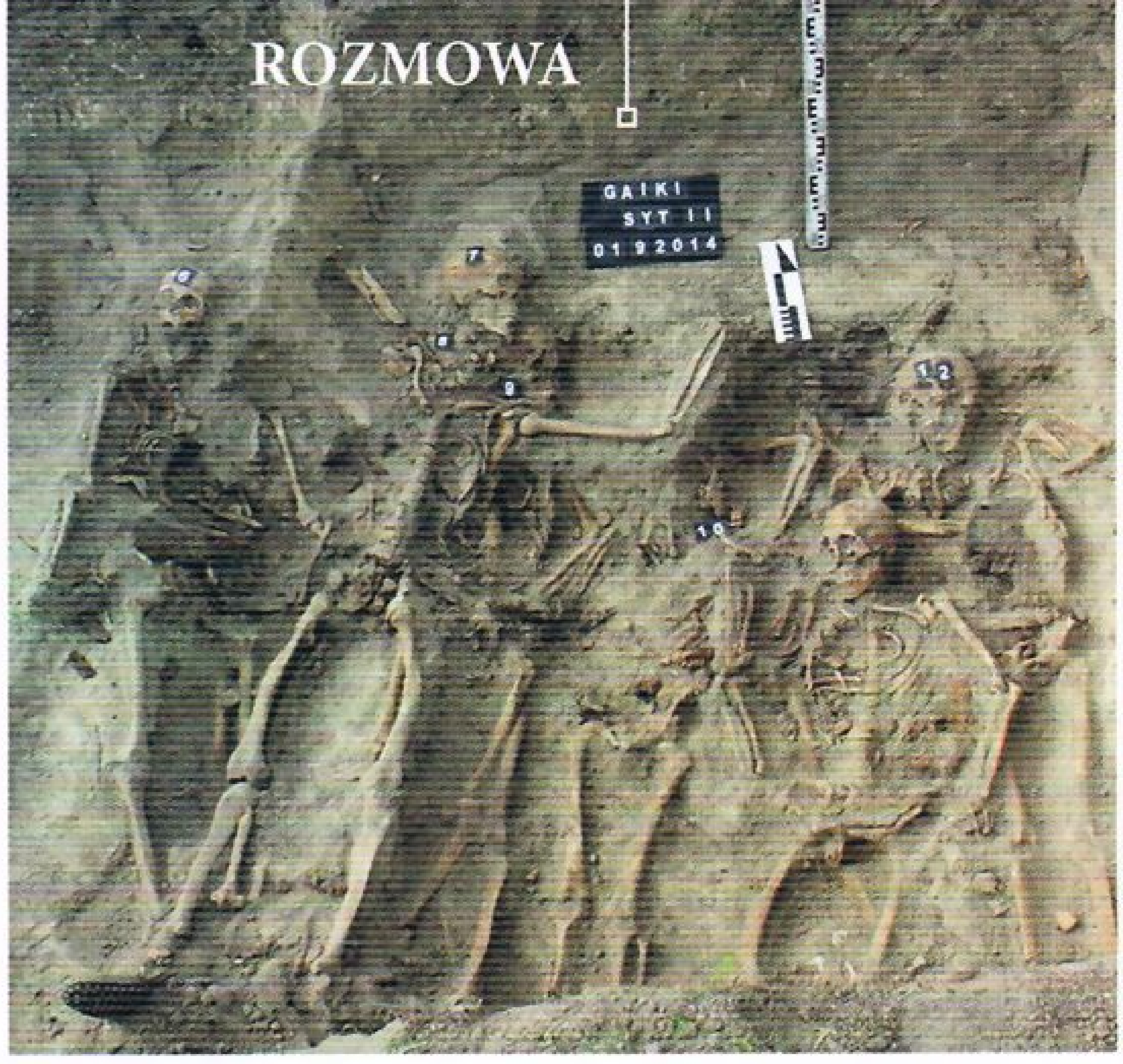

Gajki Sitenskie (k. m. Brody) odsłonięta mogiła polskich żołnierzy poległych we wrześniu 1939 r. Fot. A. Kuczyński, Archiwum ROPWiM.

Mielniki – las – szczątki żołnierzy zamordowanych we wrześniu 1939 r. Fot. A. Kuczyński, Archiwum ROPWiM.

Przerażające miejsca zbrodni stalinowskich i hitlerowskich. Pod kątem emocjonalnym praca tam musiała być ciężkim wyzwaniem…

Fakt, to trudne emocje, ale jest konkretna praca do wykonania, więc nie można dać się im ponieść. Wszyscy, którzy biorą w nich udział, wiedzą jakie prace będą wykonywać i są dokładnie informowani o ich specyfice. Nie zdarzyło się, aby ktoś w trakcie zrezygnował. Ciężko jest zwłaszcza wtedy, gdy znajdujemy szczątki matek z dziećmi… często jedne na drugich… mówiące o tym, jak matka zasłania swoje dziecko przed śmiercią… Dla mnie również opisanie mechanizmu tych zbrodni jest zawsze najtrudniejsze,

przelać ten koszmar na papier, wcześniej przeczytać o tym w opracowaniach i odtworzyć na podstawie zebranych przez nas danych te tragedie. Trzeba się uzbroić w pancerz. Przy ekshumacjach pracuję od 1998 roku. Pamiętam każdą z tych historii, nie ma tak, że się ich nie pamięta. Czy to obóz jeniecki, obóz zagłady, masowa mogiła cywili, czy poległych w walce żołnierzy. Wszystkie ofiary i polegli pozostają w pamięci na zawsze.

Ekshumacja mogiły żołnierzy poległych w okolicach m. Szack, we wrześniu 1939 r. Fot. A. Kuczyński, Archiwum ROPWiM.

Odrębnym tematem są również prowadzone przez Ciebie na zlecenie Rady poszukiwania pochówków i ekshumacje żołnierzy poległych na terenie Kresów we wrześniu 1939 roku.

Jeżeli chodzi o Ukrainę, a w szczególności Wołyń, zainicjowanie badań zawdzięczamy m.in., nieżyjącemu już niestety, Anatolowi Sulikowi. Był jednym z najbardziej aktywnych opiekunów polskich mogił na Wołyniu. Zgromadził również obszerną wiedzę na temat licznych za naszą wschodnią granicą miejsc pochówków z września 1939 roku.

Czy efektem jego działalności były konkretne prace?

Dzięki współpracy z nim i działaniom historyka lubelskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej dr. Leona Popka, powstał projekt zorganizowania przez ROPWiM ekspedycji w poszukiwaniu poległych w 1939 roku, podczas bitwy pod Szackiem, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza i Wojska Polskiego. W maju i czerwcu 2014 r. udało się ją zrealizować, zyskując jednocześnie wsparcie wolontariackie m.in. Straży Granicznej, Fundacji Niepodległości i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

To nieco zapomniany epizod września 1939 roku. Co udało się odkryć, i jakie były efekty tej ekspedycji?

Według danych historycznych podczas prowadzonych w tym rejonie walk z Armią Czerwoną zginęło lub zostało rannych ok. 500 żołnierzy. Natomiast 29 września 1939 Sowieci rozstrzelali w pobliskich Mielnikach 18 wziętych do niewoli polskich oficerów. Spoczywają oni na miejscowym cmentarzu, lecz w świetle obecnej wiedzy zamordowanych wówczas żołnierzy było znacznie więcej. Na podstawie wcześniej pozyskanych informacji oraz prowadzonych w trakcie wyprawy wywiadów z okolicznymi mieszkańcami, udało się odnaleźć 5 grobów, z których ekshumowaliśmy szczątki 8 osób. Niestety nie byliśmy w stanie ich zidentyfikować, a odnalezione przy nich przedmioty pozwoliły nam jedynie ustalić, że byli to żołnierze KOP, Wojska Polskiego i jeden policjant. Co ciekawe, 5 zginęło w walce, natomiast 3 straciło życie w dość osobliwych okolicznościach, o czym słyszeliśmy wcześniej od p. Sulika. W lesie nieopodal Melnik natrafiliśmy na ich szczątki, które następnie ekshumowaliśmy. Nie nosiły żadnych śladów postrzałów, natomiast antropolog po wstępnym badaniu stwierdził, że jeden z nich otrzymał cios w głowę ostrzem siekiery, drugi obuchem, trzeci natomiast miał odrąbaną rękę.

To dość makabryczna zbrodnia. Jak do niej doszło?

Dzień później szukaliśmy kolejnych mogił. Naszym pracom przyglądało się dwóch okolicznych mieszkańców. Zaczęliśmy z nimi rozmawiać. Jeden ze współpracujących z nami żołnierzy Straży Granicznej znał świetnie ukraiński i usłyszał od nich historię, którą częściowo już znaliśmy. Opowiadali, że był taki jeden we wsi, który miał pomóc po bitwie kilku polskim żołnierzom przedostać się przez bagna na drugą stronę lasu. Poszedł z nimi, a gdy znaleźli się w jego głębi, znienacka miał ich zaatakować siekierą. Okazało się, że historia ta była znana w okolicy, stąd przetrwała do dzisiejszych czasów. Mężczyźni nie wiedząc, że znaleźliśmy szczątki, przekazali dokładnie ten sam przebieg tragicznego zdarzenia i okoliczności śmierci żołnierzy, jakie odczytał z kości nasz antropolog.

Jak identyfikujecie szczątki? Wygląda na to, że jest to jedna z najtrudniejszych kwestii.

Tak, bowiem jeżeli nie odnajdujemy przedmiotów bezpośrednio to umożliwiających, jak nieśmiertelniki lub inne elementy wyposażenia; które by na to pozwoliły, jesteśmy praktycznie bezradni. Niestety, najczęściej tak bywa, gdyż w mogiłach żołnierzy wrześniowych przeważnie brakuje znaków tożsamości, których podobno się pozbywali, gdyż miały przynosić pecha. Zabierali je zapewne też oprawcy, by zatrzeć ślady swych zbrodni.

Jak wygląda kwestia wykorzystania do tego celów badań DNA

Pobranie ze szczątków próbek DNA, ma wtedy sens, gdy dysponuje się materiałem porównawczym. O taki jednak, gdy mamy do czynienia z ofiarami bezimiennymi, jest trudno. W przypadku wspomnianej ekshumacji pod Szackiem, Fundacja Niepodległości sfinansowała pobranie z ekshumowanych szczątków DNA. Wsparcie to umożliwiło określenie profili genetycznych oraz zmagazynowanie tego materiału w bazie Katedry Medycyny Sądowej UMK w Toruniu, Collegium Medicum w Bydgoszczy. To jeden z nielicznych wyjątków, gdyż jest to niezwykle kosztowne przedsięwzięcie, praktycznie niemożliwe do zrealizowania w przypadku szczątków z mogił masowych. Niestety, stworzenie bazy tego typu to kwestia bardzo odległej przyszłości.

Czy przy pracach archeologicznych współpracujecie z poszukiwaczami?

Zdarza się, że podczas różnych badań na Wschodzie odwiedza nas red. Sikorski z programu „Było nie minęło", który wspomaga nas sprzętem geofizycznym. W ramach wolontariatu również korzystamy ze wsparcia eksploratorów. W tym roku braliśmy udział w poszukiwaniach organizowanych przez Stowarzyszenie „Wizna 1939", Fundację „Honor, Ojczyzna" im. mjr. Władysława Raginisa, a także Stowarzyszenie Weteranów Stra-

ży Granicznej. Celem tego projektu jest odnalezienie grobów żołnierzy KOP, którzy polegli podczas walk z Sowietami we wrześniu 1939 roku w Tynnem k. Sarn – w obronie granicy polskiej.

Miejscowość ta wraz z umocnieniami Rejonu Umocnionego Sarny obsadzonego przez batalion KOP, była jednym z nielicznych obszarów, gdzie po 17 września oddziały polskie stawiły zacięty opór czerwonoarmistom. Czy udało się odnaleźć ślady walk i ich ofiary?

Zginęło wówczas wielu naszych żołnierzy, jednak podczas krótkiej wyprawy rekonesansowej nie udało się natrafić na ich szczątki. Odnaleźliśmy natomiast sporo elementów wyposażenia wojskowego. Sprawa ta wymaga poświęcenia czasu i będziemy ją kontynuować. Obecnie uzupełniamy systematycznie wiedzę na ten temat, by ruszyć tam ponownie.

Konsulat w Łucku, który do tego typu działań jest bardzo pozytywnie nastawiony, przekazał nam jakiś czas temu informacje, że w miejscowości Borowicze mogą się znajdować mogiły KOP-istów wycofujących się z Sarn do Szacka, żeby przedostać się na drugą stronę Bugu. Po drodze doszło do bitwy z Rosjanami, w trakcie której miało zginąć ok. 100 z nich. Do konsula zgłosił się człowiek, twierdząc, że wie gdzie są pochowani. Poproszono nas więc o sprawdzenie. Spotkaliśmy się z nim, wskazał nam miejsce, które po załatwieniu pozwoleń przez naszych ukraińskich partnerów sprawdziliśmy. Niestety bez rezultatu. Jednak mogiły tych 100 żołnierzy muszą przecież gdzieś być. Tematu więc w żadnym wypadku nie odpuścimy.

Reagujecie więc dość elastycznie na wszelkie zgłoszenia. Czy przynoszą konkretne wyniki?

Konsulat Polski w Łucku otrzymał kilka lat temu informacje o dwóch, ledwo widocznych polskich mogiłach w okolicach miejscowości Brody przy linii kolejowej Równe-Lwów, o których lokalnie pamięć przetrwała wśród najstarszych mieszkańców. Sprawa została przekazana do Rady, która zwróciła się do nas, gdyż w tym czasie prowadziliśmy prace we Włodzimierzu. Przyjechaliśmy na miejsce, zrobiliśmy odwierty i zaczęliśmy odsłaniać. Przy szczątkach znaleźliśmy nieśmiertelniki, ale jeszcze niewybite, bez żadnych danych, więc musieli być to świeżo zmobilizowani żołnierze. Ostatecznie udało się nam ekshumować szczątki 12 żołnierzy, którzy zginęli jadąc we wrześniu 1939 r. zbombardowanym w tym miejscu pociągiem. Niestety nie udało się nam dotrzeć do szczegółów tej sprawy. Zachowały się natomiast notatki jednego z dowódców dotyczące podobnego zdarzenia, który wysłał swojego adiutanta, by po otrzymaniu informacji o niemieckim ataku bombowym na skład kolejowy zorientował się na miejscu w sytuacji i pochował żołnierzy. W naszym przypadku sytuacja mogła mieć podobny przebieg, natomiast jak dotąd nie udało się ustalić personaliów owych żołnierzy.

Czy prowadziliście prace również na terenie Białorusi?

W 2008 roku, i jak do tej pory była to jedyna tego typu ekspedycja, w której uczestniczyłam. Co ciekawe, w odróżnieniu od Ukrainy, współpracowaliśmy tam nie tylko z archeologami, lecz z batalionem białoruskiej armii wyspecjalizowanym w tego typu pracach – dokładnie w ekshumacjach szczątków z okresu wojen. Na zlecenie ROPWiM wspólnie prowadziliśmy poszukiwania w miejscowości Kobryń. Głównie mogił żołnierzy poległych w tym rejonie podczas walk na Polesiu w 1939 roku, zarówno z Niemcami, jak i wkraczającymi po 17 września Sowietami. Na miejscowym cmentarzu udało się nam zlokalizować masowy grób 13 z nich. Na podstawie odnalezionych przedmiotów osobistych zidentyfikowaliśmy trzech z nich.

Posiadaliśmy również informacje, że w pobliskim Podziemieniu mieli w tym samym czasie zostać zamordowani cywile przez prosowieckie bandy. Po odnalezieniu mogiły ekshumowaliśmy szczątki 42 osób – nie tylko cywili, ale również wojskowych i policjantów.

Dodatkowo, podczas jednej z wizji lokalnych, miejscowy nauczyciel poinformował nas o kolejnej, znajdującej się w pobliżu mogile. Poszliśmy z nim do lasu, rozglądnął się wokoło i po chwili wskazał na jedną z brzóz. I faktycznie spoczywały tam szczątki kolejnych dwóch żołnierzy – oficerów, niestety bez identyfikatorów.

W trakcie tych samych prac odnaleźliście również szczątki Stanisława Sołłohuba-Dowoyno – uznawanego za pierwszego generała poległego podczas II wojny światowej.

Był to generał w stanie spoczynku, który po przejściu na emeryturę zamieszkał w majątku Ziołowo należącym do swej małżonki Olgi Anatoliewnej z domu księżniczki Dołgorukiej. Według świadka został zastrzelony tam przez sowieckiego oficera 22 września 1939 roku i pochowany w pobliżu domu. Po otrzymaniu informacji z Rady rozpoczęliśmy poszukiwania jego mogiły. Jak zawsze przy tego typu okazjach zaczęli się schodzić miejscowi. W końcu przyszła najstarsza starowinka we wsi, wskazując konkretne miejsce. – To tu rzekła – i trafiła. Było dokładnie tak jak w opisie, którym dysponowaliśmy. Pochowany był w spodniach i koszuli.

Odnalezione podczas ekspedycji szczątki, w tym również generała, zostały pochowane na specjalnie wytyczonej kwaterze przy cmentarzu katolickim w Kobryniu.

Dziękujemy bardzo za rozmowę.

Kobryń, szczątki 13 żołnierzy poległych w obronie miasta 18.09.1939 roku. Fot. O. Popkiewicz, Archiwum ROPWiM.

Gdy wybuchła II wojna światowa położenie mniejszości niemieckiej, licznie zamieszkującej ziemie polskie, uległo drastycznemu pogorszeniu. Na Pomorzu i w Wielkopolsce władze polskie obawiając się sabotażu i dywersji ze strony ludności niemieckiej, przeprowadziły masowe aresztowania. Dotknęły one gł. niemieckiej inteligencji. Niemców wysyłano na wschód, w ramach tzw. „elaboratu unieruchomienia". Był to plan internowania Niemców uznanych za niebezpiecznych dla Rzeczypospolitej Polskiej. W 1937 r. Sejm zezwolił na tworzenie list osób, które na wypadek wojny powinny zostać internowane. Plan wszedł w życie w nocy z 31.08 na 1.09.1939 r. Na początku września 1939 r. władze polskie internowały ok. 15 tys. obywateli polskich narodowości niemieckiej, z tego ok. 10 tys. na Pomorzu i w Wielkopolsce. „Elaborat" zakładał przewiezienie internowanych Niemców do Berezy koleją, jednak już 1 września okazało się to niemożliwe. Niemieckie lotnictwo zbombardowało bowiem i uszkodziło najważniejsze połączenia kolejowe. A torami, które udało się naprawić, transportowano w pierwszej kolejności Wojsko Polskie, a potem – majątek narodowy. Tym samym internowani ruszyli kolumnami w wyczerpujących marszach...

Hans Freiherr von Rosen, autor książki „Die Verschleppung der Deutschen aus Posen und Pommerellen in September 1939" pisze, że wśród internowanych były zarówno dzieci, starcy, kobiety, matki z niemowlętami, ciężarne, jak i inwalidzi bez nóg. Także duchowni. W relacjach uczestników marszów można wyczytać, że traktowano ich nieludzko: odmawiano im wody, zmuszano do marszów po 50-60 km bez wytchnienia – dzień i noc. Wielu ludzi nie mając siły, padało z wycieńczenia i mdlało, zwłaszcza ludzie starsi i kobiety. Autor twierdzi wprost: internowanych zabijała polska policja i polscy żołnierze, którzy „odreagowywali w ten sposób swoje zrozumiałe rozczarowanie nieoczekiwanym przebiegiem wojny". Podczas marszu niemieccy cywile narażeni na ataki Luftwaffe, chaos panujący w kraju, brak żywności i agresję Polaków, rzeczywiście ginęli. Polscy strażnicy eskortujący Niemców, traktowali ich brutalnie, a ludność polska dopuszczała się na nich aktów agresji. Ktoś powie, że sytuacja taka nie powinna dziwić, trwała brutalna wojna, kraj rozpadał się, panował chaos i bezprawie. Ale czy to tłumaczy nieludzkie zachowanie?
Niemcy nazywali marsze „marszami śmierci".

Dziś niektórzy polscy historycy nie negują, że we wrześniu 1939 r. internowani Niemcy zginęli „w niewyjaśnionych okolicznościach"... (D. Matelski, „Mniejszość niemiecka w Wielkopolsce 1991-1939"). W polskiej historiografii ciągle jednak żywe jest przekonanie, że internowani ginęli przede wszystkim – jak polscy uciekinierzy – na drogach, pod bombami Luftwaffe. Polskie władze nie zakładały likwidacji fizycznej mniejszości niemieckiej. Takich planów nie było.
Śmierć Niemców pędzonych w „marszach śmierci" była Hitlerowi na rękę. Mogła posłużyć jako usprawiedliwienie dla przeprowadzenia w Polsce czystek etnicznych zaplanowanych na przyszłość. Świat musiał uwierzyć, że to Polacy pierwsi mordowali Niemców, a ci tylko odpowiadali na zbrodnie.

NA PODSTAWIE: J. BOHLER, „NAJAZD 1939. NIEMCY PRZECIW POLSCE", ZNAK, KRAKÓW 2011; H. F. VON ROSEN „DIE VERSCHLEPPUNG DER DEUTSCHEN AUS POSEN UND POMMERELLEN IN SEPTEMBER 1939".

Aresztowani dla własnego bezpieczeństwa...

LESZEK ADAMCZEWSKI

Lada dzień minie 50 lat od wysłania listu biskupów polskich przebywających w Rzymie na ostatniej sesji II Soboru Watykańskiego do biskupów niemieckich. Pół wieku temu polscy hierarchowie, m.in. ksiądz kardynał Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła, nie tylko przebaczali Niemcom, ale także prosili o przebaczenie. Wówczas, 20 lat od zakończenia II wojny światowej, polska opinia publiczna w swej większości nie była przygotowana na przebaczanie, nawet w sensie religijnym, i nie poczuwała się do niczego, o co można byłoby Niemców prosić o przebaczenie. Do tego, część z nas, nie poczuwa się jeszcze dzisiaj...

Wielkopolskie Oborniki z końcem lata 1939 r. wróciły do nazwy z czasów zaborów. Zmiana nie była wielka. Z nazwy zniknęła tylko ostatnia samogłoska. Na zachowanych fotografiach widać Rynek w miasteczku Obornik. Na ustawionych wokół Markplatzu masztach powiewają czerwone flagi z czarną swastyką w białym kole. Takie same hitlerowskie flagi przykrywają stojące na Rynku trumny. Na zdjęciu zamieszczonym w „Ostdeutscher Beobachter" z 15.07.1940 r., można je policzyć. Jest ich dokładnie 110.

W wydanej w 1990 r. pod red. prof. Czesława Łuczaka książce „Dzieje Obornik" czytamy o zorganizowanej w tym miasteczku w niedzielę 14 lipca 1940 r. wielkiej manifestacji antypolskiej: *„Na Rynku złożono 110 trumien nakrytych flagami hitlerowskimi. Trumny te miały symbolizować volksdeutschów, którzy w czasie deportowania z Obornik 3 września 1939 roku zostali rzekomo zamordowani przez Polaków"*. Pominmy na razie słowo „rzekomo" i zastanówmy się nad tym, czy widoczne na wspomnianych zdjęciach trumny były puste. Jeśli – jak twierdziły władze Rzeczypospolitej na wychodźstwie, później władze Polski Ludowej, a obecnie twierdzi wielu polityków i historyków – Polacy na początku wojny

Jahrgang 2 / Nummer 195.

Einzelpreis 15 Rpf

Ostdeutscher Beobachter

Organ der Nationalsozialistischen Deutschen Arbeiterpartei

Verkündungsblatt des Reichsstatthalters im Reichsgau Wartheland und seiner Behörden

Posen, Montag, 15. Juli 1940

110 ermordete Volksdeutsche beigesetzt

Eindrucksvolle Trauerfeier für die Toten des Oborniker Zuges

Der Marsch des Grauens

Luftkämpfe über dem Kanal

Starke englische Übermacht verlustreich geschlagen

Deutsche Ueberlegenheit

Regierung Pétain will nach Paris

Pierwsza strona dziennika „Ostdeutscher Beobachter" z 15 VII 1940 r. poświęcona była uroczystościom pogrzebowym ofiar marszu obornickiego.

nie dokonywali aktów agresji na swych współobywatelach, czyli Niemcach mieszkających w międzywojennej Polsce, to trumny musiały być puste, a zorganizowana na Rynku w Obornikach manifestacja, była antypolską demonstracją propagandową.

Sięgnijmy jeszcze raz po „Dzieje Obornik", które mają tę wadę, że zostały napisane w końcówce PRL ze wszystkimi tego konsekwencjami, głównie cenzuralnymi, chociaż książka ta ukazała się już bez numeru cenzora. *„Po wybuchu wojny* – czytamy – *władze powiatu obornickiego internowały najbardziej agresywnych Niemców, by zabezpieczyć się przed ewentualnym sabotażem, dywersją czy nawet zbrojnymi z ich strony wystąpieniami. Internowanych deportowano do Wrześni, a następnie transportowano w głąb kraju. Eskortę internowanych stanowił oddział Przysposobienia Wojskowego z Obornik. W czasie podróży część internowanych zginęła w wyniku bombardowań niemieckiego lotnictwa oraz z innych nieznanych przyczyn"*. Inne nieznane przyczyny… a więc jednak trumny nie były puste. Potwierdza to także inne zdjęcie zamieszczone na pierwszej kolumnie „Ostdeutscher Beobachter" z 15.07.1940 roku. To fotografia z uroczystego pogrzebu na cmentarzu w miejscowości Goslin (to podpoznańska Murowana Goślina), gdzie w masowej mogile leży około 20 trumien nakrytych hitlerowskimi flagami, a delegacja władz Kraju Warty składa wieniec. W „Dziejach Obornik" czytamy również, że w manifestacji wziął udział namiestnik Rzeszy i gauleiter NSDAP Arthur Greiser, chociaż „Ostdeutscher Beobachter" nie wymienia go wśród gości *„wzruszającej ceremonii pogrzebowej ofiar obornickiego marszu"*. W jego imieniu kondolencje rodzinom ofiar złożył szef samorządu Kraju Warty, Gauhauptmann Robert Schulz. Okolicznościowe przemówienie wygłosił landrat (starosta) obornicki i jednocześnie miejscowy kreisleiter NSDAP, dr Schnitzer. Przypomniał on wydarzenia roku 1918, kiedy to – jak mówił – Polacy terrorem zmusili mieszkańców tych niemieckich ziem do ich opuszczenia. A tych, którzy zdecydowali się tu pozostać, pod polskim panowaniem czekała gehenna. Szczyt terroru przypadł na lato 1939 roku. *„Niestety* – powiedział Schnitzer, zwracając się do zabitych – *nie dane wam było doczekać wyzwolenia. Dzisiaj jesteśmy pogrążeni w wielkiej żałobie. Nasi umiłowani zmarli, nie zapomnimy was. Przeżyliście tu ponad 20 ciężkich lat i za to wam dziękujemy"*. Przy dźwiękach werbli kreisleiter odczytał nazwiska 133 ofiar obornickiego marszu. Rozległa się salwa honorowa, a trzykrotnym okrzykiem „Sieg Heil" pozdrowiono Führera…

Wyprawa pastora Wilhelma Brauera

Prawie półtora miesiąca przed manifestacją na obornickim Rynku śladem internowanych we wrześniu 1939 r. mieszkańców tego miasta i okolic pojechał pastor Wilhelm Brauer, od 1933 r. zwierzchnik parafii ewangelickiej w Obornikach. Brauer był nie tylko duchownym cieszącym się autorytetem i szacunkiem parafian, ale także historykiem-amatorem interesującym się dziejami Obornik i losami jego mieszkańców, przede wszystkim pochodzenia niemieckiego. Plon swych wieloletnich ustaleń zawarł w książce „Oborniki, królewskie miasto nad Wartą". Wyjazd Brauera do wschodnich powiatów Kraju Warty i na pogranicze Generalnego Gubernatorstwa aż do Warszawy, zyskał aprobatę administracji Arthura Greisera. Wyposażono go w stosowne dokumenty upoważniające do przekroczenia granicy Rzeszy, samochód, oraz dodano do pomocy i eskorty kilka osób, w tym żołnierzy Wehrmachtu. Hitlerowskie władze Warthegau nie mogły lepiej trafić. Polskie zbrodnie na obornickich Niemcach na początku czerwca 1940 r. pojechał dokumentować nie jakiś „nawiedzony" propagandzista Goebbelsa, ale człowiek będący poza wszelkimi podejrzeniami, jeśli chodzi o uczciwość i prawość. Autorytet pastora gwarantował bowiem, że nikt nie będzie kwestionował dokonanych przez niego ustaleń. Wprawdzie po wojnie sam przyznał, że na początku rządów Hitlera był umiarkowanym zwolennikiem narodowego socjalizmu, ale szybko się z niego wyleczył. Posiłkując się informacjami uczestników pierwszego marszu internowanych, którzy go przeżyli, Brauer natrafił na liczne mogiły. Pod warstwą ziemi leżeli ludzie, których pastor dobrze znał. Byli wszak jego parafianami… Jednocześnie fo-

tografował nie tylko tragiczne ślady po marszu, ale także okolice, przez które w czerwcu 1940 r. przejeżdżał. Dzięki niemu powstało wiele kolorowych zdjęć Kutna, Sochaczewa i innych miejscowości. Także Warszawy, gdzie wysłannicy z Obornik zakończyli swoją służbową podróż.

Jego syn, również pastor, Helmut Brauer z Lubeki, te unikatowe fotografie na początku XXI w., podczas kilku wizyt w Polsce, przekazał władzom zainteresowanych miast. Z tej okazji w bibliotekach i domach kultury odbyły się spotkania mieszkańców z gościem z Niemiec, a w Kutnie we wrześniu 2014 r. w miejscowym Muzeum Regionalnym zorganizowano wystawę „Wojenne fotografie pastora Wilhelma Brauera". Wśród poruszonych przez jego syna tematów, nie mogło zabraknąć marszu obornickiego. Wtedy to ludzie urodzeni po 1945 r. po raz pierwszy dowiedzieli się, że we wrześniu 1939 r. byliśmy nie tylko ofiarami Niemców…

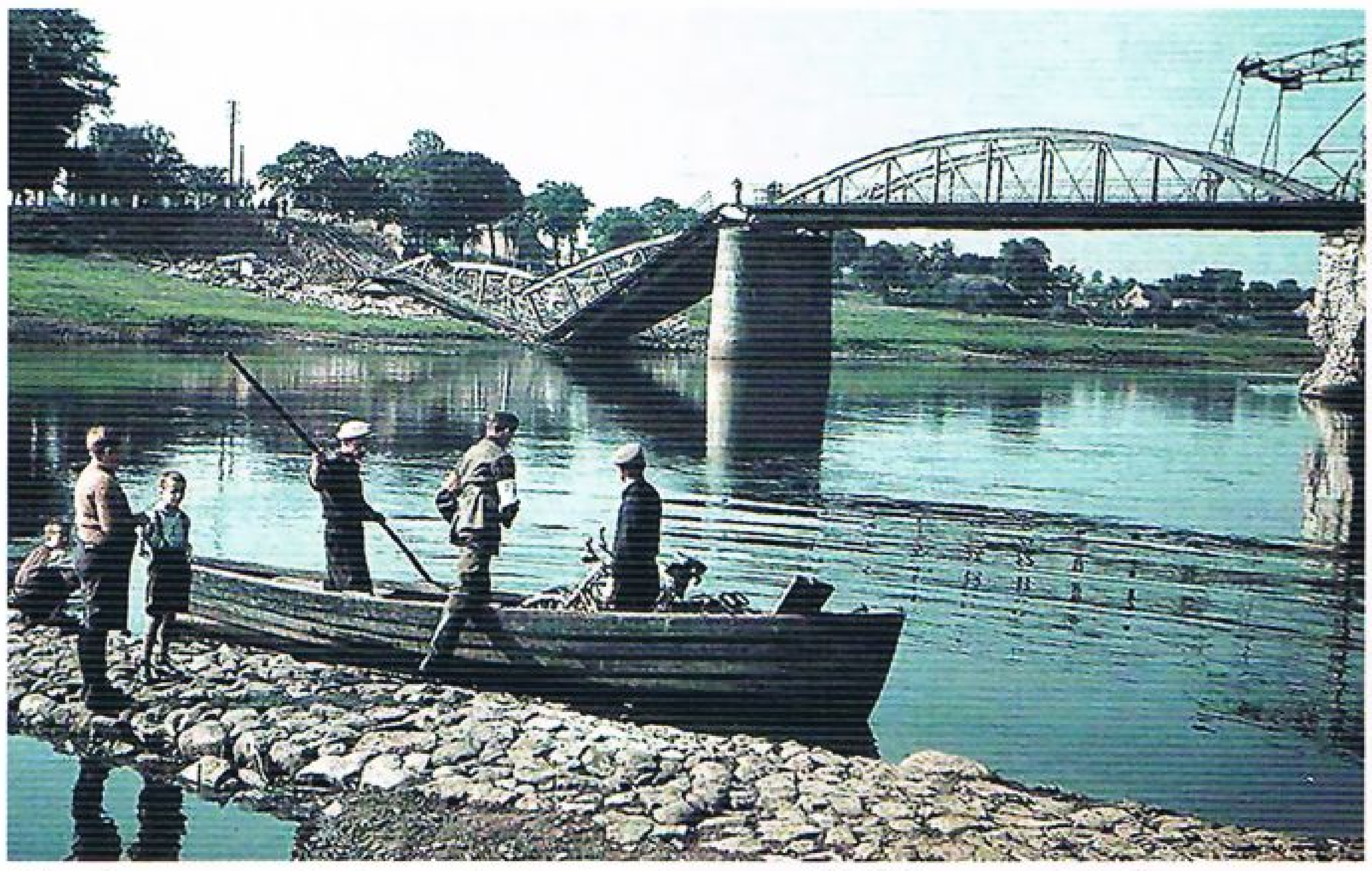

W pierwszych tygodniach okupacji hitlerowskiej straszyły wysadzone w powietrze przez Wojsko Polskie obornickie mosty.

Przygotowania do pogrzebu ofiar marszu obornickiego w obiektywie pastora Wilhelma Brauera.

Do Berezy Kartuskiej

Leżące nad Wartą i ujściem doń Wełny Oborniki, w przedwojennych planach dowództwa polskiego nie odgrywały jakiejś ważnej roli. Także przebiegająca przez miasteczko linia kolejowa z Poznania w kierunku Rogoźna i Chodzieży miała lokalne znaczenie, podobnie jak kończąca się na dworcu w Obornikach jednotorowa linia z Wronek przez Obrzycko. Strategiczne znaczenie miały jednak obornickie mosty przez Wartę i Wełnę. Ich zniszczenie – rozumowano w polskich sztabach wojskowych – opóźni marsz Wehrmachtu w głąb Polski. Pod warunkiem, że Oborniki znajdą się na trasie tegoż marszu. Mosty w końcu wyleciały w powietrze, co nie przeszkodziło Niemcom w zajęciu zachodniej połowy Polski. Zanim miasteczkiem wstrząsnęła seria wybuchów, a przęsła mostów zwaliły się do wody, z Obornik pod eskortą miejscowego oddziału Przysposobienia Wojskowego wyruszyła kolumna internowanych mieszkańców narodowości niemieckiej.

Do zatrzymania wszystkich, uznanych za potencjalnie wrogich wobec państwa przygotowywano się od dawna. Dotyczyło to nie tylko Niemców, ale także mniejszości ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej oraz komunistów. Pod koniec 1936 r. w rejestrach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RP znajdowały się 18 964 osoby, które – zdaniem władz – mogły zagrażać bezpieczeństwu państwa. Z tej liczby najwięcej, bo aż 8334 osoby planowano internować w specjalnie urządzonych obozach, a aresztować i zamknąć w więzieniach zamierzano 1163 osoby. Plany MSW skrytykowało wojsko, bo urzędnicy nie wzięli pod uwagę rodzin internowanych, co w sumie dawało około 100 tys. zatrzymanych. Mimo tej i innych uwag, do listy stwarzających zagrożenie dla państwa dopisywano kolejne osoby.

Pierwszych Niemców i Ukraińców aresztowano w połowie sierpnia 1939 r., ale do akcji „unieruchomienia antypaństwowych elementów" – jak w dokumentach urzędowych nazywano zatrzymania – przystąpiono dopiero w nocy z 1 na 2 września. W województwach zachodnich, w tym przede wszystkim w Poznańskiem, byli to głównie Niemcy: przeważnie ludzie starsi i schorowani, w tym niemieccy posłowie i senatorowie do polskiego parlamentu, osoby duchowne, nauczyciele, właściciele ziemscy, kupcy, rzemieślnicy i rolnicy. Wśród internowanych najmniej było młodych mężczyzn, bo oni już wcześniej uciekli do Rzeszy lub się ukryli, czekając na wkroczenie Wehrmachtu.

Marek Henzler w artykule „Unieszkodliwienie przez unieruchomienie" zamieszczonym w wydanym wiosną 2015 r. „Pomocniku Historycznym »Polityki«" zatytułowanym „Tajniki II wojny 1939-1945", pisał m.in. o warunkach, w jakich prowadzono kolumny internowanych drogami zapełnionymi wojskiem i cywilnymi uciekinierami. Zmierzały one do Berezy Kartuskiej, ale te z Wielkopolski dotarły najdalej w rejon Warszawy. Henzler pisał: *„Niemcy byli prowadzeni pod eskortą policjantów, junaków Przysposobienia Wojskowego bądź żołnierzy z batalionów Obrony Narodowej, bez dostatecznego zaopatrzenia w żywność i wodę, wśród coraz bardziej wobec nich wrogiego tłumu uciekinierów i żołnierzy z rozbitych oddziałów. Razem z innymi uciekinierami doświadczali tragicznych skutków nalotów Luftwaffe. Wywołana jeszcze przed rozpoczęciem wojny psychoza antyniemiecka, bombardowania, informacje o klęskach polskiej armii i aktach niemieckiej dywersji, wpłynęły na wzrost nastrojów antyniemieckich. Zabrakło policji i cywilnego wymiaru sprawiedliwości i mało sprawne okazały się sądy polowe. A to, przy upadku morale, zaniku dyscypliny i rozbudzonej szpiegomanii spowodowało, że na trasach »marszów śmierci«, jak już później ich exodus nazwała propaganda goebbelsowska, doszło do wielu aktów zemsty na Niemcach ze strony Polaków"*.

Nazwijmy rzecz po imieniu. Niestety, dochodziło do strasznych czynów wobec Niemców ze strony Polaków. Podczas wspomnianych marszów jednych zastrzelono, innych zatłuczono na śmierć, a jeszcze inni zmarli wskutek morderczego tempa marszu, z głodu i pragnienia. Wszak tamten pierwszy wojenny wrzesień był upalny, co szczególnie odczuwali ludzie starsi. Do tego dochodził stres, brak lekarstw i najczęściej jakiejkolwiek pomocy medycznej.

Catherine Epstein w znakomitej biografii Arthura Greisera pt. „Wzorcowy nazista" napisała wprost: *„Po wybuchu wojny polskie władze nakazały aresztowanie przedstawicieli niemieckich elit na podstawie przygotowanych wcześniej list. Aresztowano około 10.000 osób narodowości niemieckiej zamieszkałych w zachodnich polskich województwach: pomorskim i poznańskim. Większość z nich zmuszono następnie do marszu na wschód, ku Polsce centralnej. Wiarygodne źródła szacują liczbę etnicznych Niemców, którzy stracili życie w wyniku tej przymusowej ewakuacji albo podczas niej, na 1778 do 2200. Polacy mordowali też swych niemieckich sąsiadów na miejscu. Najbardziej znanym przykładem wybuchu gniewu, którego ofiarą padli etniczni Niemcy, są wydarzenia w Bydgoszczy".*

Sąd Specjalny w urzędzie gestapo

Spróbujmy prześledzić losy obywateli polskich narodowości niemieckiej, internowanych w Obornikach i okolicach tego miasta, deportowanych na wschód. Trwająca w Polsce latami zmowa milczenia wokół tego, co działo się podczas ich marszu i brak jakichkolwiek polskich badań, zmusza do sięgnięcia po materiały niemieckie, w tym przede wszystkim hitlerowskie, mocno skażone propagandą goebbelsowską. Ale ludzie Josepha Goebbelsa nie zmyślili wszystkiego. Pominęli niektóre niewygodne dla Niemców fakty, zwłaszcza zabrakło w ich relacjach niemieckich ofiar bombardowań i ostrzeliwań cywilów na polskich drogach przez samoloty Luftwaffe, wyeksponowali za to inne, choćby opisy torturowania niemieckich starców przez „polskich strażników-sadystów". Z braku polskich źródeł sięgamy do starych egzemplarzy dziennika „Ostdeutscher Beobachter" z 1941 roku. Od nazistowskiej manifestacji na obornickim Rynku minęło 13 miesięcy. Tyle czasu potrzebowała hitlerowska Temida, by przed Sądem Specjalnym Posen I postawić 28 Polaków oskarżonych o morderstwa i przemoc w czasie marszu mieszkańców Obornik. Kilkudniową rozprawę, która rozpoczęła się 25.08.1941 r., zorganizowano w największej sali dawnego Domu Żołnierza im. marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie podczas wojny swą siedzibę miało gestapo. „Ostdeutscher Beobachter", który codziennie bardzo obszernie relacjonował proces, nie zamieścił żadnego zdjęcia z rozprawy. Z relacji tych można wyczytać jedno. Władze Kraju Warty nadały procesowi pozory normalnej rozprawy sądowej. Na sali byli obrońcy oskarżonych, a oni sami mogli zabierać głos i zgłaszać wnioski dowodowe.

Na ławie oskarżonych zasiadło – jak się rzekło – 28 osób: byli policjanci i ludzie różnych zawodów, którzy konwojowali pierwszy marsz internowanych oborniczan na odcinku: z Gniezna przez Kleczew, Sompolno, Kłodawę, Kutno, Sochaczew do rejonu Warszawy, a ściślej do przylegającej do tego miasta od strony południowo-zachodniej wioski Mory. Głównymi oskarżonymi zostali byli oficerowie policji: Kazimierz Niewiarowski z Dębicy i Stanisław Błotny z Warszawy. Wśród osób zasiadających na ławie oskarżonych nie było nikogo z Obornik, za to sporo osób – robotników, rolników i leśników – pochodziło z sąsiedniego powiatu chodzieskiego.

W pierwszych godzinach procesu – jak informował organ NSDAP Kraju Warty – sąd przesłuchał 14 oskarżonych, w tym Kazimierza Niewiarowskiego, który był dowódcą konwoju internowanych. Od samego początku dążył on – jak czytamy w „Ostdeutscher Beobachter" – *„do wytępienia powierzonych mu volksdeutschów. Świadczy o tym fakt, że przejął on kolumnę bez pokwitowania 672 osób przekazanych mu do konwojowania i także później nie sporządził ich imiennej listy. Na pytanie przewodniczącego* [składu orzekającego Sądu Specjalnego – przyp. L. A.] *odpowiadał stereotypowo, że niczego sobie nie przypomina. (…) Rezultat jego nieludzkiego zachowania to wykopane do tej pory zwłoki 131 konwojowanych volksdeutschów, z których – jak wynika z urzędowej dokumentacji fotograficznej – wiele nosiło ślady strasznych okaleczeń głowy".*

Również drugi z głównych oskarżonych, oficer policji z Warszawy, Stanisław Błotny, *„z twarzą typową dla podczłowieka podczas stawiania mu poszczególnych zarzutów przez przewodniczącego ciągle powtarzał: »ja nic nie widziałem«, »nie było mnie przy tym«"* – pisała hitlerowska gazeta, informując jednocześnie, że na niektórych odcinkach Błotny dowodził konwojem marszu.

Według oskarżenia internowani w czasie marszu nie otrzymywali żadnych racji żywnościowych. Tylko raz do ich dyspozycji oddano 17 bochenków chleba, co dało jedną cienką kromkę dla mniej niż jednej trzeciej internowanych. Na ten temat między przewodniczącym składu a oskarżonym Błotnym wywiązał się – wg „Ostdeutscher Beobachter" – następujący dialog:

– Co volksdeutsche otrzymywali do jedzenia?

– Tego nie wiem.

– Ilu Niemców było jeszcze w konwoju, gdy pan otrzymał funkcję komendanta?

– Tego nie wiem.

– Czy było ich jeszcze 672?

– Nie sądzę.

Die Leichen ermordeter Volksdeutscher werden eingesargt
Wir haben lange überlegt, dieses Bild zu veröffentlichen, sind aber schließlich zu der Ueberzeugung gekommen, daß es unsere Pflicht ist, der Welt zu zeigen, wie der polnische Terror gewütet hat.

Jedno z wielu zdjęć zamieszczanych jesienią 1939 r. przez prasę hitlerowską – odkrywanie zwłok zabitych przez Polaków swych niedawnych sąsiadów.

Ekipa pastora Wilhelma Brauera na pograniczu Kraju Warty i Generalnego Gubernatorstwa.

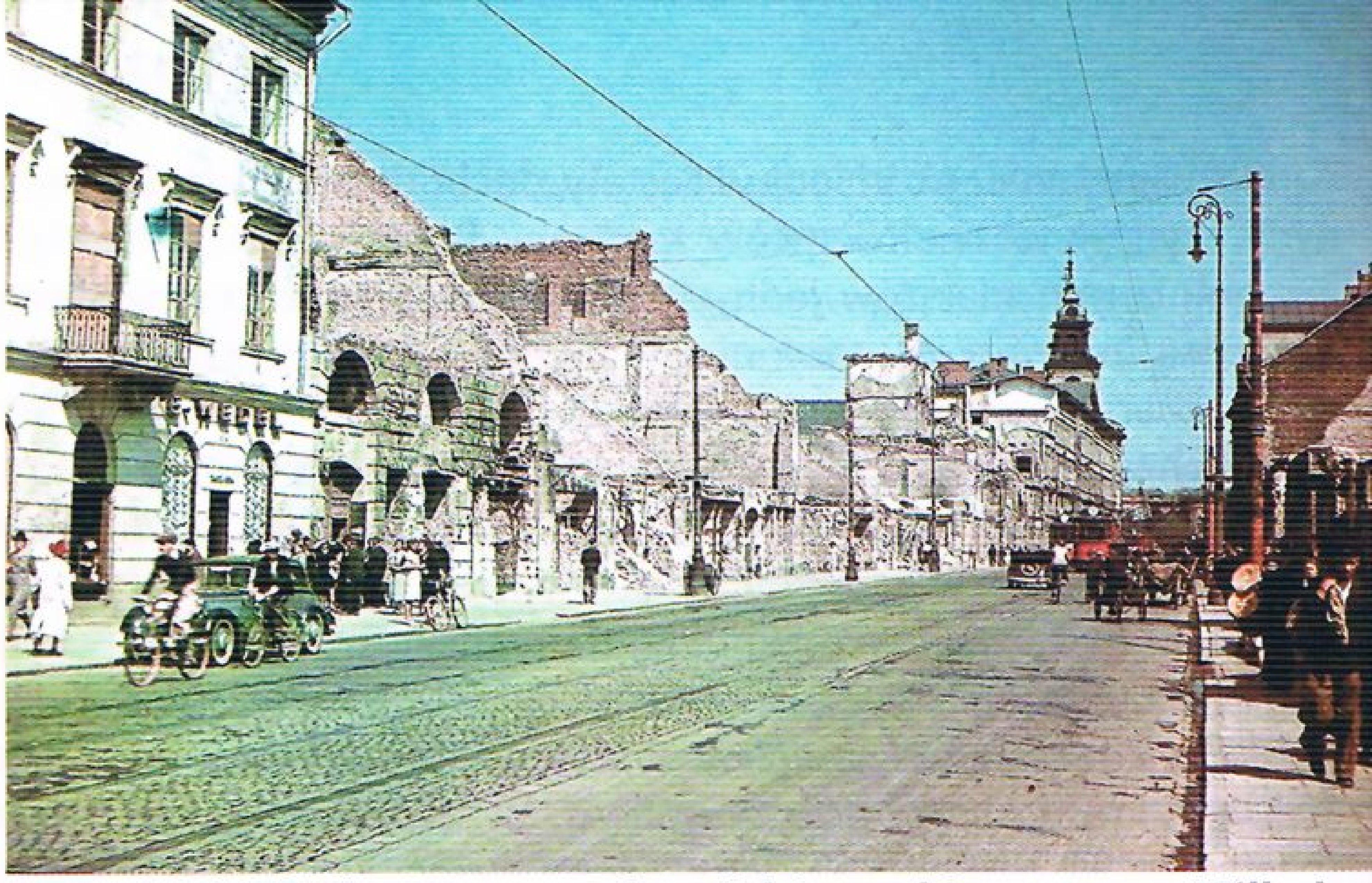

Swą podróż śladem marszu obornickiego ekipa pastora Wilhelma Brauera zakończyła w okupowanej Warszawie, gdzie pastor wykonał to zdjęcie.

Między oskarżonym Mikołajem Małeckim, rolnikiem spod Poznania, a Stanisławem Błotnym doszło na rozprawie do sprzeczki. Małecki zeznał, że na rozkaz Błotnego zastrzelił volksdeutscha Sagera.

– *To nieprawda* – gwałtownie zareagował Błotny.

– *Jak może Błotny temu zaprzeczać. Sam przecież przy tym był.*

– *Z jakiego powodu Sager został zamordowany?* – zapytał Małeckiego przewodniczący.

– *Błotny powiedział, że nie będziemy takiego starego ze sobą wlec.*

I tak dalej. Darujmy sobie cytowanie kolejnych fragmentów obszernych sprawozdań z poznańskiego procesu nazwanego „Oborniker Mordprozess", codziennie zamieszczanych przez „Ostdeutscher Beobachter". Wśród tysięcy słów wypowiedzianych na sali w gmachu urzędu gestapo i zaprezentowanych sądowi dokumentów, nazwanych dowodami, było sporo prawdy, ale też mnóstwo antypolskiej propagandy. Nie ulega też wątpliwości, że oskarżyciele i sąd pominęli niewygodne dla Niemców wątki, ale wszystkiego nie zmyślono. Czy tego chcemy, czy nie, rzeczywiście przypadkowa grupa polskich konwojentów pod dowództwem Kazimierza Niewiarowskiego i Stanisława Błotnego bez snu, prowiantu i wody pitnej, między 4 a 9 września 1939 r., pędziła przez wiele kilometrów 672 obywateli polskich narodowości niemieckiej. Już w drodze do rejonu Konina pobito na śmierć lub zastrzelono kilku internowanych. Im dalej marsz był od Obornik, tym więcej ginęło ludzi. Zdaniem oskarżyciela najwięcej etnicznych Niemców zamordowano w Sochaczewie i podwarszawskich Morach.

Dziesięciu uniewinnionych

Przemawiając przed Sądem Specjalnym prokurator uznał Niewiarowskiego i Błotnego za głównych sprawców zbrodni na internowanych i zażądał dla nich, oraz 16 innych oskarżonych, kary śmierci. Jednocześnie powiedział, że na pozostałych 10 oskarżonych nie udało się zebrać wystarczających dowodów winy i sąd powinien ich uniewinnić. Jako dowód, że tego typu marsze internowanych można było zorganizować i przeprowadzić w inny sposób, prokurator przedstawił przykład drugiego marszu obornickiego, gdzie dowódca i konwojenci zadbali o przydział żywności i wody pitnej oraz o odpowiednie zakwaterowanie i traktowanie podczas marszu.

Obrońcy oskarżonych nie stanęli na wysokości zadania. Tego samego zadania, które 5 lat później wzorowo wykonali polscy mecenasi: Stanisław Hejmowski i Jan Kręglewski przed polskim sądem broniący Arthura Greisera. Tymczasem ich niemieccy koledzy, którzy latem 1941 r. mieli bronić Niewiarowskiego i Błotnego, oświadczyli – wg „Ostdeutscher Beobachter" – że ze względu na przytłaczającą wagę dowodów uznają się tylko za mówców, a nie obrońców. Pozostali w kilku przypadkach prosili sąd o łagodniejszy wyrok dla swych klientów.

Już od wczesnego rana w czwartek 4.09.1941 r. wielu Niemców zmierzało w kierunku gmachu gestapo. O godzinie 8:45 przewodniczący Sądu Specjalnego Posen I rozpoczął odczytywanie wyroku. Oskarżonych: Kazimierza Niewiarowskiego i Stanisława Błotnego uznano za winnych wszystkich zarzucanych im czynów, zwłaszcza niebezpiecznego uszkodzenia ciała poprzez zagrażające życiu traktowanie w trakcie wykonywania obowiązków służbowych w 672 przypadkach oraz w 133 przypadkach udziału w mordzie. 16. oskarżonych, w tym wspomnianego tu Mikołaja Małeckiego, uznano za winnych niebezpiecznego uszkodzenia ciała poprzez zagrażające życiu traktowanie w trakcie wykonywania obowiązków służbowych w 672 przypadkach oraz udziału w mordzie, każdy w jednym przypadku, a Stanisław Kaźmierczak w dwóch. Wszyscy oni zostali skazani na karę śmierci, a ponadto, na podstawie paragrafu 32. Kodeksu Karnego, odebrano im prawa obywatelskie (? – przyp. L. A.) na zawsze. Dziesięciu oskarżonych: Andrzeja Graszę, Jana Kaczmarka, Stefana Rado, Franciszka Kałkowskiego, Bernarda Lüda, Władysława Perlicjana, Wincentego Wołowicza, Aleksandra Zameckiego, Jana Zduna i Marcina Zielińskiego – sąd uniewinnił. Wszyscy oni byli mieszkańcami powiatu chodzieskiego. „Ostdeutscher Beobachter" napisał, że *„w przypadku uniewinnionych oskarżonych ich areszt zostanie uchylony"*.

Nie udało mi się ustalić, czy tak się stało. Jest jednak mało prawdopodobne, by ośmiu oskarżonych odzyskało wolność. Hitlerowska gazeta omawiając uzasadnienie wyroku napisała bowiem, że przewód sądowy wykazał, iż oskarżonych można podzielić na trzy grupy. Pierwsza, to 18 bezpośrednich sprawców mordu, druga, to 8 oskarżonych, którym ciężko było winę udowodnić i 2 oskarżonych, którzy w zbrodniach nie brali udziału. I zapewne tylko oni wyszli na wolność, a 8 uniewinnionych, po formalnym zwolnieniu z więzienia, przewieziono do obozu koncentracyjnego.

Na zakończenie rozprawy przewodniczący Sądu Specjalnego odczytał z imienia i nazwiska 133 ofiary marszu obornickiego. *„Oni umarli za nas i za Niemcy"* – tymi słowami przewodniczący zamknął rozprawę sądową.

Namiestnik Rzeszy Arthur Greiser – działając w imieniu Führera – nie skorzystał z prawa łaski. 17.09.1941 r. w więzieniu przy Mühlenstrasse (ul. Młyńskiej) ścięto 12. skazanych, w tym Kazimierza Niewiarowskiego i Stanisława Błotnego. W następnym dniu zgilotynowano pozostałych skazanych.

Czy sprawiedliwości stało się zadość? Czy Niewiarowski, Błotny i pozostali ścięci w poznańskim więzieniu odpowiedzieli za własną brutalność i żądzę niemieckiej krwi? Czy może byli tylko kozłami ofiarnymi, godząc się konwojować nieprzygotowany marsz mniejszości niemieckiej w sytuacji, gdy Adolf Hitler wywołał brutalną wojnę, a w rozpadającym się pod uderzeniami Wehrmachtu kraju panowały chaos i bezprawie? Ale czy to tłumaczy nieludzkie zachowania…

Jedno nie ulega wątpliwości. Śmierć etnicznych Niemców pędzonych we wrześniowych marszach była na rękę tylko Hitlerowi. Posłużyła mu i propagandzie goebbelsowskiej za usprawiedliwienie niemieckich zbrodni na Polakach.

W sierpniu 2010 r. podczas jednego ze swych pobytów w Polsce, znany nam już pastor Helmut Brauer z Lubeki odwiedził kujawską wioskę Kłóbka koło Włocławka. Szukał śladów Polaka, który we wrześniu 1939 r. uratował bliską mu osobę. Był nim zaprzyjaźniony z rodziną Brauerów ewangelicki pastor Rössler z leżącego niedaleko Obornik Rogoźna. Jego żona była matką chrzestną małego Helmuta.

Gdy wybuchła wojna pastora Rösslera internowano i wraz z grupą 28 innych mieszkańców Rogoźna narodowości niemieckiej popędzono na wschód. Wkrótce dotarli oni do wspomnianej Kłóbki, gdzie natrafili na jakiś oddział Wojska Polskiego. Jeden z oficerów znał niemiecki i wdał się w rozmowę z pastorem. Zdradził mu, że jego matka była także ewangeliczką. Prawdopodobnie oficer domyślał się, co stanie się, lub co może się stać, z internowanymi, bo podczas rozmowy postanowił pomóc pastorowi z Rogoźna. Poprosił niejakiego Grudzińskiego, zarządcę majątku należącego do Ludwika Orpiszewskiego, by ten go ukrył. Grudziński nie odmówił. Nazajutrz internowani opuścili Kłóbkę, ale bez pastora, bo konwojenci nie mieli czasu go szukać. Gdy do Kłóbki wkroczył Wehrmacht, pastor wyszedł z ukrycia i wrócił do Rogoźna, przemianowanego już na Rogasen. W jego rodzinie i wśród znajomych przetrwała historia ocalenia głowy rodu Rösslerów przez Polaka z wioski, której nazwy Niemiec nie potrafi poprawnie wymówić. Podczas pobytu w Kłóbce pastor Brauer odwiedził proboszcza miejscowej parafii katolickiej, księdza Leszka Buczkowskiego, oraz regionalistę i poetę, Bogdana Lisowskiego. Z ich pomocą dotarł do wnuka człowieka, który w 1939 ocalił pastora Rösslera. I odwiedził dom, w którym on się ukrywał.

Helmut Brauer w sierpniu 2010 r. powiedział coś ważnego. Otóż po wyjściu z Kłóbki internowanych mieszkańców Rogoźna, ślad po nich zaginął. Z 28-osobowej grupy do swoich bliskich nie wrócił nikt…

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM WILHELMA BRAUERA, WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, INTERNET.

Specjalne podziękowania dla Dariusza Garby za przetłumaczenie artykułów z „Ostdeutscher Beobachter".

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego Autora to, wydana nakładem Repliki, „Zejście do piekła".

REKLAMA

Sensacje i dramaty czasów II wojny światowej i pierwszych miesięcy powojennych

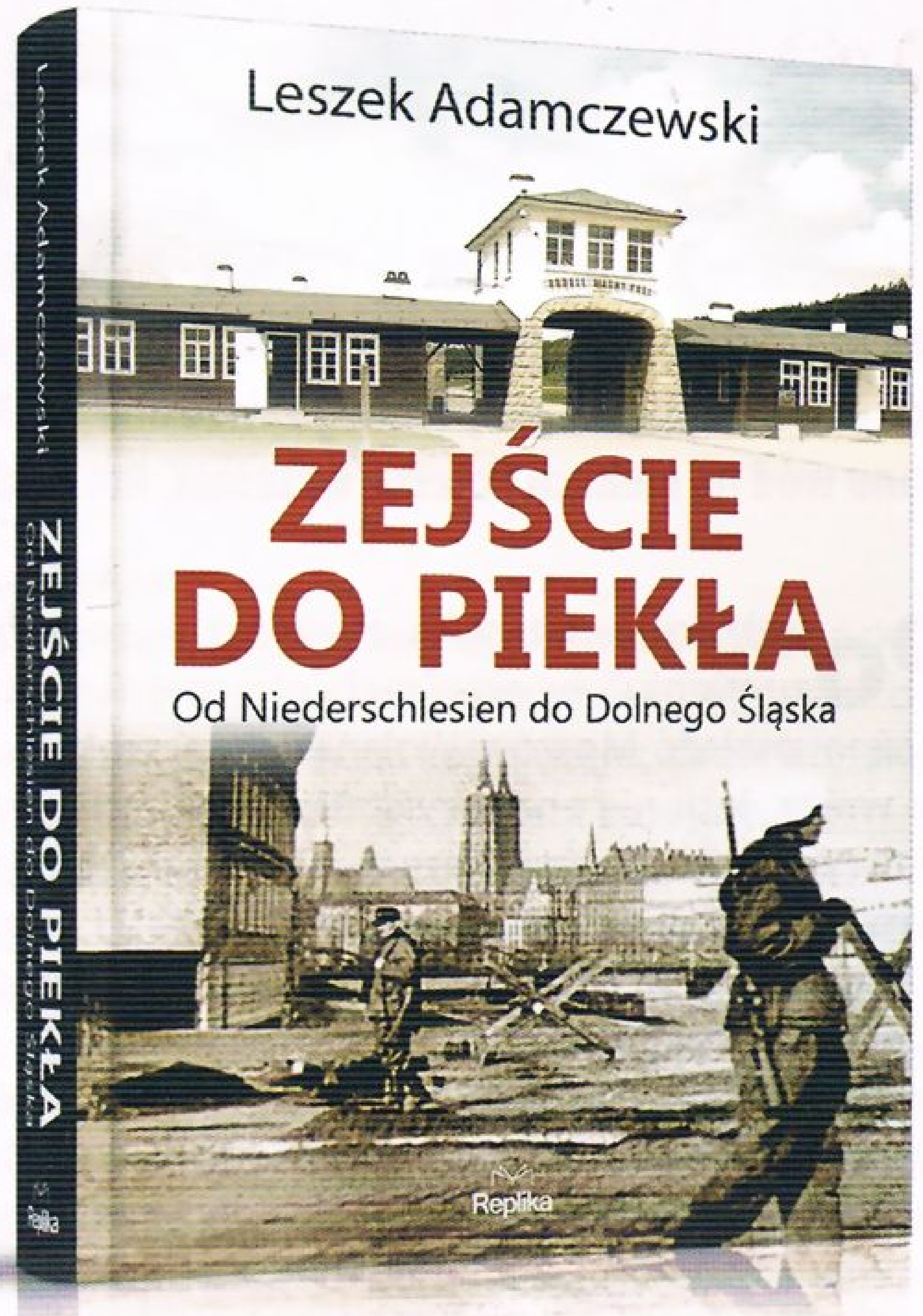

– nieludzka machina KL Gross-Rosen
– podziemia kwatery głównej Hitlera
– skarby Kłodzka i Srebrnej Góry
– hitlerowski „żłobek" w Wąsoszu
– oblężenie Festung Breslau

Polecamy także:

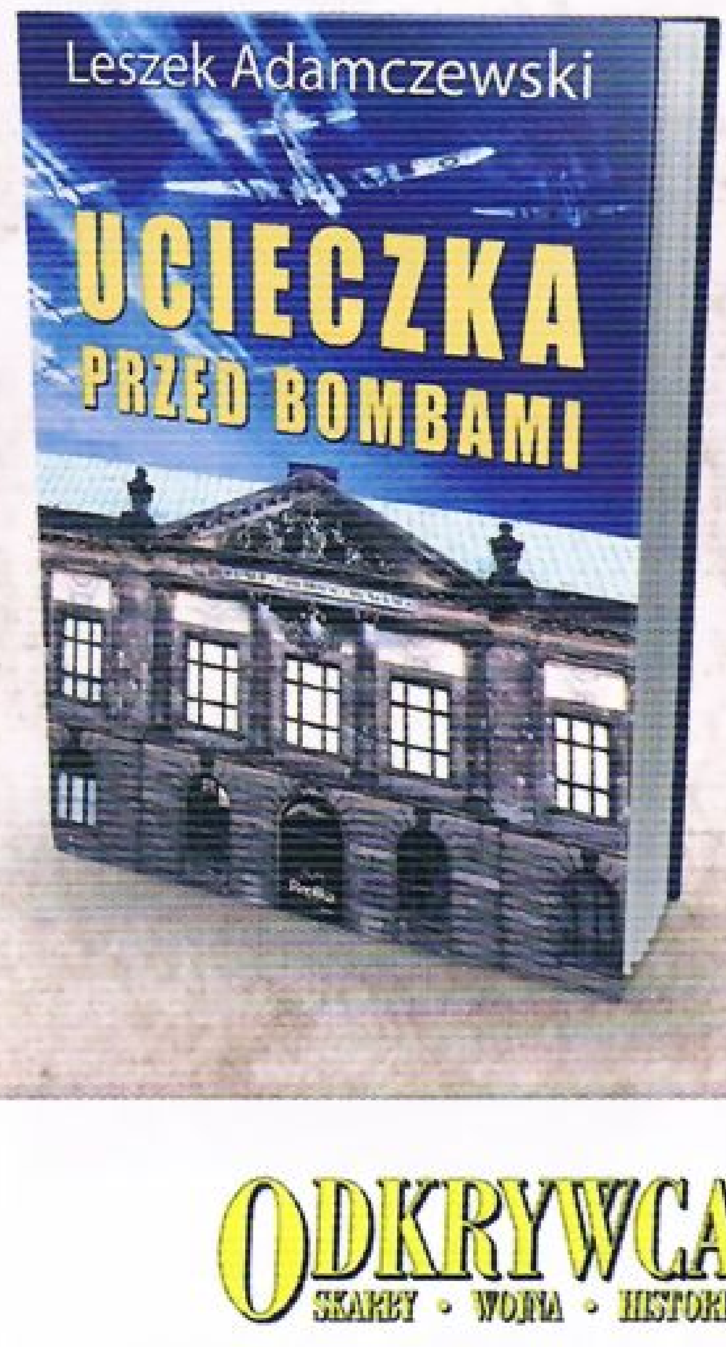

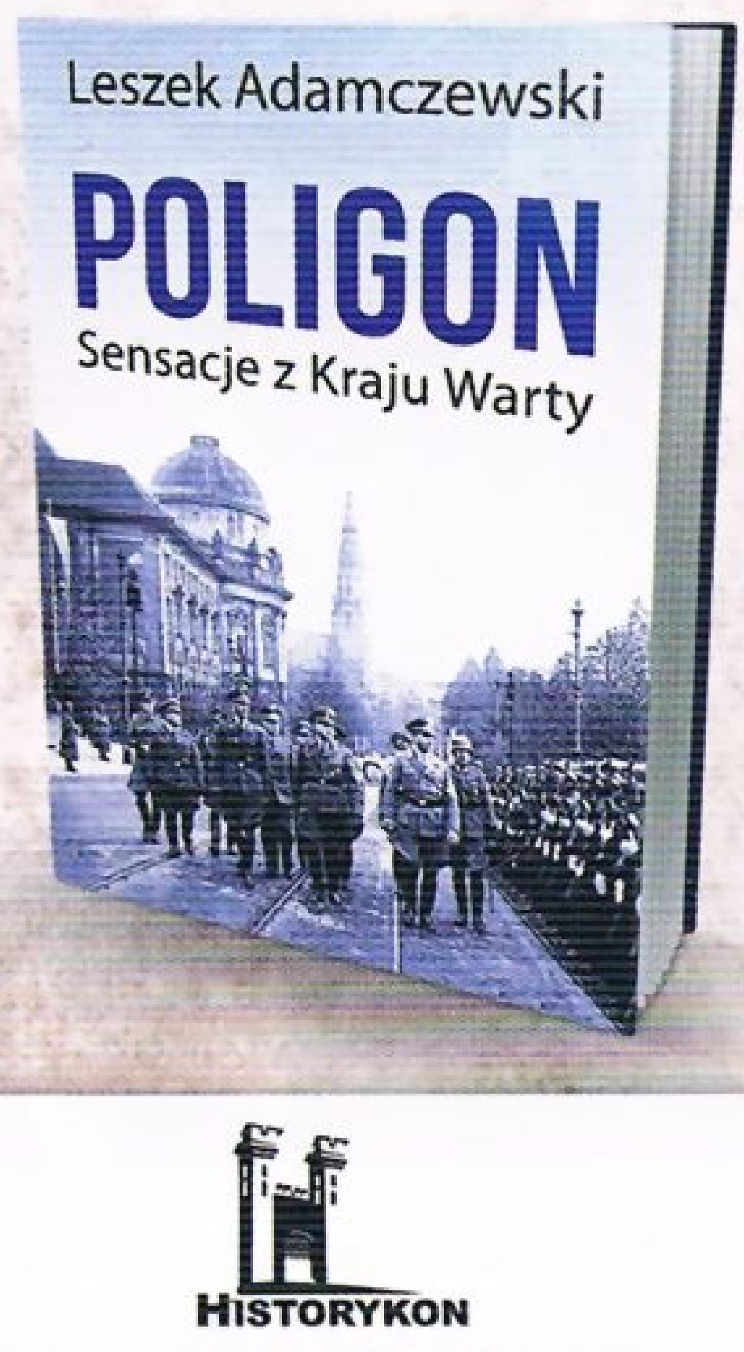

ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

HISTORYKON

Wydawnictwo Replika, tel. 61 868 25 37
adres e-mail: handlowy@replika.eu
www.replika.eu

Replika

Mosty Wolańskie 2015,

czyli o zapomnianej historii Niezapomnianej Flotylli

ANDRZEJ OLEJKO

„Dnia 15 września [1939] krętymi drogami dotarliśmy do linii kolejowej »Północ-Południe« wsiedliśmy do prawie pustego wagonu towarowego, który szedł do Łunińca.[1] Po południu osiągnęliśmy Mosty Wolańskie, gdzie zwykle w lecie na Prypeci stała Flotylla Rzeczna Mar.[ynarki] Woj.[ennej], ale tym razem jej tam nie było". **Krótki zapis ze wspomnień por. mar. obs. Kazimierza M. Wilkanowicza z pamiętnego, polskiego września 1939 roku. Września heroizmu, klęski, triumfów i przegranych, września niskiego stanu wód na rzekach Polesia, września, który tak mocno ugruntował wojenne pokolenie Polaków na wiele lat.**

Po traktacie jałtańskim z 1945 r. i „sojuszniczym porozumieniu", w granicach obecnej Rzeczpospolitej nie można znaleźć Mostów Wolańskich, a szukającemu ich biada wręcz, jeśli nie zna języka Słowian Wschodnich i zapisów w cyrylicy na drogowskazach. Dlaczego? W systemie szkolnym III RP język ten otrzymał „wilczy bilet" i młode pokolenia, w większości, z zapałem uczą się, jak językami grup germańskiej i romańskiej dostać się do wrót tej lepszej, jak gros z nas uważa, Europy Zachodniej. Po co zatem jechać za Bug, nad Prypeć, Strumień, Pinę i Jasiołdę? Po co szukać Mostów Wolańskich? Po co emocje pokolenia dziadków przywoływać? Po to, by wiedzieć więcej niż dane z wyszukiwarek internetowych. By dotknąć Kresów II RP takimi, jakie są, i mając w paszporcie wizę Republiki Białorusi, zdobytą bez kłopotu w każdym biurze podróży zajmującym się uzyskiwaniem tychże, „odkurzyć" historię Niezapomnianej Flotylli Rzecznej Polskiej Marynarki Wojennej w Pińsku do 17.10.1931 r. potocznie zwanej Pińską.

Odkrycia ostatnich lat

Zdziwienie i zaskoczenie wzbudził telefon, który odebrałem w swym miejscu pracy. Mym rozmówcą okazał się attaché wojskowy ambasady Rzeczpospolitej Polskiej w Kijowie, który przekazał mi informacje o znalezisku na Polesiu. W 2013 r. na jego ukraińskim odcinku jedna z rzek odsłoniła kadłub okrętu zatopionego tam w okresie II wojny światowej – gruntownie rozkradanego przez tamtejszych złomiarzy. Po analizie dokonanej na miejscu okazało się, że znalezisko jest wrakiem polskiego monitora Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej. Z rozmowy wynikało, że jest to rzeczny krążownik, monitor ORP „Kraków", bliźniak ORP „Wilno". Oba okręty zniszczyły własne załogi ze względu na niski stan wód i przeszkody wodne, by nie dostały się w ręce Armii Czerwonej po 17.09.1939 r.

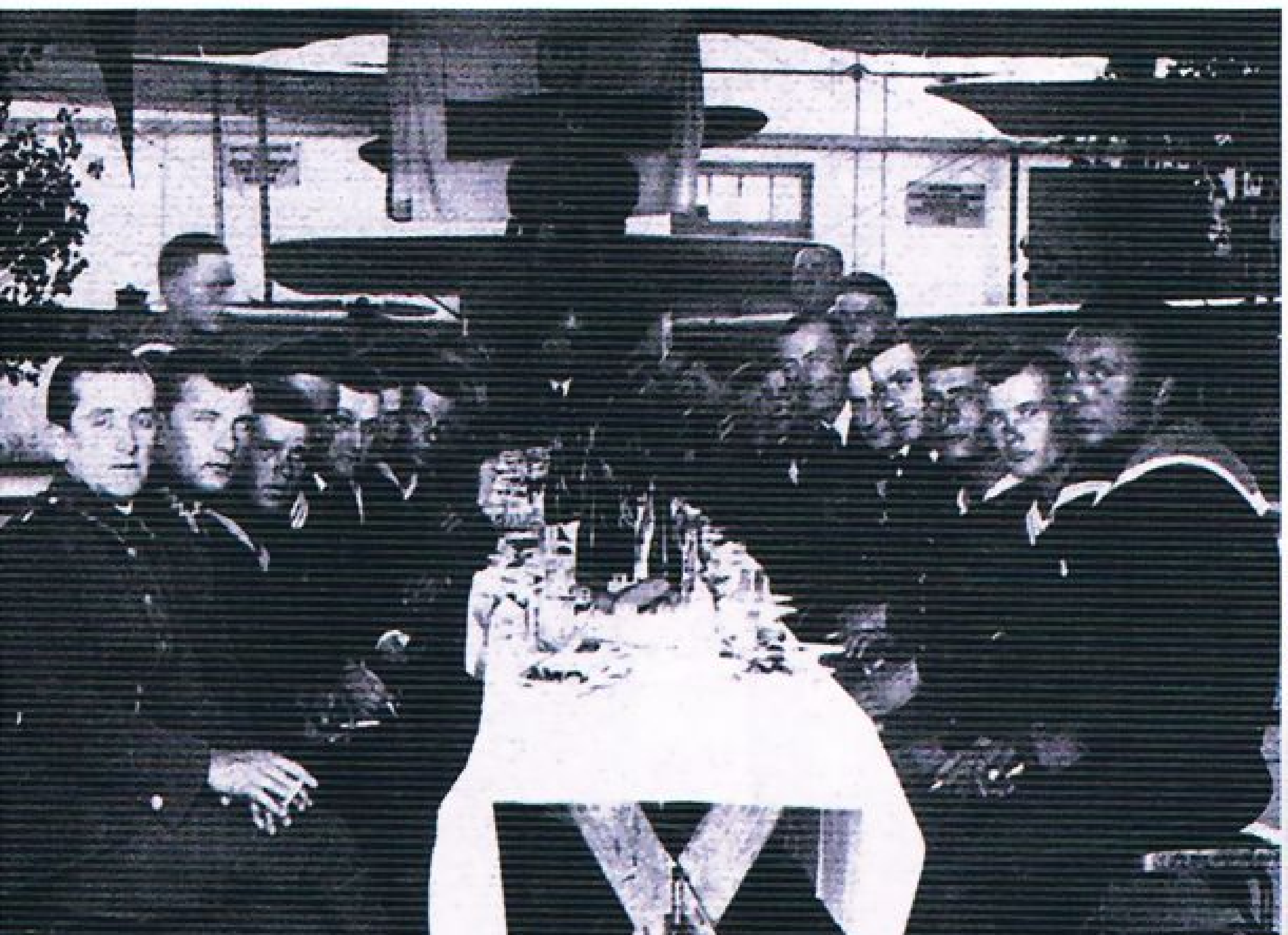

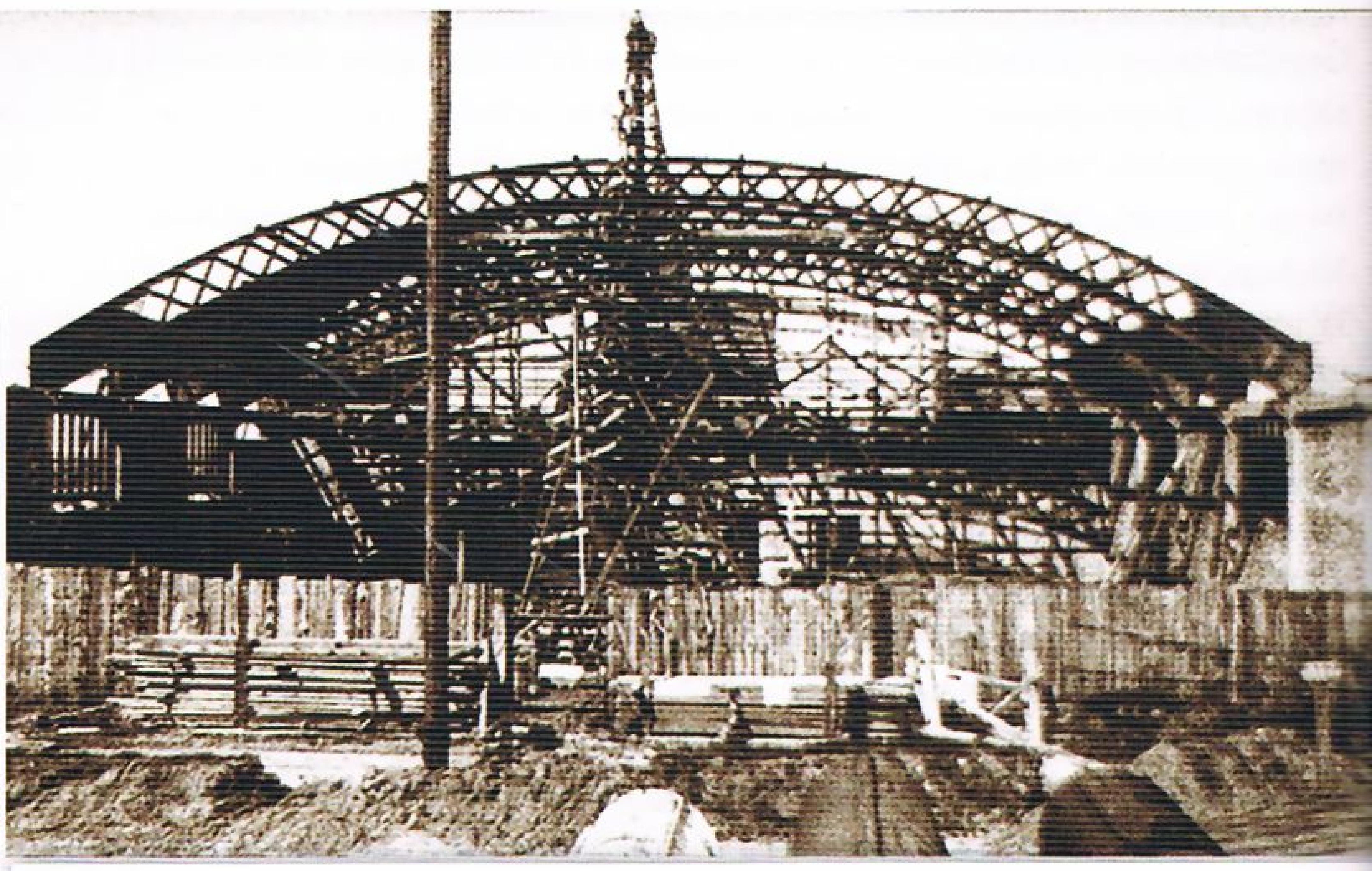

Archiwalne fotografie z lat przed 1939 r. Rzeczna Eskadra Lotnicza w Pińsku, jej wodnosamoloty, personel latający i naziemny oraz Port Wojenny w Pińsku i oczywiście hangar lotniczy. Ze zbiorów A. Olejko i kmdr. por. dr. Mariusza Konarskiego.

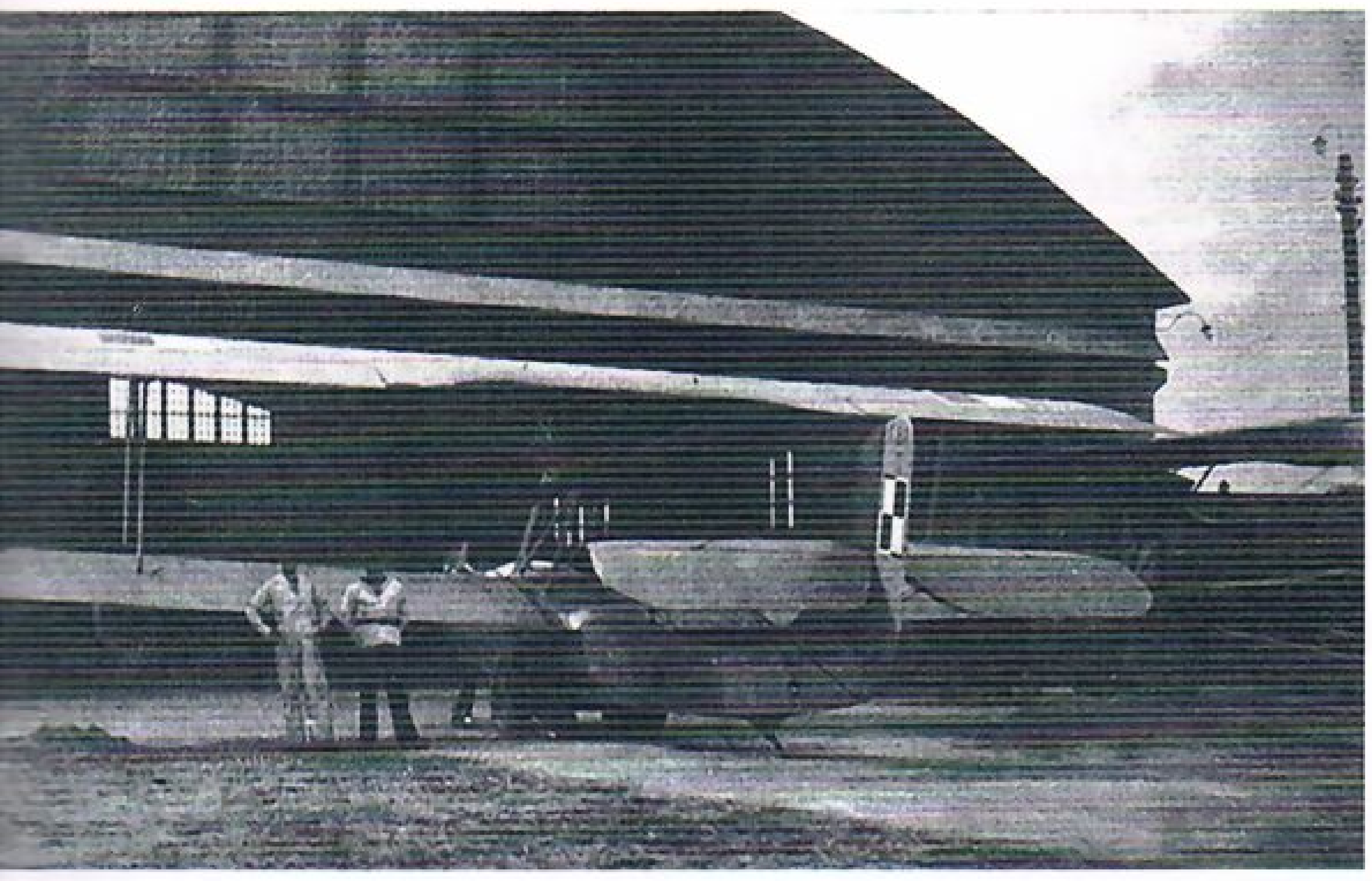

(ORP „Wilno" wysadzony w powietrze pod Osobowiczami, ORP „Kraków", ex. „Smoleńsk", samozatopiony w rejonie Kuźliczyna). Informację przekazałem dyrektorom Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie i Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Okazało się, że fakt jest już znany. A mnie przed oczy wrócił opis akcji Cichociemnego, Alfreda Paczkowskiego ps. „Wania" na Polesiu, której celem był jeden z byłych okrętów polskiej Marynarki Wojennej przejęty przez Kriegsmarine. I to chyba byłoby na tyle w kwestii znalezisk; a jednak nie…

Jadąc trasą z Mohylowa,[2] tak mocno wpisanego w historię Flotylli Pińskiej w latach 1919-1920, w połowie tej dość nudnej drogi – gdzie sugeruję bezwzględne! przestrzeganie tamtejszych ograniczeń prędkości – znaleźć można mały skansen militarny poświęcony Operacji „Bagration". W 1944 r. jej skutkiem Armia Czerwona wyzwoliła, jak głosi napis, terytorium Białorusi, jednak szokuje brak zgodności z zasadą: „prawda czasu, prawda ekranu". Skansen zdobi czołg ciężki typu IS-3 i armata przeciwpancerna. I armata i czołg pamiętają okres „zimnej wojny", a nie rok 1944! Jednak w ziemiance zamienionej na salę ekspozycyjną, serce zabić może mocniej. Pod szkłem, w centralnej części ekspozycji zauważyłem zardzewiałe żelastwo z podpisem: *„resztki monitora »Winnica«"*.

Resztki monitora „Winnica" w skansenie militarnym poświęconym Operacji „Bagration".

Czytelnik, uważnie śledzący polski rynek księgarski, z pewnością wie, że w ostatnich latach tematyka Flotylli Rzecznej z 1939 r. została w dobrym stylu przybliżona piórem Mariusza Borowiaka,[3] jak i autorów ukraińskich i rosyjskich, badających losy zatopionych okrętów Flotylli.[4] Jesienią 1939 r. po podniesieniu i remoncie wcielona została do służby w „czerwonej" Flotylli Dnieprzańskiej, a od 17.07.1941 r. do Pińskiej Flotylli Wojskowej. Stąd nazwy „Smoleńsk", czy „Winnica" nie zaskakują; „Winnica" to ex. ORP „Toruń" (ex. ORP „Mozyrz").

Nie udało mi się uzyskać informacji od opiekuna ekspozycji, gdzie odnaleziono na białoruskim odcinku Polesia ten kolejny z okrętów Flotylli Rzecznej, ale to znalezisko dowodzi, że rzeki Polesia oddają powoli, po latach, to, co zagarnęły w 1939, 1941 czy 1944. Ostatnich Mohikanów polskiej Marynarki Wojennej na Kresach II Rzeczpospolitej…

Mosty Wolańskie

Wikimapia[5] podaje współrzędne Mostów Wolańskich (52°8'27"N26°47'39"E), brakuje natomiast, np. w Wikipedii dostępnej dla każdego posiadacza komputera, profesjonalnej notki dotyczącej tego obiektu. Po co zatem tam jechać?

Mosty Wolańskie, to główne kotwicowisko okrętów Flotylli Rzecznej do 1939 roku. Rokrocznie ożywało w okresie tzw. Kampanii Czynnych Flotylli – na przestrzeni wiosny i jesieni. Dramat załóg jej okrętów w 1939 r. związany był właśnie z tym, tak ważnym obiektem architektury technicznej, gdzie większość z nich dowiedziała się 17.09.1939 r., że „Sowiety wkroczyły". Polesie w 1939 r. stało się cmentarzyskiem okrętów spod polskiej bandery, których załogi, m.in. w rejonie Mostów Wolańskich, zatapiały własne okręty, jak np. rzeczny statek uzbrojony ORP „Hetman Chodkiewicz", który pełnił w rejonie Mostów służbę przeciwlotniczej i przeciwdywersyjnej osłony. Poszedł na dno 18.09.1939 roku.

Celem mojej wyprawy były właśnie Mosty Wolańskie.

Dzisiaj nie słychać tam szumu silników okrętów rzecznych, nie słychać gwizdków trapowych podoficerów służbowych, gwaru kąpiących się marynarzy, czy huku silników wodujących bądź startujących amfibii typu Schreck FBA-17 HMT2, Rzecznej Eskadry Lotniczej. Słychać natomiast, rzadko w ciągu dnia, huk kół transportów kolejowych mknących do, lub z, Łunińca trasą z północy na południe bądź w przeciwnym kierunku. Mknąc z Mozyrza na zachód wzdłuż Prypeci próżno szukać „Polesia czaru", gdyż po II wojnie światowej region zmeliorowano. Nie da się jednak nie zauważyć koryt nadal swobodnie płynących rzek wpadających do Prypeci, pokonanej mostem drogowym, nieograniczenie płynącej w kierunku Republiki Ukrainy.

Na „moim kursie" znalazł się najpierw Dawigródek,[6] znany z historii III odcinka organizacji dywersyjnej ZWZ AK o krypt. „Wachlarz" – związanej z akcją Cichociemnych na więzienie w Pińsku w styczniu 1943 r. – z typową, kresową zabudową parterowych domków, z klimatem uliczek przypominającym jednak „Polesia czar", i z mostem na Horyniu, płynącym tak, jak przed laty, którego koryto pełne jest lilii wodnych i rzęsy wodnej. Ale jak dojechać do punktu docelowego, do Mo-

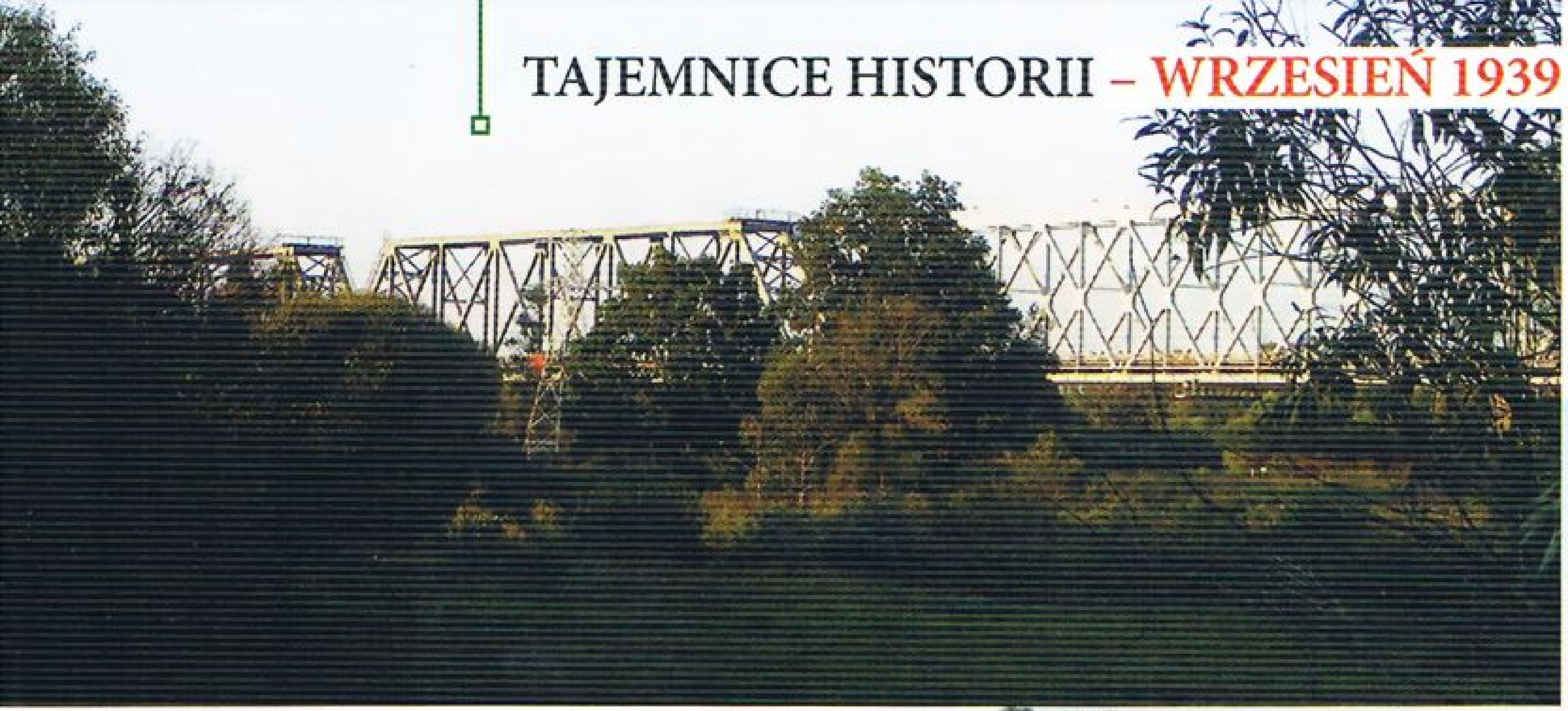

W chaszczach ukryta część Mostów Wolańskich. Po ok. 100 m wyłoniły się zza zakrętu Prypeci w pełnej krasie...

Mosty Wolańskie, wodowisko Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej... Miejsce magiczne. Tutaj wodowały hydroplany Rzecznej Eskadry Lotniczej z Pińska. Autor na tle Mostów Wolańskich. Polesia czar ujęty w obiektywie – 2015 rok.

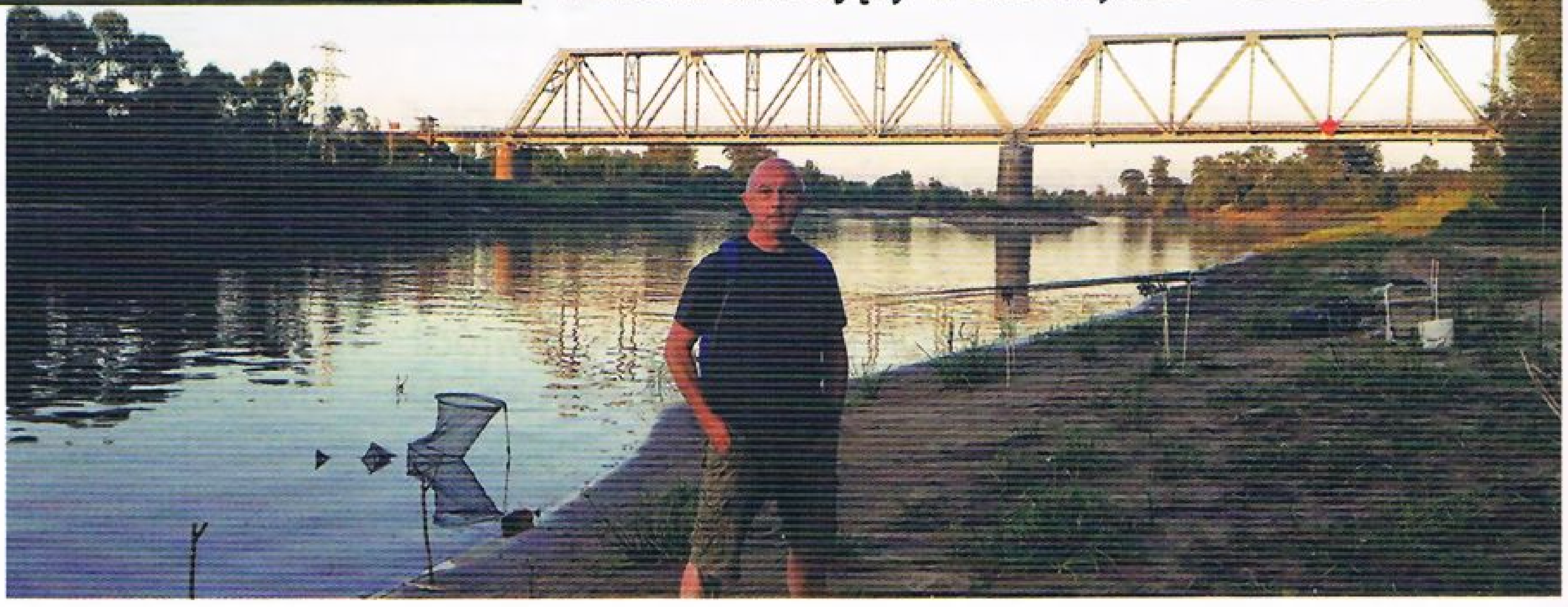

stów Wolańskich? Może i żyjemy w dobie gps, może i dostęp do internetu wiele upraszcza, ale czy wszędzie? Klasyczna mapa poprowadziła w stronę koryta Prypeci przez coraz mniejsze miejscowości pogubione na mapie Republiki Białorusi, poprzedzielane bardzo dobrymi drogami, lecz tam, gdzie skończył się asfalt, mili ludzie poprowadzili dalej słowem. Wjazd na polny przejazd kolejowy i zawracanie na nim, by skierować się w stronę rzeki, z pewnością nie jest fair w świetle prawa drogowego, choć wokół nie było żywej duszy, ale po lewej były... Mosty Wolańskie (!).

Surwiwal zaczął się nad rzeką, gdzie urzędowa tablica poinformowała i zabroniła przejazdu oraz przejścia przez rejon mostów i nasypu kolejowego. Magiczne oko kamery śledziło i chaszcze nadrzeczne, i wykoszony teren za wysoką siatką. Idąc przez chaszcze sięgające pasa i strasząc wszystko, co żyło swoimi krokami, starałem się dojść do rzeki. I doszedłem... do jej bocznego koryta ze stojącą wodą w „morzu bąków i much". Musiałem uznać się za pokonanego. „Siedem mórz przepłynął i u brzegu utonął" – jak mówi stare porzekadło; ale nie dałem się. Oko wypatrzyło małą dróżkę mknącą obok dziwnych budynków z cegły i nią ruszył samochód, by po chwili stanąć oko w oko z wałem przeciwpowodziowym nad brzegiem Prypeci. Co tam bąki, muchy, osy, nic to nie znaczyło, gdy obrazy z lat 20. i 30. ożyły. Brzeg był piaszczysty, za zakrętem rzeki po ok. 100 m w całej krasie ukazały się w świetle zachodzącego słońca, Mosty Wolańskie. Stałem na brzegu patrząc na kotwicowisko Flotylli Rzecznej, które po zmeliorowaniu Polesia było o wiele mniejsze. Ale było! Z szumem silnika przemknęła motorówka wędkarzy. Gdy ich zapytałem czy biorą, rozmowa, która się zaczęła, zaskoczyła mnie. Czym? Zapytałem, jak te mosty dziś się nazywają, bo skoro tu systematycznie łowią, to... Odpowiedź brzmiała: – *nie wiemy*, choć z daleka rokrocznie tu przyjeżdżają! Gdzieś w środku pojawiła się obawa, że może nazwa ta zanikła, jednak dobę później, w Pińsku, główny inżynier jednego z przedsiębiorstw z polskimi korzeniami, Stanisław Josifowicz Stefanowicz, uspokoił mnie słowami: – *stale pływamy do Mostów Wolańskich*.

Mosty Wolańskie, strategiczny punkt na Kresach II RP prezentują się w XXI w. zacnie. Odnowione, pod opieką, tchnące nowoczesnością, a jednak Prypeć i jej rozlewisko ze stojącą wodą w starorzeczu nadal pozwalają na „wycieczkę w lata II Rzeczpospolitej". Wystarczy przeglądnąć kilka starych obrazów utrwalonych na czarno-białej kliszy fotograficznej, przekartkować kilka opracowań książkowych, które warto ze sobą zabrać (np. J. W. Dyskant, „Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej 1919-1939", Warszawa 1994; J. Pertek, „Marynarze generała Kleeberga", Warszawa 1986; J. Pertek, „Wielkie dni małej floty", Poznań 1981), przypomnieć sobie relacje marynarzy Flotylli Rzecznej spisywane przed laty w Zagórzu, Haczowie i Jodłowcu, by to wszystko ożyło. I wyobraźnia, pomimo całego dnia „za kółkiem", pozwoliła usłyszeć i szum silników okrętów rzecznych, i gwizdki trapowe podoficerów służbowych, i gwar kąpiących się marynarzy, i huk silników wodujących, bądź startujących amfibii typu Schreck FBA-17 HMT2, Rzecznej Eskadry Lotniczej. Szczęśliwi Ci, co ją mają, co potrafią docenić jej moc, moc wyobraźni...

Jak wejść do Portu Wojennego Marynarki Wojennej w Pińsku?

Obecnie teren byłych obiektów wojskowych polskiej Marynarki Wojennej rozparcelowany jest przez 4 instytucje białoruskie: dwa przedsiębiorstwa żeglugowo-remontowe, skład celny i 1235. Prypecki Oddział Pograniczników. Stanąwszy przed bramą pierwszej z ww. firm, poprosiwszy o wejście na jej teren, a było to w sobotę, kiedy służbowe życie nie funkcjonuje... udało się wejść na teren dawnych Warsztatów Portowych Marynarki Wojennej, jednak dalszą „drogę w przeszłość" zagrodziła brama do kolejnego przedsiębiorstwa. Co zobaczyliśmy? Niewiele. Nie ma już Wyspy Lotniczej na Pinie, gdzie m.in. znajdowały się składy paliwowe Flotylli Rzecznej i Rzecznej Eskadry Lotniczej (REL), strzelnica i składy amunicyjne, gdyż na początku lat 80. wielka przebudowa obiektów rzecznych spowodowała tu nieodwracalne zmiany. Tzw. „polski slip" został rozebrany, a nowe, zbudowane w uregulowanej części Piny, są produkcji nieistniejącego już państwa zwanego onegdaj ZSRR. Pina i koryto starej Piny pełne są i lilii wodnych i rzęsy wodnej, a na przeciwnym brzegu można odpocząć na plaży, nad wodą, i podglądnąć z fotoaparatem „zakazaną strefę pograniczników". Od czasu do czasu płynie drogą wodną, prowadzącą jak onegdaj przez Pińsk, barka rzeczna...

Brama jednej z firm była otwarta. W dyżurce miły stróż niczym cerber zagrodził wejście grupce obcych, ale dzięki jego uprzejmości udało mi się skontaktować telefonicznie z „czło-

wiekiem duszą", jakim okazał się Stanisław Josifowicz Stefanowicz. Chwilowo jeszcze zamknięta brama obiecywała podróż w przeszłość, w tym i tą najbardziej odległą.

„Pińskie Morze"

W poleskim „błotnistym kraju" jeszcze w czasach carskiej Rosji Romanowów Pińsk stał się w końcu XIX w. zarówno centrum żeglugi rzecznej, jak i miastem znanym z produkcji okrętowej. Przez miasto, korytami rzek i Kanałów Ogińskiego i Królewskiego, spławiano na parowcach wszelkiego rodzaju towary ze wschodu na zachód, i odwrotnie, w systemach wodnych Wisły i Dniepru. Teren Polesia wiosenną i jesienną porą każdego roku bywał odcięty od świata, gdyż ten obszar pokryty jest w ponad połowie jeziorami, starorzeczami oraz moczarami, bagnami i wszelkiego rodzaju rozlewiskami: Prypeci, Piny, Szczary i Muchawca, a także: Horynia, Bobryka, Jasiołdy, Słuczy, Cny, Łani i Styru. Stąd wzięło się określenie „Poleskie Morze" bądź „Pińskie Morze", a że tabor pływający psuł się i wciąż go brakowało, właśnie w Pińsku w 1885 r. powstało przedsiębiorstwo transportowo-rzeczno-stoczniowe (dzięki zaangażowaniu francuskiego kapitału). Właścicielką była Julia Pietrowna O'Brien de Lacy. W 1920 r. firma zatrudniała 290 pracowników osiągając zysk – 210 tys. rubli rocznie. Do 1913 r., tuż przed wybuchem Wielkiej Wojny, pracowało tu 50 osób, zaś zysk firmy wyniósł 13 tys. rubli. W okresie I wojny Pińsk i cały region ujrzał i wycofujące się w 1915 r. wojska carskiej armii, i wkraczające doń oddziały armii niemieckiej w pikielhaubach na głowach. Polska wróciła do stolicy Polesia zimą 1919 r., kiedy to do stolicy regionu leżącej nad Piną nieopodal kanału Dniepr-Bug, wkroczyły oddziały Wojska Polskiego, wypierając na wschód oddziały Armii Czerwonej. 19.04.1919 r. położono podwaliny pod Flotyllę Pińską. 5.03.1919 r. Pińsk zajęły oddziały grupy Podlaskiej Wojska Polskiego (zdobyto tabor kolejowy, magazyny wojskowe, kolumnę pontonową oraz wzięto kilkudziesięciu bolszewickich jeńców). W lipcu 1920 r. oddziały Grupy Mozyrskiej Armii Czerwonej ponownie zajęły Pińsk, odbity ostatecznie przez oddziały Wojska Polskiego 26 IX 1920 r. Po traktacie ryskim z 1921 r. kończącym wojnę polsko-bolszewicką, Pińsk znalazł się w granicach polskich w woj. poleskim. Stał się stolicą diecezji pińskiej oraz ważnym węzłem drogowym (linia kolejowa Brześć-Łuniniec) i rzecznym na mapie II Rzeczpospolitej. Port Wojenny Marynarki Wojennej usytuowany był na lewym brzegu Piny (dł. nabrzeża betonowo-drewnianego wynosiła ok. 500 m), zaś obok położony był port towarowo-pasażerski (nabrzeże o dł. blisko 2500 m). Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej przylegające do Portu Wojennego miały 6 torów slipowych oraz hangar i pochylnię dla hydroplanów...

Rejs w przeszłość

I stanąłem przed bramą w przeszłość, która się otworzyła. Stanisław Josifowicz Stefanowicz specjalnie przyjechał

Pisząc o Rzecznej Eskadrze Lotniczej... po ponad 25 latach ponownie w Pińsku, szukając śladów tej jednostki. Autor na tle hangaru lotniczego w Pińsku.

w wolnym dniu do swego miejsca pracy, zrozumiał polskiego historyka i turystę, i okazał się dosłownie „człowiekiem duszą". Wjechać swoim własnym samochodem w 2015 r. na teren dawnego Portu Wojennego polskiej Marynarki Wojennej, to w zasadzie nic, ale... Zerknąć na izbę tradycji przedsiębiorstwa, w którym polskie ślady to 3 fotografie i 2 zdania zapisane w folderze reklamowym, to w zasadzie nic, ale... Przespacerować się i wściubić nos w każdy portowy kąt, to niby nic, ale... Tak, wejść wszędzie tam, gdzie było to możliwe, to coś, na co badacz czeka przez całe swoje zawodowe życie. Wtedy też zadałem sobie pytanie: który z historyków i autorów piszących o Flotylli Pińskiej postawił stopę na terenie, gdzie duch morsko-rzeczny II RP jest tak silny?! Gospodarz zrozumiał i duszę historyka i... zaproponował rejs po Pinie! Taaaak, na takie chwile czeka się... jw.

Kiedy uruchomiono silniki kutra mającego na dziobie jeszcze w spadku po ZSRR czerwoną gwiazdę, dwuosobowa załoga popłynęła w stronę mostu drogowego na Pinie, w stronę wideł Piny, Prypeci i Jasiołdy. Tak wypływały z Pińska okręty i tabor pomocniczy Flotylli Rzecznej do 1939 r. Płynąłem ich śladem torowym w 2015 r. w chwili, gdy ich już tu nie było, starając się pokrótce przedstawić mojemu gospodarzowi historię i rolę Flotylli na „Poleskim Morzu". Tak, miałem niebywałą dawkę popularnego zawodowego szczęścia, które pozwoliło mi na dotknięcie przeszłości.

Por. mar. obs. K. M. Wilkanowicz w swych wspomnieniach z września 1939 r. zapisał: *„Przenocowaliśmy w Łunińcu skąd mógł odejść następnego dnia pociąg do Pińska, ale nie było pewności, czy odejdzie. Dowiedzieliśmy się natomiast, że o 7^{00} rano następnego dnia z pod Mostów Wolańskich odpłynie do Pińska motorówka Flotylli Rzecznej Mar. Woj. Skorzystaliśmy z tej okazji i pieszo wcześnie rano doszliśmy na wskazane miejsce i po paru godzinach zameldowaliśmy się w Pińsku u kmdra por.* [Stanisława] *Hryniewieckiego, który wówczas był Zastępcą Dowódcy Flotylli* [w rzeczywistości był nim w okresie 1932-1936; w opisywanym czasie funkcję tę pełnił kmdr por. Henryk Eibel]. *Zastaliśmy w Pińsku mrowie powołanych do służby rezerwistów. W kasynie oficerskim było pustawo, ale serwowano posiłki, co było bardzo ważne po wielu dniach głodnej wędrówki. Zainstalowałem się w tym kasynie, bo we wskazanym hotelu nie znalazłem wolnego miejsca i tam (...) przespałem kilka nocy w fotelu nie zdejmując munduru, ale do tego już przywykłem w ciągu dwóch poprzednich tygodni wojny, bo ani jednej nocy nie prze-*

Brama wejściowa do zakazanej strefy pograniczników. Symbolika marynarska wszystko tłumaczy, a w głębi ciemna bryła hangaru Rzecznej Eskadry Lotniczej w Pińsku.

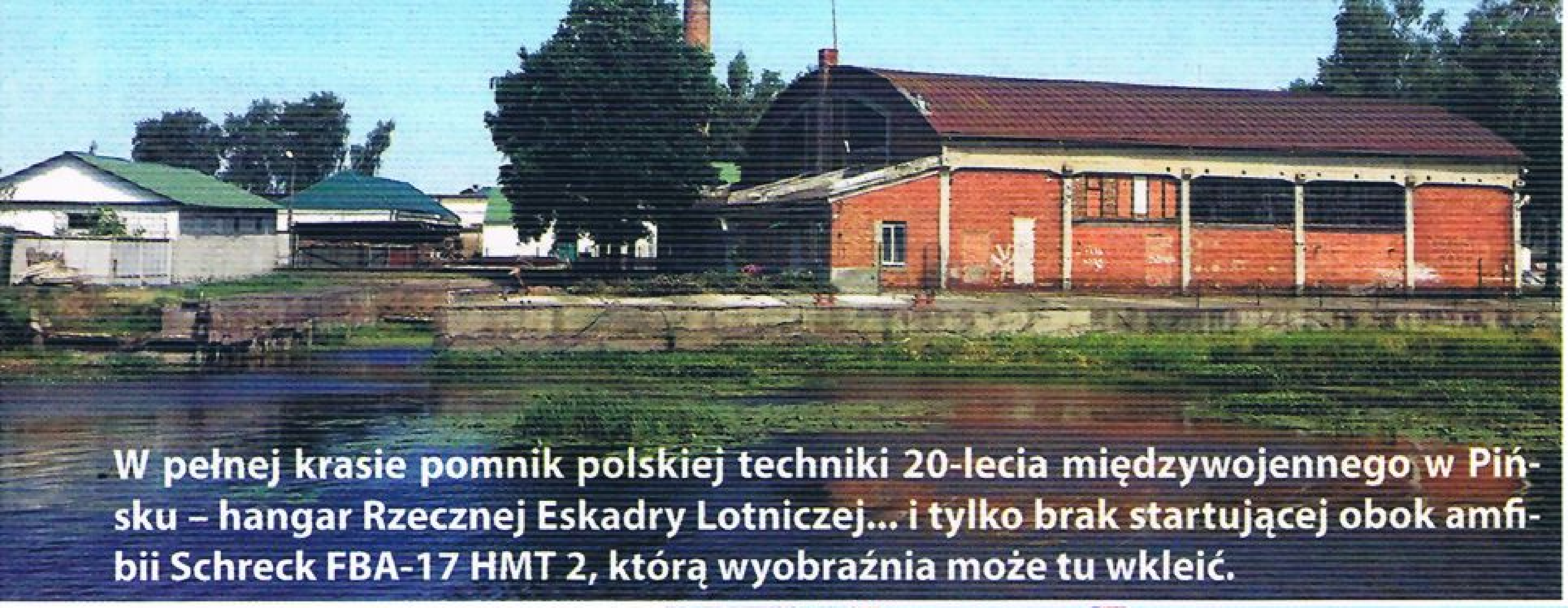

W pełnej krasie pomnik polskiej techniki 20-lecia międzywojennego w Pińsku – hangar Rzecznej Eskadry Lotniczej... i tylko brak startującej obok amfibii Schreck FBA-17 HMT 2, którą wyobraźnia może tu wkleić.

Ściana tylna hangaru Rzecznej Eskadry Lotniczej wraz ze służbową przybudówką, i tylko Pina jest taka sama jak w latach 30.

spałem w łóżku. Stała prowizorka. Miałem ze sobą tylko jedną zmianę bielizny i przybory do golenia jako cały majątek. Wypłacono wtedy mi 500 złotych zaliczki, ale w jednym banknocie, którego nikt nie chciał wymienić przy usiłowanych zakupach i musiałem z nich zrezygnować. Pińsk oczywiście był już zbombardowany jak i inne miasta [przez Luftwaffe]. *Ludność zastraszona, nastroje minorowe. W kasynie było radio, więc słuchaliśmy komunikatów o aktualnej sytuacji wojennej, które były coraz bardziej tragiczne. Dowiedzieliśmy się o ewakuacji Prezydenta i Rządu do Rumunii, o generale Sikorskim i tworzeniu wojska polskiego we Francji oraz, że chociaż nasi zachodni sprzymierzeńcy wypowiedzieli wojnę Niemcom, ale jeszcze ofensywnie nie zareagowali. Następnego dnia, to jest 17 września 1939 roku, gruchnęła wieść o wkroczeniu Sowietów na polskie terytorium, a więc »nóż w plecy«. Rozpoczyna się rozgardiasz, rabunki sklepów, magazynów w porcie wojennym i w mieście Pińsku, których przestano pilnować. Ja sam z otwartego magazynu zaopatrzyłem się w dodatkową zmianę bielizny, bo wszystką własną miałem brudną. Zaczęto organizować ewakuacje personelu Flotylli i Wojska Polskiego, nad którymi objął dowództwo gen. Kleberg* [Kleeberg]*"*.

Mój Pińsk, to Pińsk 2015 r., a za bramą prowadzącą do strefy pograniczników znajdował się główny cel marzeń... hangar lotniczy.

Hangar Rzecznej Eskadry Lotniczej w Pińsku

Po raz pierwszy hydroplany – łodzie latające typu Schreck FBA-17 HMT 2, Morskiego Dywizjonu Lotniczego (MDLot. – MDL) w Pucku – zawitały ćwiczebnie do Pińska latem roku 1926. Z biegiem czasu do Pińska wysłano co najmniej jeden hangar namiotowy, który rozbijano w okresie corocznych Kampanii Czynnych Flotylli na lotnisku polowym przy Mostach Wolańskich nad Prypecią. Wg założeń amfibie Rzecznego Plutonu Lotniczego (RPL) miały zimować w Pińsku, lecz aby tak się stało, musiał być ukończony hangar lotniczy stawiany w Porcie Wojennym. Budowę rozpoczęto latem 1927 r. W lipcu tego roku ogłoszono przetarg na jego budowę, który wygrała firma „Budownictwo & Przemysł. Polska Spółka Udziałowo-Budowlano-Przemysłowo-Mierniczo-Leśna".

25 lipca wykonano pierwsze pomiary – prace badawcze gruntu wykonała firma „Rychłowski, Wehr i S-ka. Inżynierowie-specjalność-hydrotechnika-Hydrologia". Wg projektu inż. Obryckiego i Gostyńskiego hangar miał mieć ręcznie rozsuwane, lub za pomocą silników elektrycznych, wrota. Prace budowlane miały być ukończone z dniem 1.07.1928 r., zaś kanalizacją miała się zająć firma „Inż. Cz. Zarzecki". Pracami kierował inż. Kobyłko, jego przełożonym został inż. Obrycki. Wraz z budową hangaru budowano także przybudówkę do niego, którą ukończono we wrześniu 1928 r. Dowódcą RPL był por. pil. Ludwik Feliks Baczyński. 11.12.1928 r. firma budująca hangar wystosowała pismo do Kierownictwa Marynarki Wojennej (KMW) informujace o zakończeniu robót i możliwości odbioru hangaru. Nie było to zgodne z prawdą, gdyż w piśmie z 30.01.1929 r. dowódca Flotylli Pińskiej kmdr. Witold Zajączkowski informował KMW o występujących brakach na budowie, co potwierdziła wyznaczona 24.07.1929 r. przez Komendanta Portu Wojennego w Pińsku komisja do przyjęcia robót w hangarze. Drobne prace wykończeniowe przy budynku hangaru ciągnęły się jeszcze przez trzy lata (1929-1932). Ostateczne przyjęcie hangaru miało miejsce w kwietniu 1932 r. Na okres zimowy amfibie umieszczano w tym hangarze, w którym można było pomieścić maks. pięć maszyn, gdyż bazując na wodzie, ich lekkie, drewniane kadłuby narażone mogły być na zgniecenie przez zwały kry lodowej (wciągnięte do hangaru hydroplany stawiano na wózkach transportowych, dodatkowo pod dziobem i ogonem każdej z nich ustawiano po jednym stojaku, tzw. kobyłce). Wnętrze hangaru RPL tak opisywał kpr. nadt. uzbr. Bernard Hanuszewski: *„Hangar na owe czasy zaliczał się do nowoczesnych. Ze wschodniej strony cały przód się otwierał jak harmonia na dwie części. Miał w kanałach centralne ogrzewanie, kotłownia mieściła się po stronie zachodniej. W czasie zimy wewnątrz hangaru było ciepło. Pomieszczenie socjalne-koszarowe dla załóg mieściło się obok kotłowni* (przybudówka – przyp. A.O.). *Były tam łóżka, szafki, wszystko jak w koszarach. Kuchnia dla załogi mieściła się na barce pływającej, zakotwiczonej przy molo, obok hangaru. W hangarze mieściło się 5 Schrecków. Wewnątrz było specjalne pomieszczenie dla szkutników, którzy naprawiali kadłuby uszkodzonych samolotów. Również było tam pomieszczenie oddzielne dla uzbrojenia, które osobiście obsługiwałem. Zaraz za nim mieściła się kancelaria"*.

Stałem na pokładzie kutra płynącego nurtem Piny i spokojnie, bez stosowania fotograficznego zoom-u, chłonąłem obraz hangaru znajdującego się w niedostępnej strefie. Aby wejść na teren obiektu, będącego pod nadzorem białoruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, potrzeba specjalnego zezwolenia, by móc zajrzeć do wnętrza hangaru lotniczego z przełomu lat 20. i 30. znajdującego się w idealnym stanie,

pomimo upływającego czasu. Zatem mimo maksymy *tempus fugit*, czas służy „lotniczemu staruszkowi", do którego wnętrza zabrakło tylko 150 m… Nie mogłem zaglądnąć do środka, ale spytałem o to Stanisława Josifowicza Stefanowicza. Odpowiedział: – *Byłem tam w środku około 4 lata wstecz. Olbrzymie drzwi do hangaru otwierają się bez zarzutu, a w środku pogranicznicy trzymają swoje motorówki i cały hangar jest wielkim magazynem sprzętu. Znaku czasu w nim nie widać. Solidna robota.*

Obecnie nie ma w hangarze amfibii typu Schreck FBA-17 HMT 2 francuskiej produkcji z polskimi szachownicami na płatach i kadłubach, bo być nie może. Wszystko jest inne w Pińsku 2015 r., niż w Pińsku lat 30., ale on, lotniczy ostatni Mohikanin II Rzeczpospolitej jest tam, gdzie go postawiono i trwa…

Miało Polesie swą Flotyllę, a ta miała swą Eskadrę Lotniczą. Czas letnich i zimowych ćwiczeń lat 30. na Polesiu, z kabiny popularnego Schrecka, wspominał st. bosm. pil. Franciszek Wardaliński: *„Płatowce wyznaczone na służbę startowały z szerokiego rozlewiska Piny i wzdłuż jej krętego i dzikiego koryta leciały do wyznaczonego punktu. Po drodze spotykały zwykle idące już tą trasą od kilku godzin monitory Flotylli. Celem był zazwyczaj duży ponton z nadbudowanym obszernym drewnianym pokładem, na którym czekali już mechanicy i oficerowie łącznikowi Flotylli, była tam też benzyna. Hydroplan wodował przy pontonie, załoga omawiała z oficerami marynarki ćwiczenia na dzisiaj i odlatywała na zadanie. Gdzieś na zakolach rzek lotnicy odnajdywali monitor z gotowymi do strzału działami, a potem wg mapy szukali odległego o parę kilometrów celu. Po odnalezieniu go lotnicy znów wracali nad monitor i przelatywali nad nim lecąc kursem prosto na cel, a znajdując się nad celem strzelali rakietę. Padała salwa monitora. Kurs samolotu i rakiety miały dla artylerzystów specjalne znaczenie. Lotnicy przechodzili nad okręcikiem z lewej lub prawej strony, zależnie od błędu ostatniej salwy, lecieli znowu nad cel, rakietami informowali, czy pociski padały za daleko, czy za blisko. Mimo tak prymitywnych metod dzięki dobrej współpracy z dołu i z góry trzecia seria powinna być w celu. Tymczasem na pontonie-tratwie* (chodzi o krypę mieszkalną – przyp. A.O.) *obsługa startu i lotnicy z następnej załogi łowili ryby, piekli je przy ognisku, kąpali się lub opalali, omawiali ostatnie polowanie. Oczywiście taka sielanka nie zawsze była podczas ćwiczeń. Trzeba było wodować w nieznanych miejscach wąskich rzek, wypadki i uszkodzenia sprzętu zdarzały się tu częściej niż w Pucku. W zimie trzeba było latać w panujące tu z reguły siarczyste mrozy. Do chłodnic lano nie zamarzające mieszanki, pod kadłub montowano płozy i delikatne francuskie hydroplany pełniły służbę niemal w arktycznych warunkach".*

Wielokrotnie dowódca Flotylli Rzecznej kmdr Witold Zajączkowski, nazywany „księciem Polesia", wraz z pilotami REL latał w rejon Mostów Wolańskich. Inspekcjonował bazujące tam okręty Flotylli oraz latał na loty wywiadowcze w pobliże granicy z ZSRR. Z powodu kłopotów technicznych 9.11.1937 r. Szef KMW podjął decyzję o rozformowaniu REL do czasu, kiedy będzie możliwe uzyskanie (zakup) nowego sprzętu latającego. REL została zlikwidowana po zakończeniu Kampanii Czynnej Flotylli Rzecznej w 1937 r. – 25(20?).12.1937 roku. 25 podoficerów i marynarzy odesłano do Pucka, a wraz z nimi koleją niebawem wysłano zdemontowane amfibie Schreck FBA-17 HMT 2 o nr.: 5-3, 5-4, 5-8, 5-9, 5-10. W 1938 r. w Pińsku jeszcze chwilowo bazowała jedna (dwie ?) amfibia, która wykonywała przeloty z pocztą z Pińska w rejon Mostów Wolańskich.

W 1938 r. w warsztatach MDLot. w Pucku skasowano ostatnie amfibie pińskiej REL, a 4.01.1938 r. do Pucka odesłano ze stolicy Polesia ostatnich 10 marynarzy REL.

Droga do Mokran

„Początkowo maszerowaliśmy w ciągu dnia, nocą odpoczywając, ale już po trzech dniach [20.09.1939] *ten system okazał się niemożliwy z powodu sowieckich nalotów bombowych i stratach w zabitych i rannych, wtedy zaczęliśmy maszerować tylko nocą. Szliśmy w ogromnej kolumnie potykając się na nierównościach dróg. Dobrze, jeśli udało się znaleźć miejsce za wozem taborowym, którego można było się trzymać. Były liczne zatrzymania się kolumny i wtedy zasypiało się na stojąco. Koledzy z załogi*

REKLAMA

Cena detaliczna: 18,90 zł

ISBN 978-83-65005-25-0

Kilkusethektarowe jezioro Siemień leżące w pobliżu Parczewa do jesieni 2007 r. kryło w sobie zagadkę związaną z losami jedynego, w 1939 r. najnowocześniejszego wodnosamolotu znajdującego się w dyspozycji polskiej Marynarki Wojennej – wodnosamolotu pływakowego typu CANT Z-506 B *Airone* (Czapla) konstrukcji włoskiej. Historia brawurowego przelotu tego hydroplanu i jego załogi na trasie z włoskiego z Monfalcone koło Triestu do nad bałtyckiego Pucka w przeddzień wybuchu II wojny światowej oraz dalsze losy wodnosamolotu jak i załogi podczas Wojny Obronnej 1939 r. mogą śmiało służyć za kanwę sensacyjnego filmu. Jednak historia CANT-a nie zakończyła się wraz z wrześniową klęską. Od kilkudziesięciu lat miejsce, w którym we wrześniu 1939 r. został zniszczony ten ogromny wodnosamolot Morskiego Dywizjonu Lotniczego, Siemieński Staw – jezioro Siemień, stanowiło magnes przyciągający pasjonatów, badaczy, historyków i poszukiwaczy pragnących dopisać ostatni rozdział w jego w wielu miejscach niesamowitej historii. Udało się to dopiero upartemu badaczowi przeszłości, red. Adamowi Sikorskiemu z TVP w Lublinie. Skąd jednak w 1939 r. nad Bałtykiem i na terenie Lubelszczyzny wzięła się ta niezwykła maszyna? Vigna di Valle położone jest na północ od Rzymu. Nad wielkim jeziorem znajduje się tam Museo Storico Aeronautica Militare di Vigna Valle. W gronie wielu interesujących eksponatów samolotów używanych w XX wieku przez lotnictwo włoskie, znajduje się przykuwający oko rozmiarami, majestatyczny wodnosamolot pływakowy. Jedyny na świecie CANT Z-506 *Airone*, który eksponowany jest w głównym hangarze. Dwa jeziora, w dwóch krajach Europy spajają historię *polskiej Czapli*, wodnosamolotu pływakowego polskiego lotnictwa morskiego, którego spora część unikatowych elementów konstrukcyjnych znajduje się w zbiorach Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie.

Znajdź nas na Facebook. www.facebook.pl/ksiegarnia.historyczna.dobra

Patronat medialny:

CANT Z-506 B Airone Morskiego Dywizjonu Lotniczego Andrzej Olejko

CANT Z-506 B Airone

Morskiego Dywizjonu Lotniczego

Andrzej Olejko

historyczna.com.pl

Stojąc nad Bugiem we Włodawie… spójrzcie na Kresy, na Mokrany.

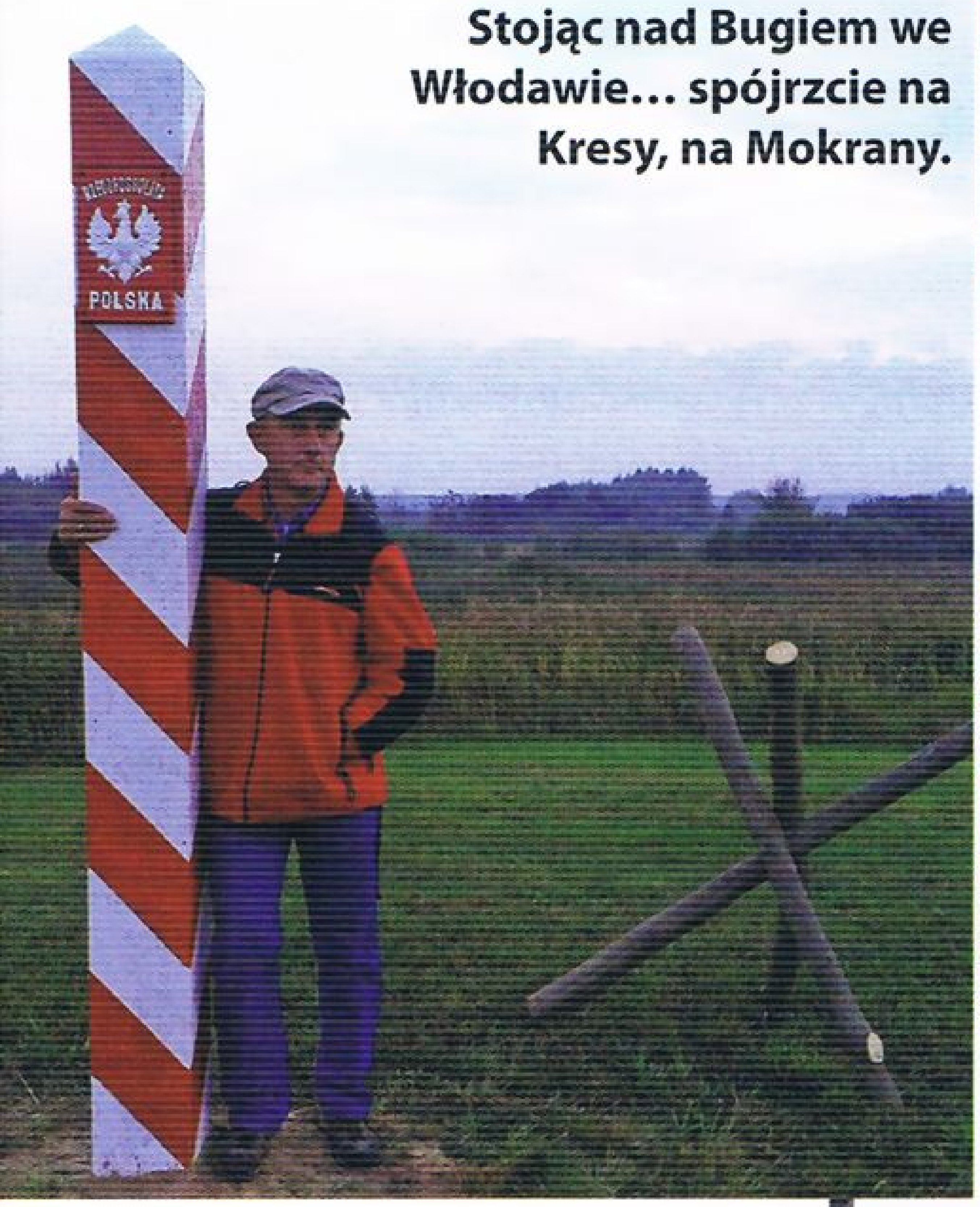

Mokrany – „marynarski Katyń"…

Wszystko się zmieniło w latach 80. po generalnej przebudowie Portu Wojennego w Pińsku zbudowano te właśnie slipy.

Canta-a [Z-506 B Airone] *powoli rozproszyli się w mrowiu wojska znajdując dawnych kolegów czy znajomych. Mijaliśmy wiele spalonych wsi i domowisk. Dzień i noc słyszeliśmy strzelaniny karabinowe, napotykaliśmy porzuconą broń i amunicję, nawet pociski artyleryjskie ułożone w pryzmę. A także małe grupki żołnierzy bez uzbrojenia wracające do domów po rzekomym rozwiązaniu ich oddziałów. Prawie w każdej wsi na wschód od Bugu stały już ozdobne bramy powitalne dla sowieckich »wyzwolicieli«. Bug przemaszerowaliśmy brodem. (…) I tak zgnębieni losami tej wojny i wymęczeni mozolnym marszem dnia 5 października* [1939] *zbliżyliśmy się do Kocka i po bohaterskich walkach z Niemcami gen. Kleberg* [Kleeberg] *w dniu 6 października 1939 roku zdecydował kapitulować i zostaliśmy wzięci do niewoli niemieckiej"*. Ostatnia dawka wspomnień por. mar. obs. K. M. Wilkanowicza oddaje klimat tragicznego końca Flotylli Rzecznej.

Są takie dwa miejsca na mapie III Rzeczpospolitej i dawnej II Rzeczpospolitej, gdzie spinają się losy poleskich marynarzy. Warto zatrzymać się nad Bugiem, tuż pod Włodawą, i spojrzeć na słupy graniczne „pojałtańskiego ładu" w barwach Republiki Ukrainy, obejmując słup graniczy pomalowany w pasy biało czerwone. Warto spojrzeć na wschód znad Bugu i z pomocą starych fotografii i wyobraźni, przywołać obrazy z Polesia, jak i obraz forsujących wpław Bug, zmęczonych i najczęściej w mundurach polskiej piechoty oficerów, podoficerów i marynarzy Niezapomnianej Flotylli idących na pole ostatniej swej bitwy i ostatniej bitwy polskiego września – bitwy pod Kockiem.

A gdzie jest drugie to ważne miejsce?

Mokrany, to mała miejscowość znajdująca się na terenie Republiki Białorusi, tuż obok przejścia granicznego prowadzącego na teren Republiki Ukrainy. W 1992 r. byłem przy pomniku postawionym tuż przy drodze po raz pierwszy, teraz, to było odwołanie się do tamtych wspomnień. Wówczas staliśmy razem z kmdr. por. dr. Mariuszem Konarskim przy obelisku w nocnym mroku, teraz stałem przy nim w blasku gorącego dnia, sam. Szosa prowadząca w stronę sąsiedniego państwa, a przy niej w zadbanym otoczeniu symboliczne upamiętnienie tych, którzy padli ofiarą mordu wykonanego przez żołnierzy Armii Czerwonej, oficerów Wojska Polskiego i oficerów i podoficerów Flotylli Rzecznej polskiej Marynarki Wojennej. Pomnik przy którym rzadko zatrzymuje się polski turysta, historyk, czy też obcokrajowiec. To fakt, że chcąc podróżować po terytorium Republiki Białorusi potrzebna jest wiza, ale przez 7, 10 czy 14 dni można znaleźć się na szlaku roku 1939 (Grodno, Sopoćkinie), szlaku 1944 r. (Jewłasze, Surkonty, Smorgonie), bądź na zapomnianym szlaku Niezapomnianej Flotylli. Ale ponad wszystko warto. Warto!

ZDJĘCIA: ANDRZEJ OLEJKO, ZBIORY ANDRZEJA OLEJKO, I KMDR. POR. DR. MARIUSZA KONARSKIEGO.

Przypisy:

[1] Łuniniec (biał.: *Лунінец*, ros.: *Лунинец*), miasto na Białorusi, stolica rejonu w obwodzie brzeskim.

[2] Mohylew (biał. Магілёў, Mahiloŭ, ros. Могилёв, Mogilow), trzecie pod względem liczby ludności miasto na Białorusi, nad Dnieprem, blisko granicy z Rosją, siedziba administracyjna obwodu mohylewskiego i rejonu mohylewskiego. Mozyrz (biał. Мазыр, Mazyr),miasto na Białorusi, na Polesiu, nad Prypecią, w obwodzie homelskim.

[3] M. Borowiak, „Zapomniana flota. Mokrany. Polska Marynarka Wojenna w wojnie z Rosją sowiecką w 1939 r.".

[4] W. A. Spiczakow, „W tieni »*Żelezniakowa*«. Riecznyje monitory sierii SB-37, [w:] „Morskaja Kampania" 7/2009; tenże: W. A. Spiczakow, „Pinskaia voennaia flotilia v dokumentah i vospominaniah". Monografia, Lwów 2009.

[5] http://wikimapia.org/67565/pl/Most-kolejowy-Mosty-Wola%C5%84skie

[6] Dawigródek (biał. Давыд-Гарадок,) miasto na Białorusi, w obwodzie brzeskim, w rejonie stolińskim.

Andrzej Olejko

Historyk, dr hab. prof. UR, wykładowca historii w Instytucie Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego – specjalność: historia wojskowości, problematyka lotnicza, historia regionu karpackiego. Kierownik Zakładu Historii Wojskowości. Autor ponad 300 artykułów o tematyce historyczno-lotniczo-morskiej.

Dwa komplety wózków, które 10 sierpnia br. przyjechały do bydgoskiego Muzeum Wojsk Lądowych z Norwegii. Na pierwszym planie dwie części wózka do przewozu łoża z kołyską. Na dalszym od lewej: obie części wózka do transportu łoża z kołyską, wózek do transportu podstawy, dwa wózki do transportu luf i wózek do transportu podstawy.

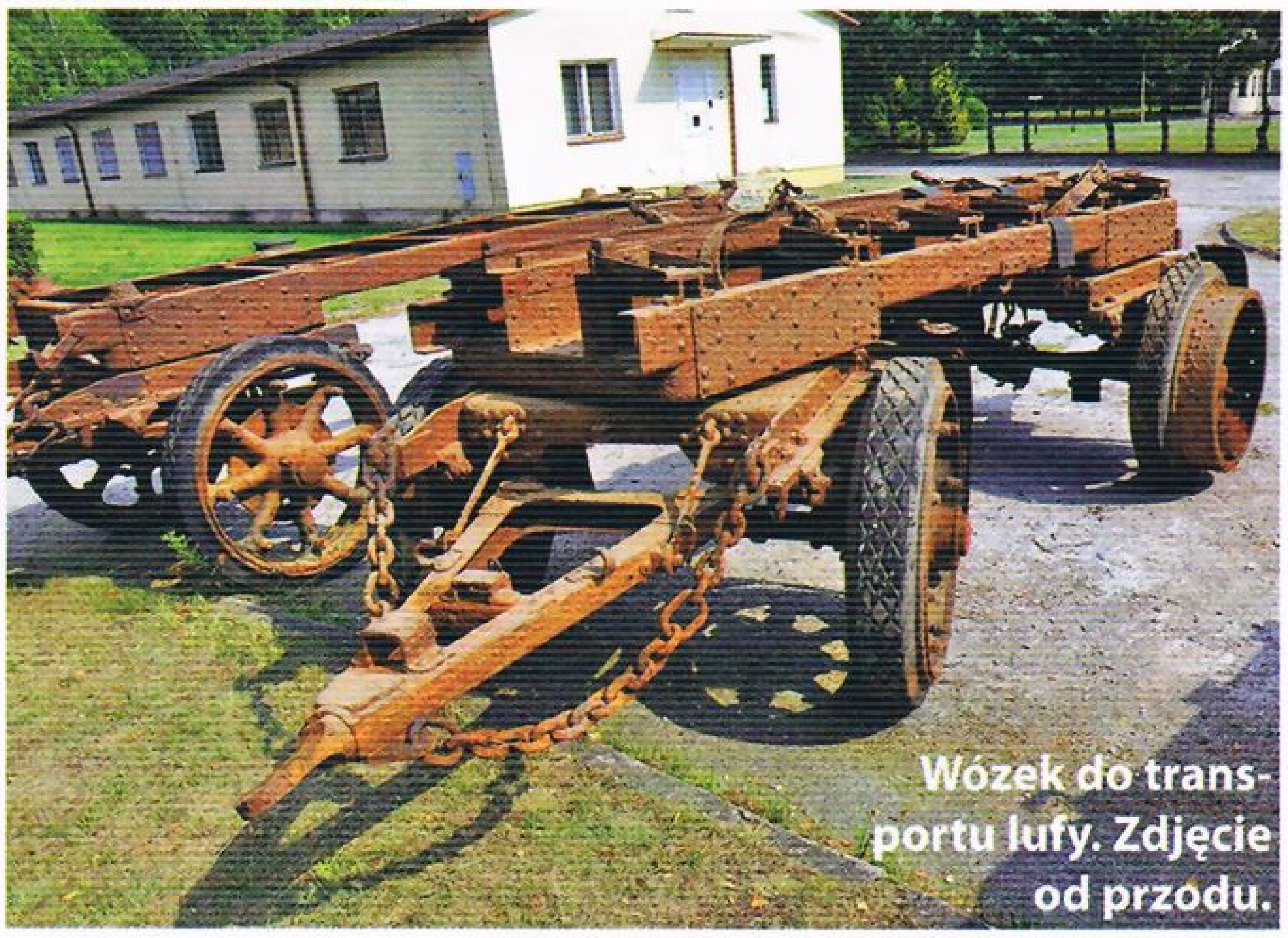

Wózek do transportu lufy. Zdjęcie od przodu.

Odyseja wrześniowych lawet

ŁUKASZ SKOCZEK

Na początku sierpnia br. do Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy trafiły unikatowe zabytki techniki wojskowej. Historia ich pozyskania oraz pochodzenie są równie wyjątkowe, i przypominają militarną odyseję odzwierciedlającą niezwykłe dzieje rodzimego oręża podczas II wojny światowej. Mowa o czechosłowackich wózkach transportowych moździerzy 220 mm wz. 32, znajdujących się na wyposażeniu Wojska Polskiego we wrześniu 1939 roku. W wyniku prowadzonych wówczas działań zostały przejęte przez Niemców, którzy wykorzystywali je później podczas budowy umocnień w Norwegii. Tam też pod koniec wojny zostały porzucone u brzegów jednego z jezior. Po 70. latach nastąpił ich powrót do kraju.

Zaleganie lawet na dnie jeziora Øvre Jernvannet w górach Nygårdsfjellet w okręgu Nordland, nie było tajemnicą, jednak okolice te są dość specyficzne. Nie dość, że odludne, to podlegają jeszcze dodatkowej ochronie i objęte są zakazem wjazdu dla pojazdów mechanicznych. Co więcej, nieopodal znajdował się w czasie wojny obóz dla niemal 600 jeńców jugosłowiańskich. Wielu z nich zmarło i zostało pochowanych w nieoznaczonych mogiłach w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, gdzie znajdowały się porzucone wozy. Do dzisiaj uważa się, że wiele szczątków ofiar nadal pozostało nieekshumowanych.

Sam akwen jest regulowany i charakteryzuje się zmianami głębokości zależnej od pory roku – latem wody przybywa, zimą jest jej mniej, do tego stopnia, że lawety były widoczne ponad jej lustrem. Przez długie dekady nikt jednak nie przejawiał inicjatywy, by je wydobyć. Aż do czasu, gdy kilka lat temu informacje o nich dotarły do polskiej placówki dyplomatycznej w Oslo. Ambasador RP Stefan Czmura wraz z attaché obrony płk. Jarosławem Przybysławskim rozpoczęli wówczas rozmowy ze stroną norweską na temat przeprowadzenia akcji wydobycia lawet i sprowadzenia do Polski.

Dzięki przychylności Norwegów pierwszą próbę podjęto latem 2013 r., jednak niesprzyjające ku temu warunki oraz zbyt niski poziom jeziora sprawiły, że działania te zakończyły się niepowodzeniem. Rok później, w lipcu 2014 r., akcję ponowiono. Za zgodą ówczesnego dowódcy Sił Zbrojnych Norwegii, gen. Haralda Sunde, przystąpił do niej Batalion Inżynieryjny Brygady Północ z m. Skjold. Lawety znajdowały się wówczas ok. 80 m od brzegu na głębokości 5 m, co umożliwiło sprawne podczepienie pod zalegające pod wodą wozy balonów wypornościowych, które podniosły je na powierzchnię. Tym razem więc operacja się powiodła, minąć musiał jednak kolejny rok, zanim udało się sfinalizować ich wywóz do Polski.

W tym czasie trzy lawety zostały doraźnie zmagazynowane i wstępnie zabezpieczone przed korozją w warsztatach Bjerkvik Tekniske Verksted. Nadal toczyły się również negocjacje dotyczące szczegółów ich przekazania do kraju. Ostatecznie, po serii uzgodnień pomiędzy obecnym attaché obrony Ambasady RP w Oslo, kmdr. Wiesławem Szczepanikiem, a Muzeum Sił Zbrojnych Norwegii w Oslo, ambasador Stefan Czmur w połowie lipca br. podpisał akt przekazania do Polski dwóch zestawów lawet, które 10 sierpnia br. trafiły do Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy. Trzeci egzemplarz pozostanie w Norwegii najprawdopodobniej zasilając zasoby Muzeum II Wojny Światowej w Narwiku.

Oto historia tych niezwykłych zabytków techniki militarnej, które udało się odzyskać w przeddzień kolejnej rocznicy wybuchu II wojny światowej…

Klamra do mocowania lufy na wózku. Na obejmie zachowało się skórzane obicie. Po prawej stronie widoczny także fragment mosiężnego łoża, na którym spoczywała lufa w trakcie transportu.

Wózek do transportu podstawy moździerza. Warto zwrócić uwagę na jeden z lepiej zachowanych błotników oraz na siedzenia do transportu obsługi. Pomiędzy siedzeniami znajduje się korba do uruchamiania hamulca.

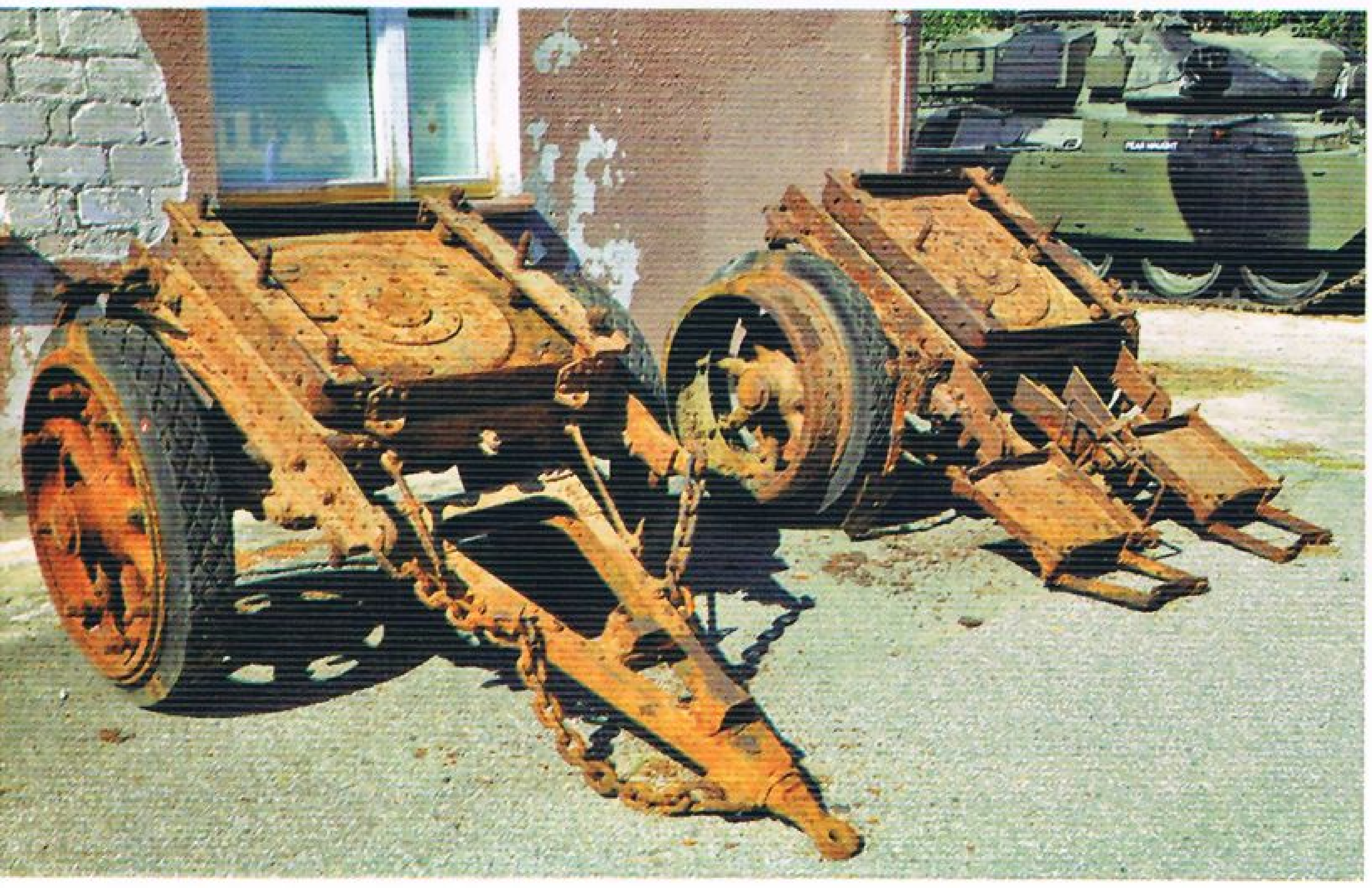

Wózek do transportu łoża z kołyską. Składała się z dwóch części. Po lewej stronie przednia, po prawej tylna. Wózki tworzyły całość po umieszczeniu na nich łoża.

Niespotykane już dzisiaj rozwiązanie uszczelnienia mechanizmu skrętu za pomocą sznura. Wszystkie wózki miały skrętną przednią oś, ale po odkręceniu dwóch śrub, można było skręcać również tylną. To rozwiązanie ułatwiało poruszanie się w trudnym terenie.

Początki artylerii ciężkiej w II RP

Wojsko Polskie w momencie odzyskania niepodległości borykało się z dużymi problemami sprzętowymi. Z jednej strony były to braki ilościowe, z drugiej brak unifikacji widoczny od broni strzeleckiej po sprzęt ciężki. Sytuacje dodatkowo pogarszał, w wielu wypadkach, wysoki stopień wyeksploatowania posiadanego uzbrojenia i szczupłe zapasy nieprodukowanej w kraju amunicji. Dotyczyło to również wyposażenia wojska w ciężką artylerię. Próbowano temu zaradzić, kupując na początku 1919 r. partię starych, włoskich moździerzy kal. 210 mm. Służyły one w 1. Pułku Motorowym Artylerii Najcięższej, w 1. i 2. baterii (po dwa moździerze). Obie baterie brały udział w zdobyciu Grodna, strzelając do fortów zewnętrznych nr V i VI.

Potrzeba posiadania ciężkiej artylerii pojawiła się ponownie w 1925 r., kiedy Niemcy rozpoczęli budowę swoich umocnień w pasie przygranicznym. Według planu Piłsudskiego w wypadku wojny Francji i Polski z Niemcami, należało opanować Prusy Wschodnie i część Pomorza Zachodniego. Stare, włoskie moździerze i francuskie armaty syst. De Bange na sztywnych łożach były już przestarzałe. Należało poszukać ciężkich dział o nowoczesnej konstrukcji.

Koło z ogumieniem firmy Goodyear. Widoczna obręcz, która miała zapobiegać zapadaniu się kół w trudnym terenie. Na obręczy widoczne niemieckie malowanie. Ponieważ koła były cały czas zanurzone w mule, ich stan jest przyzwoity.

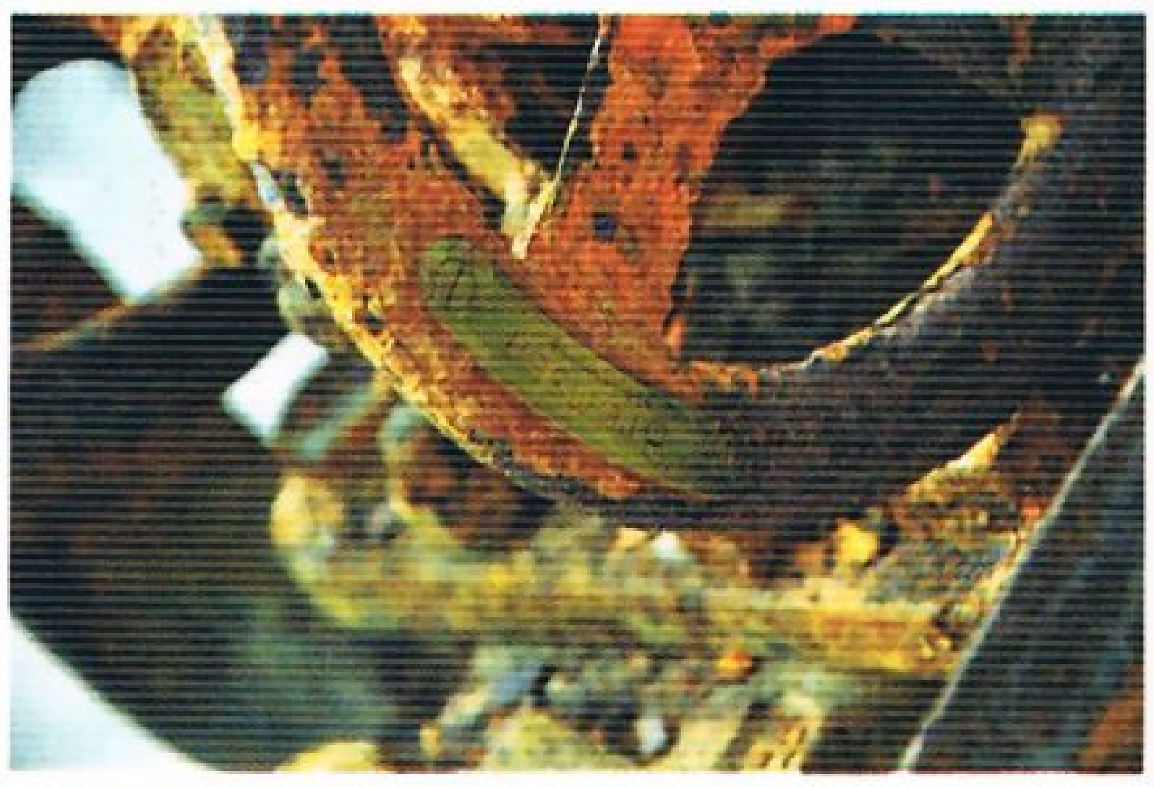

Mosiężna tabliczka na korbie hamulca z niemieckim napisem „Bremsen" (hamować). Kolejny po malowaniu dowód na przejęcie przyczep przez Niemców.

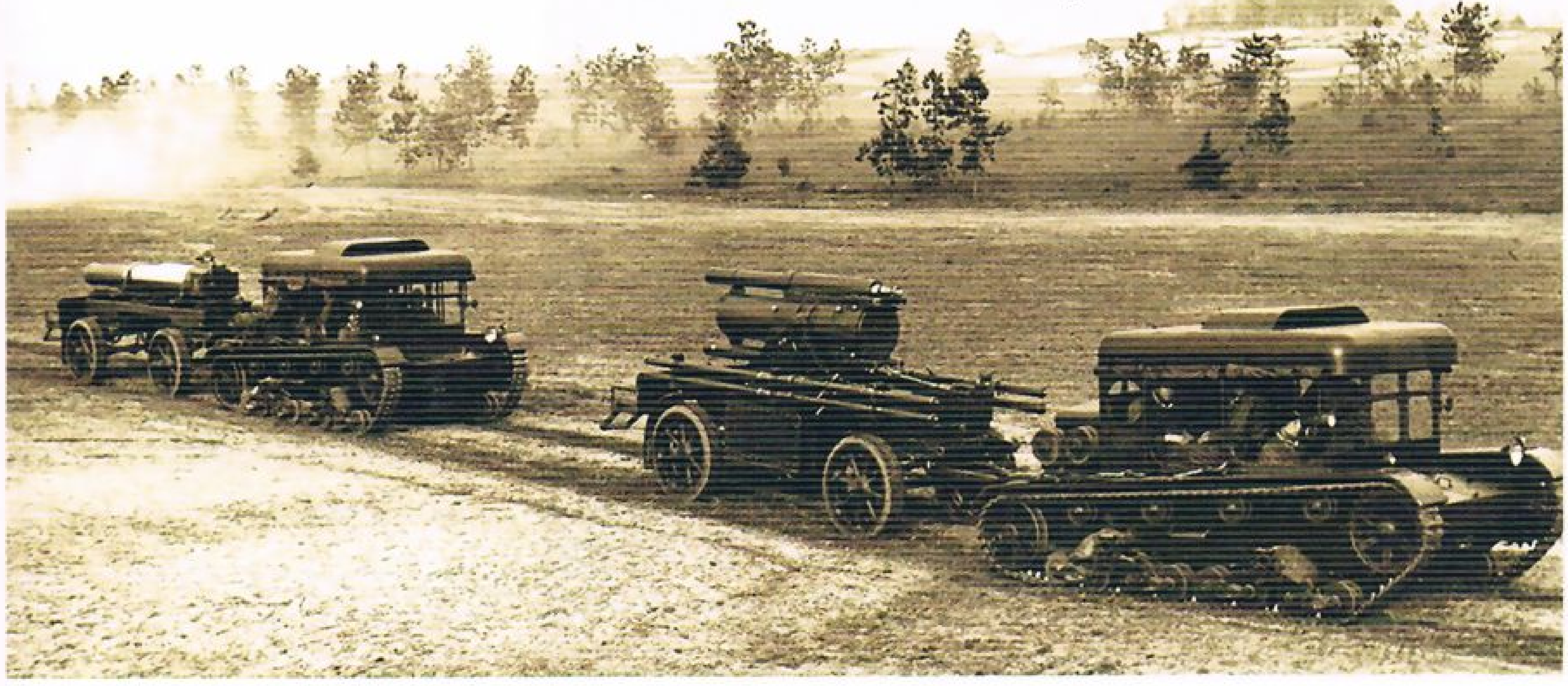

1. Pułk Artylerii Najcięższej w czasie ćwiczeń z moździerzami kal. 220 mm. Z przodu wózek z kołyską, dalej wózek z lufą holują ciągniki C7P. Zdjęcie z kolekcji Adama Jońcy.

Przejęty przez Niemców polski wózek z kołyską na wagonie kolejowym w Norwegii. Zdjęcie z kolekcji Adama Jońcy.

Moździerze Škody w Wojsku Polskim

Polski przemysł nie był w stanie poradzić sobie z zaprojektowaniem i produkcją ciężkich dział. Tym samym Wojsko Polskie zmuszone było szukać nowoczesnej, ciężkiej artylerii poza granicami kraju. Wybór padł na czechosłowackie zakłady Škoda z Pilzna, znane z produkcji ciężkiej artylerii dla austro-węgierskiej armii. Czesi zaproponowali swój nowy moździerz ON (cz. 22 cm Moždíř ON). Pierwszy pokaz moździerza w obecności polskiej komisji odbył się pod koniec października 1929 r. na poligonie Malacky pod Bratysławą. Polacy wystawili moździerzowi pozytywną opinię, ale zażądali wprowadzenia kilku poprawek. Najistotniejszą była zmiana zamka klinowego na śrubowy, który wg Departamentu Uzbrojenia M.S.Wojsk. był właściwszy dla działa dużego kalibru. Jako dostawcę zamków Polacy zasugerowali firmę Schneider. Po długich negocjacjach spowodowanych żądaniami strony polskiej i światowym kryzysem, 7.03.1933 r. podpisano umowę na zakup 27 dział i 2700 granatów półpancernych (przeciwbetonowych). Co ciekawe, zapłata miała nastąpić w polskim węglu. Cenę kompletnego moździerza określono na 700 tys. zł. Dla porównania, cena jednego czołgu 7TP z uzbrojeniem wynosiła 231 tys. zł.

Pierwszy moździerz, jeszcze z zamkiem klinowym, w celach przetestowania, Czesi wysłali do Polski w grudniu 1933 roku. Testowano je w 1. Pułku Artylerii Najcięższej. W czasie rajdu terenowego wyszły na jaw usterki, z których najpoważniejsze to nienadające się do jazdy w terenie koła i wyczerpująca obsługę jazda na wózkach transportowych. Wobec tego moździerz po zakończeniu prób zwrócono zakładom Škoda. W celu poprawy właściwości jezdnych strona polska zażądała wymiany kół na pneumatyczne. Ostatecznie zastosowano koła o szerszym ogumieniu pustakowym, czyli z pustymi komorami w masywach gumowych, które zapewniały większą elastyczność i lepsze tłumienie drgań.

Wszystkie 27 moździerzy dotarło do Polski w grudniu 1935 r. i zostało przyjęte do uzbrojenia jako moździerz 220 mm wz. 32. Część trafiła do 1. Pułku Artylerii Najcięższej, a część do składnicy, jako zapas mobilizacyjny.

Dla obniżenia kosztów szkolenia wykonano dwie lufy wkładkowe o kalibrze 100 mm, odpowiadające lufom używanych w Polsce czechosłowackich 100 mm haubic wz.14/19. Do holowania wózków z poszczególnymi członami moździerza przewidziano ciągniki C7P. Jeden ciągnik holował jeden wózek. Obsługa moździerza była przewożona na ciężarówkach Polski Fiat 621L. Amunicję wożono na przyczepie amunicyjnej „R", którą holował ciągnik C7P. Do moździerzy wz. 32 Wojsko Polskie posiadało jedynie amunicję przeciwbetonową, w związku z czym, w sierpniu 1935 r. rozpoczęto prace nad wprowadzeniem do uzbrojenia granatów odłamkowych. Pierwszą partię wyprodukowano dopiero w 1939 r., planując wprowadzenie ich do uzbrojenia w roku 1940…

Moździerz składał się z trzech, osobno transportowanych elementów: lufy, łoża z kołyską i podstawy. Elementy te przewożono na specjalnych przyczepach i składano na stanowisku bojowym w 5,5 godziny, a rozkładano w 2,5 godziny. Tak było wg instrukcji, ale w rzeczywistości udało się osiągnąć lepsze wyniki. Aby przejść z położenia transportowego do bojowego, należało wykopać prostokąt o wymiarach 3×4×0,5 m, w którym za pomocą hydraulicznych dźwigów umieszczano podstawę. Na niej, za pomocą tych samych dźwigów, sadowiono łoże z kołyską. W łożu, wykorzystując linociąg, umieszczano lufę o długości 19 kalibrów. Dzięki wkopaniu w ziemię, poziomy kąt ostrzału wynosił 360 stop-

Moździerz kal. 220 mm na stanowisku. Warto zwrócić uwagę na wózek służący do dosyłania pocisków. Zdjęcie z kolekcji Adama Jońcy.

Akcja wydobywcza wózków z jeziora Jernvatne.

ni. 17-osobowe obsługi miały do dyspozycji jedynie 128-kilogramowe pociski półpancerne zawierające 7,33 kg trotylu.

Amunicja była rozdzielnego ładowania. Chcąc załadować moździerz, trzeba było nadać lufie kąt 10 stopni, a chąc oddać strzał, kąt podniesienia musiał wynosić min. 40 stopni, co obniżało szybkostrzelność. Na stanowisku bojowym moździerz miał masę 14 740 kg. Poszczególne wózki z lufą, łożem i podstawą ważyły odpowiednio: 8090 kg, 8110 kg i 8950 kg.

Ciężkie moździerze we wrześniu 1939 r.

W czasie walk we wrześniu 1939 r., moździerze wz. 32 znajdowały się w 11., 12. i 13. Dywizjonach Artylerii Najcięższej. Każdy dywizjon posiadał 6 moździerzy – po dwa w każdej baterii. Moździerze wz.32 służyły do rozbijania umocnień, a w Wojnie Obronnej do tego typu działań raczej nie było okazji. Pomimo pełnego zmotoryzowania uzbrojonych w nie dywizjonów, i z uwagi na stosunkowo długi czas przygotowania stanowisk, słabo nadawały się one do wspierania swoim ogniem walczących w wojnie manewrowej oddziałów. Nie oznacza to oczywiście, że moździerze nie wzięły udziału w walce. Pod Werechaniami w rejonie Tomaszowa Lubelskiego moździerze 11. Dan, pod dow. mjr. Kazimierza Firla, ostrzeliwały niemiecką 28. Dywizję Piechoty. Skutek ostrzału nie był jednak zadowalający, ponieważ używano jedynej, dostępnej wówczas amunicji przeciwbetonowej, która z uwagi na grubą skorupę pocisku zawierała stosunkowo mały ładunek kruszący. Efekt psychologiczny był jednak na tyle duży, że oddziały niemieckie wycofały się. Jednakże po zniszczeniu przez niemieckie czołgi pojazdów 2. baterii oraz wystrzelaniu całej amunicji (108 pocisków na lufę) moździerze zostały zniszczone przez obsługi.

„Działo zupełnie niepotrzebne..."

Moździerze 220 mm wz. 32 były bronią typowo oblężniczą. Miały niską mobilność i długi czas przygotowania do otwarcia ognia oraz do zwinięcia stanowiska, a co za tym idzie, nie nadawały się zupełnie do obrony w warunkach wojny manewrowej. Sytuację pogarszał fakt posiadania jedynie pocisków przeciwbetonowych nienadających się do walki z piechotą. Zaistniałe okoliczności najlepiej opisuje płk Jerzy Łunkiewicz, z-ca Szefa Departamentu Artylerii M.S.Wojsk od 12.01.1937 do 18.10.1939 roku. *„Moździerz 220 mm wz. 1929. Fabryki Škoda. Donośność 13 km. Działo zupełnie niepotrzebne; na betony za słabe już w chwili zakupu, w polu nie do użycia. Też ktoś powinien wisieć.*

Najciekawsze, że dopiero w 1938 r. doszło się do przekonania, że ten moździerz z jednym pociskiem pancernym i projektowanym kruszącym jest do niczego. Na podstawie niedokładnego czytania instrukcji francuskiej strzelania wyobrażano sobie, że trafienie jednym pociskiem powinno zniszczyć schron fortyfikacji stałej, że jeden trafny pocisk z grupy padających bezpośrednio w rejonie schronu polowego powinien go zniszczyć, gdy już schron jest osłabiony przez wstrząsy. Na tej podstawie odbyto strzelania w grudniu 1936 r. do schronu fortyfikacji stałej w Modlinie, które nie dało wyników, ponieważ strzelano pod kątem krytycznym, o czym zapomnieli uprzednio »uzbrojeniowcy« (każdy moździerz ma kąt krytyczny, pocisk wylatujący z lufy pod tym kątem i większymi kątami traci na wierzchołkowej toru szybkość nadaną przez gazy prochowe i spada w dół pod wpływem własnego ciężaru, przewracając się i uderzając bądź bokiem bądź dnem). W maju 1938 r. zaproponowałem ponownie próbę, aby udowodnić, że trafienie nie jednym pociskiem, ale nawet grupą pocisków nic schronowi nie zrobi. Na 100 pocisków trafił w schron jeden... z odległości 4 km i wybił lej o średnicy 45 cm i głębokości 40 cm. Dopiero kosztem 200.000 zł udało się przekonać władze, że ten moździerz nie nadaje się do zwalczania betonu, a tym bardziej w polu, bo wymaga na ustawienie 7 godzin, a około 5 na zdjęcie ze stanowiska. Poza tym jego szybkostrzelność wynosząca 15 strzałów teoretycznie, a nie przekraczająca 12-tu jest stanowczo za mała".

Wózki z jeziora Jernvatne

Po zakończeniu walk moździerze znalazły się w rękach niemieckich i radzieckich. Polskie moździerze Niemcy przyjęli do zbrojenia jako 22 cm Mörser 220(p) i 12 sztuk przetransportowali do Norwegii, gdzie w latach 1941-42 były wprowadzane na uzbrojenie artylerii nadbrzeżnej w miejscowościach Kroken, Hetlefloten, Klinga i Reitan. Ponieważ artyleria nadbrzeżna ma charakter stały i nie wymaga transportu, to przyczepy służące do przewożenia moździerzy stały się zbędne. Trzy zestawy zostały zatopione w górskim jeziorze Jernvatne. Po kilku próbach udało się je wydobyć. Dzięki staraniom polskiego MSZ dwa komplety wózków trafiły do Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy.

W chwili pisania tego artykułu są one poddawane renowacji w bydgoskich zakładach PESA.

ZDJĘCIA: ZBIORY MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH W BYDGOSZCZY.

Literatura:

1. A. Jońca, „Moździerz wielkiej mocy i ciągnik C7P, Wielki Leksykon Uzbrojenia Wrzesień 1939", 2013.
2. Z. Lalak, „Moździerz kal. 220 mm wz. 32" [w:], „Militaria i Fakty", nr 2/2003.
3. P. Zarzycki, „220 mm moździerz wielkiej mocy", [w:] „Nowa Technika Wojskowa" nr 2/1995.
4. P. Zarzycki, „1. Pułk Artylerii Najcięższej", Warszawa, 1991
5. Raport Zastępcy Szefa Departamentu Artylerii M.S.Wojsk Pułkownika Jerzego Łunkiewicza, „Przygotowanie Artylerii do wojny", Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn

Łukasz Skoczek

Opiekun Działu Uzbrojenia i Techniki Wojskowej w Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy.

Wrześniowym szlakiem

BARTOSZ BIJAK

Gdy postanowiłem przesłać tę relację do redakcji „Odkrywcy", ogarnęły mnie wątpliwości czy aby ma to sens, czy mój tekst nie nadaje się bardziej do pisma stricte turystycznego. Ale szybko przestałem się zastanawiać. Raz, że taki wypad jest w zasięgu możliwości prawie każdego Czytelnika, dwa, że był to rajd lokalnym szlakiem Września 1939 r., śladami historii darzonej szczególną estymą i szacunkiem przez wszystkich eksploratorów.

Kilka lat temu nabyłem na targach turystycznych w Łodzi książkę M. Kuszneruka i K. Ciszewskiego pt. „Schrony bojowe Wojska Polskiego w okolicach Bełchatowa". Jednocześnie wpadła mi w ręce mapa-folder (nie bardzo wiem, jak nazwać to wydawnictwo) „Trasa pieszo-rowerowa szlakiem polskich umocnień polowych z 1939 roku".[1] Na jej okładce można przeczytać: *„Szlak o dużym stopniu trudności. Przebiega przez tereny podmokłe, piaskowe wydmy, pola, łąki, lasy i drogi gruntowe. Czyni go to trasą wymagającą przygotowania i kondycji. Oznakowany farbami odblaskowymi, umożliwia przebycie także w nocy. Linia umocnień, 17 schronów bojowych i urokliwe przyrodniczo miejsca gwarantują fascynującą przygodę z historią w tle!"*. Przyznacie, że brzmi zachęcająco, czyż nie?

Długo czekałem na ten wyjazd, ale w końcu udało się go zorganizować w ostatni weekend września 2014 roku. Termin ustalony, małżonki ugadane, szczegóły logistyczne dograne… więc wyruszamy z Łodzi ok. 18.00, by po jakiejś godzinie zameldować się w Bełchatowie. Stamtąd zabieramy Olę, która pomoże nam pozbyć się samochodu, i wyruszamy na miejsce startu.

Najpierw droga wojewódzka, później powiatowa lub gminna, a dalej, coraz węższy i dziurawy asfalt, następnie szutr i wreszcie droga leśna. Tak trafiamy do Faustynowa, tonącej niemal w całkowitych ciemnościach, niewielkiej (kilka, może kilkanaście domów) wsi o bardzo ciekawej genezie. Otóż w 1841 r. osiedlili się tutaj emigranci z Czech wyznania kalwińskiego. Zakupili las, wykarczowali go i założyli wieś. Do końca II wojny światowej mówiono tutaj po czesku. Pamiątką po Czechach jest położony w lesie cmentarz (w zasadzie jego nikłe resztki) ewangelicko-reformowany. Na końcu miejscowości parkujemy i wyciągamy plecaki. Gobi, golden retriever Mateusza, z radością opuszcza bagażnik. Ola usiłuje się z nim zaprzyjaźnić, ale on chyba woli czworonożne koleżanki skoro nie reaguje na „zaloty" tak sympatycznej i ślicznej dziewczyny. Teraz jeszcze wydobyć czołówki, i możemy ruszać. Żegnamy się z Olą, która odwozi samochód do Bełchatowa i zaczynamy. Po jakichś 100 m lądujemy w krzakach, więc Mateusz włącza GPS-a, w którym mamy zapisane współrzędne geograficzne wszystkich schronów znalezione przeze mnie wcześniej w internecie. Magiczna skrzynka – jak zaczynam nazywać odbiornik – pomoże nam jeszcze na trasie nie raz.

Kilkanaście minut później stoimy pod pierwszym obiektem. To „Groźny" – jeden z trzech, posiadających nazwy własne odciśnięte w betonie przed wejściem. Rozpoczyna się szalona sesja fotograficzna. Mateusz kładzie aparat na plecaku (ech, przydałby się statyw) i ustawia odpowiednio długi czas naświetlania. Teraz obaj biegamy wokół „Groźnego" i machamy włączonymi na maksa czołówkami, to w górę i dół, to w prawo i lewo, niczym rycerze Jedi świetlnymi mieczami. – *Świeć na drzewa*, – *świeć na ścianę*, – *wyłącz czołówkę* – padają krótkie komendy. Po chwili charakterystyczny pstryk oznajmia, że samowyzwalacz zrobił swoje. Mateusz ocenia fotkę i już ma nową koncepcję na doświetlenie schronu. Po czwartej próbie dochodzę do wniosku, że asystent fotografa musi mieć aniel-

Fragment schronu „Grom" położonego na łąkach w pobliżu drogi biegnącej przez Faustynów.

Schron „Groźny" w lesie koło Faustynowa w nocnej scenerii.

ską cierpliwość i z przerażeniem myślę o kolejnych sesjach foto. Tuż przed odejściem przychodzi sms od Oli, że cała i zdrowa dojechała do Bełchatowa. Ruszamy. Noc jest ciepła i nie wieje, idzie się bardzo przyjemnie.

Drugi schron o nazwie „Grom" odnajdujemy na łąkach pod Faustynowem. I znowu cała seria zdjęć. Gobi, jak widać, dobrze przemyślał taktykę na tak długi spacer i każdy nasz postój wykorzystuje na krótką drzemkę. Po kilku chwilach jesteśmy ponownie w Faustynowie, tyle że tym razem idziemy w przeciwnym kierunku. Nagle mrok rozświetla pojedynczy reflektor zbliżającego się do nas motocykla. Kierowca mija nas i zawraca. Gdzieś w oddali stoi przy drodze grupa „lokalsów" z latarkami. Przez myśl przebiegają różne scenariusze… jest piątkowa noc, może to jakaś miejscowa odmiana dresiarzy, może wezmą nas za zielone ludziki Putina i spuszczą łomot. Ale nic z tego, to zwyczajna rodzina. Kulturalne „Dobry wieczór" – „Dobry wieczór" i to wszystko. Gobi ze stoickim spokojem mija obszczekujące go kundelki. Wkrótce skręcamy w las i znikamy z pola widzenia.

Tam znajdujemy kolejny, trzeci tradytor. Ten nosi dumną nazwę „Grunwald". Robimy zdjęcia i ruszamy w dalszą drogę. Czwarty już dzisiejszej nocy czeka na nas wpasowany w piaszczystą wydmę, przez którą przebiega szlak. Tym razem nie biegam z czołówką, lecz siedzę na stropie schronu i świecę po drzewach. Gdy Mateusz uznaje, że lepsze fotki już nie wyjdą, wrzucamy plecaki na plecy i kontynuujemy marsz. Opuszczamy jednak znakowany szlak, by zapuścić się w uroczysko „Święte Ługi" i powędrować brzegiem zbiornika wodnego powstałego w miejscu eksploatacji torfu. Trafiamy na ścieżkę przyrodniczo-leśną o tej samej nazwie. Po raz kolejny dopada nas historia Września 39.

Jedyny na trasie schron obserwacyjny, w lesie ok. 300 m od skrzyżowania Szczerców–Lubiec.

Archiwalne zdjęcie schronu, podpisane: „Bunker der polnischen »Maginot-Linie« n. Szczercow, Kr. Lask BB 7466", obok okładka książki-zeszytu, wydanej w 1941 r., z której pochodzi fotografia.

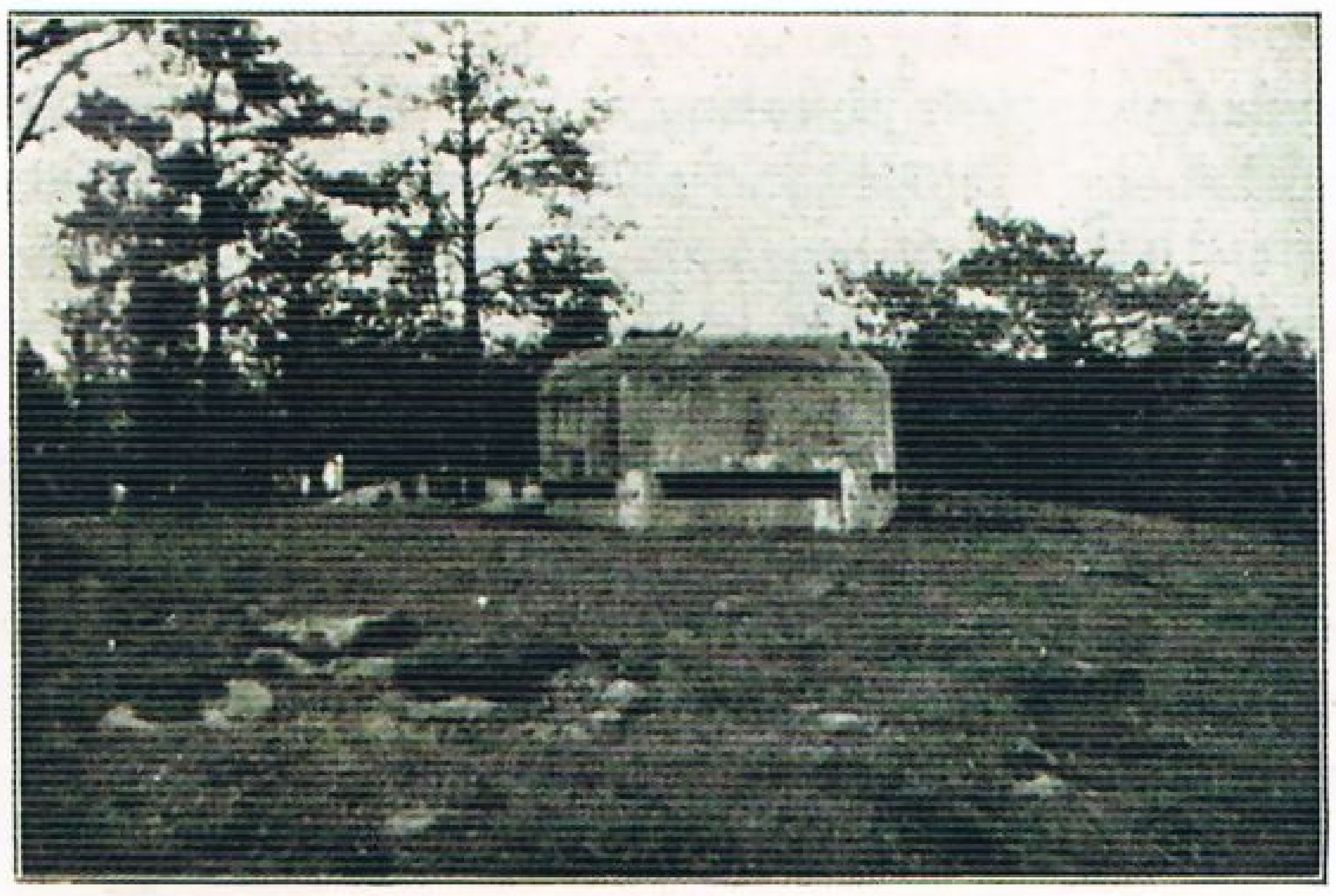

7. Bunker der polnischen „Maginot-Linie" n. Szczercow, Kr. Lask BB 7466.

Ähnliche Bunker, oft halbfertig, sind heute noch in weiten Abständen an der oberen Warthe, Widawka, Prosna, n. o. Kalisch usw. zu finden; sie hielten die deutschen Truppen im Polenfeldzug 1939 kaum auf.

Wehrkreis XXI

(Reichsgau Wartheland)

Militärgeographischer Überblick

Bildheft

Abgeschlossen am 1. Juli 1941

Stellv. Generalkommando XXI. A. K. (Wehrkreiskommando XXI)
Abt. Ia / Mil. Geo.

Posen 1941

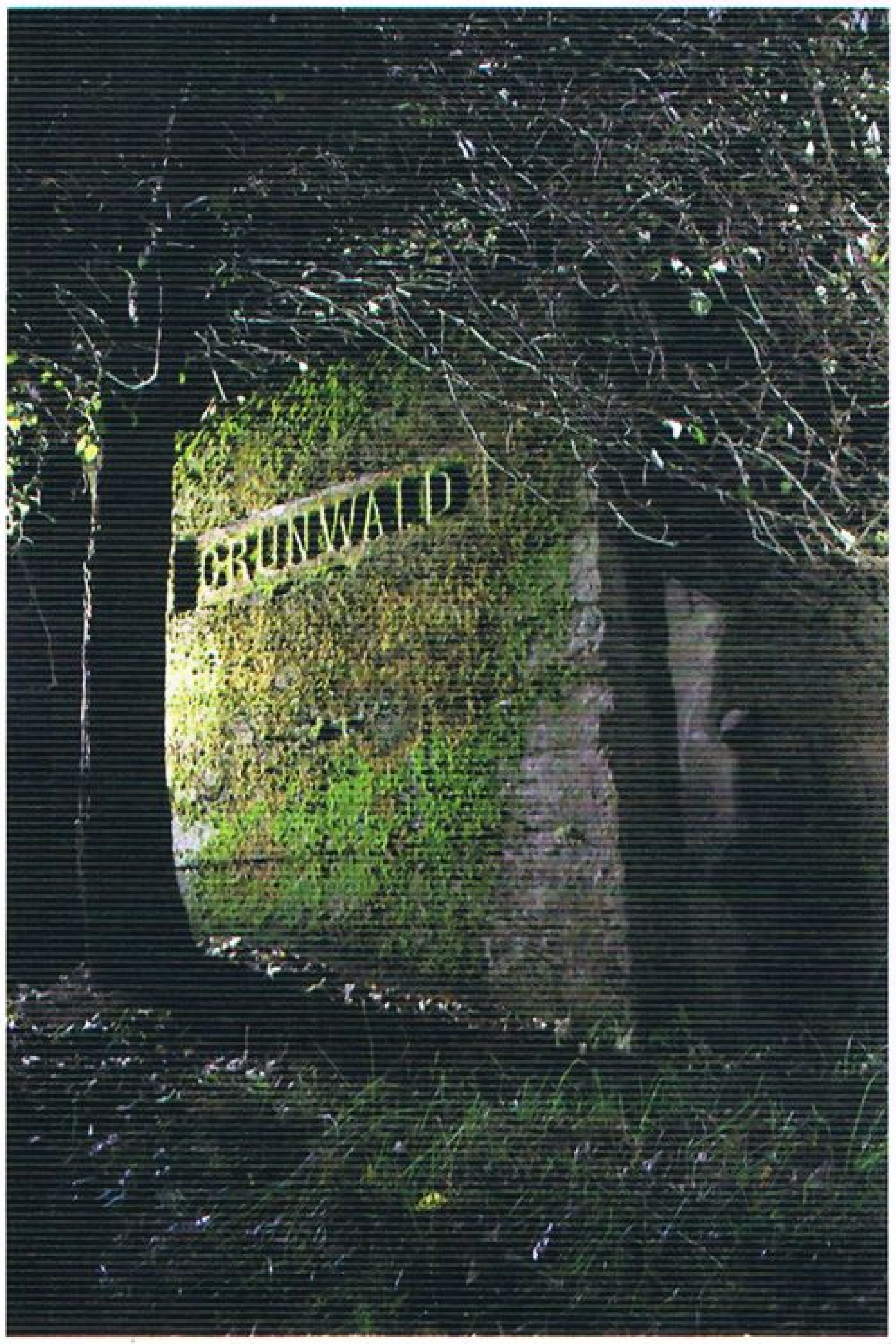

Oto pierwszy punkt wspomnianej ścieżki, który spotykamy. Nosi nazwę „Okopy".

Studiujemy przez chwilę tablicę informacyjną. Gdy docieramy do wieży widokowej, nie możemy odmówić sobie przyjemności wejścia na nią, choć prowadzący do niej pomost miejscami prawie nie istnieje i można zaliczyć wodowanie. Wrzucamy w siebie szybkie kalorie i podziwiamy, na ile się da w nocy, otaczający nas krajobraz. Decydujemy, że ok. godz. 23:00 wypada na dziś zakończyć. Tak też robimy. Jakiś czas po opuszczeniu wieży rozbijamy namiot. Ognisko sobie odpuszczamy, by dłużej pospać. Szybka kolacja i do śpiwora.

Schron „Grunwald" położony w lesie na południe od Faustynowa.

Ranek wita nas raz większym, raz mniejszym deszczem. Nam udaje się jednak wstrzelić w odpowiedni moment, by zdążyć zjeść śniadanie i zwinąć obóz, kiedy z nieba chwilowo nic nie kapie. Wkrótce wychodzimy z lasu i polną drogą docieramy do wsi Marcelów. Pojawienie się dwóch dziwnych osobników z plecakami i dużym psem (zwłaszcza psem!) wprawia w pewien niepokój stado krów zmierzających na pastwisko, które zaczynają się rozłazić na wszystkie strony. Przyspieszamy więc kroku, by uniknąć gniewu ich właściciela, i za mostem na Pilsi skręcamy w lewo, by wędrować dalej brzegiem rzeki. Niebo robi się coraz ciemniejsze, jest ponuro, niczym w tolkienowskim Mordorze. W lesie nie było tego tak widać jak tu, na otwartej przestrzeni. Zaczyna padać. Po dojściu do kolejnego mostu skręcamy w prawo, i prowadzeni przez polną drogę trafiamy do miejscowości Lubiec.

Na jej końcu, nieco w polu za zabudowaniami, stoi piąty schron. Z ko-

Bezimienny schron na polach we wsi Lubiec.

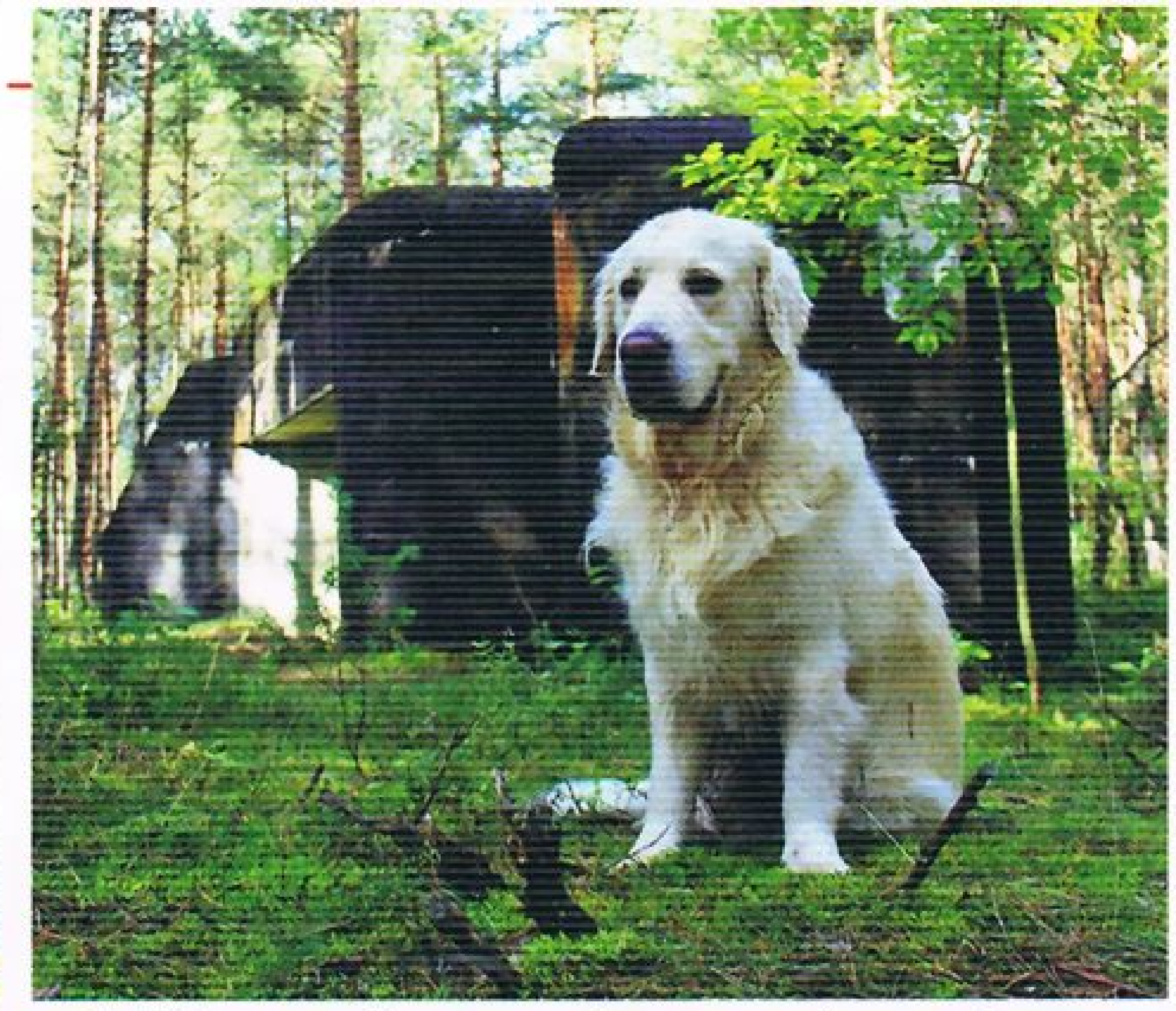

Gobi pozuje przed ostatnim schronem, przed przekroczeniem drogi Bełchatów–Szczerców.

Rzeka Pilsia w Marcelowie.

Krzyż poświęcony pamięci prawosławnych żołnierzy poleskich pułków piechoty stojący obok schronu obserwacyjnego.

lei na skrzyżowaniu lokalnych dróg tuż za wsią, mijamy pierwszą z kilku dużych tablic informacyjnych dotyczących naszego szlaku. Robimy sobie przy niej fotografię, a jakieś 100-200 metrów za nią, skryty za niewielkim zagajnikiem sosnowym, czeka na nas kolejny obiekt. Krótka przerwa i po 15 minutach ruszamy dalej, początkowo przez jeszcze mokre po deszczu łąki, później przez sosnowy las.

Ósmy schron znajduje się na wysokiej wydmie i jest to jedyny obiekt o charakterze obserwacyjnym, a nie bojowym. Obok schronu stoi brzozowy prawosławny krzyż. Podchodzę bliżej, czytam informacje z przybitej do niego kartki, a szczęka opada mi ze zdumienia coraz niżej. Dwujęzyczny, polsko-rosyjski napis głosi: *„Pamięci prawosławnych żołnierzy Wojska Polskiego z poleskich pułków piechoty poległych i broniących »Odcinka Szczerców« we wrześniu 1939 roku"*. Piękny gest, wielki szacunek dla osoby, która postawiła ten krzyż!

Po obejrzeniu schronu i zrobieniu zdjęć, wędrujemy dalej. Szlak prowadzi nieźle zachowanym okopem w kierunku asfaltowej drogi. W ogóle okopów spotykamy na trasie dosyć dużo. Skręcamy w prawo i zasuwamy dalej asfaltem. Po krótkiej chwili niespodzianka.

Na zboczu niewielkiej wydmy zauważamy duży napis *„1939"* ułożony z kawałków granitowej kostki brukowej, krzyż i… pięć obręczy rowerowych. Obok mała tablica informacyjna, która wszystko wyjaśnia, bo poświęcona jest pododdziałom kolarzy w Wojsku Polskim. Gdy zaglądamy za wydmę, robi się jeszcze ciekawiej. Na górce coś, co można by nazwać historyczną instalacją. Kilka opartych o dwie brzozy starych rowerów, torba sanitariusza, maska pgaz., bluza mundurowa i mała tablica z kopiami fotografii pokazujących przedwojennych żołnierzy na rowerach. U podnóża wydmy ciągnie się dosyć długi odcinek zrekonstruowanego okopu. Oczywiście można narzekać, że rowery nie takie, że okopy nie rekonstruowane wg instrukcji saperskiej itp. My jednak nie jesteśmy ani specjalistami w temacie, ani żadnymi purytanami, więc pozostajemy pod wrażeniem pomysłu i inicjatywy osoby (osób), która stworzyła to miejsce.

Korzystając z głębokich okopów Mateusz postanawia zrobić krótkie szkolenie Gobiemu, z którym wspólnie działają w Grupie Ratownictwa Specjalistycznego OSP Łódź-Jędrzejów. Skulo-

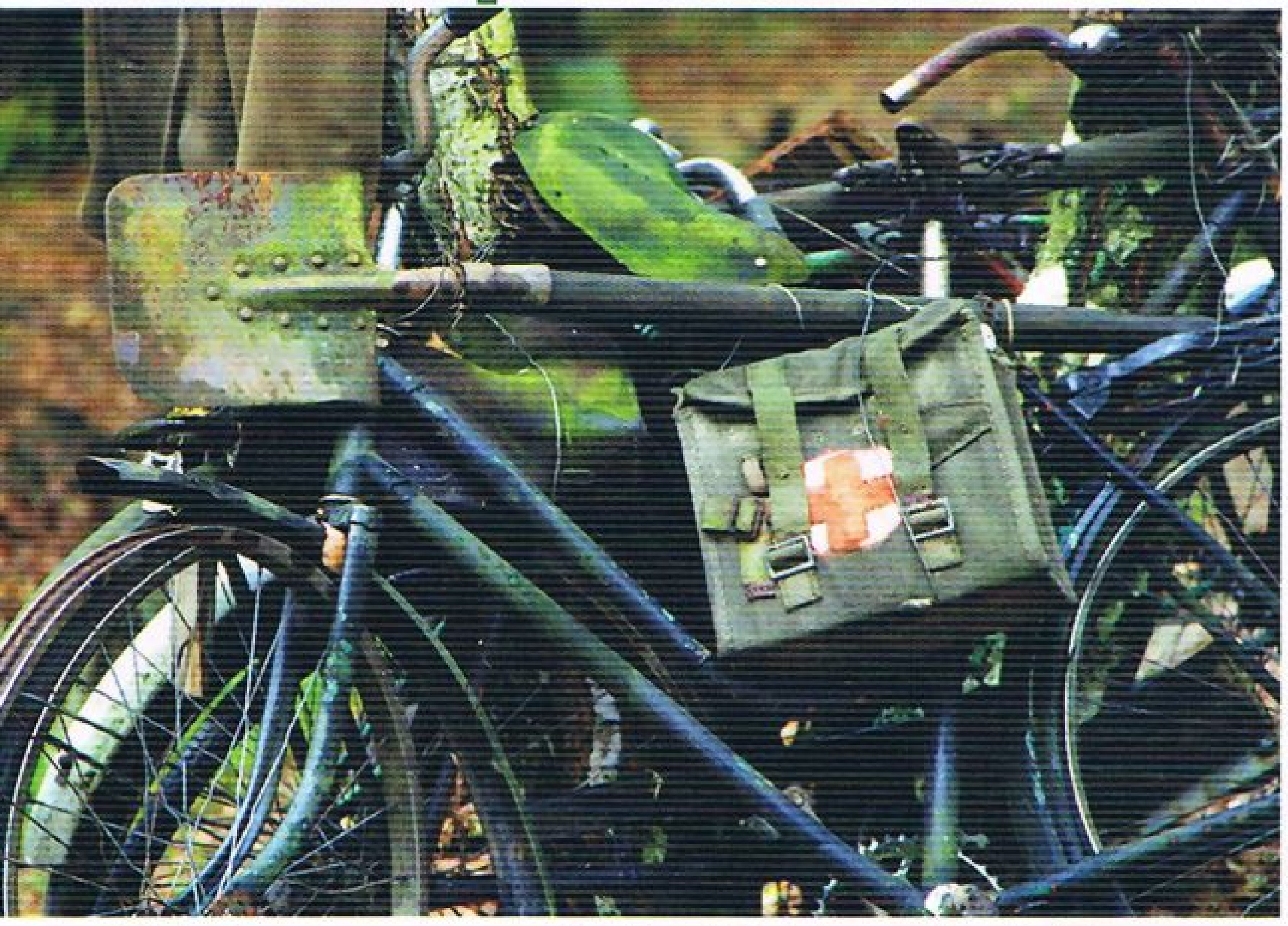

Kolejny fragment „kolarskiej instalacji historycznej” w pobliżu Magdalenowa.

ny kucam na samym końcu za załomem okopu. Pada krótka komenda: „Szukaj”, i za chwilę Gobi jest przy mnie, głośnym szczekaniem oznajmiając, że znalazł pozoranta. Po dobrze wykonanym zadaniu pies zostaje odpowiednio nagrodzony. Teraz zamieniamy się rolami. Chowa się Mateusz. Po drugiej udanej próbie zabieramy plecaki i kontynuujemy marsz. Na szczęście odcinek asfaltowy jest krótki, i ledwie po wejściu do wsi Magdalenów, skręcamy w urokliwą polną drogę między zabudowaniami. Teraz odcinek polny, dzięki któremu mamy okazję zapoznać się z różnymi odmianami porzeczki – ich nazwy odczytujemy z tabliczek ustawionych na początku każdej uprawy. Zanim dotrzemy do ruchliwej trasy krajowej nr 8, trafiamy na jeszcze jeden tradytor. Wychodzimy z lasu tuż obok dużej tablicy informującej o przebiegu naszego szlaku i przeskakujemy na drugą stronę ósemki. Znajdujemy się na Obszarze Chronionego Krajobrazu Dolina Widawki, o czym informuje nas stosowna tablica, pod którą oczywiście pstrykamy pamiątkowe fotki.

Tu rozpoczyna się najbardziej obfitująca w schrony część szlaku.

Na krótkim odcinku jest ich aż pięć. Tutaj też, od pierwszego obiektu, zaczynamy zabawę w odnajdywanie skrzynek geokesz. Mateusz, jako pasjonat tej formy aktywności, przed wyjazdem sprawdził, czy w pobliżu naszej marszruty nie zostały ukryte jakieś skrzynki. Okazało się, że nie dość, iż są skrzynki do odkrycia, to jeszcze układają się w tematyczny szlak związany z walkami 1939 r. Skrzynki, a właściwie w tym przypadku puszki i tuby, ukryte były w schronach lub obok. W każdej, oprócz „książeczki” do odnotowywania faktu znalezienia i kilku standardowych szpargałów, odnajdujemy karteczkę z jednym lub kilkoma słowami. Połączone razem, ułożyły się w pytanie dotyczące wrześniowych walk na tym obszarze. Odpowiedź na nie stanowi jednocześnie hasło, niezbędne, by móc odnotować w sieci fakt odnalezienia ostatniej, największej skrzynki. Jednak stosując się do zasad geocaching'owego savoir-vivre, nie podajemy ani pytania, ani odpowiedzi, by nie zepsuć zabawy innym. Wędrując poprzez sosnowe bory docieramy nad duże stawy hodowlane, i groblą pomiędzy dwoma z nich wchodzimy do miejscowości Słupia. Słupia jest tak mała, że gdyby nie zakręt drogi, to spod tablicy z nazwą miejscowości widać by było tablicę oznaczającą jej koniec.

Dwór w Słupi.

Najwyższy czas na obiad! Skończyła się nam jednak woda, więc najpierw trzeba się zaopatrzyć w życiodajny płyn. Wchodzę do pierwszego gospodarstwa i proszę o wodę. – *Wody się nie*

Fragment większej „instalacji historycznej” koło drogi w pobliżu Magdalenowa poświęcony pododdziałom kolarzy w WP.

Rekonstrukcja okopów (część „instalacji historycznej” przy drodze do Magdalenowa).

odmawia – odpowiada na moją prośbę gospodarz, lecz zamiast nalać kranówki do mojej butelki, wyciąga ze zgrzewki ostatnią mineralną. Oczywiście nie chce za nią ani grosza. Fajnie jest od czasu do czasu spotkać się z przejawem ludzkiej bezinteresowności. Na koniec pobytu we wsi idziemy jeszcze pod miejscowy dwór. Pamiętam go sprzed lat, jako postępującą ruinę, a tymczasem stajemy przed pięknie odrestaurowanym obiektem pełniącym od niedawna funkcje hotelowo-restauracyjno-konferencyjne. Kolejna miła niespodzianka w Słupi. Próbujemy robić zdjęcia, ale co chwila przez główne drzwi wychodzą na papierosa lub pogawędkę telefoniczną goście weselni. Trochę tu nie pasujemy obwieszeni pleckami i z psem. Wychodzimy ze wsi poszukując miejsca na posiłek. Kawałek musimy podejść asfaltową drogą, lecz mroczne mokradła po obu jej stronach dodają jej uroku. Po ok. 15 minutach naszym oczom ukazuje się bardzo wysoki, przechodzący nad szosą wiadukt kolejowy. To bocznica biegnąca w kierunku słynnej bełchatowskiej elektrowni. Żartujemy, że to nasza lokalna wersja znanych wiaduktów ze wsi Stańczyki w Puszczy Rominckiej. Skręcamy za nim w lewo i idziemy wzdłuż wysokiego, sięgającego niemal wierzchołków drzew nasypu kolejowego. Po chwili decydujemy się nań wdrapać i tam zjeść. Miejscówka jest niezmiernie malownicza, z widokiem na górujące ponad lasem majestatyczne kominy Elektrowni Bełchatów. Przed nami obiad, krótka przerwa na odpoczynek i ostatnie trzy schrony. Po posiłku ruszamy dalej. Klimat robi się niesamowity, miks przyrody z przemysłem. Niby idziemy cały czas lasem, lecz co chwila przechodzimy pod potężną linią energetyczną. Jest ich przynajmniej sześć, a czasem nawet osiem.

Pod ostatnią kolejny tradytor, a w nim jeszcze jedna skrzynka geokesz. Co prawda założona przez tą samą osobę co wcześniejsze i związana nimi tematycznie, ale nie stanowiąca części zagadki. Powoli zaczyna zmierzchać, a my zbliżamy się do końca naszej wędrówki.

Dwa ostatnie schrony położone są blisko siebie po obu stronach drogi prowadzącej z Bełchatowa w kierunku Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów i wspomnianej już elektrowni. Jeden z nich odwiedzamy z czysto eksploratorskiego obowiązku – jest nie ukończony (brak stropu) i zarośnięty bujnym zielskiem; nic ciekawego. Drugi zaś to zupełnie inna kategoria. Oprócz schronu mamy tu fragment zrekonstruowanych okopów i doskonałą tablicę informacyjną (rys historyczny, archiwalne fotografie, dokumenty, schematy budowy schronów, fragment mapy WIG!). Całość nosi nazwę „Park Historyczny Fortyfikacji 30. Poleskiej Dywizji Piechoty", a utworzony został przez Stowarzyszenie „Grupa Rekonstrukcji Historycznej 84. Pułku Strzelców Poleskich". Świetna robota Panowie! Rozpoczynamy zatem ostatnią, nocną sesję fotograficzną. Tym razem ja pilnuję, by lustrzanka położona na stropie tradytora nie popełniła samobójstwa, Mateusz zaś biega po okopie z czołówką, doświetlając go tu i tam. Po kilku próbach zadowalająca fotografia jest zrobiona. A więc koniec!

Wczoraj przeszliśmy dokładnie 8,15, dzisiaj 36,44 – łącznie prawie 45 km. Teraz zostało już tylko zadzwonić po wsparcie i ewakuować się do domu. Po kilkunastu minutach przyjeżdża Ola z… wielkimi kawałkami sernika autorstwa jej Mamy. Z góry wiem, że będzie pysznie, bo wypieków p. Mirosławy miałem już okazję próbować. Nie mylę się. Wrzucamy plecaki do bagażnika, a Gobi, tym razem sam wychodzi z inicjatywą, by zaprzyjaźnić się z naszym kierowcą. Jeszcze tylko podrzucamy Olę do domu w Bełchatowie i wracamy do Łodzi. To była świetna trasa: 17 schronów i kilka innych ciekawych obiektów, dużo lasów oraz łąk, nieliczne i krótkie odcinki asfaltowe przez wsie. Polecamy!

ZDJĘCIA: MATEUSZ LEŚKIEWICZ.

P.S. Serdeczne podziękowania dla Oli Koteckiej za pomoc. Oleńko, bez Twojego wsparcia logistycznego nie dalibyśmy rady (a przynajmniej nie tak sprawnie, jak się udało) zorganizować tej wycieczki!

UWAGA: Trasa jest dość trudna orientacyjnie ze względu na zbyt rzadkie oznakowanie!

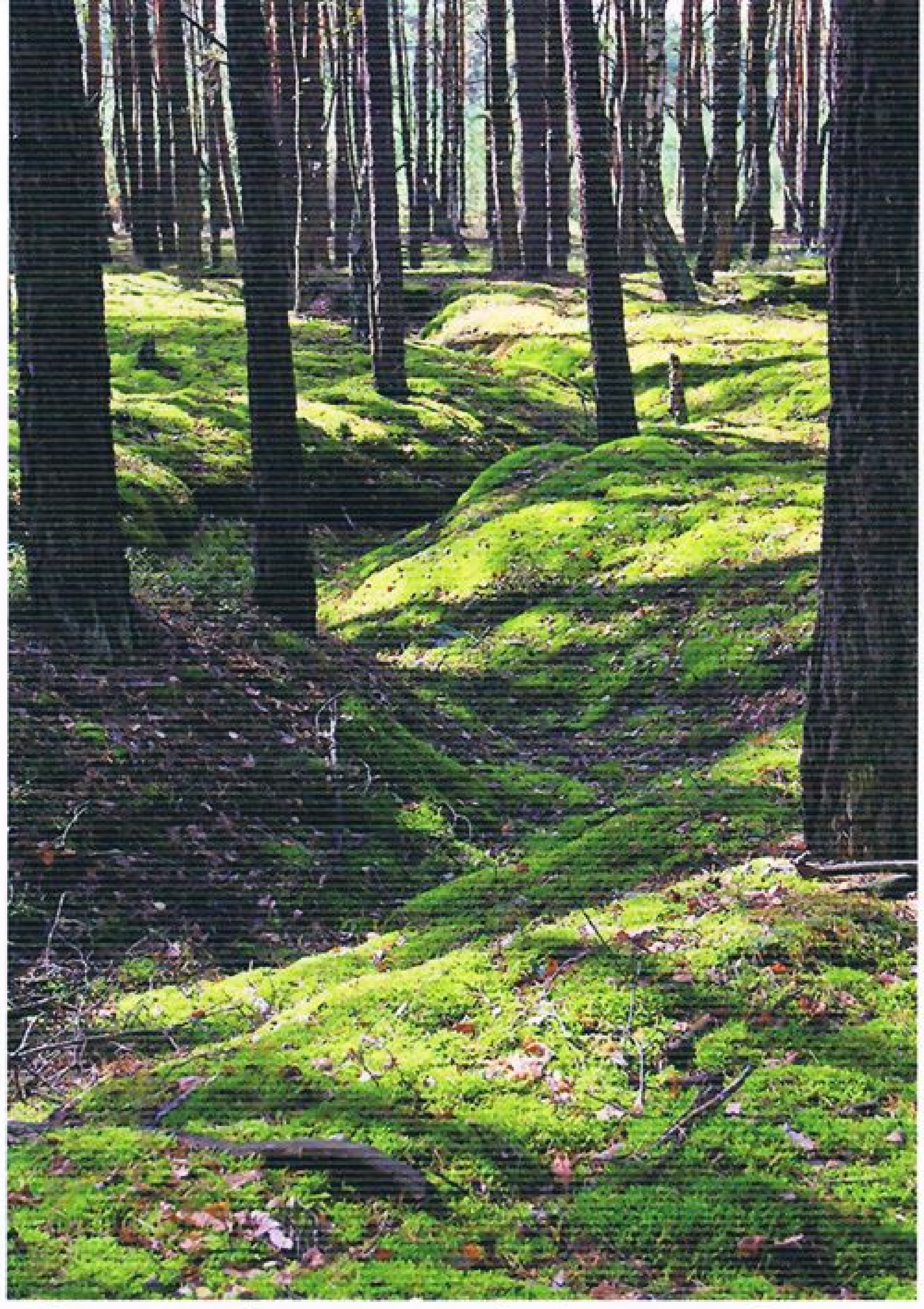

Okopy zachowane w lesie na południe od drogi Bełchatów–Szczerców.

Przypis:

[1] Trasa powstała dzięki staraniom Grupy Obywatelskiej INICJATYWA'39 z Bełchatowa przy wsparciu Starostwa Bełchatowskiego oraz Gminy Bełchatów, Szczerców i Kluki. Obejmuje ona część ze schronów, które udało się wojsku wybudować w pasie obrony Armii Łódź w okresie od końca czerwca 1939 r. do wybuchu wojny.

Bartosz Bijak

Z wykształcenia etnolog i historyk, na co dzień archiwista w łódzkim oddziale IPN, a przede wszystkim ojciec. Miłośnik archeologii krajobrazu i pieszych wędrówek z dala od uczęszczanych szlaków. Optymista (stara się zawsze widzieć szklankę do połowy pełną).

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Dawne więzienie miejskie, obraz autorstwa Janusza Kulczyckiego.
Źródło: luban.pl

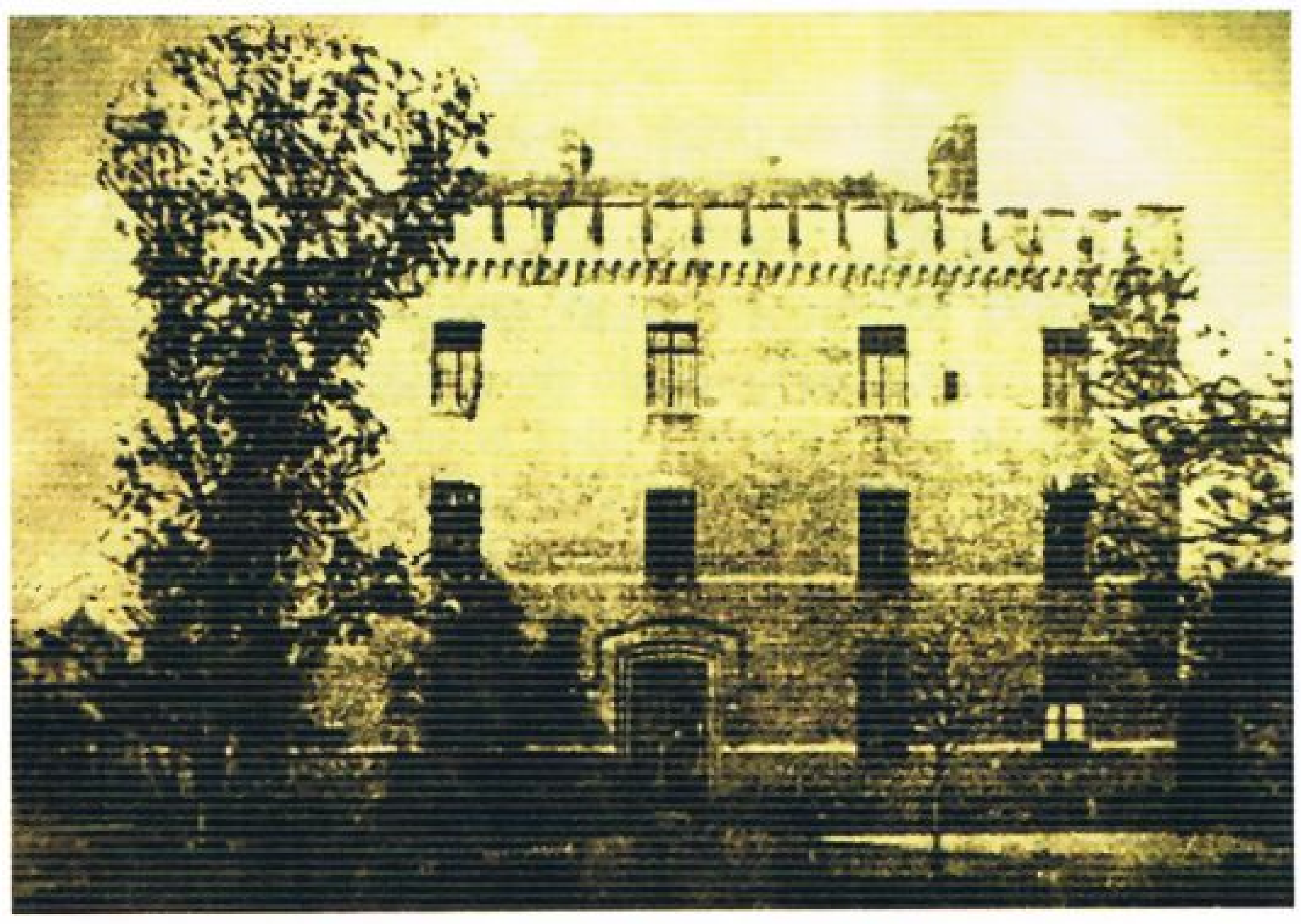

Neogotycki budynek więzienia w Lubaniu. Zbiory Sz. Wrzesińskiego.

Pierwszy lubański budynek służący do przetrzymywania większej liczby oskarżonych, bądź oczekujących na egzekucję, został wzniesiony na planie prostokąta z kamienia bazaltowego i drewna nieopodal murów obronnych. Jedna z najstarszych wzmianek pochodząca z 18 listopada 1642 roku dotyczy pomieszczenia mieszkalnego znajdującego się na terenie tegoż więzienia (Stockhaus). Owego dnia kat, wdowiec, 40-letni Lorenz Strassburger, pojął tam za żonę Margaretę Magdalenę Thienl, siostrę głogowskiego egzekutora.

Z dziejów dolnośląskiego więziennictwa (cz. 2)

„NOC I MGŁA"... w Lubaniu

SZYMON WRZESIŃSKI

U mistrza więziennego

Dwa lata później Lorenz sprzedał lubańską katownię i przeniósł się do Zgorzelca. Nowym nadzorcą więzienia, zwanym niekiedy Stockmeisterem, został Elias Felsch.[1] Miał on przede wszystkim pełnić dozór nad osobami ulokowanymi w celach. Jego następca, Gottfried Feilhauser, choć był osobą zobligowaną do przestrzegania prawa, podobno w zamian za odpowiednio wysoką gratyfikację w naturze lub pieniądzu pomógł uciec jednemu z osadzonych. Podejrzenie w zupełności wystarczyło, by w roku 1687 pozbawić go dotychczasowej pracy. Wkrótce na zwolnione stanowisko „mistrza więziennego" zatrudniono Lorenza Kühna, pełniącego wcześniej podobną funkcję w Zgorzelcu. Niestety, w lubańskim więzieniu od czasu do czasu dochodziło do samobójstw. Taka historia wydarzyła się m.in. w XVIII w., kiedy w celi zmarła pewna dzieciobójczyni. Kat przetransportował zwłoki pod wzniesienie zwane Steinberg, i tam też je pochował.[2]

14 lipca 1760 roku podczas wielkiego pożaru miasta ogień strawił górną, zapewne drewnianą część Stockhausu. Odbudowany w następnym roku budynek, tym razem już cały murowany, stał się dla trzech złodziei istnym piekłem. Przetrzymywani i torturowani przez ponad 2 lata (na plecach jednego z nich wypalono znaki koła egzekucyjnego i szubienicy), w sierpniu 1766 roku zostali zawleczeni pod szubienicę i powieszeni.[3]

W 1792 roku lubańskie więzienie ponownie doświadczyło skutków pożaru. Brak innego budynku o charakterze penitencjarnym wymusił kolejny remont. Po jego zakończeniu dolną kondygnację przeznaczono dla tych, którzy dopuścili się najcięższych przestępstw. Na podstawie zapisków w księgach zgonów udało się ustalić, że w owym czasie funkcję nadzorcy pełnił Carl Heinrich, syn miejscowego kata, Christiana Heinricha Strassburgera.[4]

O dalszych losach niewielkiego więzienia w Lubaniu mówi regionalista Janusz Kulczycki, prezes Stowarzyszenia Miłośników Górnych Łużyc w Lubaniu: *– Budynek ten w nienaruszonym stanie przetrwał do 1945 roku, kiedy to został poważnie uszkodzony w trakcie bitwy o Lubań. Ruiny dawnego miejskiego więzienia zostały usunięte przez polską administrację miasta w latach siedemdziesiątych XX wieku. Do dnia dzisiejszego zachował się po nim jedynie fragment frontowej ściany. W 2011 roku w trakcie prac wykopaliskowych przy dawnym więzieniu zostały znalezione dwa kamienne parapety, na których znajdują się inskrypcje wykonane przez więźniów w 1715 roku!* [5]

Niewielki Stockhaus funkcjonował do połowy XIX wieku, kiedy w mieście postanowiono zbudować nowoczesne więzienie, zaś policyjny areszt ulokować przy ulicy Brackiej. Dnia 1 kwietnia 1849 roku w Lubaniu zlikwidowano Sąd Ziemski i Sąd Miejski, by w ich miejsce powołać Sąd Okręgowy z oskarżycielem publicznym, dziewięcioma sędziami i trzema obrońcami: *„A ponieważ Zarząd Miejski nie dysponował odpowiednimi pomieszczeniami, miasto zakupiło od kupca Hausslera dom handlowy (…), który wydzierżawiano Ministerstwu Sprawiedliwości za roczną opłatą 600 marek* – zanotował lubański kronikarz.[6] Ponieważ dzierżawiony obiekt nie spełniał ówczesnych wymogów, w maju 1852 roku rozpoczęto wznoszenie budynku sądu i dodatkowo więzienia. W przypadku tego ostatniego prace budowlane zakończono w miarę szybko, bowiem już 1 grudnia 1853 roku do cel wprowadzono pierwszych więźniów. W większości byli to młodociani mężczyźni, których latem następnego roku skierowano do przymusowych prac polowych. Natomiast w okresie zimowym skazańcy rąbali drewno, wyplatali sieci, darli pierze itp. Co ciekawe, dano im możliwość poświęcenia dziennie dwóch godzin na edukację![7]

Nowy, trójkondygnacyjny zakład penitencjarny był budynkiem pięcioosiowym z prostym wejściem nakrytym wycinkiem łuku. *– Elewacje więzienia były ceglane, z ozdobnymi, poziomymi pasami na linii ław podokiennych, akcentującymi poszczególne poziomy kondygnacji. Budynek zwieńczony był kiedyś ozdobnym blankowaniem i fryzem nawiązującym do elementów obronnych: machikuł wspartych na krokszytnach. Pierwotnie niski dach był »ukryty« za blankami, co nadawało całości nieco inne proporcje niż obecnie. Elementy ozdobne były bardzo oszczędne i ograniczyły się do (nieistniejącego już) krenelażu, schodkowego wykończenia ościeży wejścia i do wklęsłej bruzdy w murze, akcentującej to wejście. Stylistycznie architektura budynku nawiązywała do bardzo uproszczonych form neogotyku angielskiego w jego miejskim wydaniu, przystosowanym do mniej eksponowanych budynków użyteczności publicznej. Późniejsza przebudowa pozbawiła go jednak charakterystycznego i najbardziej istotnego elementu stylowego* – opisuje jego wygląd Małgorzata Stankiewicz, wrocławska historyk sztuki.

Znacznie gorzej wyglądała sytuacja z gmachem sprawiedliwości: *„Dnia 1 października 1879 roku, na miejsce Sądu Okręgowego powołano Sąd Powiatowy, przy którym zostało zatrudnionych: czterech sędziów okręgowych, jeden asesor, trzech adwokatów, czterech pisarzy sądowych, trzech asystentów i dwóch komorników. 1 października 1889 r. Sąd Powiatowy zrezygnował z dotychczasowych miejskich pomieszczeń, gdyż za wynajem płacono już 2 tys. marek, i urządził się w dwóch prywatnych domach do czasu ukończenia budowy gmachu dla Państwowego Sądu Powiatowego"* – czytamy w XIX-wiecznej kronice Lubania.[8] Budynek został postawiony obok więzienia w latach 1898-1899.

Tajny dekret Keitla

Zarówno w okresie międzywojennym, jak i po wybuchu II wojny światowej tutejsze „więzienie sądowe" (Gerichtsgefängnis) przeznaczono dla mężczyzn z krótkimi karami aresztu i więzienia

Budynek sądu w Lubaniu. Fot. Piotr Kucznir.

Fasada gmachu sądu w Lubaniu. Fot. Sz. Wrzesiński.

z okręgów sądów obwodowych: w Lubaniu, Leśnej, Lwówku Śląskim, Mirsku oraz Iłowej. W 1941 roku utworzono w nim oddział dla mężczyzn skazanych za odmowę pracy z okręgu Wyższego Sądu Krajowego we Wrocławiu.

Mniej więcej w tym samym czasie została wprowadzona w życie dyrektywa Hitlera dotycząca kobiet uznanych za winne sabotażu, współpracy z ruchem oporu i działalności wywiadowczej. Zamiast wyroków śmierci uznano, że znacznie lepiej będzie zawiesić egzekucje, a wprowadzić kary odizolowania od bliskich. Liczono, że w ten sposób rodziny skazanych będą przejawiać mniejszy opór, albowiem wszelkie ich działania ograniczone będą obawą o przyszły los swych najbliższych.

„W roku 1941 zrodziła się w faszystowskich Niemczech nowa forma walki z ruchem oporu w okupowanych krajach zachodniej Europy (Francja, Holandia, Belgia, Norwegia). Dotyczyła ona liderów podziemia, których nie można było skazać na śmierć z braku dowodów. W myśl tzw. tajnego dekretu Keitla z 7 grudnia 1941 roku podejrzanych o przynależność do ruchu oporu należało aresztować; nie stawiać ich przed sądami, lecz w »nocy i mgle« deportować do Niemiec i tam całkowicie izolować, a w efekcie po cichu eliminować fizycznie. Dekret feldmarszałka Wilhelma Keitla wszedł do historii jako dekret o »Nocy i Mgle« (niem. »Nacht und Nebel«), w skrócie NN. Nazwa ta pochodziła z opery Ryszarda Wagnera »Złoto Renu«, w której jedna z głównych postaci po założeniu magicznego hełmu zmieniała się w dym, śpiewając: »Nocy i mgło, znikam«. W ramach akcji »Nacht und Nebel« aresztowano zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Te ostatnie deportowane z Francji przetrzymywano początkowo głównie w więzieniach w Aachen, Kolonii i Flussbach. W związku z nasilającymi się atakami lotnictwa RAF-u, postanowiono przetransportować francuskich więźniów na Dolny Śląsk. Kobiety trafiły głównie do więzień Wrocławia, Oleśnicy i Lubania" – pisze Janusz Kulczycki.

Areszt śledczy w Lubaniu, widok od strony dziedzińca. Źródło: sw.gov.pl

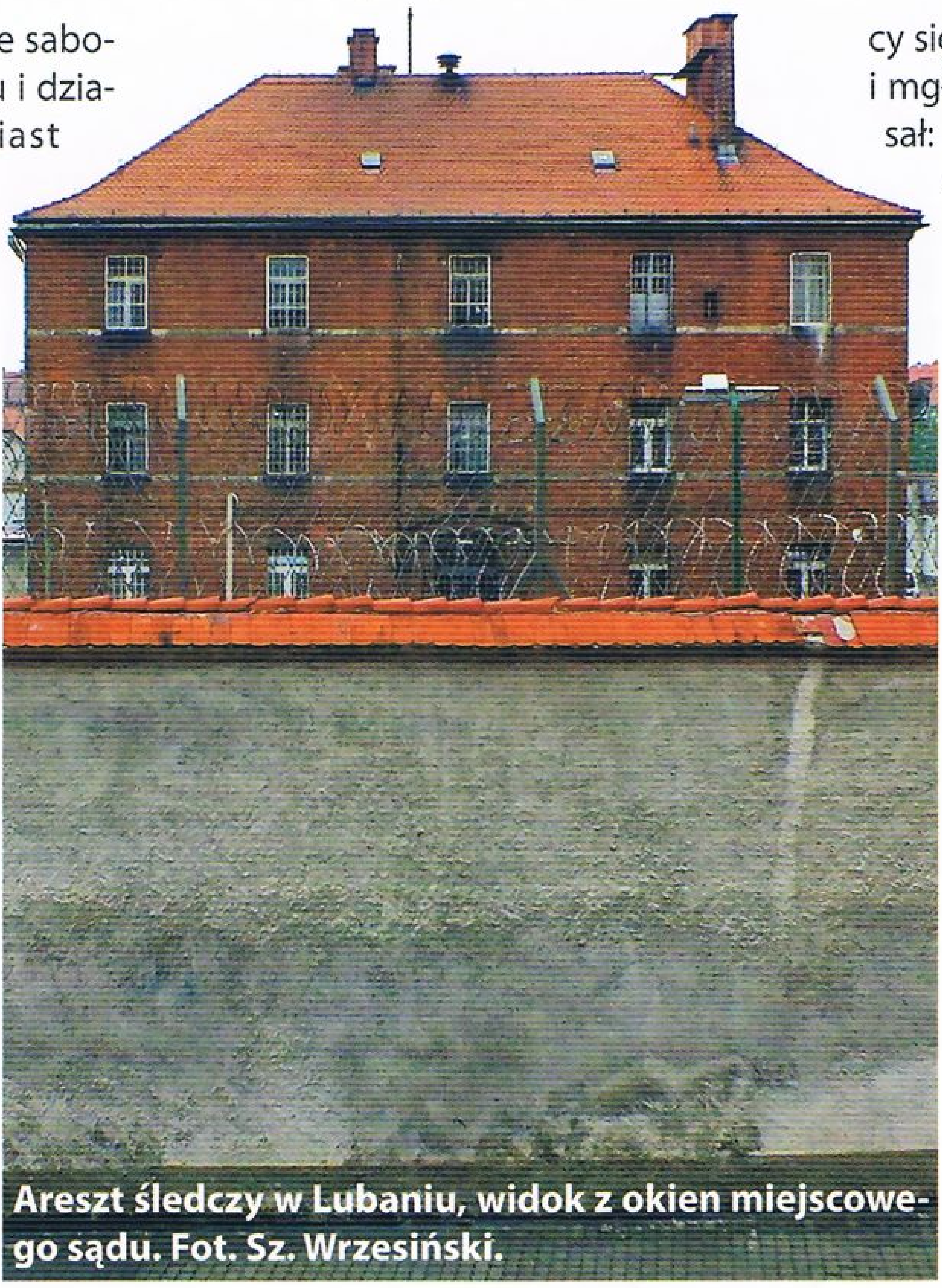

Areszt śledczy w Lubaniu, widok z okien miejscowego sądu. Fot. Sz. Wrzesiński.

Nie oznaczało to natychmiastowego sprowadzenia więźniów NN do Lubania, gdyż dopiero 17 maja 1943 roku minister sprawiedliwości Rzeszy Otto Thierack stwierdził, że „w niedalekiej przyszłości" należy przewidzieć przeniesienie wszystkich spraw NN do Saksonii lub na Śląsk. Tak też się stało. 31 lipca odbyła się w Ministerstwie Sprawiedliwości narada w sprawie przemieszczenia francuskich skazańców NN do okręgu Wyższego Sądu Krajowego we Wrocławiu, będącego w ograniczonym zasięgu lotnictwa alianckiego. Na spotkaniu zatwierdzono też kilka miejsc odosobnienia na Dolnym Śląsku. Po zakończeniu konsultacji z zainteresowanymi prokuratorami generalnymi, wydział V Ministerstwa Sprawiedliwości wysłał szczegółowe rozporządzenia (27 sierpnia). Jeden z podpunktów wspominał, że 100 kobiet miało trafić do więzienia w Lubaniu, specjalnie w tym celu przekształconego w żeński zakład. Termin przerzutu miała określić odrębna decyzja. Na jej podstawie specjalne transporty przybyły nad Kwisę w dniach: 28 września oraz 6, 28 i 30 października. Rejestr wrocławskiego prokuratora generalnego na dzień 30 października 1943 r. wykazuje w Lubaniu 99 osadzonych kobiet. Zajmujący się przed laty zagadnieniem akcji „Noc i mgła" prof. dr hab. Alfred Konieczny, pisał: *„Powierzenie francuskich spraw NN sądowi specjalnemu we Wrocławiu, spowodowało także zmianę trybu deportacji kobiet; od nieznanego bliżej terminu kobiety były kierowane z Paryża bezpośrednio do więzienia przy sądzie krajowym w Lubaniu Śląskim. Pierwsze znane przeniesienie z Fresnes, ustalone na podstawie ankiet byłych więźniarek, datowane jest na 19 lutego 1944 roku; inny transport z Fresnes do Lubania miał miejsce dokładnie dwa miesiące później"*.[9] Z kolei niemiecki historyk dr Lothar Gruchmann dotarł do dokumentu, z którego wynika, że dodatkową grupę więźniarek sprowadzono bezpośrednio z Paryża 25 lipca.[10]

Udało się ustalić, że liczba francuskich obywatelek stale się zmieniała; 29 lutego stan wynosił 102 więźniarki, 3 czerwca – 105, a 31 lipca już 111. Po zawieszeniu akcji „Nacht und Nebel" i zakończeniu procesów sądowych nastąpiły deportacje skazanych do obozów koncentracyjnych. W przypadku Dolnego Śląska był to najczęściej KL Gross-Rosen, który na przełomie 1944 i 1945 roku przyjął kilkanaście transportów z ponad 1,5 tys. więźniów NN! Nie dotyczyło to jednak 110 francuskich więźniarek z Lubania, te bowiem, 26 października 1944 roku, skierowano do żeńskiego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.[11]

Należy wspomnieć, iż w Lubaniu pod koniec wojny funkcjonował też areszt policyjny (Polizeigefängnis) oraz oddział pracy więzienia ciężkiego dla kobiet w Jaworze (Arbeitskommando des Frauenzuchthauses Jauer). Według ustaleń Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce więźniarki były przymusowo zatrudnione w lubańskiej firmie „Petzold".

Wywiezienie z lubańskiego więzienia osób powiązanych z akcją „Noc i mgła", było zależne z nowymi planami ewakuacyjnymi obejmującymi więźniów sądowych zakładów karnych, aresztów śledczych i policyjnych. Przemieszczanie skazańców sądowych zlecono prokuratorowi generalnemu dla okręgu Wyższego Sądu Krajowego we Wrocławiu dr. Reinholdowi Sturmowi, zaś więźniów politycznych – wyższym dowódcom SS i policji. Nad całością czuwało Ministerstwo Sprawiedliwości, a zwłaszcza wydział V kierowany przez Konrada Engerta. Według niemieckiej organizacji więziennictwa wyróżniano trzy grupy zakładów penitencjarnych; lubańskie więzienie było jednym z sześciu „średnich" na Dolnym Śląsku, tj. przewidzianych dla minimum 50 osób. Inaczej wygląda znaczenie zakładu nad Kwisą, jeśli przedstawi się dane o rozmieszczeniu więźniarek w dniu 30 grudnia 1944 roku. Wówczas okaże się, że spośród sześciu obiektów penitencjarnych w lubańskim przebywała największa liczba osób. Osadzono w nim 51 kobiet, z czego 21 narodowości polskiej. Nie wiadomo jednak, gdzie i kiedy więźniarki zostały ewakuowane.[12]

Z lakonicznych przekazów wynika, że pod koniec stycznia 1945 roku planowano przenieść do Lubania Sąd Krajowy. Ponadto, po opuszczeniu więzienia śledczego przy ul. Świebodzkiej we Wrocławiu, do miasta nad Kwisą skierowano 199-osobową grupę więźniów. Długa kolumna brnęła po zaśnieżonych drogach i parokrotnie musiała zatrzymywać się w napotkanych miejscowościach. Już w Kątach Wrocławskich musiano pozostawić 30 chorych. Podczas dalszego marszu wskutek wyczerpania 46 więźniów zmarło, a 13 zdołało zbiec. W efekcie z kolumny zmierzającej pod kierunkiem nadinspektora Witticha do Lubania, na miejsce przeznaczenia dotarło tylko 110 więźniów. W razie zagrożenia miasta planowano skierować ich w późniejszym czasie do Zgorzelca. Nim do tego doszło, tj. w pierwszej połowie lutego, z więzienia z Legnicy ewakuowano m.in. 40 Polaków i 15 Niemców. Wyprowadzono ich podczas bezpośredniego szturmu miasta! Kolumna kierowana przez nadprokuratora Henkera miała dotrzeć do Zgorzelca, zaliczając po drodze dwa punkty etapowe: areszt w Lwówku oraz więzienie w Lubaniu, które już od pewnego czasu miały za zadanie służyć noclegiem i aprowizacją przechodzącym transportom.[13]

Polski areszt śledczy

W 1945 roku więzienie w Lubaniu zostało przejęte przez władze polskie. Pierwszym źródłowo potwierdzonym naczelnikiem, był Florian Trofim Bojko, urodzony w 1921 roku pod Tarnopolem (ob. miasto na Ukraina).

Ten były żołnierz Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte i współpracownik Informacji Wojskowej o pseudonimie „Szpak", w sierpniu 1946 roku rozpoczął karierę w więziennictwie. Po niecałych dwóch miesiącach pracy na stanowisku strażnika w Strzelinie, 21 października awansował na naczelnika więzienia w Lubaniu. Co ciekawe, za jego czasów doszło do kilku ucieczek z więzienia! 5 grudnia 1947 roku zbiegła więźniarka Władysława D., zaś 10 maja 1948 r. Marian U. Znany jest też przypadek Erwina R., który przez trzy dni był poszukiwany w okolicy. Wreszcie 19 października został złapany przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy nieopodal Zgorzelca. Mimo to naczelnika Bojko awansowano 22 lipca 1948 roku na chorążego, a równo dwanaście miesięcy później – na stopień podporucznika. Niewykluczone, iż te właśnie awanse wpłynęły na przeniesienie go na stanowisko zastępcy naczelnika do spraw liniowych Więzienia nr 1 we Wrocławiu (19 sierpnia 1949 r.). Widać nie było to miejsce pracy jego marzeń, bowiem przez lata wielokrotnie wysyłał pisma do Rady Najwyższej ZSRR z prośbą o pozwolenie na wyjazd z Polski do rodziny. Jego zabiegi zakończyły się sukcesem dopiero w 1950 roku. Tymczasem w Lubaniu stanowisko naczelnika więzienia objął chor. Józef Wróblewski (1 wrze-

REKLAMA

Uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej upamiętniającej pobyt francuskich więźniarek NN. Fot. P. Kucznir.

śnia 1949 r.). Następnym był st. sierż. Adolf Tarasiuk, który pełnił tę funkcję od 1 grudnia 1950 do 30 marca 1953 roku.

Na podstawie zachowanych dokumentów prof. dr hab. Krzysztof Szwagrzyk z wrocławskiego Instytutu Pamięci Narodowej wyciągnął kilka istotnych wniosków: *„Zaludnienie obiektu nie przekraczało trzystu więźniów. 4 września 1954 roku w więzieniu przebywało dwustu siedemdziesięciu jeden więźniów pilnowanych przez trzydziestu jeden funkcjonariuszy Straży Więziennej. W 1955 roku maksymalną liczbę miejsc w areszcie określono na poziomie stu sześćdziesięciu sześciu. Więźniowie zatrudniani byli prawdopodobnie w kamieniołomach lubańskich. Podobnie jak inne obiekty więzienne położone w województwie wrocławskim obiekt nie posiadał odpowiednich warunków sanitarnych. W żadnym z zachowanych dokumentów nie stwierdzono przypadków śmierci skazańca w tym więzieniu. W obiekcie tym nie wykonywano także kar śmierci"*.[14]

Wspominając o okresie powojennym (1945-1956) należy dodać, iż zapisy w książce inspekcyjnej więzienia karno-śledczego w Lubaniu świadczą, że więźniowie zatrudnieni byli w kamieniołomach lubańskich, na terenie zakładu – w produkcji nakładczej (naklejanie na szklanki naklejek) oraz introligatorstwie.

Punktem zwrotnym był remont budynku penitencjarnego dokonany w latach 1956-1958, który istotnie wpłynął na poprawę warunków socjalno-bytowych. Zwłaszcza w kontekście tego, iż poza przeludnieniem w wielu celach brakowało łóżek, sienników; ponadto nie było możliwości załatwiania swoich potrzeb fizjologicznych (osadzeni w ciągu dnia mogli tylko dwa razy załatwić swoje potrzeby poza celą!) Mimo oficjalnych dyrektyw w kolejnych dekadach wielokrotnie dochodziło do przeludnienia więzienia, zwłaszcza w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia. Doszło nawet do takiej sytuacji, że na ok. 123 zaplanowanych miejsc, liczba osadzonych sięgała 400 osób!

Dla osadzonych dawniej i dziś

Pod koniec ubiegłego stulecia ponownie przeprowadzono remont budynku penitencjarnego, a zwłaszcza dwóch gabinetów: lekarskiego i stomatologicznego. Zmodernizowano także kotłownię, blok żywnościowy oraz łaźnię. Z myślą o tymczasowo aresztowanych uruchomiono też bibliotekę, świetlicę i kaplicę więzienną. Obecnie osadzeni (maksymalnie 157 mężczyzn), przebywają głównie w celach dwu- i trzyosobowych, które są wyposażone w instalacje sanitarne, centralne ogrzewanie oraz dopływ zimnej i ciepłej wody. Czuwa nad nimi 75 funkcjonariuszy.

Warto nadmienić, iż rok temu, pod murami tutejszego aresztu, doszło do nietypowego wydarzenia: – *W dniu 6 września o godz. 12.00 przy ulicy Podwale 1 miało miejsce uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej upamiętniającej pobyt w areszcie kobiet z francuskiego ruchu oporu, które były przetrzymywane w areszcie lubańskim w latach 1943-1944, w ramach akcji »Nacht und Nebel«. Uroczystość została zorganizowana między innymi dzięki wielkim staraniom Stowarzyszenia Miłośników Górnych Łużyc i Grupy Rekonstrukcji Historycznych »Oberlaustitz«. W wyznaczonym dniu zjawili się zaproszeni goście, m.in.: przedstawiciele francuskiego miasta Noidasles Vesoul; Prezes Towarzystwa Polsko-Francuskiego, który reprezentował Konsula Francji w Polsce; Przewodnicząca Stowarzyszenia Miast Partnerskich. Obecni byli również: Burmistrz Miasta Lubań, Wicestarosta Powiatu Lubańskiego, Prezes Sądu Rejonowego i Prokurator Rejonowy oraz przedstawiciele: Służby Więziennej, Ośrodka Szkoleń Specjalistycznych Straży Granicznej w Lubaniu, Policji i Straży Pożarnej. Całe wydarzenie wywarło niesamowite wrażenie na gościach przybyłych z Francji. Podczas uroczystości śpiewali francuskie pieśni i bardzo dziękowali, że miasto uczciło ten jakże mało znany epizod drugiej wojny światowej* – wspomina Piotr Kucznir, regionalista, członek Stowarzyszenia „Zamek Czocha".

Autor dziękuje Małgorzacie Stankiewicz za analizę architektoniczną oraz Piotrowi Kucznirowi za zdjęcia i pomoc w przygotowaniu artykułu.

Tablica pamiątkowa na murze więzienia w Lubaniu. Fot. Piotr Kucznir.

Przypisy:

[1] Jego żoną od 17.06. 1652 r. była Sabina Strassburger, córka kata ze Zgorzelca. Por. „St. Peter und Paul in Görlitz", (dalej: Peterskirche Görlitz), Kirchenbücher 1632-1653", brak paginacji.

[2] „Annales Reipublicae Laubanensis 1627-1719", [w:] Archiwum Państwowe we Wrocławiu, O/ w Bolesławcu, Akta Miasta Lubań, sygn. 2270, s. 639; Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu, Oddział Rękopisów (dalej: BUWr), sygn. Mil. II/358, s. 486

[3] BUWr, sygn. akc. 1948/162, s. 214

[4] „Peterskirche Görlitz, 1807-1813", poz. 106

[5] Cyt. za: J. Kulczycki, „ Zabytki nieistniejące. Dawne więzienie miejskie", Internet: luban.pl

[6] Cyt. za: P. Berkel, „Geschichte der Stadt Lauban für Schule und Haus zusammengestellt", Lauban 1896 (wyd. polskie, Wrocław 1992, s. 165).

[7] Tamże

[8] Tamże

[9] Cyt. za: A. Konieczny, „Akcja »Noc i mgła« w okupowanych przez III Rzeszę krajach zachodniej Europy", Wrocław 1995, s. 152-153

[10] Akten des RJM, Bundesarchiv Sign. R 22/1428. Por. L. Gruchmann, „»Nacht und Nebel« – Justiz. Die Mitwirkung deutscher Strafgerichte an der Bekämpfung des Widerstandes in den besitzen westeuropäischen Ländern 1942-1944",[w:] „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte", Jahrgang 29, 3 Heft, 1981, przypis. 132

[11] A. Konieczny A., *op. cit.* s. 178-254

[12] A. Konieczny, „Ewakuacja niemieckich więzień na Dolnym Śląsku w 1945 r.", [w:] „Studia Śląskie", Tom XLII, Opole 1983, s. 221-231

[13] Tamże, s. 231-241

[14] Cyt. za: K. Szwagrzyk, „Więzienia i obozy na Dolnym Śląsku (1945-1956)", Wrocław 2013, s. 61-62

Szymon Wrzesiński

Historyk, autor książek : „Podziemne sekrety III Rzeszy w Sudetach Zachodnich. Tajne fabryki, schrony, skrytki depozytowe" (w druku); „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej"; „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku. Indoktrynacja–Siedziby–Poświęcenie"; „Zamek Książ – legenda III Rzeszy"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: sz_wrzesinski@wp.pl

Gdyby nie on, dwa dolnośląskie zamki: Grodziec i Czocha wyglądałyby zupełnie inaczej. Kto wie, może dziś straszyłyby z daleka swoimi ruinami? Szczęśliwie tak się nie stało, kiedy na początku XX wieku dokonano mariażu dużych pieniędzy nowych właścicieli zabytków i nieprzeciętnych zdolności oraz wiedzy – architekta, historyka sztuki, konserwatora i restauratora zabytków. A oba zamki? Do dziś uchodzą za jedne z najbardziej „filmowych" w Polsce. Reżyserzy i scenografowie wiedzą, co robią.

Urodził się 150 lat temu, 5.01.1865 r. w Bremie, w rodzinie kupieckiej i wytwórcy mebli posiadającego fabryki w Bremie i Wiesbaden. Otrzymał aż trzy imiona – Bodo, Heinrich i Justus, choć do historii wszedł pod tym pierwszym. Słabe zdrowie spowodowało, że wysłano go do szkoły z internatem, aż do Sankt Goarshausen, niewielkiej miejscowości położonej w dolinie środkowego Renu, gdzie wokół roiło się od starych zamków, którymi zachwycił się od pierwszego wejrzenia, a jeden z nich – Marksburg – urzeknie go na całe życie. Zainteresowania i zamiłowanie do sztuki wpajała mu matka Agnieszka, córka muzyka i kompozytora Krollmanna z Hanoweru.

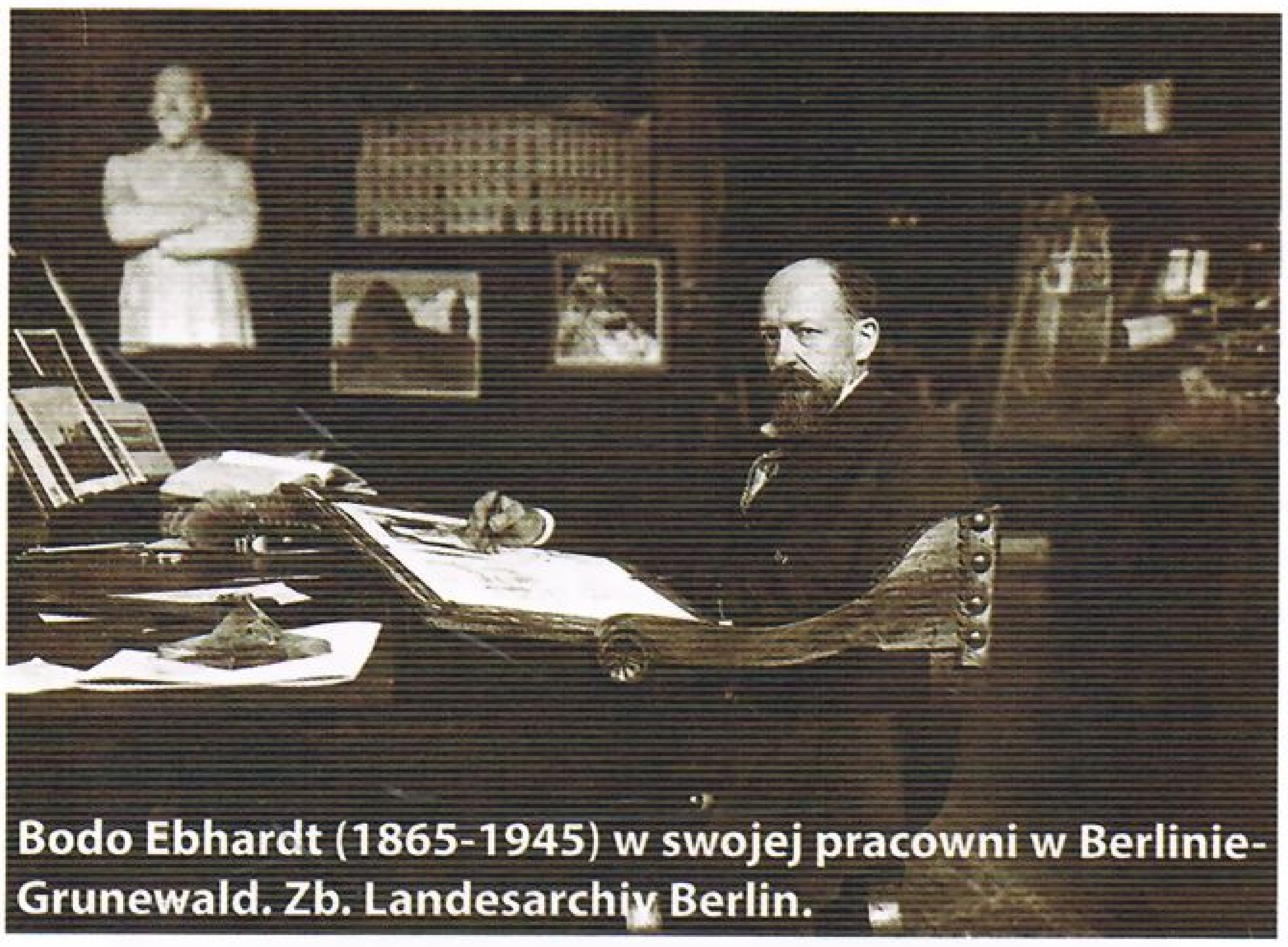
Bodo Ebhardt (1865-1945) w swojej pracowni w Berlinie-Grunewald. Zb. Landesarchiv Berlin.

dzał w muzeach, zwiedzał zabytki architektury i rysował. Ojcowskie ambicje bycia kupcem przegrać musiały z czymś nowym, co odsłoniło prawdziwe powołanie Bodo Ebhardta. Zamieszkał w Berlinie, gdzie zaczął uczęszczać na wykłady z architektury i historii sztuki. To było to! Został uczniem prof. Aleksandra Schütza z Muzeum Rękodzieła Artystycznego, a później Ernsta Eberharda von Ihne. Utrzymywał się z wykonywania rysunków dla... zakładu nagrobkowego. Ostatecznie, podejmując samodzielną działalność artystyczną, w dzielnicy Berlina Grunewald założył ze wspólnikiem w 1890 r. pracownię architektoniczną (atelier). Początkowo były z tym problemy, bo Ebhardt,

Śladami Bodo Ebhardta

JANUSZ SKOWROŃSKI

Z kolei jego ojciec, Carl, widział go początkowo w kupieckim fachu, który próbował zgłębiać w fabrykach Magdeburga i rodzinnej Bremy. Zwłaszcza w Magdeburgu konieczne były zdolności rysunkowe i projektowe przy wytwarzaniu mebli uznawanych za artystyczne, bo w stylu niemieckiego renesansu. Zakład ojca wysłał go nawet na praktykę do Londynu, gdzie – zamiast zajmować się meblarstwem – większość czasu spę-

mimo że stale pogłębiał swą wiedzę architektoniczną, nigdy nie studiował na wydziale architektury. To w berlińskim Grunewaldzie już od 1892 r. datują się pierwsze zrealizowane projekty Ebhardta: willa Seibta (1892-94), własny dom (tzw. Landhaus Ebhardt, 1893-94), czy willa Scheche (1896). Jego projekty są realizowane w innych dzielnicach Berlina – w Lichterfelde (kompleks mieszkalno-przemysłowy „Wilhelmshof" 1894), w Karlshorst dom mieszkalny „Fürstenhof" (1894), czy w Tiergarten dom rodzinny Schröder-Poggelow (1895-96). 12 czerwca 1898 r. podczas odsłonięcia zaprojektowanego przez Ebhardta pomnika sportu w berlińskim Grünau, nastą-

Zamek Grodziec zawdzięcza przebudowę Ebhardtowi. W dolnej części podstawy komina tablica z czasów jego prac. Dlaczego odkuty został fragment imienia Dirksena? Fot. J. Skowroński i K. Kula.

piło pierwsze jego spotkanie z cesarzem Wilhelmem II. Cesarz nie mógł nie zauważyć ebhardtowskiej inskrypcji na pomniku: *„Wilhelm dem Grossen der Deutsche Sport"*.

Coraz śmielej Ebhardt projektował dla możnych i coraz bogatszych. Takie możliwości dawały do zagospodarowania nowe tereny nad jeziorem Wannsee. Znanemu wydawcy Carlowi Langenscheidtowi stworzył neoklasycystyczną willę w dzielnicy Wannsee (1899-1901), a później kompleks budynków stajennych. W jego sąsiedztwie budowano m.in. dla wydawcy Ferdynanda Springera, malarza Paula Liebermanna, czy przedsiębiorcy Ernsta Maliera.[1] Bodo Ebhardt skierował się także na odbudowę i rekonstrukcję starych średniowiecznych zamków, przywracając im dawne funkcje obronne. Działał tym samym w wilhelmińskim duchu Kulturpolitik cesarza Wilhelma II. W 1899 r. założył Ebhardt Towarzystwo na Rzecz Zachowania Niemieckich Zamków (niem. Vereinigung zur Erhaltung deutscher Burgen). Został jego sekretarzem, marszałkowi dworu von Buddenbrockowi pozostawiając kierowanie Towarzystwem. W latach 1920-1945 stał już na jego czele.

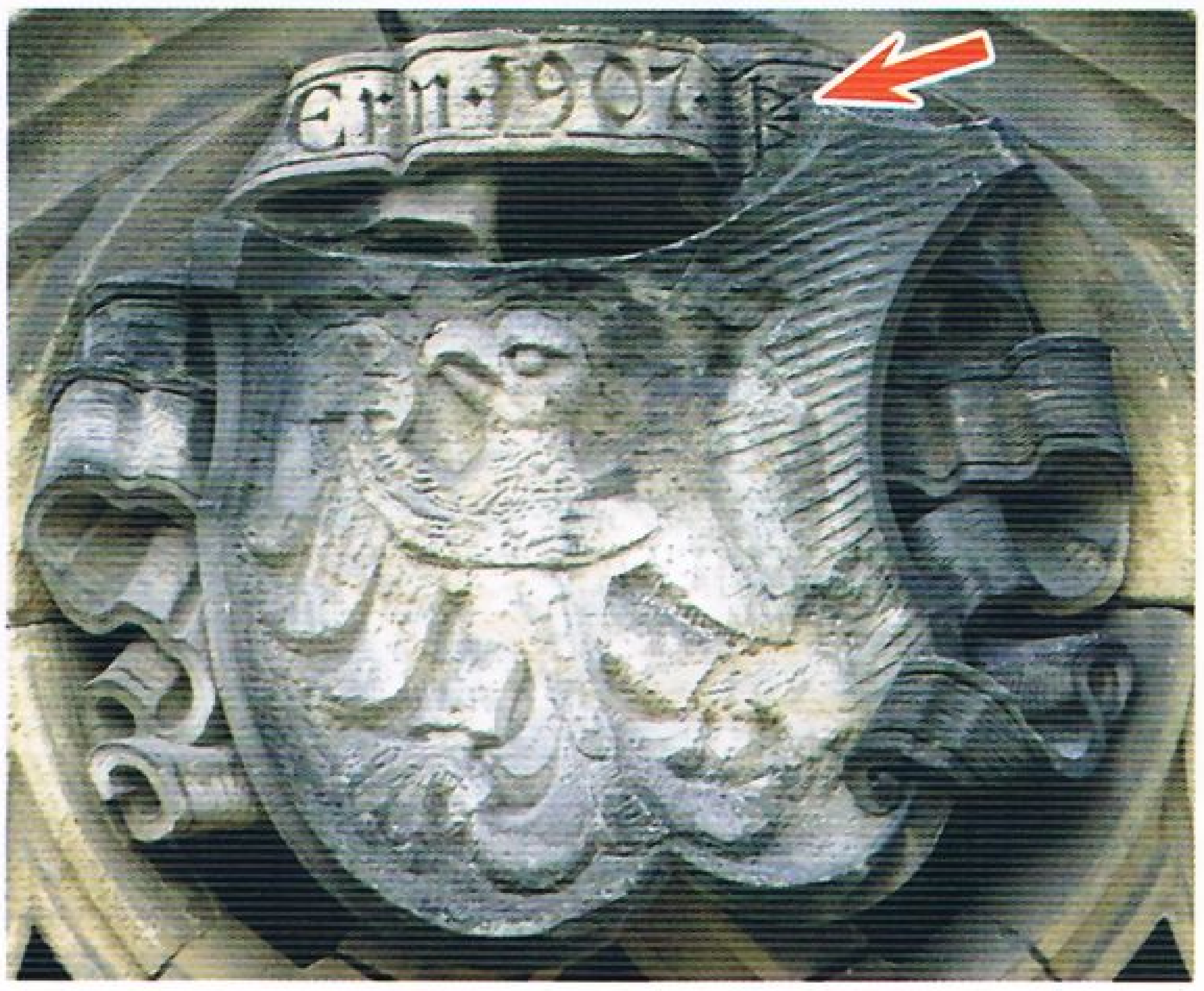

Na prawo od daty przebudowy Grodźca – gmerk Bodo Ebhardta. Fot. K. Kula.

Stworzył Bodo Ebhardt fachowe pismo „Der Burgwart".[2] Urzeczony nim cesarz, któremu zaimponował wiedzą o starych zamkach, odwiedził osobiście w 1900 r. atelier Ebhardta w Grunewaldzie, zlecając mu odbudowę swojego potężnego zamku Hohkönigsburg w Alzacji (potrwała do 1908). Szybko zyskał jego przyjaźń i uznanie, choć krytyka konserwatorska nie szczędziła uwag o nowatorskim sposobie podźwignięcia z ruin Hohkönigsburga. To wszystko starał się łagodzić sam cesarz. Potwierdzeniem tego było nadanie Ebhardtowi tytułu tajnego, wyższego radcy budowlanego. Wilhelm II zezwolił mu na używanie tytułu architekta Cesarza Niemiec i Króla Prus. W 1901 cesarz wysłał w podróż studyjną Ebhardta (i sfinansował ją!) do Austrii, Szwajcarii, Włoch, Francji i południowych Niemiec w celu sporządzenia szkiców tamtejszych zamków. Za swoje zasługi na polu badań nad architekturą warowną i odbudową zamków niemieckich Ebhardt otrzymał tytuł profesora. Dewizą Ebhardta stało się przekonanie o tym, aby zapobiec całkowitemu zniszczeniu zrujnowanych zabytków, należy dążyć do ich kompletnej odbudowy, aż do uzyskania stanu największej świetności obiektu. Zaś prowadząc prace restauracyjne, kładł nacisk na jak najwierniejsze zachowanie (odtworzenie) obiektu w jego pierwotnym stylu. Pod jego okiem znalazły się m.in.: zamek Marksburg (od roku 1899), pałac Landonvillers niedaleko Metz (1903-1906), wieża zamkowa Wartenburg (1905), Neuenstein w Wirttebergii (od 1906) czy twierdza Coburg (od 1906). Tytaniczna wręcz praca Ebhardta była godna podziwu. Potrafił rocznie odwiedzić ponad 70 zamków doradzając w ich przebudowie właścicielom wielu z nich.

Zamek Czocha na czas przebudowy przez Ebhardta „ubrano" w stosowne rusztowanie. Widok od strony Jeziora Leśniańskiego. Zb. EBI Marksburg, repr. J. Skowroński.

Prekursor ochrony zabytków

Ebhardt stał się najważniejszym prekursorem odnowy zabytków obronnych w Niemczech przełomu XIX i XX wieku. Postulował naukowe zajęcie się studiami nad architekturą obronną, w tym prowadzenie badań ruin (zarówno odbudowywanych, jak i nierekonstruowanych), gromadzenie wszelkiego rodzaju źródeł pisanych o zamkach, czy zbieranie materiału ikonograficznego. Wyniki badań zalecał gromadzić i opracowywać. Przede wszystkim był zwolennikiem akcji szerokiego uświadamia właścicieli zamków, władz konserwatorskich i opinii publicznej znaczenia badań architektonicznych dla utrzymywania budowli w odpowiednim stanie. W 1905 r. przedstawił swój nowatorski 13-punktowy program konserwacji ruin zamkowych.[3] Wiele z jego postulatów, nawet po przeszło stu latach, nic nie straciło na aktualności a wręcz wydaje się oczywistością.

Grodziec

W 1906 r. Ebhardt trafił na Dolny Śląsk, do Grodźca. Za sprawą Willybalda von Dirksena (1852-1926) dyplomaty, tajnego radcy poselskiego w niemieckim MSZ, a jednocześnie miłośnika sztuki średniowiecznej. On to właśnie od wdowy po hrabim Leonardzie von Donnersmarck nabył posiadłości wraz z zamkiem za 2 mln marek. Ebhardt – zgodnie z wypracowanymi przez siebie zasadami – przed przystąpieniem do pracy na zamku, szczegółowo zbadał i prześledził jego dzieje, docierając do wielu nieznanych źródeł, głównie w archiwach i bibliotekach dolnośląskich, a nawet wiedeńskich. Tuż za bramą wejściową możemy natknąć się na tablicę informacyjną o treści: *„Za panowania Jego Majestatu cesarza Wilhelma II ten zamek roku Pańskiego 1906-1908 został ponownie odbudowany przez W. von Dirksena i pod kierunkiem i we-*

Jeśli Ernst Gütschow, właściciel Czochy, akceptował rozwiązanie – budowa ostro ruszała. Ebhardt rekonstruował Czochę w sposób widowiskowy, stawiając drewniane modele naturalnej wielkości. Zb. EBI Marksburg, repr. J. Skowroński.

dług planów architekta Bodo Ehbardta". Dziełem Ebhardta jest także znajdujący się w tzw. międzybramiu piaskowcowy wykusz obronny z tarczą herbową książąt legnickich. Zgodnie z swoimi 13-punktowymi zasadami Bodo Ebhardt zorganizował w Grodźcu lapidarium, w którym ustawiono stare elementy wystroju zamku. Przetrwały one do dziś na zamkowym murze.

Kiedy spojrzymy (dobrym obiektywem!) na górną część podstawy komina, odczytamy kolejną z pamiętających czasy odbudowy tablicę: *„Zamek Grodziec powstały we wczesnym średniowieczu, jako twierdza przebudowany w 1473 przez książąt legnickich, zniszczony podczas wojny 30-letniej w 1633, zrujnowany w 1751, ponownie odbudowany przez Will… von Dirksena 1906-1907"*. Badacze dziejów zamku do dziś zadają sobie pytanie, dlaczego odkuty został fragment imienia Dirksena? Czyżby kamieniarz umieścił błędnie imię Wilhelm bądź Willy? – trudno rozstrzygnąć. Gmerki, czyli murarskie znaki cechowe Ebhardta, wyryte na kamieniarce, pozostawiam Czytelnikom do samodzielnego odkrycia podczas zwiedzania Grodźca. A jest ich tu kilka. Jak wyglądały? Wystarczy przyjrzeć się napisowi nad wejściem głównym do Sali Rycerskiej. W zwieńczeniu szczytu w tarczy herbowej dostrzeżemy piastowskiego orła, a ponad nim napis:[4] *„Ern 1907"* – znak z jego prawej strony, to właśnie jeden z gmerków Bodo Ebhardta. Niestety, do naszych czasów nie zachowała się jeszcze jedna tablica, mówiąca o pobycie cesarza Wilhelma II na Grodźcu, który zamek *„zaszczycił swoją obecnością w dniu 9 czerwca 1908 roku, roku ukończenia odbudowy"*. Poprzedziła go wizyta w Legnicy, gdzie cesarz uczestniczył w otwarciu kościoła.

Po cesarzu na zamek przybywać zaczęły tłumy turystów. Koniunkturę zdawał się podgrzewać sam Dirksen, który dla odwiedzających zakupił kilkaset cennych eksponatów. Wystawione na zamku nadały rangę jednej z największych kolekcji sztuki śląskiej. Czy mogło zdarzyć się, że wśród wizytujących Grodziec znalazł się Ernst Gütschow, świeżo upieczony właściciel innego z zamków, Czochy nad Kwisą? Zapewne tak, bo Grodziec, jedna z większych atrakcji Śląska przebudowana przez Ebhardta, musiała wzbudzić uznanie w oczach tytoniowego potentata, który skorzystał z rad byłego dyplomaty.

Czocha

W 1909 r. Ernst Gütschow, bogaty przemysłowiec tytoniowy z Drezna, nabył Czochę od Bolka, ostatniego z łużyckiego

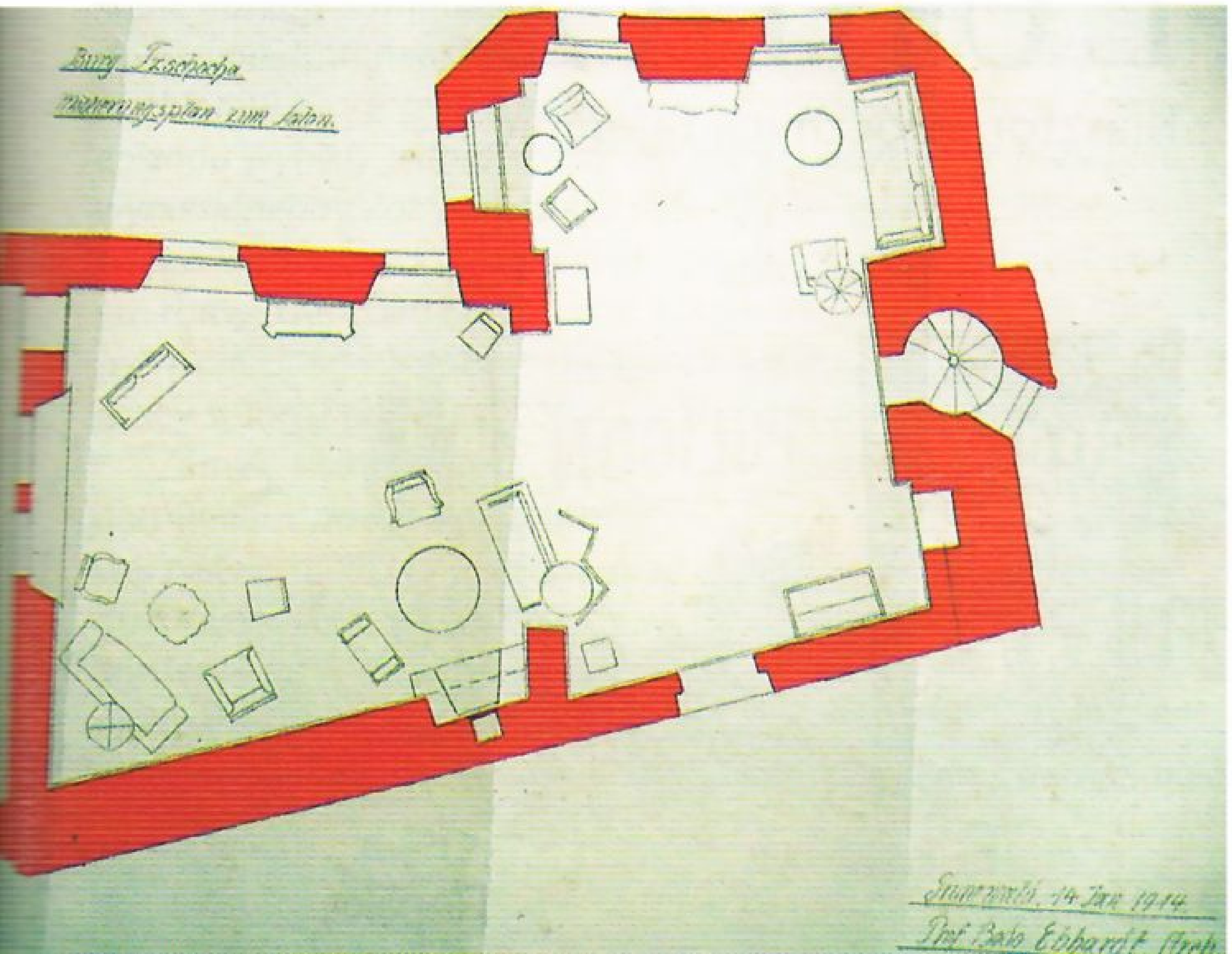

Czocha. Jeden z odnalezionych planów Ebhardta – salonik właściciela zamku (zb. AP Wrocław, fot. J. Skowroński). Ebhardt był także autorem obrazu i makiety zamku Czocha, którą Gütschow podarował Heimatmuseum Lauban. Makieta zaginęła pod koniec wojny (lub po jej zakończeniu). Tabliczkę z makiety odnalazł niedawno J. Kołtun. Zb. EBI Marksburg, repr. A. Ploch, fot. J. Skowroński.

rodu Üchtritzów władającego zamkiem przez ostatnie trzy stulecia. Rok później, pod kierunkiem Ebhardta, przystąpiono do jego gruntownej przebudowy. Prace zintensyfikowano nawet w 1912 r., licząc na powtórzenie się scenariusza sprzed 4 lat i przybycie tu samego cesarza. Może za namową Ebhardta? Wilhelm II 16 listopada przybył nad zaporę pilchowicką, spiętrzającą wody Bobru, by uroczyście oddać ją do użytku. O tym, że plan wizyty na czoszańskim zamku był poważnie rozważany, niech świadczy relacja, którą spisał przed laty jeden z pracowników: *„Ja, Ernst August von Teubern mając lat 17, w roku 1939 znalazłem się w gospodarstwie należącym do dóbr zamku Czocha (…) Z historii tego zamku zapamiętałem z przekazów starszych, jak po jego odbudowie, w roku 1912 pan Gütschow zapragnął, aby odwiedził go tu sam cesarz Wilhelm II. Niestety, nigdy do tego nie doszło, bo dały o sobie już znać znamiona zbliżającej się I wojny światowej. Szkoda, bo specjalnie przygotowany na tę wizytę fotel z wyrzeźbionymi herbami i ustawiony w Sali Rycerskiej pozostał pusty".*[5] Bodo Ebhardt zdawał sobie sprawę, że Czocha po odbudowie i rekonstrukcji stanowić będzie prywatną własność. Przedwojenne przewodniki, choć zapraszają na wycieczki w dolinę Kwisy, wspominają zarazem, że posiadłość jest niedostępna dla turystów. Tę niedostępność starał się uszanować i sam Ebhardt, który na łamach pism fachowych obficie publikował swoje zrealizowane rekonstrukcje zamków. W przypadku Czochy ograniczył się do niewielu wzmianek, głównie z historii zamku, prawie pomijając swój wkład w jego rekonstrukcję. Można się tylko domyślać, że takich publikacji nie życzył sobie sam Gütschow, człowiek bardzo zamożny, chcący swojej rezydencji i przebywającej w niej rodzinie zapewnić całkowity spokój. Tak oto rodziła się tajemnica tego zamku.

Kiedy w 1994 r. doszło do niespodziewanego odnalezienia planów przebudowy zamku Czocha,[6] mogliśmy poznać kunszt Bodo Ebhardta. Ogółem uratowano 12 planów, z których największe były formatu A0. Zawierają m.in. rzuty poziome kilku kondygnacji zamku, z naniesionym przeznaczeniem poszczególnych pomieszczeń, w tym najpiękniejszej komnaty właściciela i pomieszczeń przyległych, plan przedzamcza, kasztelanii, układ fasady od strony wjazdowej, czy plan rozmieszczenia mebli w salonie. Prawdziwym rarytasem jest… schemat wewnętrznej instalacji elektrycznej. Bodo Ebhardt przeprowadzał rekonstrukcję Czochy w sposób widowiskowy. Zgromadzona dokumentacja fotograficzna potwierdza jego oryginalny styl pracy. Jeśli chciał coś gruntownie zmienić, budował drewnianą makietę w jej naturalnych rozmiarach. Stawiał ją w zaprojektowanym wcześniej miejscu. Dotyczyło to choćby bramy wjazdowej na czoszański dolny dziedziniec. Z kolei na dziedzińcu wewnętrznym nie zapomniał o wyeksponowaniu na ścianach – podobnie jak na Grodźcu – lapidarium, wzbogaconego tutaj o kamienne poidło. I tu nie brakuje gmerków – cechowanych przez Ebhardta na kamieniarce okiennej czy kominku. To kolejne zadanie na odkrywczą wycieczkę. Co ciekawe, w późniejszych latach Ebhardt zmieniał kształty swoich gmerków w restaurowanych przez siebie obiektach. Do dziś trwa cichy spór o to, kiedy tak naprawdę Ebhardt zakończył swoje prace w Czosze. W 1914 r., jak chce większość badaczy? A może w 1920? Architekt – tak niechętnie posiłkujący się przykładami Czochy, w swoim największym dziele „Der Wehrbau Europas im Mittelalter" datował narysowany przez siebie plan odbudowanej Czochy w latach 1912-1920. Zważywszy na jedno z datowań Sali Muzealnej (zwanej Marmurową) na rok 1929, gdzie znajdują się sygnowane tą datą malowidła i boazeria, ostateczne zakończenie przebudowy Czochy przesuwa się o kolejne dziewięć lat.[7]

Warto wiedzieć

Ebhardt krytycznie wypowiadał się o Hitlerze po jego dojściu do władzy. Nigdy nie należał do NSDAP. Zresztą, niechęć była obustronna, bo partia nazistowska odrzuciła wniosek jednego z uniwersytetów nadreńskich o przyznanie architektowi doktoratu honoris causa, określając go przy tym mianem reakcjonisty. Pomimo wojny i późnej starości, Ebhardt czynnie pracował. Polski architekt, prof. Jan Zachwatowicz tak wspominał swój wojenny kontakt z Bodo Ebhardtem: *„W roku 1941 zjawił się w Zakładzie Architektury Polskiej dr Kothe z Berlina (…) przywiózł list od prof. Bodo Ebhardta znanego uczonego nie-*

REKLAMA

Zagadki i sekrety z burzliwych dziejów największego opactwa w Polsce

Tomasz Bonek
Marta Ringart-Orłowska

LUBIĄŻ
Klasztor mrocznych tajemnic

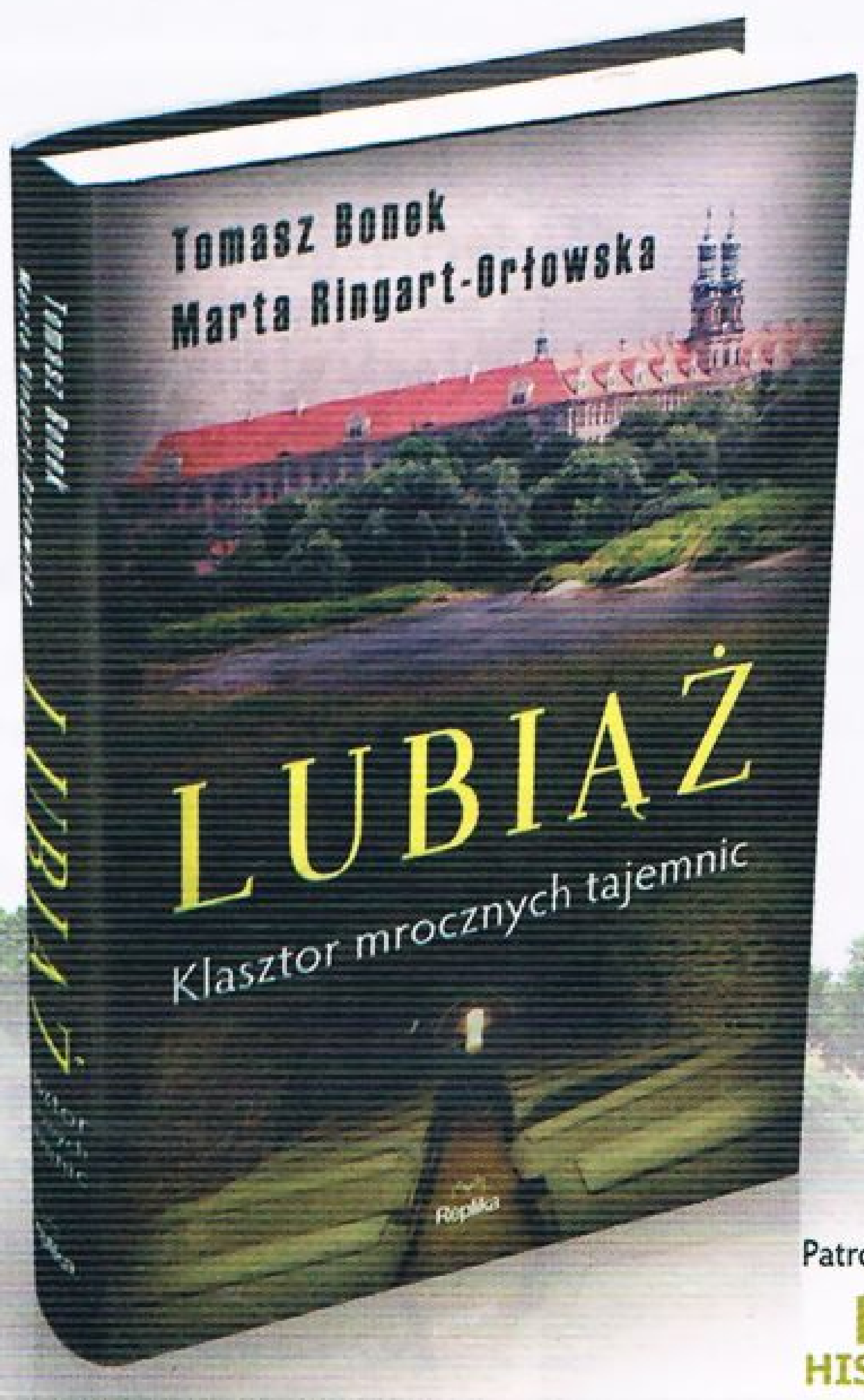

POLECAMY TAKŻE:

Patroni:
TVP HISTORIA
ODKRYWCA

Replika

Tajemnice archiwów

Historia ta miała miejsce w latach sześćdziesiątych. Mieszkałem w starym drewnianym domu obmurowanym w kilku miejscach cegłą. Coś już tkwiło wtedy we mnie, ponieważ lubiłem drążyć w ziemi głębokie doły. W tamtych czasach nie było wykrywaczy metali takich jak obecnie, a wojskowe do poszukiwania min były niedostępne. Na podwórku wokół domu znajdowały się w ziemi skarby zakopane przez poprzednich użytkowników działki. Wykopałem stare butelki i fiolki aptekarskie, dużo odłamków po wybuchu, monety. Nasz dom graniczył z terenem poligonu. W czasie okupacji funkcjonowała tam fabryka zbrojeniowa, a po wojnie obóz NKWD. Szczególnie interesował mnie strych w naszym domu. Wiedziałem, że ojciec traktuje to miejsce jako swój skarbiec. Postanowiłem pod jego nieobecność zbadać, co kryje strych. Wejście było bardzo utrudnione, musiałem wspiąć się po dwóch drabinach. Oczom moim ukazał się świat tajemniczy i przerażający – stare meble, szafy, walizy, dużo różnego drewna, spośród którego wystawały krzyże ze starego grobu rodzinnego. W walizach znalazłem zdjęcia z dawnych lat, a w szafach książki i klasery ze znaczkami. W centralnym miejscu pomieszczenia, na uporządkowanym podeście, leżały bardzo stare gazety – przedwojenne, z okresu okupacji i z pierwszych lat po wojnie. Nie umiałem jeszcze czytać i nie potrafiłem wtedy określić wartości tego zbioru. Po kilku latach, gdy zaczęły mnie interesować książki, zapoznałem się z zasobem biblioteki mojego ojca. Było tam wiele książek wojskowych – starych i współczesnych. Szczególnie zaciekawiła mnie pozycja o niemieckiej podziemnej fabryce zbrojeniowej „Dora" w Górach Harzu. Postanowiłem ponownie wybrać się na strych, aby zgłębić tajemnice starych woluminów. Odnalazłem mnóstwo artykułów na temat tajemniczych obiektów, zaginionych i zatopionych skarbów. Zapamiętałem szczególnie jeden artykuł z czasopisma propagandowego „Signal" o podziemnej fabryce zbrojeniowej łożysk kulkowych w starej fortecy na Śląsku. Mijały lata. Wyprowadziliśmy się z naszego starego domu. Zamieszkaliśmy w malutkim pokoiku, gdzie nie sposób było zgromadzić wszystkie skarby z młodości. Gdy ojciec nagle zmarł, rodzina postanowiła sprzedać stary dom. Niestety, nie udało mi się uratować tajemniczego archiwum, zostało bezpowrotnie zniszczone. Nie zdążyłem spisać tytułów ciekawych publikacji, zaginęła też książka o „Dorze". Brakuje mi tamtych woluminów ze starego domu. Pisano wtedy dużo o różnych tajemnicach i zagadkach bardziej prawdziwie.

Jedno z praw poszukiwacza skarbów mówi: „Nie przejmuj się, że nic nie znalazłeś materialnie – wiedza jest twoim największym skarbem, dzięki niej twój sukces jest bliski osiągnięcia.

W latach osiemdziesiątych poznałem Bogusława, który pokazał mi zeszyt zawierający streszczenia artykułów prasowych. Zbiór opatrzony był tytułem: „Pohitlerowskie obiekty i urządzenia podziemne". Za zgodą autora I tomu zredagowałem samodzielnie już około 50 tomów dotyczących tego i innych zagadnień. Kopię kilkunastu tomów przekazałem Instytutowi Historii Kultury Materialnej PAN. Z mojego zasobu korzystali historycy i dziennikarze. Powstało kilka książek i filmów o poszukiwaniu skarbów w oparciu o moje archiwum. Oprócz publikacji prasowych posiadam ogromny zbiór kopii starych dokumentów podziemnych fabryk zbrojeniowych, umocnień i schronów pohitlerowskich, miejsc tajemniczych i niezwykłych. Stworzyłem też wielką komputerową bazę danych dotyczącą tej tematyki.

Chciałbym przedstawić czytelnikom „Odkrywcy" swoje spostrzeżenia dotyczące zasobu polskich archiwów.

Penetracją archiwów zajmuję się od kilkunastu lat. Przeprowadziłem kwerendę w kilkuset teczkach w kilku archiwach na terenie kraju. Sprawy, które nas interesują, wiążą się zarówno z okresem sprzed II wojny światowej, jak i po jej zakończeniu. Realizując zamówienia kwerendalne instytucji i osób prywatnych, odkryłem wiele informacji o obiektach i miejscach będących w sferze zainteresowań poszukiwaczy skarbów. Są to dokumentacje projektowe pohitlerowskich obiektów i urządzeń podziemnych z okresu od 1936 do 1945 r. Dotyczą one większości miast polskich (zarówno schronów przeciwlotniczych, jak i podziemnych fabryk zbrojeniowych) w zachodniej części kraju. Jest również kilka teczek Polskiej Placówki Wywiadowczej „Adrian" we Wrocławiu, działającej od 1936 roku. Między innymi z tego źródła pochodzą sensacyjne informacje o podziemnych hangarach dla samolotów pod lotniskiem Strachowice we Wrocławiu. Kilka innych teczek zawiera dokumenty dotyczące zaminowania miasta Wrocławia (mosty, budynki, obiekty przemysłowe) z okresu od 7 lutego do 26 kwietnia 1945 r.

W archiwach znajdują się oryginalne plany wyrobisk górniczych wytworzonych do 1945 r. przez OBB niemiecki. Większość map geologicznych i górniczych oddali nam Rosjanie w wyniku rewindykacji w latach pięćdziesiątych. Bardzo uszczuplony jest zasób zdjęć lotniczych. Większość z nich z lat 1945-1952 zabrali Rosjanie i nie zwrócili. Zdjęcia lotnicze z okresu 1945-1957 pokrywają tylko Warszawę i okolicę. W naszych archiwach możemy natomiast odnaleźć fotografie niemieckie dorzecza Warty z 5-26 listopada 1941 r. oraz 4 lutego 1943 r.

Penetracja polskich archiwów jest rajem dla pasjonatów fortyfikacji. Studiując akta można odtworzyć historię umocnień wzniesionych przez zaborców w ubiegłym wieku. Są plany i dokumenty budowy twierdz, m.in. Modlina, Warszawy, Zegrza, Dęblina, Grudziądza, Brześcia, Osowca. Są to materiały pomieszane, nieuporządkowane. Pewnego razu, przeglądając nie opisane zdjęcia lotnicze, odnalazłem nieznane zdjęcia umocnień Twierdzy Modlin z okresu II Rzeczypospolitej. Jednak duża część polskiego zasobu archiwalnego została zniszczona bezpowrotnie we wrześniu 1939 r.

Większość zachowanych dokumentów powstała po 1945 roku. Dla nas, poszukiwaczy, stanowią one bardzo ciekawy zbiór. Do końca „zimnej wojny" te materiały były dostępne tylko dla wąskiego grona wyższej rangi dowódców, ponieważ nosiły klauzulę „tajne / poufne". W końcu lat siedemdziesiątych archiwa wojskowe zaczęły się otwierać także dla pracowników nauki i dziennikarzy. Z teczek, które mi udostępniono, dowiedziałem się, jak wyglądały pierwsze dni po wkroczeniu wojsk polskich na tereny pozostające w kręgu naszych zainteresowań (ukryte dobra kultury). Saperzy rozminowywali każdą połać ziemi przekazaną stronie polskiej przez Rosjan na podstawie umów i dekretów. Wojska te sporządzały dokumenty, plany i sprawozdania. Tych teczek jest kilkaset w różnych archiwach. Inne grupy saperskie zajmowały się zbieraniem informacji i sporządzaniem dokumentacji dotyczącej pohitlerowskich obiektów i urządzeń podziemnych w okresie od 1945 do 1947 roku. Gdy na terenach wyzwolonych i odzyskanych zaczęła funkcjonować administracja, wojewodowie skierowali pisma do władz samorządowych, powiatów, burmistrzów i starostów miast. Zalecali w nich, aby do komórki wojskowej nadsyłać materiały dotyczące fortyfikacji, umocnień polowych stałych i przeciwlotniczych. Taki dokument możemy znaleźć z datą wrzesień 1946 roku. Inny dokument, z listopada 1946 roku, wystawiony przez Naczelne Dowództwo Ministerstwa Obrony Narodowej, kierowany jest do Szefa Departamentu Inżynierii i Saperów, a dotyczy inwentaryzacji rowów i transzei oraz obiektów fortyfikacyjnych w poszczególnych okręgach wojskowych. W grudniu 1946 roku Szef Departamentu Inżynierii i Saperów MON wystosował pismo do Szefa Wydziału Inżynierskiego DOW IV nakazując zaznaczenie na mapach (w kolorach) wszelkich fortyfikacji, również zniszczonych, w związku z przygotowaniem konferencji pokojowej „Ziemie Odzyskane, Odra i Nysa Łużycka". Termin wykonania zadania wyznaczono na koniec stycznia 1947 roku. W archiwum znajdują się te pokolorowane mapy z naniesionymi zespołami umocnień oraz wykaz obiektów fortyfikacyjnych. Innym ciekawym dokumentem jest pismo z końca sierpnia 1946 roku wydane przez Prezydium Ekonomiczne Rady Ministrów, zalecające przekazanie Linii Hindenburga (MRU) w gestię Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Marszałek Rola Żymierski na prezydium Rady Ministrów w kwietniu 1948 roku zaproponował, aby całe wyposażenie Linii Hindenburga przekazać Ministerstwu Obrony Narodowej. W 1951 roku wojsko wykonało metryki, opisy i zdjęcia Linii Hindenburga.

Jest kilka teczek tych materiałów. Znajdują się w nich również oryginalne niemieckie zdjęcia wyposażenia pancerwerków, kopuł drzwi i zasuw oraz potykaczy. W archiwach są też pisma mówiące o pozyskiwaniu sprzętu wojskowego z fortyfikacji i linii obronnych w latach 1945-1955. Duży zbiór stanowią teczki z dokumentami dotyczącymi powojennej inwentaryzacji kwater Hitlera i jego dostojników na Mazurach.

W latach 1996-1997 roku pod kierownictwem prof. dr. hab. Andrzeja Gruszeckiego realizowany był na Politechnice Warszawskiej grant „Kartograficzne udokumentowanie budownictwa obronnego w Polsce od połowy XVIII wieku do 1945 roku". W części opracowanych arkuszy można odnaleźć mój niewielki wkład archiwalny.

Przeglądając różne archiwa trafiałem na te same dokumenty. Po wojnie dokumenty sporządzane były w trzech egzemplarzach: maszynopis i dwie kopie. Wykonywano również światłokopie. Dlatego można znaleźć dużo materiałów tej samej sprawy poukładanych w setkach teczek. Fakt, że w archiwach są sporządzane inwentarze ale nie odpowiadają one rzeczywistości. Często opisy na teczkach wskazują dokumenty, których nie ma w inwentarzu. Czasami, wbrew opisowi, nie znajdujemy w środku materiałów, które nas interesują albo znajdujemy adnotację że materiały wyjęto. Co się z nimi stało, tego nie wie nikt! Bywa i tak,

DOKOŃCZENIE NA STR. 12

ODKRYWCA

Od pierwszych numerów "Odkrywcy" hołdowaliśmy starej zasadzie, że prawdziwe poszukiwania zaczynają się w archiwach i bibliotekach...

mieckiego, autora prac z zakresu budownictwa obronnego, m.in. znanej książki »Der Wehrbau Europas«. Prof. Ebhardt w swym liście w grzecznej formie prosił o przekazanie mu materiałów znajdujących się w Zakładzie, dotyczących zamków i obwarowań w Polsce, gdyż zamierza wydać tom poświęcony budownictwu obronnemu wschodniej Europy. Powiedziałem dr. Kohtemu, że zebranie tego materiału potrwa jakiś czas, że najlepiej będzie jeżeli prześlę ten materiał pocztą. Dałem mu też odpowiedni list do prof. Ebhardta. Następnie zaczęliśmy zbierać wszystkie materiały polskie z tego zakresu, lecz już opublikowane. Zrobiliśmy fotokopie dużego formatu i cały ten materiał wysłałem Ebhardtowi do Berlina. Natomiast materiały nie opublikowane wycofaliśmy ze zbiorów i kartotek i schowaliśmy poza obręb Zakładu. Z tego epizodu wynikły jednak straty dla zbioru, gdyż część materiału wyniesionego z Zakładu spaliła się w czasie Powstania Warszawskiego. Zapowiedziany tom prof. Ebhardta nie ukazał się".[8] Dalsze tomy „Wehrbau Europas im Mittelalter" – o zamkach Europy wschodniej i południowej ponoć były gotowe. Maszynopis pracy spłonął podczas jednego z bombardowań Lipska.

Zamek Marksburg, górujący nad miasteczkiem Braubach nad Renem, został odkupiony z inicjatywy Ebhardta przez Towarzystwo na Rzecz Zachowania Niemieckich Zamków od rządu królewsko-pruskiego. Kiedy w 1900 r. przystąpiono do prac konserwatorskich, zamek był dobrze zachowany, ale bardzo zaniedbany. Prace Ebhardta miały na celu usunięcie zmian XIX-wiecznych i przywrócenie stanu obiektu z początku XVII wieku. Kiedy na początku lat 30. do zamku przeniesiono siedzibę Towarzystwa, Ebhardt zamieszkał w nim na stałe. Mając wgląd na zamek, prowadził w nim dalsze prace konserwatorskie i przystosowawcze do nowych funkcji (założono centralne ogrzewanie, adoptowano pomieszczenie na kuchnię) do 1943 r., czyli niemal do końca życia. Zmarł na zamku w Marksburgu 13 lutego 1945 roku.

W bieżącym roku miasto Braubach, którego honorowym obywatelem został w 1909 r. Bodo Ebhardt, obchodzi jubileusz 150-lecia urodzin architekta. 1 sierpnia w ratuszu w Braubach otwarto wystawę poświęconą Ebhardtowi. Tegoroczna, czerwcowa wyprawa członków Stowarzyszenia „Zamek Czocha" śladami Ebhardta przyniosła wstępne zapewnienia miejscowych władz nawiązania bliższej współpracy ze stroną polską. Czynione są starania, aby wystawę o znakomitym architekcie pokazać w Polsce, w muzeach regionalnych Złotoryi i Lubania, gdzie znajdują się oba odrestaurowane przez niego zamki.

Pamiętajmy także, że w dzisiejszej Polsce Czocha i Grodziec to nie jedyne zamki, którymi zajmował się Ebhardt. Śladów po nim można doszukać się więcej. Wspomnieć należy choćby o tym, że w 1927 r. podjął on badania architektoniczne nad zamkiem w Toszku (niem. Tost), strawionym po pożarze 1811 roku. W latach 30. XX w. kierował pracami konserwatorsko-architektonicznymi na zamku w Bytowie, gdzie odbudowano czworoboczną wieżę (spłonęła w 1994), a w samym zamku planowano umieścić schronisko młodzieżowe. Na Dolnym Śląsku, w Zagórzu Śląskim, gdzie znajduje się zamek Grodno, Bodo Ebhardt był na pocz. XX w. ekspertem konserwatorskim rodziny von Zedlitz. Miał też „przyłożyć się" do przebudowy górującego nad Dunajcem zamku w Niedzicy. Ale to zapewne tematy na inne „odkrywcze" wędrówki.

Przypisy:

[1] Willa Malier posłużyła m.in. słynnej konferencji w Wannsee (20.01.1942), na której 15 najwyższych przedstawicieli NSDAP i SS pod kierunkiem Reinharda Heydricha podjęło decyzję o dokonaniu zagłady Żydów zamieszkujących Europę.

[2] Od 1953 r. organizacja działa jako DBV – Deutsche Burgenvereinigung. Obecnie pismo ukazuje się pod nazwą „Burgen und Schlösser".

[3] B. Ebhardt, „Über Verfall Erhaltung und Wiedergerstellung von Baudenkmäler", Berlin 1905; wcześniej: „Die Grundlagen der Erhaltung und Wiedeherstellung deutschen Burgen", Berlin 1901

[4] Ern – skrót od niem. Erneuerung – odnowienie.

[5] J. Skowroński, „Tajemnice zamku Czocha", Warszawa 2010, wyd. IV uzup.

[6] Dokonał tego w Lubaniu Adam Baniecki, kierownik tamtejszego Oddziału Archiwum Państwowego. Zbiór Ebhardta wcale nie został odnaleziony w archiwum, a na przyczepie z papierami przygotowanymi przez biuro geodezyjne do wywozu na makulaturę! Przy tej samej okazji odnaleziono dwa plany związane z budową zapory na Kwisie. Szerzej o tym [w:] J. Skowroński..„Tajemnice zamku Czocha...".

[7] Zwrócił na to uwagę Artur Dobry w swojej pracy „Przebudowa zamku w Czosze według projektu Bodo Ebhardta", Poznań 1986; maszynopis w posiadaniu Autora.

[8] J. Zachwatowicz, „Wybór prac" [w:] „Biblioteka Muzealnictwa i Ochrony Zabytków", Seria B, t. 68, Warszawa 1981

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik Odkrywcy, autor kilku książek i licznych artykułów o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Jest prezesem Stowarzyszenia „Zamek Czocha". Kontakt loginfo@go2.pl

Wzdłuż dróg nr 386 i 387 są położone trzy miejscowości. Gdy jedziemy od strony Kłodzka, najpierw będzie Ścinawka Dolna. Tu spotkamy pierwszy pałac. Następnie pojawi się Ścinawka Średnia i kolejny pałac. A na koniec – Ścinawka Górna, gdzie znajduje się majątek Sarny, składający się… z dwóch pałaców. Nieźle, prawda? To teraz wyobraźcie sobie, jaki ładunek historii zawierają w sobie te, na pozór, mało atrakcyjne miejsca. Zapraszam…

Wulkan historii, czyli TRZY ŚCINAWKI

DARIUSZ PIETRUCHA

TO MIEJSCE ODKRYWCA POLECA

Nazwa tych miejscowości związana jest z rzeką Ścinawką (niem. Steine, Stynau, Steinwasser lub Steinau, czes. Stěnava), która wypływa z góry Borowej w Górach Wałbrzyskich i wpada do Nysy Kłodzkiej, na północ od Kłodzka. Ciągnie się przez 62 km, po drodze odwiedzając także Czechy. Jest bardzo malownicza, ale potrafi być też niebezpieczna, to jednak już inna historia. Jest rzeką pełną głazów i kamieni, co może tłumaczyć genealogię niemieckiej nazwy miejscowości (starogermańskie „stainahwa" lub „steinbach" oznacza „kamienny potok"). Kolejne trzy miejscowości rozciągają się w Kotlinie Kłodzkiej, w której można się zakochać. Ale po kolei…

Ścinawka Dolna (niem. Niedersteine)

To niewielka wieś należąca obecnie do gm. Radków (niem. Wünschelburg). Tu spotkacie pierwszy pałac. Wieś leży na Wzgórzach Ścinawskich. Prawdopodobnie została założona ok. 1300 r. (w dokumentach wspominana w 1346 r. jako „Nidersten Steinów") w wyniku działalności osadniczej (najpierw słowiańskiej, a później niemieckiej – z terenów Saksonii i Miśni). W 1350 r. pojawia się postać Otto Hugiewicza (Otto von Haugwitz) – właściciela majątku i zamku. To wskazuje, że istniała już jakaś budowla obronna. Otto von Haugwitz zmarł ok. 1380 r. Kolejne osoby związane z historią wioski to Tomas von Ceschaw (Czeschaw) z Miśni i Otton von Nimancz. Być może władali wsią jednocześnie, bo została ona podzielona na mniejsze majątki (typowa cecha rozdrobnienia feudalnego), co powoduje spory zamęt w rozumieniu jej historii. Już pod koniec XIV w. mieszkańcy wsi byli bardzo zamożni, głównie dzięki ogrodnictwu i sadownictwu. Kolejnym właścicielem majątku został Konrad von Nymacz, w latach 1400-1410 pan na zamku Karpień[1] (niem. Karpenstein) koło Lądka-Zdroju, członek rycerskiego zakonu joannitów i komandor placówki zakonu w Wiedniu. Widać, obciążony licznymi obowiązkami, nie miał czasu na zajęcie się majątkiem w Ścinawce Dolnej, bowiem początkowo wydzierżawił ją Wacławowi von Moschin (ok. 1418), a następnie (w 1437) sprzedał Wenclawowi Kluxa von Döhalitz.[2] Po śmierci Wenclawa majątek wszedł w posiadanie rodu Dönig von Zdanicz (przez ponowne zamążpójście wdowy po Wenclawie von Döhalitz), który władał Ścinawką Dolną przez następnych 200 lat – do 1625 r., do momentu, gdy w tej części Europy szalała wojna 30-letnia. Przez lata majątek uległ sporemu rozdrobnieniu pod względem własności, co było spowodowane podziałem między poszczególnych członków rodziny.

Widocznie ród Dönig von Zdanicz należał do przeciwników cesarza Ferdynanda II Habsburga, gdyż ten w 1628 r. przekazał Ścinawkę Dolną swojemu lekarzowi, pochodzącemu z Holandii, Eisbertowi (Gisbertowi) Vosso von Vossenburg, tym samym konfiskując majątek Konradowi Dönig von Zdanicz (za udział w antycesarskim powstaniu w Czechach). Wcześniej, w 1625 r. w Kłodzku wybuchła rebelia (miasto w 1622 r. zostało zdobyte przez Austriaków), co bez wątpienia miało związek z utratą przez Dönigów swojej własności. Cała Ziemia Kłodzka została poddana akcji rekatolizacji. Niedługo potem (wydaje się, że po śmierci Eisberta) nowym właścicielem majątku została pochodząca z Holandii rodzina von Hemm und Hemmstein (1637).

W 1680 r. okolice nawiedziła straszliwa epidemia zarazy. Niektóre miejscowości praktycznie wymarły. O dziwo, Ścinawka Dolna właściwie nie została nią dotknięta, co odczytano jako cud. W podziękowaniu więc za łaskę życia, baronowa Eva Maria von Hemm und Hemmstein (żona Gisberta I) sfinansowała budowę na Sobkowej Górze barokowej kaplicy św. Sebastiana – patrona dotkniętych chorobami zakaźnymi. Kaplica istnieje do dzisiaj. Pod koniec XVIII w. została rozbudowana. Oprócz dużej figury Chrystusa na kapliczce widnieje herb rodu Hemm und Hemmstein z datą 1779 (zapewne początek przebudowy) oraz wizerunki cesarzy rzymskich: Oktawiana Augusta i Tyberiusza. Właściwie nie wiadomo, dlaczego. Rodzina von Hemm und Hemmstein sfinansowała również wielki dzwon dla miejscowego kościoła św. Jakuba. Ich siedzibą był dwór położony nieopodal kościoła. To nie wszystko. Założyli w Ścinawce Dolnej hodowlę bydła, a także rozwijali tkactwo.

W 1793 r. baron Gisbert II von Hemm und Hemmstein sprzedał za 200 tys. talarów Ścinawkę Dolną Antonowi Ale-

Pałac w Ścinawce Dolnej wiernie służy mieszkańcom.

Ufundowany niegdyś przez ród Magisów budynek szkoły stanął na wzniesieniu, aby nie dosięgła go fala powodziowa. Obecnie jest to Zespół Szkół z oddziałami integracyjnymi.

Zamek w Ścinawce Średniej przedstawia opłakany widok.

xandrowi von Magnis (1751-1817), którego ród pochodził ze Szwecji. Anton Magnis był znanym przemysłowcem i prekursorem nowoczesnego rolnictwa. W jego posiadaniu były Ołdrzychowice Kłodzkie (niem. Ullersdorf) i Nowa Ruda (niem. Neurode). Mieszkał w pobliskim, pięknym pałacu w Bożkowie (niem. Eckersdorf). To właśnie on zapoczątkował uprawę rzepaku na Dolnym Śląsku, która trwa do dzisiaj. Ród von Magnis zarządzał Ścinawką Dolną aż do końca II wojny światowej. Nowym właścicielom miejscowość zawdzięcza cegielnię, wypalarnię sadzy smolnej, gorzelnię i browar oraz wiele budynków użyteczności publicznej. W 1829 r. Magnisowie sfinansowali budowę szkoły w Ścinawce Dolnej. Budynek stanął na wzniesieniu, aby nie dosięgła go fala powodziowa, bowiem w XIX w. wieś nawiedziły cztery wielkie powodzie (1804, 1829, 1884 i 1888 r.).[3] Obecnie jest to Zespół Szkół z oddziałami integracyjnymi. Ponadto szpital św. Józefa (dzisiaj DPS dla dzieci prowadzony przez siostry terezjanki) oraz dwupiętrowy sierociniec pw. Świętych Aniołów Stróżów. Obydwie budowle przyciągają wzrok, nadając Ścinawce Dolnej zupełnie inny wygląd. Fundatorkami szpitala i sierocińca (lata 1886-1887) były Anna von Magnis i jej młodsza siostra Sophie von Magnis. Anna była kierowniczką sierocińca do swojej śmierci (1901). Wtedy zakład przeszedł pod opiekę sióstr św. Jadwigi. Sophie nadal się nim opiekowała, doglądając pracy sióstr. Po wojnie siostry zakonne ze szpitala i sierocińca wysiedlono do Niemiec. Tak jak mieszkańców Ścinawki Dolnej. Na ich miejsce przybywali polscy osadnicy (głównie z Kresów Wschodnich). Dość długo stacjonowali tu sowieccy żołnierze. Po wojnie polskie władze nazwały miejscowość Skałeczno Dolne. Nazwa Ścinawka pojawiła się później.

„Pokój wchodzącym, pomyślność wychodzącym"

Czas na opowieść o pałacu. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1412 roku. Około 1590 r. wzniesiono renesansowy dwór, który prawdopodobnie powstał w miejscu dawnego założenia. Wygląda na to, że jego budowniczymi był ród Dönig von Zdanicz. Podaje się również, że dwór powstał w XVII w., sugerując się barokowymi elementami jego bryły. Tymczasem w XVII w. jego przebudowy w stylu barokowym dokonała rodzina von Hemm und Hemmstein. Niewiele o nim wiadomo. Nie wykluczone, że był większą budowlą, ale dopiero po kolejnej przebudowie w XVIII wieku. W XIX w. miała miejsce kolejna przebudowa (już z inicjatywy von Magnisów), ale dwór spadł wtedy do rangi siedziby zarządcy majątku (Magnisowie mieszkali w Bożkowie).

Po II wojnie światowej, nieremontowany, ulegał coraz większej dewastacji. W końcu jego część wyburzono (przed 1974 r.). Obecnie wygląda bardzo źle, choć renesansowe detale jego bryły są nadal doskonale widoczne. W części jest użytkowany przez mieszkańców wsi.

Pałac w Ścinawce Dolnej jest założeniem trójskrzydłowym i dwutraktowym z arkadowym dziedzińcem. Na elewacji częściowo zachowała się sgraffitowa dekoracja, prawdopodobnie jeszcze renesansowa. Śladem pierwotnego dworu są również renesansowe obramowania okienne. Portal zwieńczony jest tablicą z łacińską sentencją: *„Pax intrantibus salus exeuntibus"*. Choć wygląda dzisiaj niepozornie, to niezwykle ciekawa i cenna historycznie budowla Ziemi Kłodzkiej.

Fragment dworca kolejowego w Ścinawce Średniej. Okres największego rozwoju miejscowości miał związek z budową stacji kolejowej.

Ścinawka Średnia (niem. Mittelsteine)

Jest to bardzo uprzemysłowiona wieś, jedna z największych w Ziemi Kłodzkiej. Powstała mniej więcej w tym samym czasie, co dwie sąsiednie Ścinawki, czyli co najmniej w XIII-XIV w. Pierwsza historyczna wzmianka o niej pochodzi z 1322 lub 1324 r. Wydaje się, że założyli ją osadnicy z Gór Harzu, sprowadzeni tutaj przez króla Przemysława Ottokara II. Pierwsi znani jej właściciele (ok. 1356 r.), to bracia Conrad i Tomas von Ceschaw (Tomas – inaczej Tammo III, był także właścicielem części Ścinawki Dolnej). W 1412 r. majątek został sprzedany Stephanowi i Bernardowi von Donyn (Dohna). Gdy w 1467 r. zmarł Friedrich von Donyn, majątek przeszedł na własność króla czeskiego Jerzego z Podiebradu, który podarował go Georgowi Stillfried von Rattenitz. W 1598 r. majątek trafia w ręce Otto Fryderyka von Ratschen z Gorzanowa (niem. Arnsdorf), jednak za udział w antycesarskim powstaniu (1622 lub 1625) został mu skonfiskowany przez cesarza. W 1636 r. Ścinawka Średnia należy do Chrystiana von Amnassek (Apassek) z Piszkowic Dolnych (niem. Niederpischkowitz). W latach

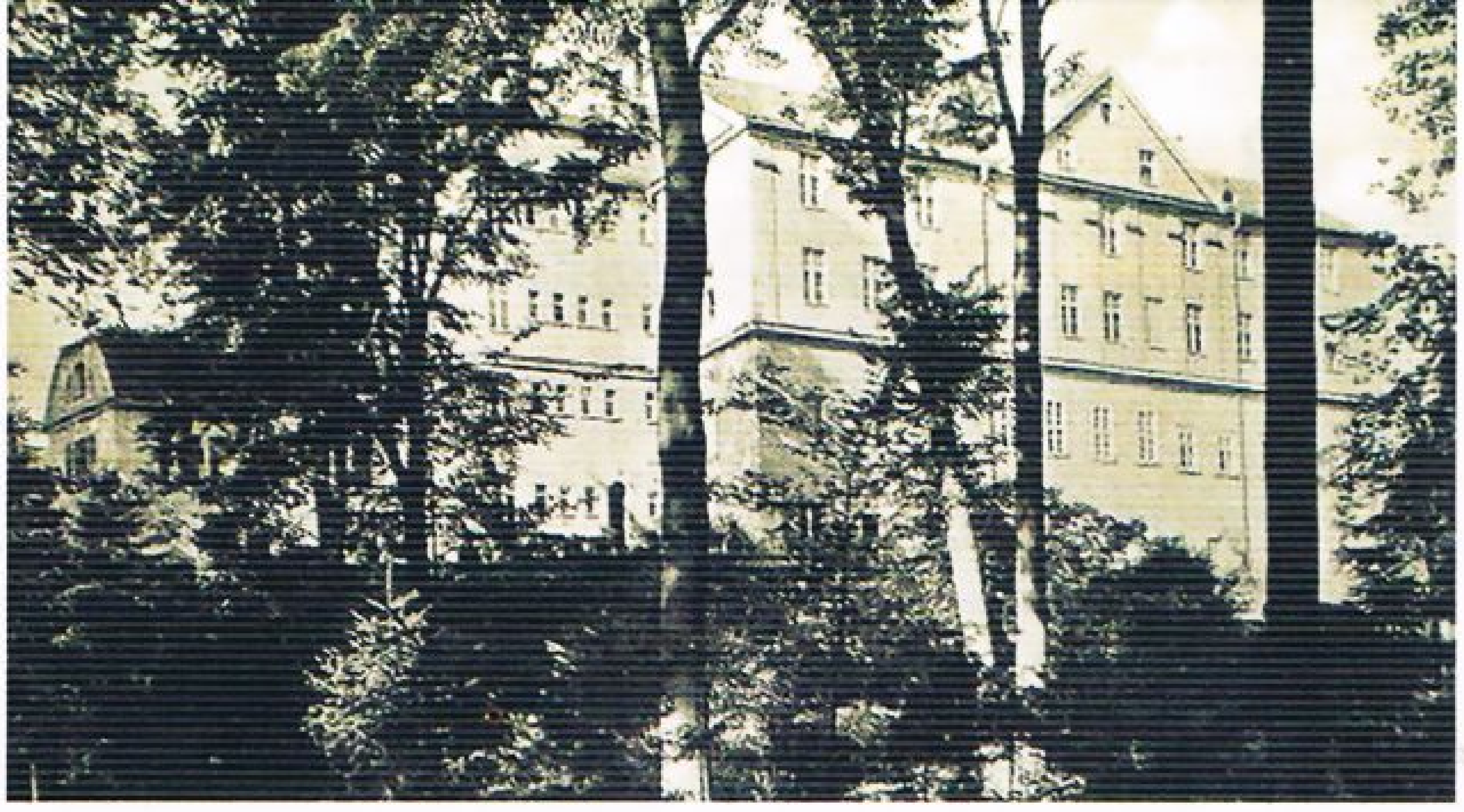

Budynek jezuickiego nowicjatu w Ścinawce Średniej na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.dolny-slask.org.pl

1671-1771 większość majątku była własnością rodu von Götzen, a w latach 1771-1945 von Magnisów. Część wsi znalazła się w rękach kłodzkich jezuitów.

Okres największego rozwoju Ścinawki Średniej przypadł na XIX w., co miało związek z budową stacji kolejowej (w 1879 r. przez wieś przeprowadzono linię kolejową łączącą Nową Rudę z Kłodzkiem) i zakładów przemysłowych. Gdy połączono linią kolejową Tłumaczów (niem. Tuntschendorf) z Otovicami w Czechach, znaczenie dworca kolejowego w Ścinawce Średniej wzrosło i wymusiło jego rozbudowę. W 1903 r. doszła kolejna linia łącząca Ścinawkę Średnią z Radkowem. Dzisiaj, jedynie rozmiar dworca świadczy o dawnym jego znaczeniu[4], bo stan pozostawia wiele do życzenia.

Tutaj też nie brakuje zabytków. Oprócz wspomnianej stacji kolejowej, jest kościół parafialny św. Marii Magdaleny z XIV w. (zachował elementy gotyckie), w latach 1738-1739 przebudowany w stylu barokowym. Ponadto ruiny wielkiej cegielni.

Podobnie jak w sąsiadujących Ścinawkach i z tej mieszkańcy zostali wysiedleni do Niemiec, ustępując miejsca wysiedlonym ze wschodu polskim osadnikom. Miejscowość zmieniła też nazwę; początkowo na Skałeczno Średnie, które później stało się Ścinawką Średnią.

„Zamek Kapitanowo" odpływa w siną dal...

Tu właśnie znajduje się drugi pałac, a właściwie zamek, którego początki giną w głębokim średniowieczu. Podobno pierwsza wzmianka o nim pojawiła się w 1412 r., jednakże jego początki są o wiele starsze. Na pocz. XIV w. wybudowano w tym miejscu wieżę mieszkalną (tzw. donżon), która służyła rodzinie von Ceschaw. Ukończono ją ok. 1360 r. (jest to dwupiętrowa budowla o wym. 12,5×16 m). Do dzisiaj zachowały się: ostrołukowa, gotycka wnęka latrynowa w sieni drugiego piętra; ostrołukowy, gotycki portal wejściowy z czerwonego piaskowca (posiadający rzadkie, tworzone w celu przetaczania beczek z piwem i winem wycięcia w węgarach); pochodzące z XIV w. piwnice z kamiennymi sklepieniami i oryginalnymi, gotyckimi wnękami oświetleniowymi; dwa gotyckie kominki, a także bogato kute i polichromowane renesansowe portale. W sieni na pierwszym piętrze donżonu znajduje się tzw. „zielona komnata" o pow. 53 m kw., której sklepienie i ściany pokrywała niegdyś bogata polichromia. W średniowieczu zamek został otoczony nawodnioną fosą, którą zasypano podczas rozbudowy folwarku, mającej miejsce w XIX w.

Podczas wojen husyckich w 1425 r. wieża została zniszczona. Odbudowano ją, ale w 1470 r. uległa ponownemu zniszczeniu. Uratował ją Georg Stillfried von Rattenitz, dobudowując do donżonu wieżę alkierzową (od południa) z wielką salą (ok. 100 m kw.) ozdobioną zdwojonym oknem, po którym nie ma już śladu. Nowa wieża ze starą była połączona ukrytymi schodami. Utworzono również wewnętrzny dziedziniec dostępny przez wybudowaną obronną wieżę bramną, zamknięty od zachodu krótką kurtyną. W miejscu zetknięcia się wież założono 8-kątną wieżę trakcyjną. Na pocz. XVI w. wybudowano kuchnię, nadając jej cechy gotyckie. Ok. 1530 r. rozpoczęto budowę wieży alkierzowej północnej (tzw. alkierza wielkiego). Zamek stale rozbudowywano. W latach 1585-95 dobudowano wschodnie skrzydło i uformowano tzw. dom wielki.

Nadeszła jednak tragedia w postaci wojny 30-letniej. Zamek został ostrzelany i zdobyty przez Szwedów. Zwalono wieżę bramną, zniszczono sklepienia krużganków i sali głównej budynku kancelarii, uszkodzono też wieżową klatkę schodową na dziedzińcu. Zamek popadł w ruinę. Jednak w 1660 r. los się do niego uśmiechnął. Odbudowy zamku podjął się Bernhard von Stillfried Starszy, ale już bez wieży bramnej i krużganków. Kolejna przebudowa zamku nastąpiła z inicjatywy rodu von Götzen (2 poł. XVII w.). Wówczas to zamek uzyskał cechy barokowe.

W czasach, gdy Ścinawka Średnia należała do von Magnisów, zamek dzierżawiono. Mieszkali w nim: Lichtenstad, Carl

Królestwo przyrody... wewnętrzny dziedziniec pałacu w Sarnach.

Budynek bramny pałacu w Sarnach z szyją bramną.

Pałacowa kaplica w Sarnach pw. św. Jana Nepomucena, a w niej barokowe freski Hoffmanna.

Frank, wdowa Augusta Frank oraz spadkobiercy Edmunda Baucha. W 1901 r. dokonano jego kolejnej przebudowy. Przy zamkowej kancelarii powstał taras i aneks z ubikacjami. Zbudowano nowe schody na dziedzińcu oraz szczyty nad główną częścią zamku. Do wschodniego skrzydła został dostawiony, nieistniejący już, budynek ze schodami. Rok 1935 to czas gruntownego remontu zamku, który wracał do swojej świetności. Podobno znajduje się w nim gabinet, w którym zarówno o świcie, jak i o zmierzchu można czytać książkę, nie używając sztucznego oświetlenia. Co więcej, jedna z sal w piwnicach (34 m kw.), w rzeczywistości była tajną salą rady, w której zapadały ważkie decyzje dotyczące funkcjonowania całości hrabstwa kłodzkiego.

Losy powojenne są jak znany już nam scenariusz. Najpierw urządzono w nim PGR. W zamku zamieszkali jego pracownicy. Od tego momentu obiekt ulegał ciągłej dewastacji. W samym zamku znajdowało się także archiwum PGR. W 1974 r. zabrano się za prace remontowe. W PRL-owskim stylu. Niestarannie, bez dbałości o estetykę. Dach przykryto wtórną dachówką; wyremontowano także schody na dziedzińcu. W 1982 r. archiwum PGR-u wyprowadziło się z zamku, ale nadal mieszkali w nim pracownicy. Przez te wszystkie lata obiekt wykorzystywano na imprezy okolicznościowe, wesela i spotkania towarzyskie. Dość pobieżnie przeprowadzony remont (ten z lat 70.) zaczął się mścić. Zamek niszczał i nikt nie wiedział, co z nim zrobić. W 2002 r. został sprzedany nowemu właścicielowi, co było nadzieją na jego uratowanie. Mam jednak obawy, czy tak się stanie. Kiedy tam byłem (a znaleźć go nie jest łatwo), wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zawalić. Nic nie wskazuje na to, aby był remontowany, choć właściciel w nim mieszka i na telefon udostępnia go do zwiedzania. Jeszcze ta nazwa – „Zamek Kapitanowo"... podobno od nazwy istniejącej fundacji.

700 lat historii bezpowrotnie przemija wraz z zawalonymi budynkami i popękanymi ścianami. Szkoda mówić...

Ścinawka Górna (niem. Obersteine)

Tu jest o czym opowiadać. Wieś powstała wcześniej niż sąsiednia Ścinawka Średnia. Właściwie ta druga po czasie wyodrębniła się z pierwszej. Tu również pojawiają się te same nazwiska właścicieli: von Ceschaw, von Donyn i von Stillfried. Tomas von Ceschaw w latach 1356-1377 zawarł w sądzie kłodzkim aż 17 porozumień majątkowych, co świadczy o bujnym rozwoju wsi. Część Ścinawki Górnej, to majątek Sarny (niem. Scharfeneck, wymieniony w dokumentach w 1406), który chyba rozwijał się najszybciej. W 1406 r. właścicielami majątku Sarny została rodzina Pradel (śląski ród związany z książętami legnickimi), która po ok. 150 latach sprzedała je Henrykowi von Stillfried (właściciel dóbr w Ścinawce Średniej i w Nowej Rudzie). „Czarna owca" rodu Pradelów, właściciel majątku Sarny o imieniu Nickel, zajął się działalnością zbójecką. W 1509 r. brał udział w napadzie na karawanę kupców wrocławskich transportujących konie z Ołomuńca do Wrocławia, za co został powieszony.

Z kolei jako właściciel samej Ścinawki Górnej (bez majątku Sarny) wspominany jest Sigmund von Schweidersdorf. W 1556 r. pojawia się nowy właściciel – Gregor von Reichenbach ze Stoszowic (niem. Peterwitz), a po nim starosta ziębicki i radca cesarski, Fabian von Reichenbach (1547-1605, bankier cesarza i książąt śląskich). Mimo że Fabian rzadko przebywał w Sarnach, to właśnie on dokonał istotnej zmiany. W 1590 r. na wysokiej skarpie nad rzeką Ścinawką wybudował pałac w stylu renesansowym. Prawdopodobnie powstał w miejscu jakiegoś dawnego założenia obronnego, strzegącego pobliskiego brodu przez rzekę – używanego już w XIII w.

I znowu pojawia się nam wojna 30-letnia, której ogromnego wpływu na historię tych ziem chyba ciągle nie zauważamy. I znowu konfiskata majątku. Tym razem traci go Adolf von Reichenbach – także za udział w antycesarskim buncie (być może w 1625 r.). Nie bardzo wiadomo, co działo się przez następne lata. Ponoć pałac podczas wojny 30-letniej padł ofiarą pożaru. W 1661 r. nowym właścicielem Ścinawki Górnej i majątku Sarny został Johann Georg von Götzen (1623-1679) z katolickiej linii tego rodu, właściciel pobliskich Wambierzyc. Po jego śmierci majątek przejął jego syn Johann Ernst von Götzen. W 1771 r. pałac w Sarnach przeszedł we władanie protestanckiej linii Götzenów (nowym właścicielem został gubernator hrabstwa kłodzkiego, gen. Wilhelm von Götzen), a część wsi Ścinawka Górna (dotąd należąca do kłodzkich jezuitów) znalazła się w rękach rodu von Magnis i pozostała do 1875 roku. W 1820 r. z ich inicjatywy pałac po raz kolejny przebudowano. W pałacu

Renesansowy spichlerz pałacu w Sarnach. Potrzeba potęgi wyobraźni, aby zobaczyć jaki był piękny. Zachował urokliwe, ozdobne szczyty. I zawalony dach. Co ważne... obiekt wpisany jest do rejestru zabytków!

Sarny urodził się Adolf von Götzen[5] (1866-1910), słynny znawca kultury Afryki Środkowej i gubernator w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Zadziwiające są koleje losu. Z małej Ścinawki Górnej na tereny niemieckich kolonii w Afryce... W 1875 r. Adolf von Götzen (starszy) sprzedał Ścinawkę Górną fabrykantowi Heinrichowi Schneiderowi[6] z Jugowic (niem. Hausdorf). Jednakże Götzenowie pozostawili po sobie niezatarty ślad.

Pałac posadowiony na wysokiej skale nad rzeką Włodzicą, był rodową siedzibą von Götzenów, ale wybudowaną przez Reichenbachów. Götzenowie mocno ją rozbudowali (w stylu barokowym), a także wznieśli budynki gospodarcze. Jest to efekt największej przebudowy pałacu, trwającej od poł. XVII w. do 1738 roku. To właśnie wtedy powstała barokowa wieża. W 1725 r. (podawane są lata 1722-1730 lub 1738 r.) do pałacu dobudowano kaplicę pw. św. Jana Nepomucena (z inicjatywy Jana[7] Franza Antona von Götzen). Niewykluczone, że zrobili to ci sami ludzie, którzy wznosili kościół w Wambierzycach. W 1738 r. ściany, strop i ołtarz pokryły się przepięknymi, barokowymi freskami, których twórcą był, pochodzący z Kłodzka, Johann Franz Hoffmann (1701-1766), artysta-malarz okresu baroku. Przedstawiają one św. Jana Nepomucena oraz nawiązują do chwały rodu von Götzen.

Kaplica istnieje do dzisiaj, a w niej niezwykłe, barokowe freski Hoffmanna. Oby jak najdłużej. W 1850 r. polichromie były konserwowane, ale częściowo je zamalowano. Kolejna konserwacja miała miejsce w latach 70. XX w. Dzięki temu dotrwały do dzisiaj. Wystrój kaplicy został wpisany do rejestru zabytków decyzją nr 818/539 z dnia 19.08.1996 roku.

Ostatnim właścicielem pałacu w Sarnach (do 1945 r.) był prof. Poppler.[8] W pałacowej kaplicy znajduje się tablica poświęcona pamięci Lilly Poppler (z domu Rössler), opatrzona napisem: *„wierna żona i matka"*. Ta młoda kobieta, zmarła w wieku 33 lat (1907-1940), prawdopodobnie była żoną ostatniego właściciela pałacu w Sarnach.

Znak czasów

Po wojnie w pałacu stacjonowały wojska sowieckie. Gdy odeszły, powstał tam PGR, a w samym pałacu stworzono mieszkania. Remontowano tylko kaplicę, więc reszta niszczała. Skąd my to znamy... Po zaprzestaniu działalności PGR-u właścicielem pałacu stał się wrocławski oddział Agencji Nieruchomości Rolnych. Dewastowaną nieruchomość starano się sprzedać. Nie było to łatwe zadanie. Fakt, nieruchomość jest spora, bo obejmuje 5 ha. Poza pałacem jest to zabytkowy spichlerz, obory, owczarnie, stodoły, kilka budynków mieszkalnych i park zaprojektowany przez samego Eduarda Petzolda. Renesansowy pałac w Sarnach chciał kupić brytyjski książę Karol, ale nic z tego nie wyszło. W 2013 r. obiekt zakupiła spółka „Masena", właściciel innego pałacu w Łękanowie. Jak na razie niewiele się zmieniło. Plany są wspaniałe. Może potrzeba więcej czasu... Tylko że pałac w Sarnach już go nie ma.

Pałac-zamek w Sarnach znajduje się w północnej części wsi Ścinawka Górna, przy drodze wojewódzkiej nr DW387 prowadzącej z Nowej Rudy, zwanej inaczej „Szosą Stu Zakrętów", na bardzo atrakcyjnym turystycznie terenie o dużych walorach krajobrazowych. Sam pałac został wpisany do rejestru zabytków decyzją nr A/4792/1946 z dn. 24.06.1968 roku. Jest budynkiem trzykondygnacjowym z dwoma traktami, nakryty dachem mansardowym. Posiada ośmioboczną, charakterystyczną wieżę zwieńczoną hełmem z prześwitem, w której mieści się klatka schodowa. Z daleka przypomina wieżę barokowego kościoła. Przedłużeniem wieży jest łącznik, wiążący na poziomie pierwszej kondygnacji korpus pałacu z barokową kaplicą. Wnętrza dworu posiadają sklepienia krzyżowe, a na elewacjach zewnętrznych zachowały się dekoracje sgraffitowe oraz renesansowe obramienia okienne. Jednakże spora część stropów pałacu uległa zawaleniu. Nie da się wejść do środka, choć obiekt nie jest dozorowany. Jest zamknięty na głucho, a mieszkający obok, w oficynie mieszkalnej, ludzie, pilnują, aby nie wchodzili do niego nieproszeni goście. Taras podparty stylowymi kolumnami chyli się ku upadowi. Aby dostać się do pałacu, trzeba przejść przez budynek mieszkalno-bramny z szyją bramną, który jeszcze prezentuje się dość dobrze (podobno ma nową więźbę dachową).

Obok pałacu znajduje się piękny, renesansowy spichlerz, najprawdopodobniej pochodzący z XVII w. Został wpisany do rejestru zabytków (nr A/4761/905/WŁ, decyzją z dnia 24.06.1982 r.).[9] Zachował swoje piękne, ozdobne szczyty. Co z tego, kiedy dach uległ zawaleniu. Dni tego urokliwego i niezwykle cennego zabytku zostały już policzone. W swoich podróżach nie widziałem jeszcze tak ciekawego spichlerza.

W najlepszym stanie jest wspomniana przeze mnie kaplica, na szczęście zamknięta i dozorowana. Na tyłach pałacu rozciąga się wielki folwark, składający się z dużych budowli (zazwyczaj pochodzących z XIX w.) o bardzo ciekawej architekturze. Kiedyś użytkowany przez PGR, teraz popada w ruinę. Pałac i zabudowania gospodarcze są wielkim kompleksem. Nie ulega wątpliwości, że potrzeba wielkich pieniędzy i dobrego pomysłu, aby go uratować. Niestety, zabija go bezczynność. Jeszcze trochę i zada mu śmiertelny cios. Ale to nie wszystko.

Książę ogrodów

W XIX w. na zaproszenie Heinricha Schneidera do pałacu przyjechał Carl Eduard Adolph Petzold (1815-1891). W owym czasie to prawdziwa sława. Urodził się w miejscowości Lubniewice (niem. Königswalde). W 1831 r. rozpoczął pracę dla księcia Hermanna Ludwiga von Pückler-Muskau (1785-1871), biorąc udział w tworzeniu Parku Mużakowskiego, ogromnego założenia liczącego 3,5 km kw. W latach 1835-1838 tworzył park krajobrazowy w Mazańcowicach (niem. Matzdorf). Tymi dwoma dziełami zdobył sobie sławę wybitnego projektanta pałacowych parków, czemu poświęcił całe swoje życie. Jego autorstwu przypisuje się ok. 174 założenia parkowe: w Niemczech, Austro-Węgrzech, Holandii, Polsce, Bułgarii i w Turcji. Jedno z jego dzieł znajduje się właśnie w Ścinawce Górnej. Jest to założony ok. 1880 r. mocno już zaniedbany, ale ciągle piękny, park w stylu angielskim, zajmujący powierzchnię ok. 2,5 ha. Śladem jego dawnej świetności jest zabytkowy drzewostan, a także kamienna brama pełniąca funkcję jednego z wejść na teren pałacu. Ale to jeszcze nie wszystko.

Falujące biusty...

Poniżej bryły pałacu w Sarnach znajduje się drugi, o wiele mniej okazały, choć nie mniej ciekawy. To późnorenesansowa budowla, przebudowana w okresie baroku, pełniąca funkcję pałacu letniego (zwanego „dolnym" lub „zielonym"). Jako datę jego powstania przyjmuje się 1730 lub 1750 r. To dwukondygnacyjny obiekt z bardzo ciekawym dachem i jeszcze

Pałac Letni Sarny.

ciekawszą elewacją. W pałacu zachowały się oryginalne elementy wystroju barokowego. Znajdziecie w nim klatkę schodową z pochodzącymi z XVIII w. barokowymi stiukami i drewnianymi schodami oraz salon na piętrze wyposażony w dwa kominki. W salonie króluje, pochodzący z 1740 r., gigantyczny (ok. 120 m kw.) barokowy plafon z mityczną Arkadią – wyobrażeniem szczęścia. Nie brakuje na nim wizerunków kobiet z obnażonymi biustami, które podobno falują, gdy pomieszczenie nagrzeje się powietrzem z kominka. Już nie wspomnę o duchu wdowy von Stillfried spacerującym nocami po wnętrzach pałacu. Z kolei na parterze znajdują się trzy komnaty z późnorenesansowymi sklepieniami. Kiedyś pałacowy portal był ozdobiony kartuszem herbowym z herbem rodu von Götzen (niestety, w 1996 r. został on rozebrany).

Obecnie pałac znajduje się w rękach prywatnych właścicieli, którzy prowadzą w nim punkt agroturystyczny. Jest wpisany do rejestru zabytków (nr rej.: 893/WŁ z 24.06.1982 r.).

Kobieta z brodą...

W trzech Ścinawkach jest jeszcze kilka ciekawostek. W Ścinawce Dolnej znajdziecie kapliczkę poświęconą św. Kümmernis, inaczej zwaną św. Wilgefortis, a w niej dość popularny na Śląsku wizerunek ukrzyżowanej kobiety... z bujną brodą. To niezwykła historia o córce króla Luzytanii, która nie chcąc wyjść za mąż za poganina, została zamknięta w celi. Tam żarliwie się modliła, by stać się szpetną. Bóg wysłuchał jej modlitw i „ozdobił" ją bujną brodą. Jej ojciec wpadł w szał i kazał ją ukrzyżować. Jej kult rozwinął się w XIV i XV w. w Niemczech i w Austrii, łącząc się z lokalnym kultem św. Kümmernis. Co więcej, zazwyczaj jej wizerunek nie posiada jednego buta (ponoć cudownie zrzuconego). Podobno w 1969 r. Kościół katolicki wymazał ją z grona swoich świętych. A w Ścinawce Dolnej ciągle jest...

Teatr w domu zakonnym...

W Ścinawce Średniej część wsi należała do kłodzkich jezuitów. Kiedy zakon został rozwiązany, ich majątek przejął skarb państwa. Pamiątką po ich pobycie jest kościół pw. św. Marii Magdaleny, rozbudowany z ich inicjatywy i ozdobiony polichromiami Johanna Franza Hoffmanna. W 1787 r. w wyniku licytacji ich dawna posiadłość znalazła się w posiadaniu rotmistrza wojsk królewskich, Ferdynanda von Lüttwitz. Miał on spore ambicje, a jeszcze większą wyobraźnię. Dawny budynek mieszkalny jezuitów rozbudował do rozmiarów neoklasycystycznej rezydencji i otoczył go parkiem w stylu angielskim, gdzie była oranżeria i teatr. To właściwie piąty pałac w Ścinawkach. W 1925 r. budynek powrócił do jezuitów. W 1940 r. przejęli go naziści i umieścili w nim rodziny Volksdeutschów pochodzących z terenów Rosji.

I to by było na tyle. Choć to jeszcze nie wszystko...

ZDJĘCIA: DARIUSZ PIETRUCHA.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Przypisy:

[1] Zamek został w 1443 r. zdobyty przez połączone armie śląskich księstw i zburzony. Miało to związek z rozbójniczą działalnością jego właściciela, czeskiego możnowładcy, Hinko Krušiny, który do 1454 r. był zarządcą Ziemi Kłodzkiej, a do 1444 r. właścicielem zamku Homole.

[2] Podobno mniej więcej w tym czasie właścicielką dóbr w Ścinawce Dolnej była Anna, księżna oświęcimska, żona Markwarda Thlika pełniącego funkcję starosty kłodzkiego.

[3] Kolejne powodzie miały miejsce w XX w. Podczas powodzi w 1965 r. w trakcie próby ratowania chorej dziewczynki ze Ścinawki Dolnej zginęło 3. żołnierzy Sudeckiej Brygady WOP (kpr. Antoni Barmin, szer. Wojciech Kubacki i kpr. Zdzisław Otto). Owo tragiczne wydarzenie upamiętnia obelisk.

[4] Jeszcze do niedawna na stacji kolejowej w Ścinawce Średniej stały całe tabory kolejowe, opuszczone i nikomu niepotrzebne. Kilka lat temu zostały zezłomowane, choć wiele pojazdów i wagonów miało sporą wartość historyczną.

[5] W latach 1896-1898 był niemieckim attaché wojskowym w Waszyngtonie. Jako gubernator Niemieckiej Afryki Wschodniej tłumił tam bunty. Zrezygnował z tego stanowiska w 1906 r. ze względu na zły stan zdrowia. Zmarł w Hamburgu.

[6] Członkiem jego rodziny prawdopodobnie była Anna Steiner (1848-1929). Synem Heinricha był rotmistrz Max Schneider.

[7] W rodzie von Götzenów pierworodny syn zawsze dostawał na imię Jan (Johann).

[8] Być może chodzi o historyka Franza Popplera albo o jego syna.

[9] Osobną decyzją nr 820/541 (19.08.1996 r.) wpisano do rejestru zabytków kamienny kartusz herbowy z ok. 1730 r., wmurowany we frontową ścianę spichlerza.

Literatura:

1. M. Gaworski, „Śląskie zamki i pałace", Strzelce Opolskie 2011
2. J. Pilch, „Zabytki architektury Dolnego Śląska", Wrocław 1978

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

REKLAMA

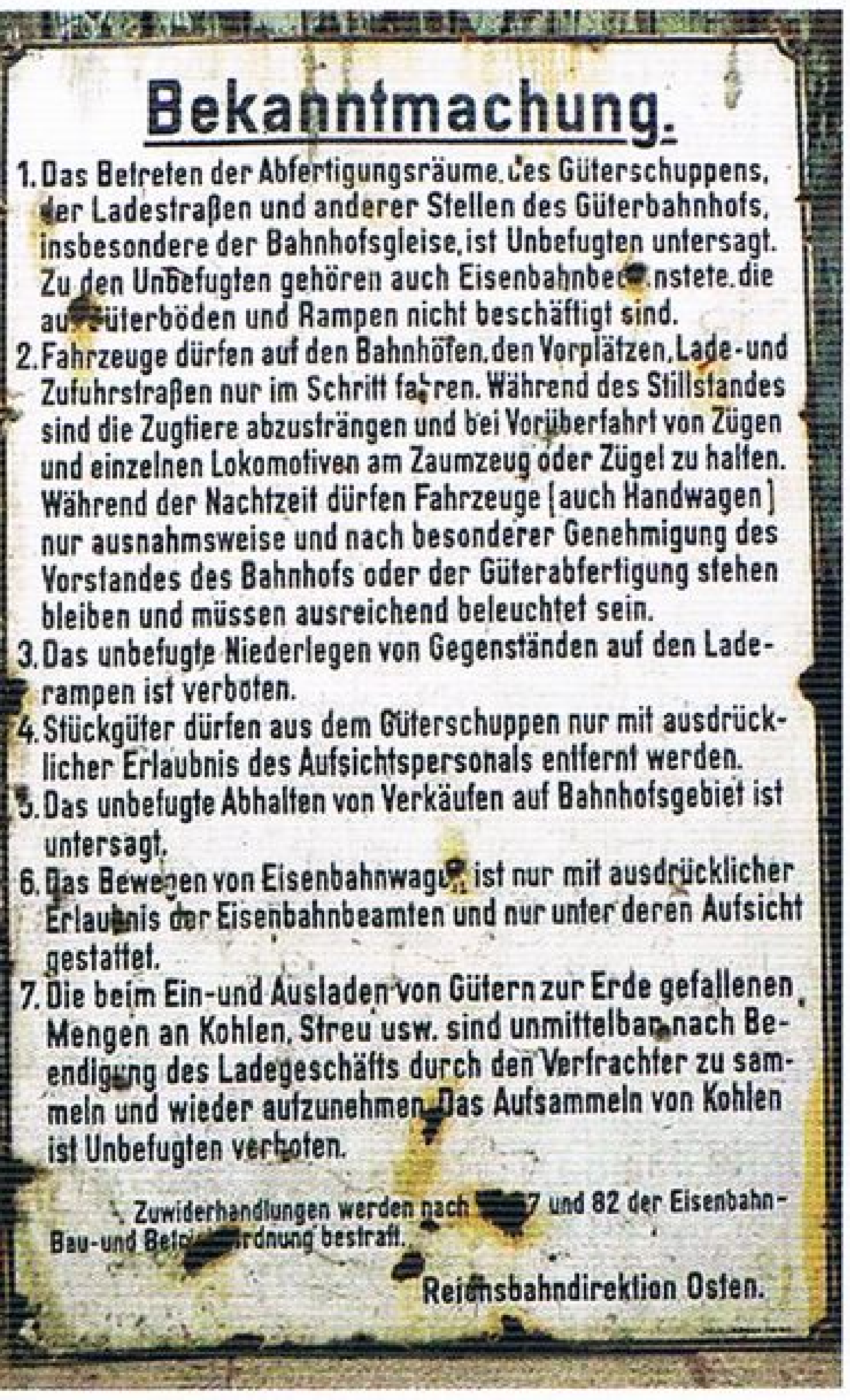

Odnaleziona tablica

z czasów istnienia KL Auschwitz

ADAM CYRA

Marek Księżarczyk, prezes Oddziału Miejskiego Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem dokonał niezwykłego odkrycia. Jeden z mieszkańców wsi Brzezinka pokazał mu interesującą tablicę w języku niemieckim, która najprawdopodobniej w czasie wojny była umieszczona na dworcu towarowym w Oświęcimiu. Było to torowisko między obozami Auschwitz i Birkenau, na które Niemcy kierowali liczne pociągi z późniejszymi ofiarami KL Auschwitz.

Od wiosny 1942 do połowy maja roku 1944 na tzw. „Judenrampe" niemieccy naziści przywieźli ponad pół miliona Żydów z całej Europy, a także kilkadziesiąt tysięcy Polaków, głównie więźniów politycznych, Romów i przedstawicieli innych narodowości. Wśród transportów żydowskich lekarze SS, na znajdującym się obok tego torowiska polu i pobliskiej drodze dokonywali selekcji, podczas których od 70 do 75 procent osób kierowali bezpośrednio na zagładę do pobliskich komór gazowych w KL Auschwitz II-Birkenau.

Warto przytoczyć w całości tłumaczenie tego niemieckiego obwieszczenia (Bekanntmachung), dokonane przez Lucynę Filip, które widnieje na odnalezionej tablicy:

„1. Wejście na teren pomieszczeń ekspedycji, szop towarowych, ulic załadunkowych i innych miejsc kolejowego dworca towarowego, w szczególności torów kolejowych, nieuprawnionym jest niedozwolone. Do nieuprawnionych należą także obsługujący kolej, którzy nie są zatrudnieni na terenie towarowym i na rampach.
2. Na terenie dworca, dziedzińców, ulic załadunkowych i dojazdowych, pojazdom wolno się poruszać w zwolnionym tempie. W czasie postoju wszystkie zwierzęta pociągowe należy wyprzęgnąć i trzymać za cugle lub uzdę w momencie przejazdu pociągów i pojedynczych lokomotyw. Wyjątkowo i za szczególnym pozwoleniem zarządu dworca lub odprawy ekspedycyjnej pojazdy można pozostawić na noc (dot. także tych przeznaczonych do przewozu bagażu podręcznego), należy je jednak wystarczająco oświetlić.
3. Pozostawienie przedmiotów na rampie wyładowczej bez zezwolenia jest zabronione.
4. Drobne towary można zabrać z szop towarowych tylko za wyraźnym pozwoleniem personelu nadzorczego.
5. Zatrzymanie się sprzedających na obszarze dworca bez zezwolenia jest zabronione.
6. Poruszanie się wagonów kolejowych jest dozwolone tylko za jednoznaczną zgodą urzędników kolejowych i pod ich nadzorem.
7. W przypadku gdyby jakiekolwiek ilości węgla, słomy itp. spadły w czasie załadunku towaru na ziemię, należy je natychmiast zebrać i po zakończeniu załadunku przez spedytora załadować ponownie. Zbieranie węgla przez nieuprawnionych jest zabronione. Wyraźne naruszenie przepisów podlega karze zgodnie z par. [nieczytelne]… *7 i 82* [nieczytelne]… *Zarządu Budowy Kolei.*
Dyrekcja Zarządu Koleją Wschód".

Jest to jeszcze jedna tablica z czasów istnienia KL Auschwitz, którą dopiero teraz udało się odnaleźć.

Wątpliwość jednak budzi, czy dworzec towarowy w Oświęcimiu podlegał administracyjnie Reichsbahndirektion Osten, bo raczej powinien nim podczas okupacji hitlerowskiej zarządzać Reichsbahndirektion Oppeln.

Dr Adam Cyra
Historyk. W 1972 r. ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Następnie podjął pracę w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu w Dziale Naukowo-Oświatowym, w Naukowym, sekcji ds. byłych więźniów, po czym od 2008 r. ponownie w Dziale Naukowym.

Przegląd prasy krajowej

O tym się pisze

Jezioro w gdańskim ratuszu
Piękny, zabytkowy gdański ratusz ma zalane piwnice. Są to już metry sześcienne wody. Podmokły nie tylko fundamenty ratusza. To może stanowić problem całego Starego Miasta. Czekamy na decyzję Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Gdańsku.
(Ryszarda Wojciechowska, *Jezioro w gdańskim ratuszu*, „Wieczór Wybrzeża" – 19.03.98 r.)

Spór o łupy
Prezydent Borys Jelcyn, mimo wcześniejszej odmowy, zmuszony został orzeczeniem Rosyjskiego Sądu Konstytucyjnego do podpisania ustawy o restytucji. Dokument ten zabrania zwrotu znajdujących się w Rosji dzieł sztuki wywiezionych z Niemiec w czasie II wojny światowej i później. Strona polska złożyła piętnaście wniosków rewindykacyjnych. Dotychczas do Polski wróciło jedno dzieło sztuki. Rosyjsko-niemiecki spór o łupy wojenne trwa.
(Piotr Sendroszczuk z Moskwy, *Rosja nie zwróci zagrabionych dzieł sztuki*, „Rzeczpospolita" – 7.04.98 r.)

Odkrycie na poznańskim rynku
Na ciekawe znaleziska trafili poznańscy archeolodzy podczas rekonstrukcji kamienicy nr 95 i 96 na Starym Rynku. Odsłonięto między innymi w tzw. „wielkiej sieni", czyli XV-wiecznym reprezentacyjnym pomieszczeniu, łuki z przymocowanymi ławami, na których siadali mieszczanie i ich goście obradując nad sprawami miasta. Wydobyto również renesansowe kafle i naczynia.
(Grzegorz Sporakowski, *Duma zabytku*, „Głos Wielkopolski" – 19.03.98 r.)

Inna historia Przemyśla?
Weryfikację spojrzenia na historię Przemyśla spowodują, jak twierdzi Wojewódzki Konserwator Zabytków Marek Gosztyka, badania archeologiczne na Kopcu Tatarskim i Wzgórzu Trzech Krzyży. Jest to cykl badań prowadzonych pod hasłem „Polska w dobie Zjazdu Gnieźnieńskiego i jej miejsce w kulturze europejskiej X-XX w."
(IRK, PAP, *Legendy Przemyśla*, „Rzeczpospolita" – 27.03.98 r.)

Ekspresowe dyliżansy
Bogaty zbiór trąbek pocztylionów, skrzynek pocztowych z różnych epok i worków na listy, galowych mundurów urzędników poczty, w końcu także telefonów i aparatów telegraficznych z początku wieku – wszystko to obejrzeć można na wystawie „Historia poczty polskiej" w Pleszewskim Muzeum Regionalnym, zorganizowanej dzięki pomocy Muzeum Poczty we Wrocławiu. Wystawa czynna jest we wtorki i środy od godz. 9.00 do 17.00, w czwartki i piątki od godz. 9.00 do 14.00 oraz w soboty od godz. 9.00 do 12.00.
(*Ekspresowe dyliżansy*, „Gazeta Wyborcza" – marzec 1998)

Zapomniana linia umocnień
Wzdłuż Odry, od przedmieść Wrocławia aż po Krosno Odrzańskie, przebiega jedna z największych niemieckich linii umocnień. Nazywa się „Oderstellung". Składa się z ok. 600 schronów bojowych zbudowanych w latach 1926-1939. Autor opisuje historię powstania tej linii umocnień oraz jej obecne losy.
(Krzysztof Motyl, *Zapomniana linia umocnień*, „Gazeta Lubuska" – 27.03.98 r.)

Geniusz z wieszakami
Kamil Dziubek jest kolekcjonerem wieszaków do ubrań. Ma ich około 200. Najstarsze pochodzą z przełomu XIX i XX w. O swojej pasji opowiada Wojciechowi Sikorskiemu.
(Wojciech Sikorski, *Geniusz z wieszakami*, „Głos Wielkopolski" – 27.03.98 r.)

Strzelba hrabiny Cosel
Muzeum Narodowe w Krakowie wzbogaciło się o zbiór cennych militariów. Składa się on z 65 przedmiotów, są to m. in. zbroje, szable polsko-saskie, szpady, szyszak husarski ze skrzydłami, półzbroja rycerska z 1540 r., strzelba hrabiny Cosel. Militaria pochodzą ze zbiorów Zygmunta Nowakowskiego, historyka-amatora i zbieracza. Wnukowie kolekcjonera potwierdzili prawa Muzeum Narodowego do tych militariów.
(J.SAD, *Strzelba hrabiny Cosel*, „Rzeczpospolita" – 27.03.98 r.)

Zapomniane starodruki w Legnicy
Legnickie starodruki to skarby, o których wiedzą tylko nieliczni odwiedzający Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wśród 260 woluminów jest „Cronicam Mundi Schedla" – prawdziwy rarytas.
(Wiesław Piotrowski, *Ubodzy właściciele wielkiego skarbu*, „Rzeczpospolita" – 24.03.98 r.)

Cenne znalezisko w Stargardzie
Podczas remontu najwyższej na Pomorzu Zachodnim kopuły wieży zabytkowego kościoła św. Jana w Stargardzie Szczecińskim znaleziono metalową skrzynkę z dokumentami dotyczącymi funkcjonowania miasta, np. preliminarz budżetowy lat 1893 i 1894, zdjęcia burmistrzów, listę kolejnych pastorów ewangelickich wówczas parafii, przewodnik po XIX-wiecznym Stargardzie Szczecińskim, jak również komplet znajdujących się w obiegu monet.
(EKI, *Cenne odkrycie w wieży stargardzkiego kościoła*, „Rzeczpospolita" – 21- 22.03.98 r.)

Kłopoty kolekcjonerów
Wprowadzając w Polsce w 1991 r. zakaz importu pojazdów, które mają ponad 10 lat, pozbawiono miłośników starych samochodów możliwości zakupu za granicą eksponatów do kolekcji. Dziś zabytkowe auto można najłatwiej sprowadzić jako tzw. mienie przesiedleńcze. Chodzi tu o osoby pracujące legalnie za granicą dłużej niż rok. Mogą one bowiem przywieźć do Polski jeden dowolny samochód. W ten sposób mieszkaniec Krakowa sprowadził 30-letniego rolls-royce'a.
(Jerzy Kleczek, *Kłopoty kolekcjonerów*, „Gazeta Wyborcza" – 26.03.98 r.)

Bursztynowa Komnata w Czechach?
Helmut Gaensel, znany w Czechach poszukiwacz legendarnego już skarbu III Rzeszy, odkrył wejście do Sztolni Mikołaja w małej wiosce na północy Czech – Górze Świętej Katarzyny. Według opinii czeskiego poszukiwacza, być może ukryta jest tam Bursztynowa Komnata lub dokumenty, które pozwolą dotrzeć do miejsc ukrycia innych hitlerowskich skarbów.
(PAP, *Skarb w sztolni*, „Gazeta Robotnicza Wrocławska" – 15.04.98 r.)

Tajemnicza butelka
Na plaży w Zachodniej Australii wykopano butelkę sprzed ponad 200 lat. Naukowcy badają jej autentyczność. Butelka prawdopodobnie zawiera dokument świadczący, iż Francja objęła w posiadanie ten kontynent już w XVIII w., co wyprzedziłoby angielskie roszczenie do zachodniej części Australii o 60 lat.
(PAP, *Tajemnicza butelka*, „Super Express" – 16.04.98 r.)

Opracowała Jola Dudziak

Odkrywanie w Internecie

Nic pewnie nie zastąpi fascynujących poszukiwań historycznych w bibliotekach i archiwach, gdzie książki, stare dokumenty i pożółkłe zdjęcia nie tylko informują, ale również sprawiają, że wydarzenia z dawnych lat są nam bardziej bliskie, zrozumiałe. Jeszcze kilka lat temu nikt z poszukiwaczy, najczęściej wyposażonych w saperkę i wykrywacz samoróbkę, nie przypuszczał, że dojdzie nam kolejne narzędzie - Internet. A jest to narzędzie bardzo dobre! Również poszukiwacze z tworzonymi przez siebie stronami znaleźli się w wirtualnej rzeczywistości.

Stroną poświęconą tematyce poszukiwań i wszystkim pochodnym dziedzinom związanym z eksploracją jest strona domowa Dariusza Kowalika. Istnieje od kwietnia 1997 roku. Każdy zainteresowany znajdzie tam coś dla siebie. Są informacje o obowiązujących w Polsce przepisach prawnych dotyczących szukania i postępowania w przypadku znalezienia cennego przedmiotu. Można dowiedzieć się ciekawych rzeczy o metodach szukania za pomocą wykrywacza metali. W bardzo przystępny sposób przedstawiona jest zasada działania różnych typów wykrywaczy, a jeśli ktoś zdecyduje się na zakup sprzętu, pomocne będą testy urządzeń aktualnie dostępnych na polskim rynku. W ostatnich latach sporą popularnością cieszą się spotkania i zloty organizowane przez eksploratorów w atrakcyjnych historycznie miejscach. Aktualne informacje o spotkaniach również znajdziecie na stronie Darka. Zapraszam do odwiedzenia tej bardzo dobrej pod względem fachowym, zawierającej rzetelne informacje oraz ciekawej graficznie strony. Strona domowa Darka: *http//www.polbox.com/d/dark/.*

Zbyszko Janiszewski
E-mail Ewa. *1720177@pharmanet.com.pl*

ODKRYWCA

Od zawsze staraliśmy się informować o wszelkich odkryciach na bieżąco. Oczywiście w 1998 roku informacje rozchodziły się o wiele wolniej...

SZTYLET „ZUCHWAŁYCH", czyli recykling po włosku

RAFAŁ KUCHARSKI

Pierwsza wojna światowa, również na froncie włoskim, miała charakter wojny pozycyjnej. Uważano, że impas ten są w stanie przełamać, utworzone w lecie 1917 roku z inicjatywy płk. Giuseppe A. Bassi, Reparti d'assalto (oddziały szturmowe), określane mianem „Arditi" (zuchwali, śmiali). Niezależnie od stopnia, każdy służący w oddziałach szturmowych wyposażony był w sztylet. Broń ta była dostosowana do sposobu walki „Arditi", gdyż sztylet był lżejszy i poręczniejszy od bagnetu, i umożliwiał zaatakowanie przeciwnika z zaskoczenia. Zgodnie z punktem 5 zaleceń dla żołnierzy oddziałów szturmowych, opracowanych w czerwcu 1918 r. przez dowódcę Korpusu Szturmowego, generała porucznika Francesco Saviero Grazioli, w trakcie ataku powinno się używać granatów i sztyletów będących prawdziwą bronią każdego „Ardito". Wśród żołnierzy austrowęgierskich rozpowszechnione było przekonanie, że wszyscy „Arditi" pochodzą z Sycylii i w związku z tym, są specjalistami w walce na noże.

Trening w zakresie walki na noże stanowił, obok nauki walki na bagnety, zapasów oraz ćwiczeń ogólnorozwojowych, jeden z elementów wyszkolenia „Arditi". Przykładowo: jedno z ćwiczeń taktycznych polegało na rzucie granatem Thevenot i szybkim biegu w kierunku pozycji przeciwnika, a następnie zaatakowaniu sztyletem wypełnionego słomą manekina. Ten element treningu był spójny z taktyką „Arditi".

W celu uniemożliwienia obrońcom zorganizowania nowej linii oporu, wykorzystywano dwa rodzaje oddziałów. Zadaniem pierwszego z nich, uzbrojonego w sztylety i granaty ręczne, była likwidacja wrogich punktów obserwacyjnych oraz przejść prowadzących z pierwszej linii do części centralnej nieprzyjacielskiego systemu obrony – schronów dowodzenia. Drugi rodzaj oddziałów, których żołnierze byli wyposażeni w karabiny, sztylety i granaty ręczne, miał za zadanie zniszczenie pozostałych punktów oporu, oczyszczenie okopów i obronę zdobytej strefy przed kontratakiem nieprzyjaciela – do czasu nadejścia oddziałów regularnej piechoty.

Relacjonując przebieg bitwy pod Monte San Gabriele, do której doszło w dniu 4 września 1917 r., porucznik Giudici stwierdził: *„To była zażarta walka. (…) Wszyscy obrońcy okopów zostali zarżnięci. Bitwa przerodziła się w setki małych potyczek, które rozgorzały wśród skał pośród zasieków, bunkrów i tuneli. (…) W ciemności, w niekończącym się labiryncie walczyliśmy używając granatów, zadając pchnięcia sztyletami, uderzając saperkami i pięściami, kopiąc i gryząc. O godzinie 10 byliśmy panami pola bitwy"*. Z raportów włoskiego wywiadu wynikało, że żołnierze wroga byli zaskoczeni pojawieniem się setek dwuosobowych zespołów „Arditi" (do których trudno było trafić ze względu na ich nadzwyczajną ruchliwość), biegnących w kierunku przeciwnika ze sztyletem w zębach i granatami w obydwu rękach.

Zatem zważywszy na rolę, jaką broń ta odgrywała w taktyce oddziałów szturmowych, nie dziwi, że określa się ją często jako „sztylet Arditi". Sprzyjało temu zapewne także i to, że na ilustracjach z epoki przedstawiających wizerunek „Arditi", zarówno w sposób realistyczny jak i wyidealizowany, sztylet był często eksponowanym elementem.

Jednakże na froncie włoskim broń ta była używana powszechnie przez żołnierzy wielu oddziałów. Prezentowane poniżej zdjęcia przedstawiają żołnierzy 34. Pułku Strzelców Legionu Czechosłowackiego we Włoszech, która to jednostka wchodziła w skład 6. Dywizji Czechosłowackiej będącej częścią utworzonego 10 czerwca 1918 r. włoskiego Szturmowego Korpusu Armijnego. Wprawdzie kompanie „Arditi" utworzono w każdym z czechosłowackich pułków, jednakże zdjęcia przedstawiają strzelców, a nie żołnierzy kompanii szturmowych, na co wskazują mundury oraz odznaki. Mimo to, w noże wyposażonych jest wielu żołnierzy widocznych na zdjęciu grupowym (fot. nr 1), oraz obydwaj Legioniści na zdjęciach indywidualnych (fot. nr 2 i 3). Zdjęcie grupowe zasługuje na uwagę także i z tego względu, że pomiędzy żołnierzami, w pozycji leżącej, widoczne są pistolety maszynowe FIAT wzór 1915 Villar Perosa – pierwszy, seryjnie produkowany pistolet maszynowy.

Fot. nr 1

Żołnierze oddziałów szturmowych używali kilku rodzajów sztyletów. Niektóre z nich wyprodukowane były z uszkodzonych egzemplarzy bagnetów, przeznaczonych do karabinu Mannlicher Carcano model 1891, w których usuwano pierścień służący do mocowania bagnetu na lufie karabinu, skracano ramiona jelca, zaś drewniane okładziny rękojeści mocowane były przy pomocy dwóch nitów. Do tego rodzaju noży wykorzystywano skróconą pochwę bagnetu model 1891, zachowując mosiężne okucia.

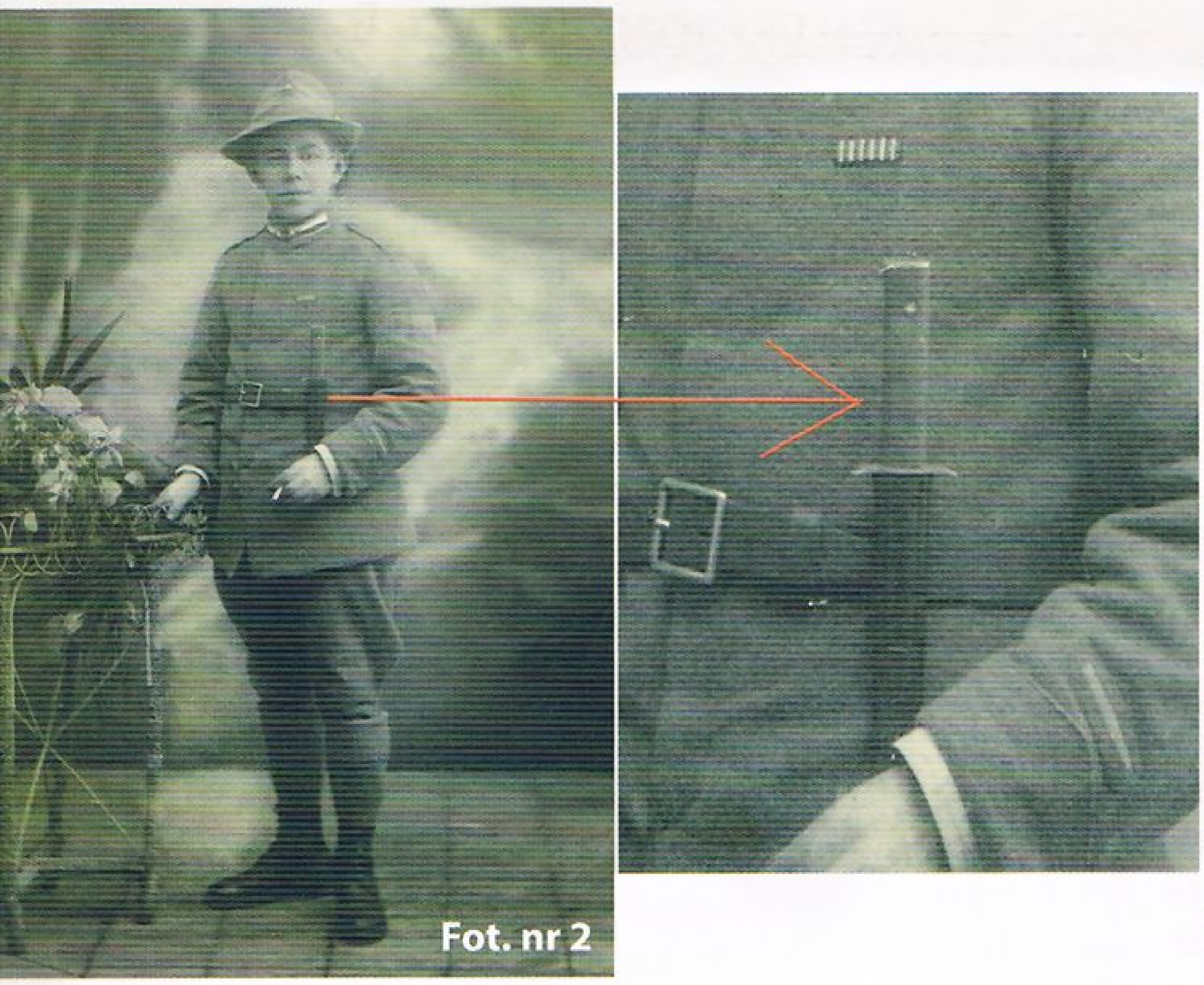

Fot. nr 2

Fot. nr 3

Na wyposażeniu żołnierzy armii włoskiej znajdowały się również sztylety, co do których włoski bronioznawca, Cesare Calamandrei, dopuszcza używanie określenia „regulaminowe". Broń ta składała się z 11 elementów, a wytwarzano ją wykorzystując pozostałe po skróceniu, fragmenty głowni bagnetów do karabinu Vetterli Vitali M-1870.

Warto odnotować, że według niektórych autorów (Tadeusz Królikiewicz „Bagnety" str. 414, „Encyklopedia noży wojskowych" str. 107 i Jerry L. Janzen „Bayonets from Janzen's notebook" str. 125) fragmenty brzeszczotów, wykorzystywane do konstruowania sztyletów dla „Arditi", pozyskiwano w wyniku przeróbki bagnetów Vetterli Vitali M-1871 na modele: 1871/16 i 1871/87/16.

Tablica nr 1 ilustruje transformację bagnetu Vetterli Vitali M-1870 na model 1870/16 i uboczny efekt w postaci sztyletu „Arditi".

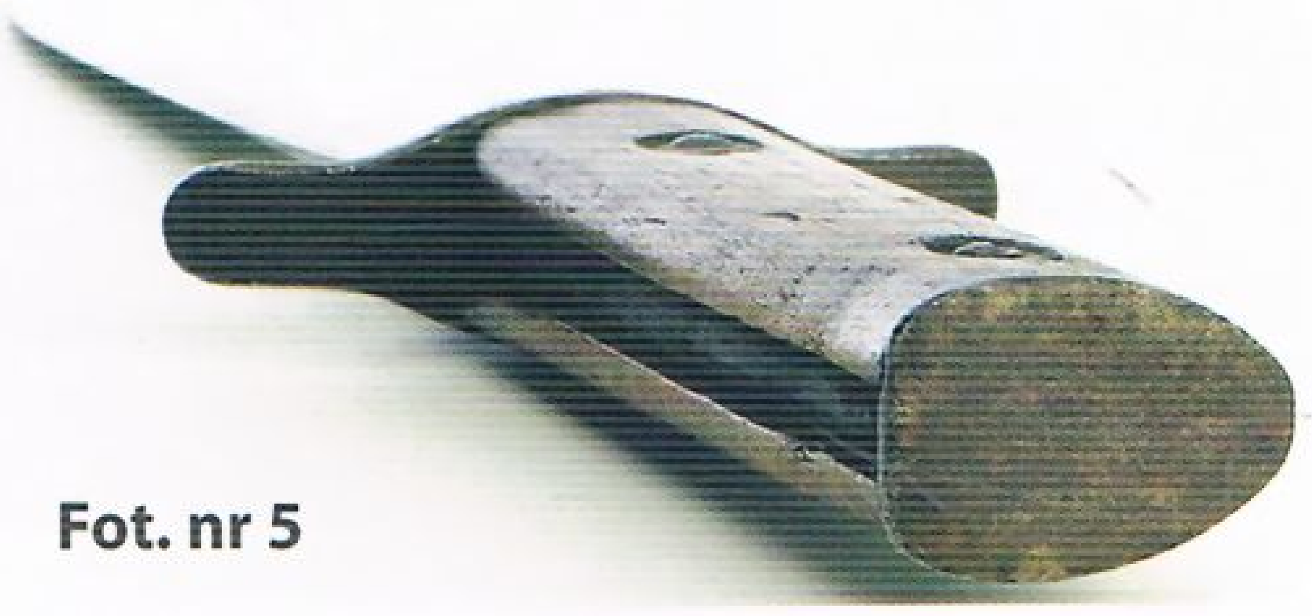

Fot. nr 5

Głownię i trzpień głowni wykonano z jednego, liczącego około 27 cm fragmentu brzeszczotu bagnetu Vetterli Vitali M-1870. Głownia jest prawie na całej swej długości obosieczna. W miejscu, w którym zwykle znajduje się próg głowni, wyraźnie widoczny jest końcowy – od strony sztychu – odcinek zbrocza skróconego bagnetu (fot. nr 4).

Fot. nr 4

Głownia sztyletu bezpośrednio przy jelcu, od strony z której niegdyś znajdował się grzbiet brzeszczotu bagnetu, posiada około 4-milimetrowy uskok. Dwuramienny jelec wykonany z blachy o grubości 4 mm, jest najszerszy w środkowej części, po czym zwęża się do połowy długości ramion i ponownie rozszerza przy ich końcach – których krawędzie są zaokrąglone. Ramiona mierzącego około 6,3 cm jelca są lekko wygięte w kierunku głowni. Wykonane z drewna okładziny rękojeści mają kształt zbliżony do prostokąta o wymiarach 10×2,5cm, a ich dłuższe krawędzie zaokrąglono w celu poprawienia chwytu. Do trzonu rękojeści przymocowane są przy pomocy dwóch nitów. Sztylet nie posiada tradycyjnej głowicy, a na szczycie rękojeści nałożona jest płaska, metalowa płytka (fot. nr 5).

W celu uproszczenia produkcji i ograniczenia jej kosztów fragmenty głowni, pozostałe po skróceniu bagnetu Vetterli Vitali M-1870, oprawiano również w rękojeści, z racji kształtu zwane „pilnikowymi" (patrz zdjęcie poniżej – fot. nr 6).

Sztylety te, zbudowane jedynie z pięciu elementów, w odróżnieniu

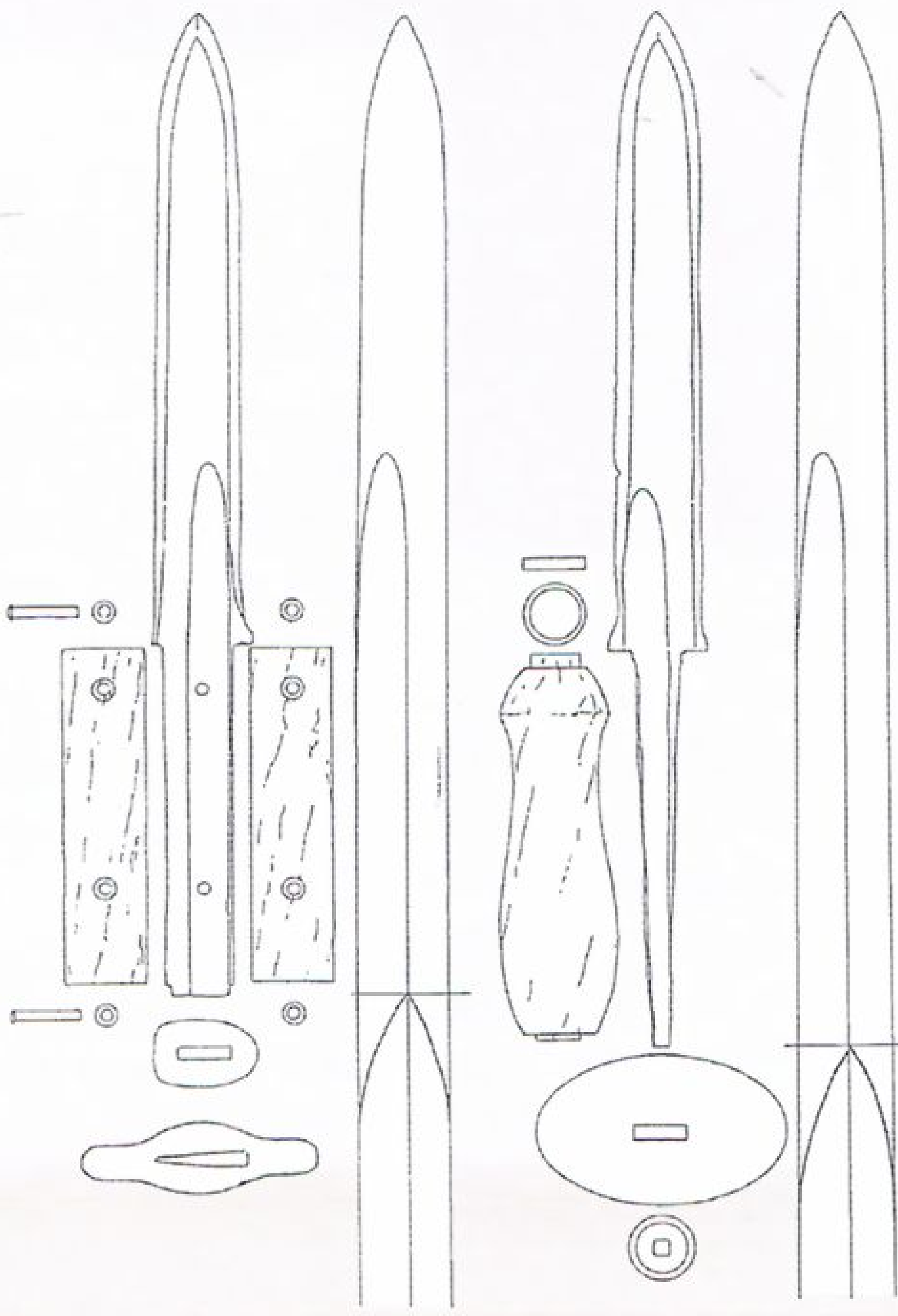

Fot. nr 6

Tabela nr 1. Źródło: C. Calamandrei, „Puginali e coltelli italiani, militari e di partito 1916-1989", Editoriale Olimpia.

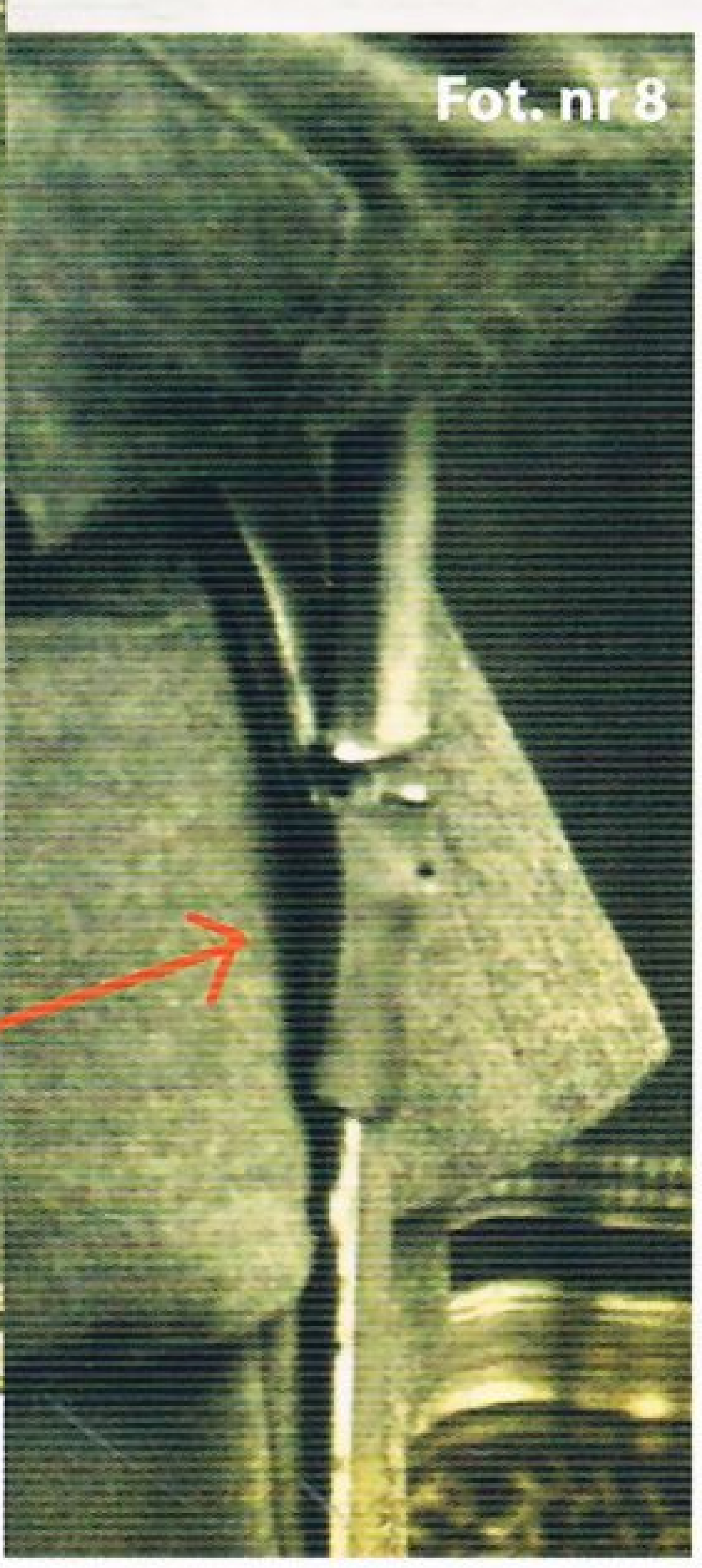

Fot. nr 8

od typu podstawowego, posiadały szerszy jelec o eliptycznym kształcie i ramionach wygiętych w kierunku głowni oraz dosyć szeroką, metalową obejmę zapobiegającą zsunięciu się rękojeści z trzpienia głowni.

Pochwa sztyletu liczy około 19 cm długości i 3,5 cm szerokości. Wykonano ją ze skóry w kolorze czarnym, wykorzystując w tym celu prawdopodobnie fragment pochwy skróconego bagnetu. Wzdłuż dłuższych krawędzi na całej jej długości widoczne są wytłoczenia. Dolny koniec pochwy ma kształt półokrągły, jest lekko spłaszczony, a jego krawędzie spojone stalową klamrą. Przy pomocy czterech nitów do pochwy przytwierdzono skórzaną szlufkę, umożliwiającą przymocowanie jej do pasa głównego (fot. nr 7).

Fot. nr 7

Opisane powyżej sztylety nie były wytwarzane w arsenałach, lecz w warsztatach rzemieślniczych. Z tego powodu nie sposób dokładnie określić rozmiarów ich produkcji. Można jedynie szacować, że wytworzono ich setki tysięcy.

Ponadto żołnierze włoskich oddziałów szturmowych w okresie I wojny światowej używali również zdobycznych bagnetów do Manlichera, przy czym najbardziej cenione były chromowane bagnety podoficerskie. W wielu przypadkach „Arditi" z dumą nosili, stanowiące zdobycz wojenną, austriackie noże szturmowe wzór 1917. Powszechne było również noszenie sztyletów poza służbą, jako tzw. broni „wyjściowej". Prezentowane zdjęcie przedstawia żołnierza Legionu Czechosłowackiego we Włoszech uzbrojonego w Grabendolch M-17, przymocowanym do pasa przy pomocy żabki przeznaczonej do austriackich bagnetów wzór 1888 i 1895 (fot. nr 8).

Sztylet „Arditi" odzwierciedlał przemiany zachodzące w trakcie I wojny światowej. Ponieważ walki prowadzone w czasie tego konfliktu miały w dużej mierze charakter pozycyjny, znamienna dla okresu Wielkiej Wojny stała się tendencja do skracania bagnetów, których głownie mierzyły dotychczas nierzadko nawet około 50 cm, tak jak baionetta sciabola do karabinu Vetterli Vittali M-1870, którego część głowni wykorzystywano do produkcji sztyletów „Arditi". W tym miejscu przypomnieć wypada, że jeszcze w 1890 roku cesarz Wilhelm II wydał rozkaz wycofania z uzbrojenia armii niemieckiej bagnetów 1871/84. Powodem był fakt, iż armię francuską, będącą głównym potencjalnym przeciwnikiem wojsk Kaisera, wyposażono w bagnet o głowni o 27 cm dłuższej niż w wymienionym powyżej bagnecie niemieckim. Ze względu na zmianę sposobu walki, w czasie wojny pozycyjnej to, co jeszcze do niedawna uważano za zaletę, a więc długi brzeszczot bagnetu, w świetle taktyki stosowanej w czasie Wielkiej Wojny stało się jego wadą. O tym, że w owym czasie skracanie głowni bagnetów było dosyć powszechne, świadczy przykład niemieckich bagnetów wz. 1898, których głownie w latach 1914-1918 skracano i wyrabiano z nich w rusznikarniach polowych noże szturmowe lub krótsze bagnety.

Również z punktu widzenia gospodarki okresu wojennego sztylet „Arditi" był przedmiotem typowym dla swej epoki. Ze względu na deficyt materiałów i konieczność szybkiego uzupełniania strat w uzbrojeniu, wykorzystywano wszelkie dostępne materiały. Przykładowo: w armii francuskiej z uszkodzonych bagnetów do karabinów Lebel wz. 1886 wykonywano noże bojowe, ostrząc ułamane głownie, usuwając pierścienie służące do mocowania na lufie i odwracając jelce. Noże bojowe wykonywano również oprawiając w drewniane lub metalowe rękojeści głownie bagnetów Lebel. Analogie do sposobu wytwarzania noży dla „Arditi", są zatem oczywiste.

W tym kontekście trudno nie wspomnieć o „clou francais", broni wykonanej z kawałka pręta zbrojeniowego, którego jeden koniec skuwano i szlifowano na kształt zbliżony do grota włóczni, drugi zaś wyginano, nadając mu formę prymitywnego kabłąka chroniącego dłoń. Broń tę przenoszono w pochwie wykonanej z dwóch deseczek. W porównaniu z nią sztylet „Arditi", wykonany z materiałów w istocie rzeczy odpadowych, uznać należy za konstrukcję wyrafinowaną.

ZDJĘCIA Z KOLEKCJI AUTORA.

Literatura i źródła:
1. D. Bullock, „The Czech Legion 1914-20", seria Men-at-Arms nr 447, Osprey 2009
2. C. Calamandrei, „Puginali e coltelli italiani, militari e di partito 1916-1989", Editoriale Olimpia
3. J.L. Janzen, „Bayonets from Janzen's notebook", Cedar Ridge Publications, 1987
4. T. Królikiewicz, „Encyklopedia noży wojskowych", Alma Press, 2004
5. A.L. Pirocchi, „Italian Arditi. Elite Assault Troops 1917-20", seria Warrior, Osprey 2004
6. Korespondencja z dyrektorem Museo Storico Nazionale D'Artiglieria, Torino, płk. w stanie spoczynku, p. Vincenzo Russo.

Rafał Kucharski
Członek Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania kolekcjoner militariów w szczególności zaś bagnetów i noży wojskowych.

Wojna od kuchni (cz. 7)

Niezbędniki Armii Czerwonej 1939-1945

TOMASZ BIENEK

W ramach naszego cyklu zaprezentowaliśmy już niezbędniki niemieckie oraz te, będące na wyposażeniu zachodnich Aliantów. W kolejnym odcinku czas na przybory do jedzenia, z jakich podczas ostatniej wojny korzystali żołnierze radzieccy. Takich samych sztućców używali także Polacy z jednostek ludowego Wojska Polskiego.

Analizując temat wojskowych przyborów do jedzenia, można zaryzykować tezę, iż charakter niezbędników oddaje cechy armii, z których pochodzą poszczególne modele. W niezbędnikach niemieckich zwracaliśmy uwagę na graniczącą z absurdem pedanterię ich wykonania, sztućce angielskie cechuje solidność i prostota, zaś zestawy amerykańskie nowatorska myśl techniczna i dbałość o komfort żołnierza. Idą dalej takim tokiem myślenia, można stwierdzić, iż radzieckie przybory do jedzenia wyróżnia to samo, co Armię Czerwoną i cały system sowiecki – bylejakość, prymitywizm, pogarda dla ludzi – w tym i własnych żołnierzy – oraz brak trzymania się jakichkolwiek standardów.

Żołnierze Armii Czerwonej w początkowym okresie jej istnienia stosowali ekwipunek odziedziczony po armii carskiej. Dotyczyło to także sprzętu związanego z wyżywieniem żołnierza. W powszechnym użytku były carskie menażki, manierki oraz sztućce. Tak wyposażeni byli Sowieci podczas wojny polsko-bolszewickiej oraz toczących się w latach 20. walk z oddziałami „białych", czyli zwolenników carskiego porządku. Należy jednak dodać, iż już podczas I wojny światowej rosyjscy żołnierze otrzymywali sztućce dość niskiej jakości, a często wykonywali je własnoręcznie. Bardzo wielu jadło chłopskimi łyżkami wystruganymi z drewna. Inni odlewali lub tłoczyli w polowych warunkach łyżki z różnych metali pozyskanych na polu walki. O szczęściu mogli mówić ci carscy żołnierze, którzy otrzymali łyżki o prostej konstrukcji, ale wykonane w fabryce.

Carska łyżka żołnierska – z powodzeniem używana przez radzieckich żołnierzy. Sygnowana: Odessa–Progress.

Typowa, przedwojenna łyżka żołnierska produkowana w fabryce Krasnyj Wyborżec. Obok niezwykle rzadka łyżeczka do herbaty tego samego producenta.

Władze radzieckie nie zmieniły nic w tym zakresie.

Do wybuchu wojny z Niemcami radziecki żołnierz dostawał do jedzenia dość topornie wykonaną aluminiową łyżkę. Większość ze spotykanych egzemplarzy tego „niezbędnika", będącego wymownym symbolem „sowieckiego raju", pochodzi z fabryki Krasnyj Wyborżec, która w ZSRR była potentatem w produkcji wojskowego sprzętu kuchennego. Oprócz łyżek w kombinacie tym produkowano też kociołki, nerkowate menażki oraz manierki. Widelce w radzieckich szeregach były rzadkością. Na prymitywizm sowieckiej aprowizacji oraz wspomniane łyżki, przypominające zgoła więzienne realia, zwracają często uwagę w swoich wspomnieniach Polacy z Kresów Wschodnich, którzy przed wojną odbyli służbę w Wojsku Polskim, natomiast po zajęciu terenów Polski przez Armię Czerwoną w 1939 roku zostali wcieleni – już jako obywatele sowieccy – w szeregi okupanta. Większość z nich, wychowana w bardziej cywilizowanych warunkach i przyzwyczajona do wyższych standardów, panujących także w wojsku, przytacza w swoich relacjach realia panujące w sowieckich stołówkach, których byli swiadkami – wszechobecny brud, arogancję personelu, kradzieże, okropne jedzenie, a czasem nawet brak pożywienia. Dla ludzi pamiętających porządek panujący w Wojsku Polskim znalezienie się w sowieckim bałaganie, było przeżyciem szokującym.

Po gigantycznych stratach poniesionych przez Armię Czerwoną latem i jesienią 1941 roku, gdy Stalin próbował powstrzymywać postępy Niemców rzucając, dosłownie, tysiące żołnierzy – słabo, a czasem nawet nieuzbrojonych – prosto pod lufy karabinów maszyno-

Łyżka z przyfrontowego warsztatu – uchwyt z motywem ryby.

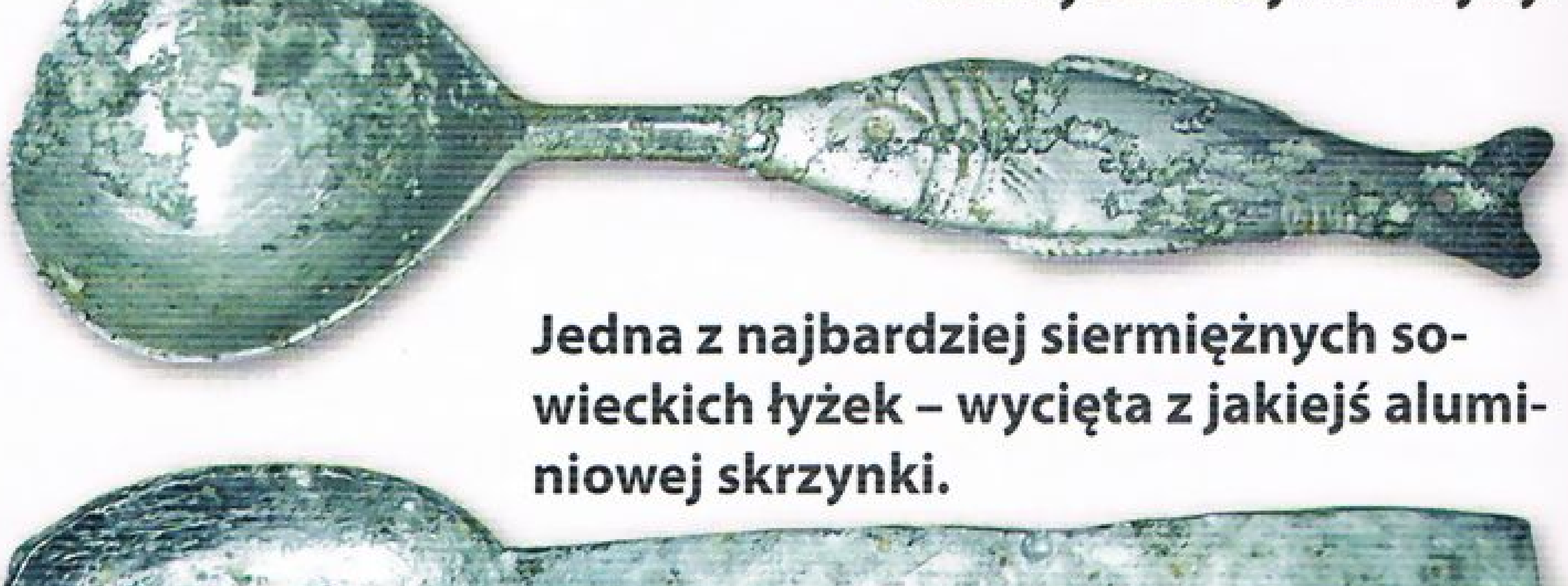

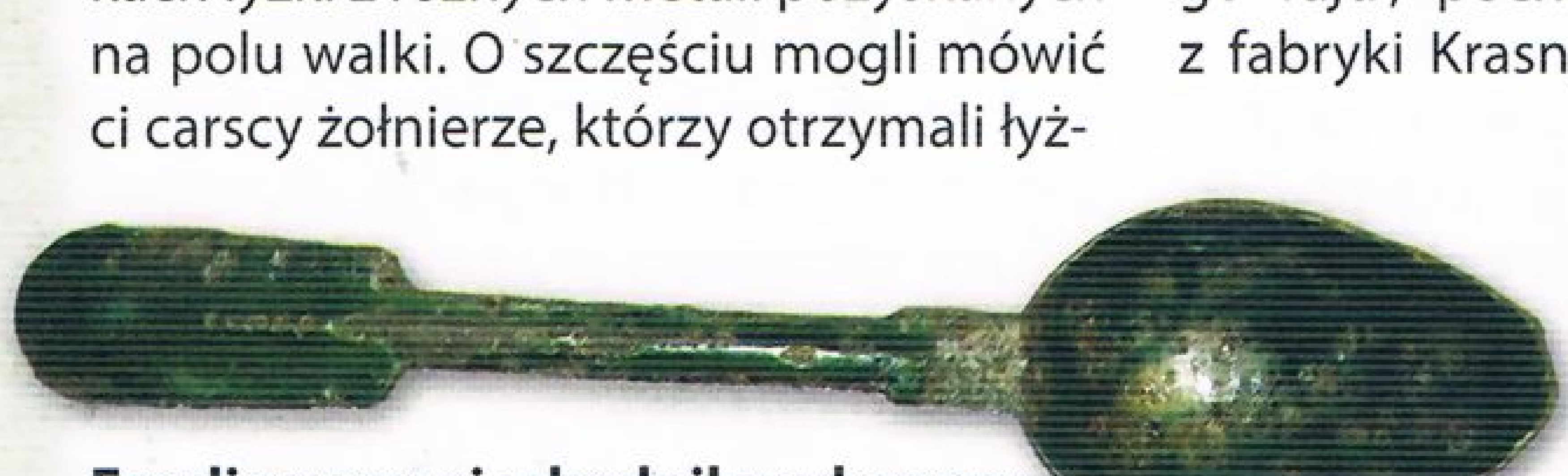

Emaliowany niezbędnik wykonany fabrycznie podczas wojny z Niemcami.

Jedna z najbardziej siermiężnych sowieckich łyżek – wycięta z jakiejś aluminiowej skrzynki.

Typowe, sowieckie łyżki zrobione w warunkach frontowych.

Bardzo rzadka łyżka ze stali nierdzewnej, być może produkowana dla marynarki.

wych Wehrmachtu, nikt w sowieckim dowództwie nie przejmował się już takimi „bzdurami", jak wyposażanie żołnierza w przybory do jedzenia. Radzieccy żołnierze w ekstremalnych sytuacjach wysyłani do ataku bez karabinów, które mieli zdobyć po poległych kolegach idących do natarcia w pierwszym szeregu, także przy pozyskiwaniu ekwipunku polowego byli zdani na łaskę losu i swoją zaradność. Powrócił pochodzący z czasów Wielkiej Wojny zwyczaj wykonywania łyżek w okopach. Tym razem na skalę masową. Łyżkę, w przeciwieństwie do noża czy widelca, łatwiej było odlać w prymitywnych warunkach na froncie, wyklepać z pustej puszki po konserwie, czy wyciąć z uszkodzonej, metalowej skrzynki. Ponadto żołnierskie menu w Armii Czerwonej nie było zbyt skomplikowane, i do konsumpcji serwowanych na froncie posiłków (np. gotowanej kaszy) łyżka w zupełności wystarczała. Tak więc wykonywano je dosłownie ze wszystkiego, z czego się tylko dało. Każdy metal, oczywiście im łatwiejszy w obróbce tym lepszy, mógł posłużyć – i służył – do przygotowania „sowieckiego niezbędnika". Produkcja łyżek kwitła w polowych warsztatach, gdzie naprawiano czołgi i inny ciężki sprzęt. Przyczyna była prosta – w takich miejscach znajdowały się narzędzia, które pozwalały na obróbkę metali i poboczną wytwórczość. Ponadto zawsze walało się tam sporo zepsutych części oraz innego żelastwa, a więc potencjalnego surowca do produkcji. Oprócz łyżek w tych frontowych warsztatach wykonywano również noże i inne przedmioty – np. popularne wśród Rosjan aluminiowe pudełka na machorkę. Z niepotrzebnych kawałków metalu wytwarzano także zapalniczki, grzebienie, lampki naftowe – słowem, wszelkie przedmioty podnoszące nieco komfort życia w polu, a które sowieccy planiści uznali za zbędne dla idących na śmierć „frontowików".

Oczywiście, jak to często bywa pod każdą szerokością geograficzną, mechanicy z frontowych warsztatów nie byli bezinteresowni. Nie wiem, co stanowiło „środek płatniczy" i jaki był cennik wykonywanych w polu produktów, z pewnością jednak nie nabywało się ich za pieniądze, za które i tak nie można było nic kupić. Zapewne kilka sucharów, zdobyczne papierosy, miarka kaszy lub ćwiartka samogonu, odjęta z własnego przydziału, wędrująca w ręce personelu technicznego pozwalała prostemu żołnierzowi na komfort posiadania łyżki. Wiele z nabytych w ten sposób „skarbów" upamiętniło swych właścicieli po ich śmierci, gdyż to właśnie na łyżkach radzieccy żołnierze wydrapywali swoje imiona i nazwiska, gdy nie otrzymywali regulaminowych nieśmiertelników – co było zjawiskiem powszechnym.

Dość szybko w produkcji żołnierskich łyżek zaczęły pojawiać się odrębne style, bowiem polowi „producenci" zaczęli nadawać swoim towarom walory estetyczne. Do najmodniejszych należały łyżki odlewane z aluminium, których uchwyt stanowiła sylwetka nagiej

REKLAMA

Kolejna samoróbka – tym razem stalowa.

Różne odmiany samoróbek – jak widać nawet najmniejszy kawałek metalu na froncie mógł zmienić się w przydatną łyżkę.

dziewczyny. Bardzo popularny był również uchwyt w kształcie ryby, ale zdarzały się i inne odmiany. Ogromna ilość łyżek własnej roboty świadczy o skali tego zjawiska w Armii Czerwonej. Część prymitywnych łyżek odnajdowanych na polach bitew i szlakach przemarszu sowieckich oddziałów, została wyrzucona przez swoich właścicieli, w przypadku pozyskania przez nich lepszych sztućców – odbierając je zabitym lub wziętym do niewoli Niemcom lub wynosząc cywilne łyżki z zajmowanych domów. Tak jednak było dopiero wtedy, gdy wojna z bezludnego stepu przeniosła się na w miarę cywilizowane tereny, gdzie można było znaleźć sztućce. Oprócz metalowych łyżek wykonywanych na froncie, w powszechnym użytku były łyżki drewniane, strugane przez żołnierzy – o ile mieli oni noże lub inne narzędzia pozwalające na wykonanie rękodzieła.

W okresie wojny z Niemcami radziecki przemysł w niewielkim zakresie dostarczał na potrzeby armii zestawy złożone z widelca i łyżki. Oba przedmioty wykonywane były z emaliowanej stali. Większość spotykanych elementów tego niezbędnika emaliowana jest na kolor zielony, o odcieniu identycznym jak żołnierskie stalowe kubki z wojennej produkcji. Charakterystyczne jest, iż widelce z tego zestawu mają trzy zęby. Wykonanie tychże sztućców jest tak siermiężne, iż niewiele różnią się one od łyżek z frontowej produkcji.

Trudno powiedzieć, czy w latach 30. istniały projekty, by wyposażyć żołnierzy radzieckich w niezbędniki w naszym rozumieniu tego słowa. Faktem jest, iż w tym czasie podjęto próby zmodernizowania polowego ekwipunku, także tego związanego z wyżywieniem. Prosty kociołek planowano zastąpić nerkowatą, aluminiową menażką, będącą idealną kopią niemieckiej menażki. Choć nie udało się wyposażyć w nią wszystkich czerwonoarmistów, spore ilości menażek tego typu trafiły do oddziałów przed 1941 rokiem. W połowie lat 30. rozpoczęto też produkcję nowoczesnej manierki – aluminiowej, z zakręcanym korkiem. Być może, gdyby nie wybuch wojny z Niemcami, rozpoczęto by także produkcję jakiegoś niezbędnika, koniec końców do niczego takiego nie doszło.

Oprócz niezbędników zdobytych na wrogu, w Armii Czerwonej można było także spotkać niezbędniki przejęte w krajach nadbałtyckich. Wojska Litwy, Łotwy czy Estonii nie stawiły oporu w 1940 roku, i gdy Sowieci zajęli te państwa, wcielili ich oddziały do swojej armii wraz z całym posiadanym sprzętem. Ekwipunek armii krajów nadbałtyckich jest bardzo podobny do ekwipunku niemieckiego z I wojny światowej. Armie te używały niemieckich hełmów, menażek a także – niezbędników. Wcieleni do armii Stalina Łotysze czy Litwini nadal używali zatem niemieckich niezbędników z I wojny światowej.

Należy też przyjąć, iż w użytku w Armii Czerwonej mogły się znaleźć wszelkie pozyskane, znalezione, cywilne sztućce oraz niezbędniki zdobyte na żołnierzach państw Osi. Dodatkowo czerwonoarmiści w niewielkim zakresie stosowali wojskowe sztućce brytyjskie lub amerykańskie, dostarczone w ramach pomocy dla ZSRR.

ZDJĘCIA: PREZENTOWANE EKSPONATY POCHODZĄ Z KOLEKCJI TOMASZA BIENKA I DANIELA BIENKA.

Literatura:

1. P. Rio, „The Soviet Soldier of World War Two", Histoire & Collections 2011
2. A. Shalito, „Red Army uniforms of World War II in colour photographs", Europa Militaria 1999
3. R. Fisch, „Field equipment of the Infantry 1914-1945", A Greenberg Publication 1989

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Wojna od kuchni" ukazały się:

» cz. 1 „Pili sake, jedli ryż… czyli japońska wojna od kuchni", nr 3/2015,
» cz. 2 „Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola", nr 4/2015.
» cz. 3 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 1)", nr 5/2015
» cz. 4 „Niezbędniki Wehrmachtu 1939-1945 (cz. 2)", nr 6/2015
» cz. 5 „Niezbędniki brytyjskie 1939-1945", nr 7/2015
» cz. 6 „Niezbędniki US Army", nr 8/2015

Tomasz Piotr Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

W polowych warsztatach produkowano wszelkiego rodzaju noże, które stanowiły uzupełnienie łyżek.

Kolekcjonerstwo, to jeden z najstarszych działów „Odkrywcy". W 200 numerach zgromadziliśmy olbrzymią ilość wiedzy dotyczący tego zagadnienia i jednocześnie pasji...

Kolekcjonerstwo

Specjalizacja w kolekcjonerstwie

Temat specjalizacji w kolekcjonerstwie podejmowałem już kilkakrotnie na łamach czasopism numizmatycznych. Zbieraczowi przyświeca nadzieja, że zdoła zgromadzić piękny zbiór, zawierający wiele unikatów i egzemplarzy dobrze zachowanych. Zbieractwo staje się dość istotnym celem życia, do którego kolekcjoner dostosowuje rozdysponowanie wolnego czasu, plany urlopowe, a także wydatki finansowe. Nagrodą za liczne wyrzeczenia – jeśli szczęście dopisze i do kolekcji trafi unikat – jest duma z posiadania egzemplarza, którego nie mają inni zbieracze, a nawet muzea państwowe. Szlachetne pragnienie zdobycia rzadkiego okazu sprawia, że kolekcjoner staje się oszczędny – skąpi sobie, jeśli idzie o zakup dóbr konsumpcyjnych, natomiast na wymarzoną monetę nie waha się wydać zgromadzonych oszczędności. W ostatnich kilkunastu latach w Polsce nastąpił gwałtowny wzrost kolekcjonerstwa monet, medali i banknotów. Zbieraniem numizmatów zainteresowali się hobbyści – miłośnicy staroci, ludzie lokujący kapitały i liczni handlarze upatrujący w numizmacie dobry interes. Wzrosło zainteresowanie społeczeństwa numizmatyką. Pojawiły się liczne książki, katalogi i artykuły prasowe poświęcone monetom, medalom i banknotom. Jednocześnie dość gwałtownie wzrosły ceny rynkowe numizmatów, a ich podaż zmalała – przy stale rosnącym popycie, zwłaszcza na polskie monety XX-wieczne.

Czasy sprzyjające powstawaniu wielkich kolekcji prywatnych, skupiających różnorodne zbiory, nieraz bardzo bogate, minęły wraz z pewnym wyrównaniem poziomu życia i zamożności społeczeństwa, jakie nastąpiło w naszym kraju po drugiej wojnie światowej w 53-letnim okresie pokoju. Jednym z ostatnich kolekcjonerów, któremu udało się zgromadzić wielką kolekcję numizmatów, książek, portretów, starej broni i innych walorów kolekcjonerskich, był – obok zmarłego w 1982 roku Krzysztofa Klingera – Jerzy Dunin-Borkowski z Krośniewic. Niestety, dziś przeciętny kolekcjoner nie ma takich możliwości. Chcąc zgromadzić jakiś ciekawy zbiór, trzeba koniecznie, nie zwlekając, zdecydować się na specjalizację. W myśl tej zasady zająłem się – oprócz zbierania starych monet polskich – pieniądzem kredytowym polskich spółdzielni i kasyn wojskowych z lat 1925-1939. Tego typu monety (a niekiedy i banknoty) emitowały spółdzielnie istniejące ówcześnie w pułkach, garnizonach i szkołach wojskowych. Monety takie znamy w nominałach: 5, 10, 20, 50 groszy oraz 1, 2, i 5 złotych. Na ponad tysiąc dwieście różnych monet używanych przez spółdzielnie wojskowe w Polsce do dziś znamy z natury tysiąc. W swojej kolekcji, uznanej za jedną z większych, zdołałem w ciągu ponad 29 lat zgromadzić niespełna 390 monet wojskowych. Nowe nabytki (choć nie są to numizmaty drogie) napływają do kolekcji powoli, a to z uwagi na duże rozproszenie monet polskich spółdzielni wojskowych po licznych zbiorach w Polsce i byłym ZSRR. Monet tych nie zbierają kolekcjonerzy zachodnioeuropejscy i amerykańscy ze względu na słaby metal (cynk, aluminium, niekiedy mosiądz, miedź lub miedzionikiel) i mało atrakcyjną przeważnie formę plastyczną. Uważam jednak, że dla uratowania ich przed zapomnieniem, niezależnie od wydania w 1988 roku mojego katalogu tych monet, powinno istnieć przynajmniej kilka większych kolekcji prywatnych, które z czasem będą mogły stanowić zaczątek jakiejś dużej kolekcji muzealnej. Na razie nasze centralne muzea nie przejawiały zainteresowania tą sprawą.

Podobnych tematów specjalistycznych w zakresie kolekcjonerstwa jest wiele. Np. inż. Raburski z Gniezna specjalizował się w zbieraniu monet miejskich i pieniądza prywatnego, p. Okulicz z Koszalina zbiera orzełki i orły noszone na czapkach wojsk polskich w różnych okresach historycznych, a mgr Gupieniec z Łodzi zbierał dzwonki, używane przez pocztę w czasach, kiedy korzystano z ambulansów konnych. Początkujący numizmatyk zbiera wszystko, co wpadnie mu w ręce: najrozmaitsze monety, medale, ordery, banknoty, żetony, czasem militaria, czasem naczynia i przedmioty użytkowe. Rozproszenie wysiłku na tyle dziedzin zbieractwa nie rokuje nadziei na zgromadzenie jakiejś wartościowej kolekcji tematycznej. Zbieractwo takie można porównać do gospodarstwa rolnego w warunkach pierwotnych, kiedy trzeba było dla uzyskania samowystarczalności znać się na wszystkim i wszystko na własne potrzeby wyprodukować. W dzisiejszych warunkach społecznego podziału pracy, kompetencji i kwalifikacji nawet w takiej dziedzinie jak numizmatyczne kolekcjonerstwo tylko specjalizacja, i to dość zawężona, może rokować nadzieje na zebranie ciekawej, wartościowej kolekcji. Wychodząc z takiego założenia, ograniczyłem swoje zainteresowanie kolekcjonerskie do zbierania monet starej Polski, preferując okres panowania Jana Kazimierza. Ponadto zbieram – jak wspominałem – monety polskich spółdzielni i kasyn wojskowych. Inne posiadane walory: polskie monety międzywojenne, monety obce – starożytne, wczesnośredniowieczne i nowożytne, różne medale, odznaki, banknoty, żetony, znaczki pocztowe polskie do 1968 roku, militaria i katalogi numizmatyczne wymieniam chętnie na brakujące mi do kolekcji monety spółdzielni wojskowych i starej Polski. O tym, że niełatwo skompletować nawet drobne monety aluminiowe PRL, a tym bardziej zebrać je w stanie menniczym, może się każdy przekonać porównując z katalogiem własny zbiór i kolekcje znajomych zbieraczy. A jednak tylko względnie kompletny zbiór tematyczny – choćby to był np. zbiór miedzianych groszy i trojaków Stanisława Augusta, zebranych rocznikami – stanowi kolekcję z prawdziwego zdarzenia. Gdyby zbieractwo specjalistyczne stało się powszechną formą kolekcjonerstwa, zmniejszyłaby się konkurencja, spadłyby ceny, a najrozmaitsze walory kolekcjonerskie, zamiast tkwić jak piąte koło u wozu w przypominających niekiedy graciarnie zbiorach „wielobranżowych", trafiłyby wreszcie do poważnych i wartościowych kolekcji specjalistycznych. Jeśli wywody moje przekonają Czytelników, radzę nie zwlekając wybrać sobie temat zbieractwa, a inne walory, nie mieszczące się w wybranym temacie, wymienić na walory z obranej specjalności.

W opinii części społeczeństwa kolekcjoner kojarzy się z posiadaniem dzieł sztuki o dużej wartości materialnej. Rzadziej pamięta się, że ze zbiorów prywatnych powstały nasze najcenniejsze kolekcje muzealne, stanowiące skarby kultury narodowej. Zbiory naszych kolekcjonerów pokazywane na wystawach służą społeczeństwu poprzez popularyzację pamiątek naszej przeszłości. Znaczenie kolekcjonerstwa docenia Ministerstwo Kultury, nadając kolekcjonerom za ich społeczne zaangażowanie odznaki zasłużonego działacza kultury. Miłym dla kolekcjonerów wyróżnieniem ze strony prasy są artykuły i notatki w gazetach poświęcone ich zbiorom, wystawom, odczytom i publikacjom numizmatycznym. Zachęcając Czytelników do specjalistycznej wymiany kolekcjonerskiej, w nawiązaniu do zamieszczonej wyżej oferty, podaję swój adres: Wojciech Niemirycz, ul. Targowa 49/51 m. 18, 03–728 Warszawa, tel. (0–22) 619–59–52.

Wojciech Niemirycz

NOTOWANIA Z GIEŁDY WROCŁAWSKIEJ (MARZEC 1998 r.)

SZABLE:
- Polska, wzór 34; używana przez ostatnich ułanów – 1200 złotych; bez pochwy – 800 złotych;
- Prusy, z 1889 r.; paradna kawaleryjska – 450 złotych;
- Austria, około 1850 r.; rękojeść zamknięta z jelcem koszowym ażurowo wycinanym – 600 złotych;
- Dania, około 1850 r.; rękojeść zamknięta z jelcem koszowym, tzw. durszlak – 600 złotych;
- Grecja; z inskrypcją na klindze i kościaną rękojeścią – 600 złotych;
- Austro–Węgry – 500 złotych;
- Prusy; z dobrze zachowanym herbem Prus – 900 złotych;

Ceny szabel są bardziej zróżnicowane niż ceny innych przedmiotów. Te same szable osiągają niekiedy nawet trzykrotnie wyższą cenę. Tylko na giełdzie można kupić ciekawe egzemplarze. We Wrocławiu w białą broń zaopatruje się wiele polskich antykwariatów. **Uwaga!** Często oferowane są szable podrobione i odpowiednio „postarzone". R.B.

Krajowe giełdy kolekcjonerskie i giełdy staroci
– Bytom – pierwsza sobota miesiąca, w godz. 9.00 – 14.00
– Gdynia – druga i czwarta niedziela miesiąca, w godz. 9.00 – 14.00
– Warszawa – każda niedziela, w godz. 9.00 – 14.00
– Wrocław – ostatnia sobota miesiąca, w godz. 7.00 – 13.00

ODKRYWCA

Sznury kwalifikacyjne armii austro-węgierskiej

PIOTR GALIK

Po dotkliwej porażce w wojnie z Prusami w 1866 r. Monarchia Habsburska zmuszona została do podjęcia szeroko zakrojonego planu reform ustrojowych, politycznych, społecznych, a także militarnych. Program modernizacji sił zbrojnych przewidywał – pod wpływem wzorów pruskich – zwiększenie kompetencji i roli podoficerów jako bezpośrednich dowódców i instruktorów szeregowych żołnierzy, powoływanych do wojska w ramach powszechnego, obywatelskiego obowiązku wprowadzonego mocą ustawy z 1868 roku.

Wprowadzenie w życie nowej doktryny obronności państwa oznaczało odejście od dotychczasowej koncepcji armii *de facto* zawodowej. Opierała się ona dotąd na długoletniej służbie cesarskich poddanych, powoływanych do niej w drodze losowania (etatów w armii było w czasach pokoju mniej niż mieszkańców państwa, zakwalifikowanych jako „zdolni do noszenia broni", a zamożni chętnie korzystali z tzw. prawa wykupu – zwolnienia z powinności względem armii za opłatą). Przyjęty został system armii obywatelskiej, nakładający na młodych mężczyzn powszechny obowiązek krótszej, trzyletniej służby czynnej. Nowe zasady sprzyjały wprawdzie zwiększeniu potencjału obronnego Monarchii po- przez umasowienie wyszkolenia wojskowego jej mieszkańców oraz zapewniały znaczne rezerwy mobilizacyjne, lecz mogły przynieść obniżenie standardów wyszkolenia. Poborowy miał bowiem w zreformowanym wojsku znacznie mniej czasu na opanowanie wszelkich wymaganych regulaminami umiejętności, a postęp techniki militarnej sprawiał, że było ich coraz więcej. By uniknąć naśladownictwa obcych kulturowo wzorów fryderycjańskich („żołnierz powinien bać się swojego podoficera bardziej niż wroga"), cesarsko-królewscy sztabowcy postanowili – oprócz przysłowiowego kapralskiego kija – posłużyć się motywacją pozytywną. Wprowadzono do regulaminów specjalne

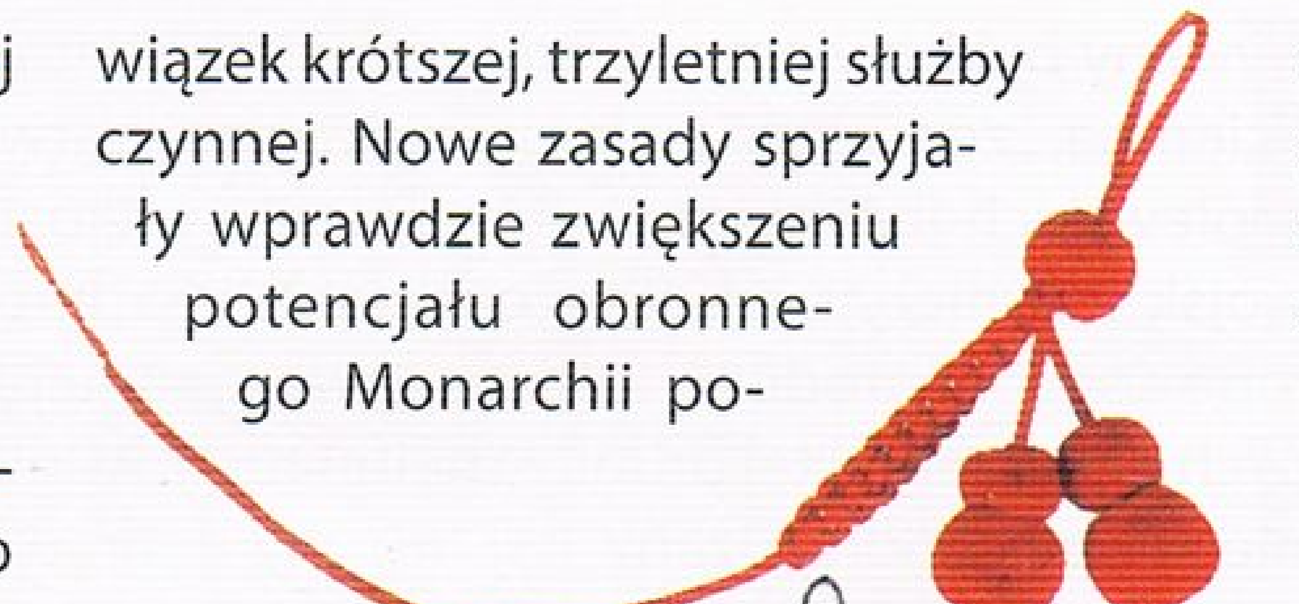

Sznur strzelecki piechoty armii wspólnej i Honvedu wykonany z jasnoczerwonej wełny, model regulaminowy – dla porównania szkic z przepisów mundurowych.

Sznur strzelecki „jegrów", pułków tyrolskich i piechoty Landwehry wykonywany był z wełny jaskrawozielonej, tradycyjnej barwy oddziałów piechoty lekkiej.

odznaki, wyróżniające tych żołnierzy, którzy najlepiej sprostali wymogom programu szkoleniowego. Nowe nagrody za wykazanie się pilnością i starannością podczas szkolenia, miały być przeznaczone przede wszystkim dla podoficerów, którzy niejako „z urzędu" powinni byli potrafić więcej niż ich podwładni, ale także były osiągalne dla szeregowych żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy myśleli poważnie o karierze zawodowej po odbyciu służby zasadniczej.

Jako że w armii habsburskiej już od XVIII w. wysoko ceniono indywidualne umiejętności strzeleckie żołnierza, pierwszym przyjętym rodzajem nagród wyszkoleniowych stały się tzw. „sznury strzeleckie" (Schützenauszeichnung für die Infanterie). Insygnia te pojawiły się na piersiach najlepszych strzelców już w 1868 r. w formie tzw. akselbantu. Sznur strzelecki był barwy szkarłatnej w oddziałach piechoty liniowej, a od 1888 r. także Honvedu (węgierskiej Obrony Krajowej) i jaskrawozielonej w oddziałach strzeleckich i piechocie Landwehry (austriackiej Obrony Krajowej). Barwy sznurów dobrze kontrastowały zarówno z dawnym – białym, jak i nowym – granatowym kolorem kurtki mundurowej. Akselbant o regulaminowej długości całkowitej 53,5 cm pleciono z wełnianego sznura średnicy ok. 4 mm, przy czym obie jego końcówki powinny być opatrzone pętlami, przeznaczonymi do zaczepienia o guziki. Z lewej strony sznur zakładano na guzik naramiennika, z prawej – na 3. od góry guzik kurtki (lub 2. guzik płaszcza). Poniżej lewej pętli mocowany był ozdobny, kulisty pompon o średnicy 3,5 cm, z którego zwisały dwa krótkie sznurki zakończone podwójnymi pomponami (górny 3 cm, dolny – 4 cm średnicy). Sznur przysługiwał żołnierzowi, który pomyślnie odbył trzy strzelania do celu, a prawo jego noszenia należało co roku potwierdzić kolejną pomyślną próbą celności. Prawo noszenia sznura przyznawał rozkazem dowódca pułku, a rekomendację nagrodzonego przedstawiał dowódca kompanii, w której służył wyróżniony żołnierz.

Szeregowy „landwerak" ze strzelecką odznaką kwalifikacyjną w postaci zielonego sznura.

Sznur sternika oddziałów pionierów, zwraca uwagę odmienny, nieco niebieskawy odcień zieleni.

Kapral jednostki pionierskiej ze sznurem kwalifikacyjnym, ozdobionym nieregulaminową kotwiczką – emblematem rodzaju broni. Podoficer zdobył także metalową odznakę kwalifikacyjną wojsk inżynieryjnych, do której przypięty jest akselbant.

Nowa metoda motywacji do wzmożonych wysiłków podczas szkolenia okazała się skuteczna, dowiodła bowiem, że żołnierz nie tylko „jest w stanie walczyć długo i ciężko za kawałek kolorowej wstążki" (Napoleon Bonaparte), ale dla podobnej nagrody może spędzać wiele czasu na strzelnicy w czasach pokoju…

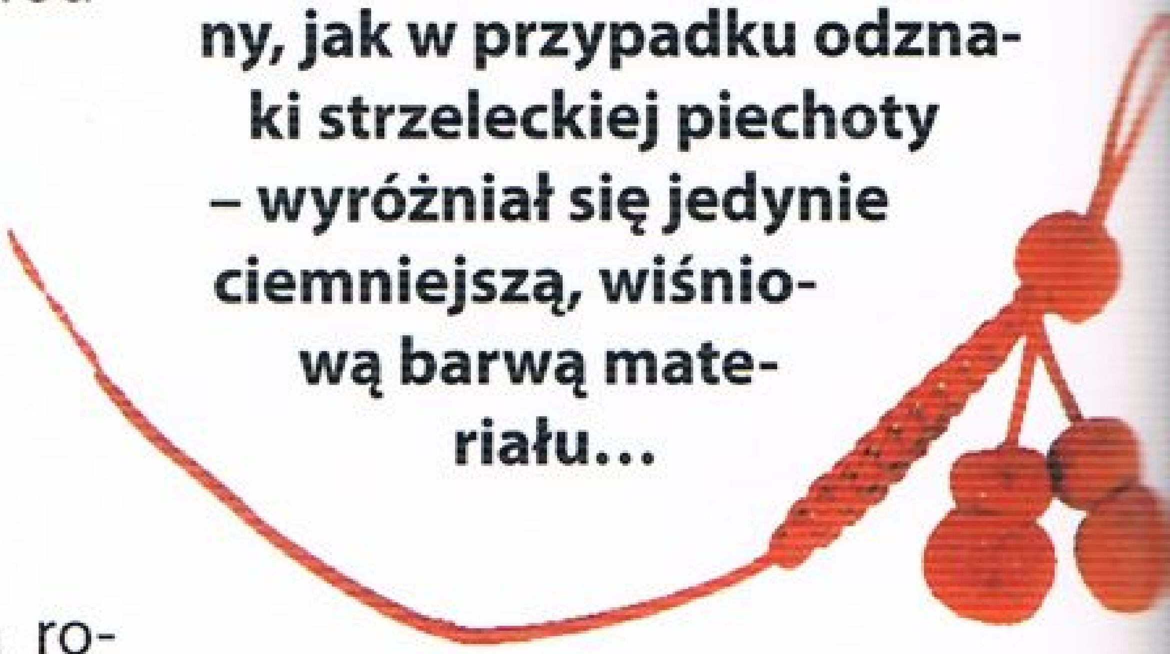

Sznur kwalifikacyjny saperów był niemal identyczny, jak w przypadku odznaki strzeleckiej piechoty – wyróżniał się jedynie ciemniejszą, wiśniową barwą materiału…

Wkrótce podobne odznaki pojawiły się w innych rodzajach wojsk. W 1869 w oddziałach pionierów (wojska inżynieryjne) wprowadzono sznury znane jako Steuermannsauszeichnung. Były one przyznawane nie za umiejętności strzeleckie, lecz za kwalifikacje w roli sternika łodzi rzecznych, gdyż głównym zadaniem oddziałów pionierskich była budowa przepraw przez przeszkody wodne. Sznur sternika różnił się od strzeleckiego barwą – wykonywany był bowiem z wełny w kolorze stalowo-zielonym (ciemna, „zgaszona" zieleń), tradycyjnej barwie „cesarsko-królewskich inżynierów). Równolegle w siostrzanej gałęzi wojsk inżynieryjnych – w oddziałach saperów, zatwierdzono sznur nagrodowy za opanowanie umiejętności związanych z zadaniami tej broni: Arbeiterauszeichnung für die Genietruppe. Sporządzany był wg przyjętego wzoru lecz z wełny koloru ciemnoczerwonego – barwy wojsk saperskich. Znacznie już później, w 1890 r., analogiczny sznur nagrodowy przyjęto w wojskach kolejowych i łącznościowych, przysługujący odpowiednio do specjalności za kwalifikacje w zakresie budowy i naprawy linii kolejowych oraz budowy i obsługi systemów łączności. Sznur, regulaminowo określany jako Arbeiterauszeichnung für das Eisenbahn- und Telegra-

Odznaka kwalifikacyjna oddziałów kolejowych i łącznościowych w ciemnozielonej barwie służb technicznych.

Kapral piechoty z „prywatnym" sznurem, odmiennym od wersji regulaminowej. Uwagę zwraca zamocowanie sznura do okrągłej, metalowej odznaki kwalifikacyjnej, a nie do guzika kurtki mundurowej. Taki sposób zakładania sznura stosowano w przypadku, gdy posiadacz zdobył uprawnienia do noszenia innej odznaki kwalifikacyjnej.

phenregiment wytwarzany był z wełny w kolorze ciemnej, nasyconej zieleni (odmiennej niż w przypadku pionierskiego).

Dążące do wyróżnienia się spośród „zwyczajnej" Landwehry trzy pułki piechoty górskiej Landesschützen (Strzelców Krajowych) z Tyrolu, przyjęły w 1878 r. swój odrębny wzór sznura strzeleckiego. Inne były szczegóły splotu akselbantów, a ich charakterystyczne, „puszyste", wełniane pompony zastąpiono metalową kulką i złocistymi żołędziami, natomiast po stronie pętli do mocowania przy guziku kurtki dodano złocisty gwizdek sygnałowy (Signalpfeife). Zapewne pod wpływem swoistego snobizmu wkrótce pojawiła się moda na nieregulaminowe ozdabianie miniaturką gwizdka sznurów strzeleckich także w innych oddziałach piechoty, a podoficerowie pionierów niekiedy pozwalali sobie na dodawanie do sznura złocistej kotwiczki, symbolu ich służby…

Gdy do uzbrojenia habsburskich sił zbrojnych wprowadzono karabiny nowej generacji, które dzięki nowszej konstrukcji i amunicji elaborowanej prochem nitrocelulozowym pozwalały na uzyskanie większej celności, z czasem doszło do swoistej „inflacji" sznura strzeleckiego – niemal każdy żołnierz był w stanie spełnić wymogi konieczne do jego uzyskania. Postanowiono zatem wprowadzić wyższy stopień sznurów strzeleckich, przyznawany jedynie żołnierzom osiągającym najlepsze wyniki podczas testów na strzelnicach. W pułkach piechoty Armii Wspólnej i Honvedu w 1906 r. rozpoczęto nadawanie Scharfschützenauszeichnung für die Infanterie (odznaki strzelca wyborowego piechoty). Przy zachowaniu ogólnego wyglądu akselbantu, wełniany sznur zastąpiła złocista plecionka, w barwie piechoty pozostały ozdobne pompony. Równolegle w oddziałach strzeleckich (w tym Cesarskich Strzelców Tyrolskich) i Landwehry wprowadzony został siostrzany akselbant Scharfschützenauszeichnung für die Jägertruppe. Różnił się od opisanego poprzednio jedynie zielonymi pomponami zdobiącymi złocisty sznur. W batalionach „jegrów" i pułkach tyrolskich, gdzie umiejętności strzeleckie były najbardziej kultywowane, prawa do „złotego akselbantu" uzyskiwało zwykle więcej żołnierzy niż w przeciętnym pułku piechoty liniowej czy obu Obron Krajowych. Oczywiście powstała także wyższa klasa sznura strzeleckiego dla tyrolskich Strzelców Krajowych. Ich akselbant, nazywany Oberscharfschützenauszeichnung der Landesschützen, wykonywany był ze złocistej plecionki, przy czym gwizdek i ozdobne żołędzie pozostały takie, jak w przypadku odznaki niższego stopnia.

Nagrodowego akselbantu piechocie – „królowej broni" – pozazdrościła artyleria, „bóg wojny". W 1910 r. wprowadzono Geschützführerauszeichnung für die Artillerie: sznur kwalifikacyjny dla dowódcy działa, podoficera – absolwenta specjalistycznego kursu. Akselbant wykonywany był wg odmiennego od pozostałych projektu, splatano go ze złocistej linki o średnicy ok. 5 mm, a jego długość wynosiła 44 cm. Sznur posiadał trzy pętle do mocowania: przy guziku lewego naramiennika, przy drugim od góry gu-

REKLAMA

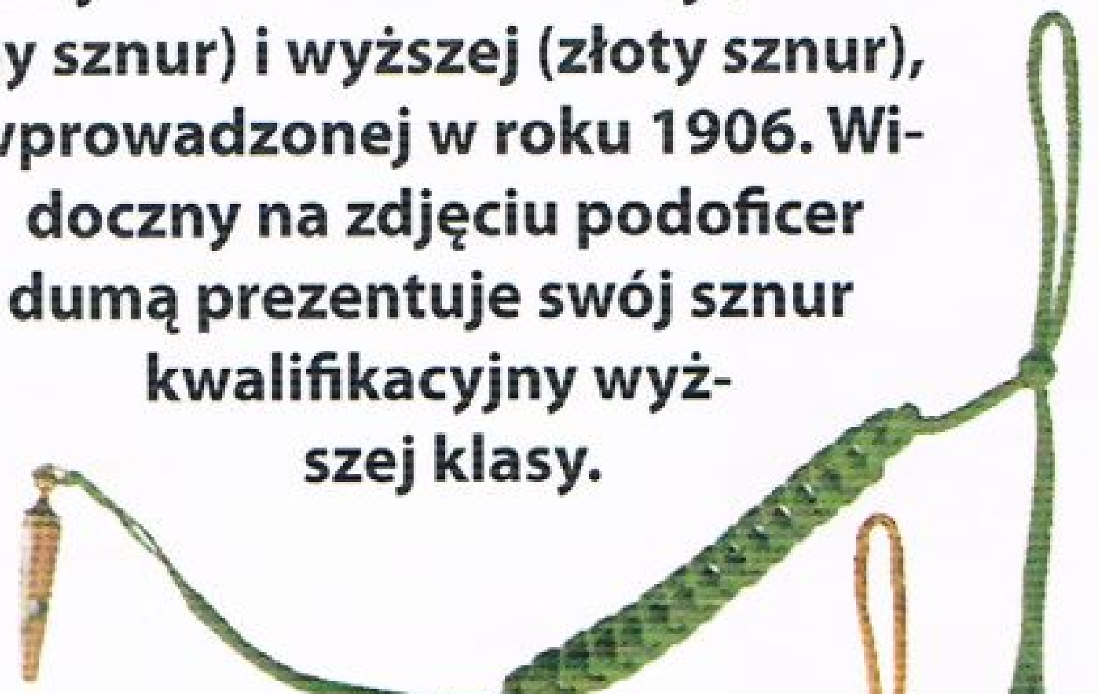

Specyficzna odznaka strzelecka górskich pułków Strzelców Krajowych z Tyrolu w klasie niższej (zielony sznur) i wyższej (złoty sznur), wprowadzonej w roku 1906. Widoczny na zdjęciu podoficer z dumą prezentuje swój sznur kwalifikacyjny wyższej klasy.

ziku kurtki oraz przy metalowej odznace kwalifikacyjnej nastawczego artylerii (na piersi powyżej prawej kieszeni). Często dodatkową, pozaregulaminową ozdobą sznura stawał się miniaturowy gwizdek podoficerski. Sznur dowódcy działonu nadawano w jednostkach artylerii polowej i fortecznej.

Warto dodać, że noszony w oddziałach artyleryjskich akselbant celowniczego (Vormeister-Schnur) nie miał statusu odznaki kwalifikacyjnej, lecz pełnił rolę oznaki funkcyjnej związanej z pełnieniem obowiązków. Wykonywany był z czerwonej wełny.

Najmniej rozpowszechnionym rodzajem sznura kwalifikacyjnego okazał się efemeryczny, bo nadawany jedynie w latach 1876-1888 akselbant strzelecki Honvedu, wyparty przez czerwony sznur piechoty liniowej, który prezentował się znacznie efektowniej od nieco spartańskiego modelu węgierskiego.

Odznaki kwalifikacyjne przyznawane były żołnierzom habsburskiej armii do wybuchu Wielkiej Wojny. Przez dłuższy czas traktowane były jako element regulaminowego umundurowania i pozostawały w posiadaniu jednostki po zwolnieniu nagrodzonych nimi żołnierzy „do cywila". W 1907 r. ustalono jednak zasady, w myśl których sznur kwalifikacyjny przyznawany był jako własność osobista żołnierza, którą nagrodzony mógł zabrać jako pamiątkę z wojska po zakończeniu służby – i powrócić z nią w szeregi armii w razie ponownego powołania. Niektórzy ulegali pokusie i zamawiali prywatnie własne sznury, zazwyczaj grubsze, dłuższe, kunsztowniej splecione niż te regulaminowe…

Złocisty sznur dowódcy działonu artyleryjskiego i sposób noszenia tej odznaki wraz z metalową odznaką kwalifikacyjną nastawczego.

W 1908 r. rozpoczęto wydawanie uprawnionym żołnierzom specjalnego zaświadczenia kwalifikacyjnego, potwierdzającego prawa do posiadania i noszenia sznura. Tak więc odznaki kwalifikacyjne stały się najniższym z odznaczeń wojskowych, co dodatkowo podniosło ich prestiż. Dowodem na to są liczne fotografie „z epoki", które wskazują, że sznury nagrodowe noszono także po wybuchu światowego konfliktu i zaprzestaniu dalszego ich nadawania.

Należy odnotować, że tradycja sznurów nagrodowych w austriackich siłach zbrojnych przetrwała upadek cesarstwa, różnorodne odmiany tych odznak nadawano zarówno w okresie międzywojennym (do 1938 r.), jak i w drugiej połowie XX wieku. Współcześnie sznury kwalifikacyjne zaliczają się do najbardziej cenionych i poszukiwanych militariów armii habsburskiej, przede wszystkim z racji niewielkiej liczby autentycznych egzemplarzy, które przetrwały ponad wiek od czasu ich wykonania.

Literatura, ilustracje:
1. D. Adamenko, O. Jarosz, „Imperatorskij i korolewskij wojennyj mundir 1914", Kijów 2006
2. M. Judex, „Uniformen und Abzeichen der oesterr.-ungar. Wehrmacht", Opawa 1904
3. P. Jung, D. Pavlović, „The Austro-Hungarian Forces in World War I", vol. 1-2, Oxford 2003
4. „Pod Cisařskym Praporem. Historie Habsburske Armady 1526-1918", Praga 2003
5. P. Jaskółowski, „Austriacko-węgierska artyleria forteczna w przededniu wybuchu I wojny światowej", Kraków 2004

Wyższa klasa sznura strzeleckiego odpowiednio dla pułków piechoty armii wspólnej i Honvedu oraz dla oddziałów strzeleckich i Landwehry. Sportretowany kapral piechoty oprócz sznura wz. 1906 z dodatkową przywieszką – gwizdkiem, nosi także metalową odznakę kwalifikacyjną oceniającego odległość. Dość nietypowo sznur strzelecki nie jest przypięty do niej, lecz do guzika kurtki mundurowej…

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

Walki o MRU w nowym świetle

MARTIN BÜREN, TŁUMACZENIE: JERZY SADOWSKI

Wiosną br. na niemieckim rynku wydawniczym ukazała się książka, którą chciałbym przybliżyć polskiemu czytelnikowi z uwagi na jej nowatorską treść. Autorami są André Vogel i Uwe Klar, a nosi tytuł „Brennpunkt »Ostwall«". Die Kämpfe um die Festungsfront Oder-Warthe-Bogen im Winter 1945" (wydawnictwo Helios, Aachen 2015, 391 stron, ilustracje, mapy). Tytuł, którego pierwszy człon nawiązuje do terminologii optycznej, można przetłumaczyć jako „Punkt skupienia..." lub „Punkt zapalny »Wał Wschodni«.[1] Walki o Międzyrzecki Rejon Umocniony w zimie 1945 roku". Autorzy to byli oficerowie dawnej armii NRD, przy czym Uwe Klar studiował w moskiewskiej Akademii Wojskowej im. Frunzego, gdzie miał okazję zetknąć się z sowieckimi dokumentami. Już w 2010 r. w numerze ósmym serii wydawanej przez Gedenkstätte Seelower Höhen (Seelower Hefte 8) opublikowali 84-stronicową książeczkę na ten temat, pt. „Bollwerk oder papiertiger". Teraz ukazała się, że tak powiem, poszerzona wersja wydana w znanej serii militarnej wydawnictwa Helios-Verlag. Jednak pasjonaci fortyfikacji, zapoznając się z treścią tego sporego dzieła, będą się i śmiać, i płakać...

To, co pozytywne...

Bardzo wnikliwie i rzetelnie przedstawiona została wojenna strona historii, ukazująca rozwój niemiecko-polskich stosunków w latach 1918-1939 w porządku chronologicznym. Bowiem do historii działań wojennych obaj autorzy starali się podejść z wielką skrupulatnością, badając archiwa rosyjskie i niemieckie, dokonując tłumaczeń, oceniając relacje naocznych świadków, poddając je czasami krytycznej analizie, i wreszcie podając dokładną chronologię wydarzeń przed walką, oraz na i za linią ufortyfikowaną – tj. między Tirschtiegel-Stellung i Odrą, obejmującą mapy z lokalizacją wojsk od 26 stycznia do 3 lutego 1945 roku. Atutem książki jest także szczegółowe opisanie struktur 32 typów głównych radzieckich jednostek oraz zawarcie w niej wcześniej niepublikowanych i licznych fotografii. Zamieszczono także zestawienie starych i obecnych nazw miejscowości, zbiorników i cieków wodnych oraz bibliografię (w tym źródła archiwalne i internetowe). Pracę uzupełnia aż 796 przypisów i odsyłaczy do źródeł, co jest dowodem rzetelnego działania obu autorów, którzy w tekście książki rozwiewają liczne legendy. Na przykład okazuje się, że sowiecką brygadę pancerną wieczorem 29.01.1945 r. Panzerwerk 717 zatrzymał ogniem ckm, a dopiero gdy ostrzał czołgów stłumił ogień kopuł pancernych, saperzy rozmontowali zaporę przeciwpancerną i sowiecka kolumna ruszyła dalej. Kolejna brygada pancerna, która 2 godz. później osiągnęła to miejsce, napotkała zamkniętą zaporę i silną obronę. Okazuje się także, że ten pancerwerk padł dopiero 14.02.1945 r. po ostrzale z haubic 203 mm, a oddalony o 3 km Pz.W. 712 skapitulował 28 lutego (szerszy opis walk poniżej).

Kolejny rozdział opisuje wywożenie sowieckiego łupu wojennego składającego się m.in. z urządzeń z podziemnego zakładu remontującego silniki i przechowywanych w podziemiach dzieł sztuki.

To, co negatywne ...

Minusem jest strona forteczno-historyczna oraz forteczno-techniczna. Wiarygodne i precyzyjne treści, które wypełniają 275 stron w części historycznej, dawały nadzieję, że takie same będzie 75 stron prezentujących fortyfikacje. Niestety, tak nie jest. Pierwszy poważny błąd pojawia się już na stronie technicznej, gdzie mapa z okładki opatrzona jest fałszywym podpisem – jako roku 1938 zamiast 1944. Jednak byłoby nie fair, gdybym wszystkie pomyłki i nieprawidłowości zaczerpnięte z bezwartościowych legend, dobre cytaty, lecz z opacznie zinterpretowanych źródeł, mylnie opisane ilustracje, fałszywe liczby, oraz niewłaściwe miejscowości na mapach, drobiazgowo wyliczył. Dlatego chcę ograniczyć się do kilku przykładów typowych uchybień:

» na str. 50 jest fotografia linii „zębów smoka" razem z rowem przeciwpancernym, wykonana w lutym 1945 r., która pokazuje 4 rzędy „zębów" o szerokości 7,25 m, model z 1938 r., zastosowane na Oder-Warthe-Bogen. Ilustrację jednak poprzedza tekst na temat „Höckersperre", który błędnie opisuje tę linię przeszkód jako 5-rzędową, o szer. 19,35 m

» na str. 38 autorzy piszą: *„Aby uchodzić za B-Werk, owe fortyfikacje musiały być zbudowane przynajmniej w odporności B1..."*. We wskazanym źródle tej informacji na próżno szukać takiego stwierdzenia, bowiem wydaje mi się, iż cytowany dokument znosi odporność B1, ponieważ naturalne jest, że odporność B jest częścią tego, co B-Werkom nadaje ich nazwę,

» pomimo 796 przypisów w teście znajdziemy sporo informacji bez wskazania ich źródła pochodzenia. Taką informacją, o MRU, jest stwierdzenie, że „budowę wstrzymano" w dniu 4 lipca 1938 r. (s. 70),

» większość fotografii, w tym wszystkie pochodzące z archiwów moskiewskich, podpisane są ogólnikowo: „archiwum autorów". Prawdziwe kuriozum stanowi zdjęcie ze zbiorów archiwum w USA pokazujące pancerze w parku saperskim w Lebach pod Saarlouis na Wale Zachodnim, które podpisano jako: „Elementy pancerne w parku pionierskim w Kursku (wiosna 1938), archiwum autorów" (s. 70).

Ponadto spostrzegawczy czytelnik dostrzeże wyraźne różnice w terminologii wojskowej języka niemieckiego, których przyczyną jest wieloletni podział Niemiec na wschodnie i zachodnie. Czytelnik z zachodniej części Niemiec wielokrotnie wyłapie w treści przykłady wschodniej „nowomowy", na przykład:

» „kanał taktyczny" (taktischer Kanal), zamiast rów przeciwpancerny (Kampfwagengraben),

» „ciężki sprzęt" (schwere Technik), zamiast maszyny budowlane (Baumaschinen),

» „technika bojowa" (Gefechtstechnik), zamiast uzbrojenie (Waffen).

Trafi także na „potworki językowe: „przestrzeń rozwojowa" (Entfaltungsraum), „przestrzeń koncentracyjna" (Konzentrierungsraum), „3. batalion pancerny handlował głównymi siłami brygady", „w interesie 69. Armii handlował 11. samodzielny korpus pancerny". Przy czym nie chodzi tu ani o kupno, ani

Kopuły pancerne PzW 717 ostrzelane przez sowieckie czołgi i haubice.

o sprzedaż, ale działania wojenne, ponieważ niem. „handelte" oraz „handelnde" tak użyte sugerują handel, a winno być: „Kampfhandlungen" czyli działania wojenne.

Pomimo wszystko, gorąco polecam tę książkę, licząc, że prawdziwy pasjonat fortyfikacji miłosiernie przymknie oko na jej słabości i widoczny gdzieniegdzie brak fachowości.

Walki o Międzyrzecki Rejon Umocniony w zimie 1945 roku

Najsilniejszą stroną książki jest obszerny opis walk, które stoczono przed, na i za linią fortyfikacji MRU, często bardzo szczegółowy i sięgający do nieznanych wcześniej źródeł. Poniżej chciałbym przedstawić pokrótce główne informacje na temat walk o fortyfikacje, gdyż omawiana książka może być trudno dostępna dla polskiego czytelnika (pogrubienia – M.B.).

Odcinek Północny:

31.01.1945 r. 79. Dywizja Strzelecka Gwardii osiągnęła ok. 13:00 rejon Bledzew-Goruńsko-Gorzyca (Blesen-Grunzig-Obergörzig). Następnie doszło do walk, w efekcie których 216. Pułk Strzelecki Gwardii zajął Bledzew (s. 146/147). **01.02.1945 r.** 47. Dywizja Strzelecka Gwardii zaatakowała 142. Pułkiem Strzelców Gwardii wzdłuż Reichsstrasse 114, obeszła pancerwerki i osiągnęła Wałdowice (Waldowstrenk – 20 km na zachód od Skwierzyny (s. 151). Idący za nim 137. Pułk Strzelecki Gwardii zaatakował **PzW 873, 874 i 875**, które były bronione przez Volkssturm. 873 i 874 poddały się szybko. Walczył tylko PzW 875, ostrzeliwany bez efektu z 76 mm armat i 122 mm haubic celujących w kopuły pancerne. Dopiero wylanie beczki benzyny na kopuły i podpalenie doprowadziło do poddania się (s. 153). W czasie gdy 100. i 102. Pułki Strzeleckie Gwardii z 35. Dywizji Strzeleckiej Gwardii przez Bledzew poszły na Krzywokleszcz i Pniewo (Neuvorwerk i Osterwalde) i zajęły te miejscowości, 101. Pułk Strzelców Gwardii zaatakował **Werkgruppe Ludendorff**. Ten zespół rozproszonych B-Werków był obsadzony przez Volkssturm i kilku żołnierzy Festungs-Stammabteilung 103. (specjalistów obsługi fortyfikacji). Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim i bezpośrednim ogniu skierowanym na strzelnice[2], saperzy zaatakowali i podłożyli ładunki wybuchowe. Wówczas załoga skapitulowała. Sowiecki opis walk zawiera informację, iż *„wróg używał miotacz ognia do obrony grupy Ludendorff"* (s. 160).

Odcinek centralny:

29.01.1945 r. ok. 18:00 czołowa kolumna 44. Brygady Pancernej Gwardii osiągnęła zamkniętą zaporę ppanc. na szosie Kaława-Wysoka. Broniący szosy **PzW 717** miał nieliczną załogę złożoną z Volkssturmu i pozycje polowe przed B-Werkiem pozostawały nieobsadzone (s. 183). Doszło do walki. Ogień ckm prowadzony z kopuł B-Werka uniemożliwił otwarcie niestrzeżonej zapory. Gdy czołgi zostały ostrzelane z kopuł pancernych prowadzących zaporowy ogień, ckm otworzyły ogień do B-Werka. Czołgi strzelały w kierunku kopuł, gdyż w ciemności widać było płomienie wylotowe ckm. Ostrzelany schron wstrzymał ogień. Wówczas sowieccy saperzy łomami i młotami usunęli drewniane kliny oraz wyjęli profile stalowe z zapory i porzucili je obok szosy. Około 20:00 droga była wolna i kolumna pojazdów 44. Brygady ruszyła do Wysokiej (s. 186). Przy pierwszych zabudowaniach Wysokiej czołgi skręciły w drogę na północ, gdzie zatrzymały się przy kanale fortecznym (mokrym rowie przeciwpancernym). Za mostem znajdowały się przygotowane do obrony pozycje polowe, jak również pobliski **PzW 775**. Ówczesne wydarzenia prezentują dwie odmienne wersje:

1. Wersja sowiecka: następuje atak prowadzony przez piechotę ze wsparciem ogniem czołgów prowadzonym z daleka. Po przełamaniu pozycji polowych saperzy podłożyli ładunki wybuchowe do strzelnic i wentylacji. B-Werk poddał się (wg innego sowieckiego meldunku B-Werk poddaje się dopiero 14.02.1945, patrz niżej).

2. Wersja niemiecka: wozy bojowe przeciwnika nie niepokojone przez wroga zrobiły postój, a następnie kontynuowały marsz. Czterech ludzi z Volkssturmu przyszło do B-Werka i uzupełniło załogę (s. 190).

45. Brygada Pancerna Gwardii trafia z opóźnieniem, bo dopiero ok. 22:00, przed PzW 717. Zapora przeciwpancerna na drodze jest zamknięta i broniona, ponieważ fortyfikacje obsadziły wycofujące się niemieckie oddziały liniowe. 40. Bryga-

Czołg T-34-85 na pozycji ogniowej przed PzW 717, dziś eksponat Muzeum Fortyfikacji i Nietoperzy.

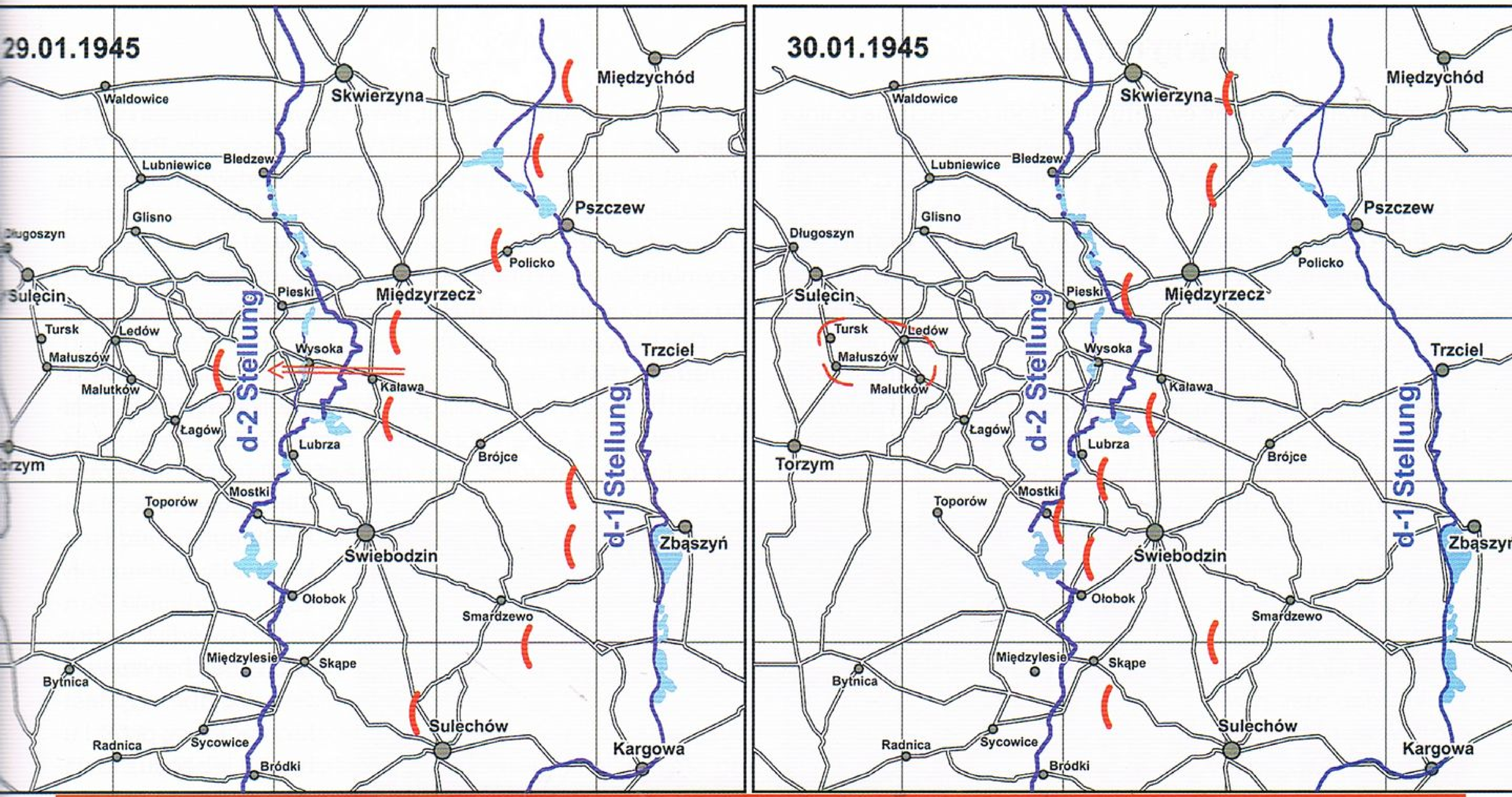

Położenie jednostek sowieckich w dniach: 29.01; 30.01; 31.01; 1.02.1945 r.

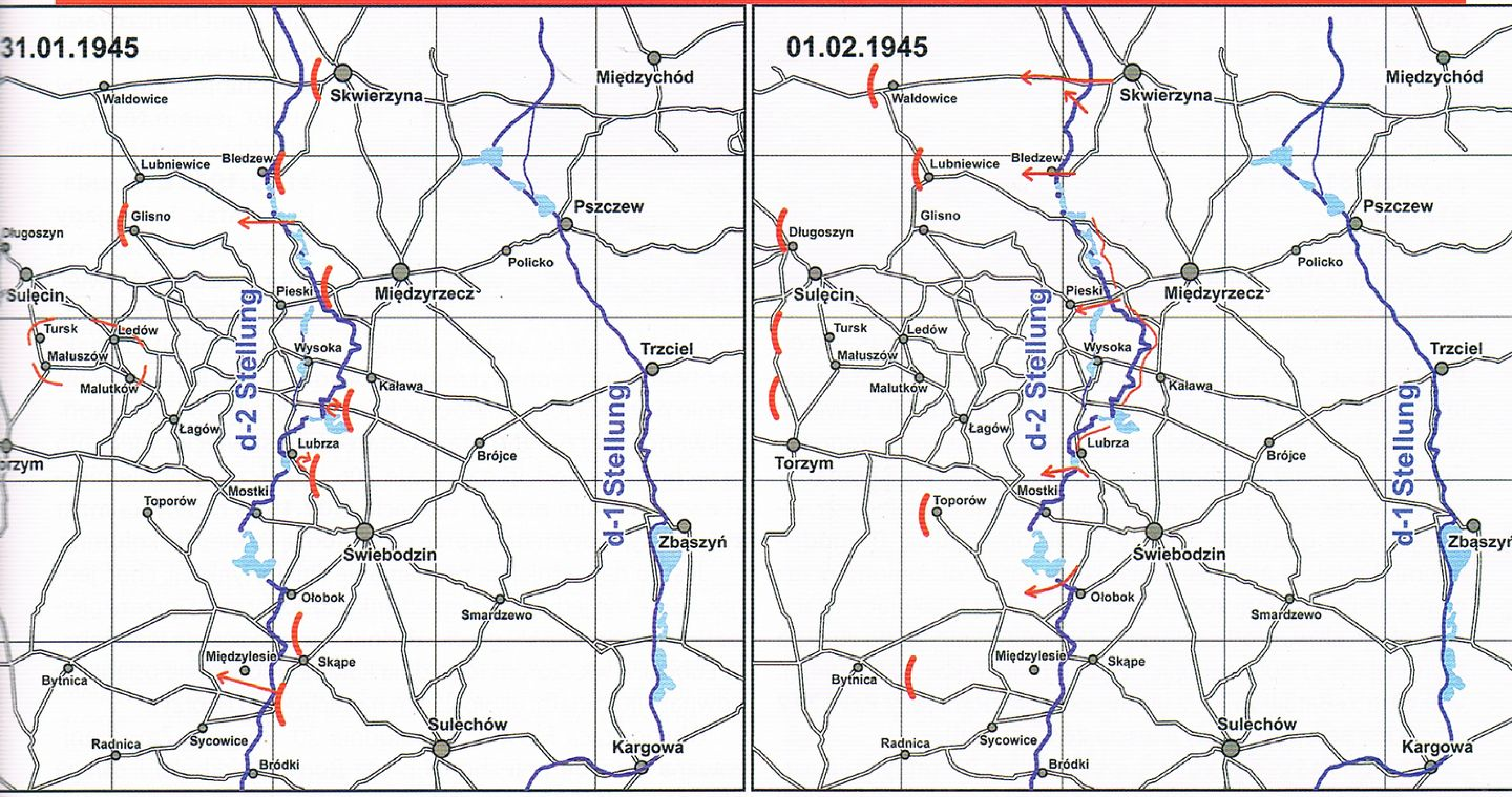

da Pancerna Gwardii ok. północy, w rejonie na północ od PzW 717, trafia na front B-Werków 719-727. B-Werki i pozycje polowe są obsadzone i dochodzi do wymiany ognia. Atakujące jednostki nie mogą znaleźć drogi przez ciągłą linię żelbetowej przeszkody („zęby smoka") i cofają się (s. 201).

30.01.1945 r. 40. Brygada Pancerna Gwardii rozpoczęła nowy atak obchodząc opór od północy. O 6:00 40. Brygada osiągnęła Kęszycę (Kainscht), rozbiła opór niemiecki w tej miejscowości i ruszyła dalej, kierując się na północ wzdłuż drogi prowadzącej do Kurska (Kurzig), przed frontem **PzW 732-736** (s. 211). Na przebycie trasy mającej ok. 2 km i osiągnięcie szosy Międzyrzecz-Pieski (Meseritz-Pieske) atakujące pododdziały 40. Brygady potrzebowały 6 godz. (s. 212). Stąd sowiecka brygada ruszyła dalej na zachód, po drodze na Pieski. Dopiero o 14:00 1. Brygadzie Pancernej udało się osiągnąć wysadzony most nad bezimiennym (!) strumieniem[3] (przed stanowiskiem **745**, s. 213). Szosa była tu broniona przez silne oddziały niemieckie wsparte niszczycielami czołgów Hetzer. Około 15:00 piechota towarzysząca czołgom ruszyła do ataku i rozpoznawała teren w dolinie strumienia. Jednak z uwagi na las i trudny teren, czołgi nie mogły rozwijać działania na boki, musiały więc pozostać w kolumnie na drodze. Piecho-

ta próbowała wyszukać ewentualne drogi obejścia na północ i na południe od szosy, lecz bez powodzenia. Jej atak zaległ w rowie przed stanowiskiem **745**. Dopiero po zmierzchu most nad strumieniem został odbudowany i przygotowany do ataku ze wsparciem czołgów. Po północy, czyli już **31.01.1945**, wzdłuż szosy na Pieski ruszył sowiecki atak wsparty czołgami, W efekcie zajęto teren przy stanowisku **745,** sięgający do linii przeszkody żelbetowej, którą natarcie osiągnęło około 11:00. Mimo zaciętej walki atak zaległ, bowiem czołgi nadal musiały trzymać się drogi, a spieszona piechota z trudem poruszała się w zaśnieżonym lesie. Przypuszczalnie sowiecka jednostka zorganizowała wypad rozpoznawczy na północ, w kierunku Werkgruppe „**Schill**". Po jego niepowodzeniu nakazano obejście obrony, kierując się dalej na północ. Ruszył tam 3. Batalion Pancerny, którego atak przez Gorzycę (Obergörzig) został zatrzymany przy **PzW 811.** Jednak o 19:00 sowiecka jednostka osiągnęła Gleißen (Glisko), ok. 12 km za linią fortyfikacji. Nie jest jasne, czy przełamanie miało miejsce przy **PzW 811, 814** lub **817** (s. 229).

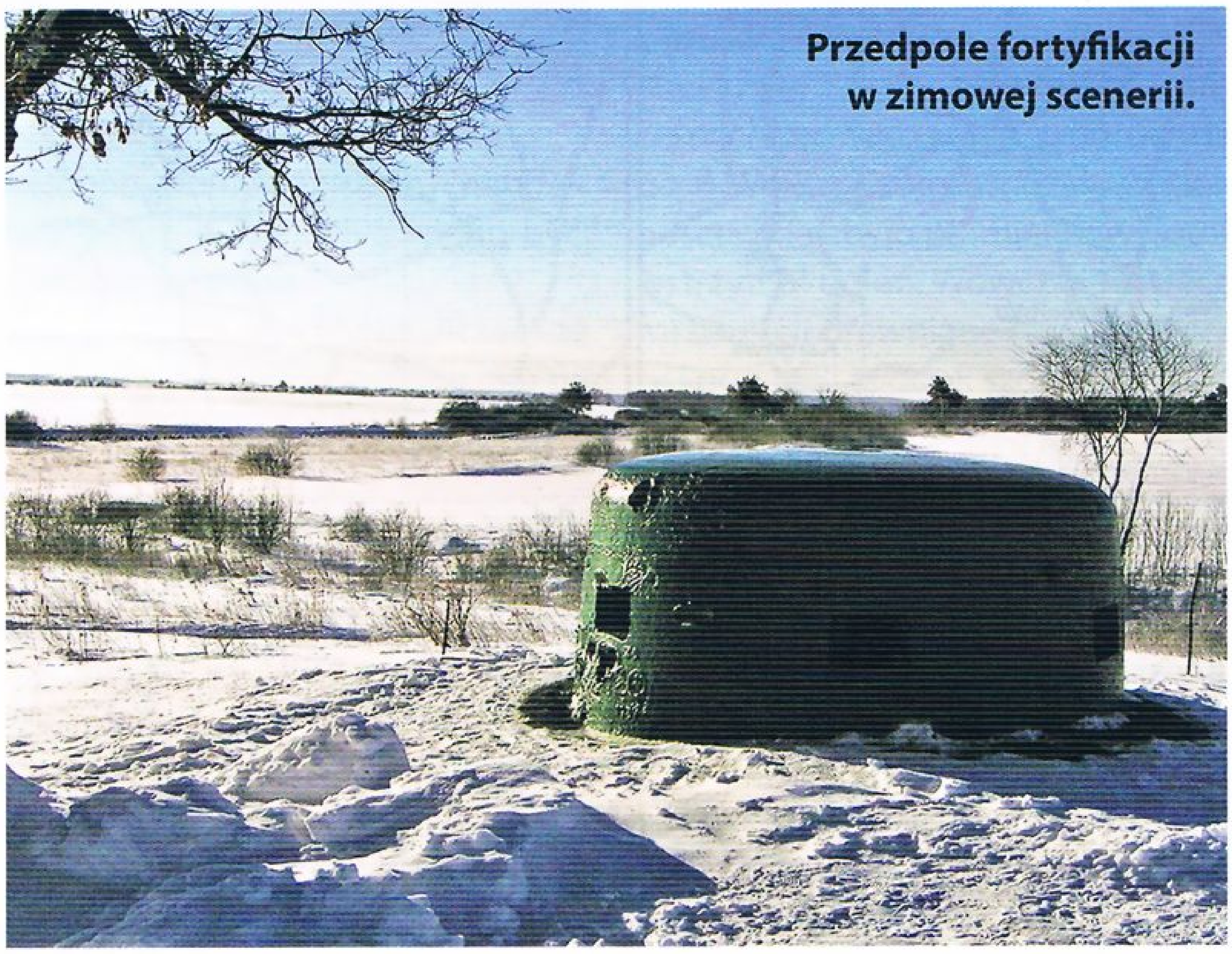
Przedpole fortyfikacji w zimowej scenerii.

45. Brygada Pancerna Gwardii zatrzymana przed pancerwerkiem 717, zaatakowała (wg źródeł niemieckich) 30.01.1945 o 9:00 **PzW 712** (str. 215/216). Wzdłuż drogi Nowy Dworek–Staropole ruszyło 14 czołgów, rozpoznanych na przedpolu B-Werka w odległości 150 m przed rowem ppanc. i zaporą drogową. Spieszony desant piechoty został ostrzelany z ckm i granatnika. Wówczas czołgi otworzyły ogień i jedna kopuła 6-strzelnicowa oraz granatnik zostały wyłączone z akcji. Po godzinie miał miejsce atak piechoty, który został obroniony przez ckm z nienaruszonej kopuły 6-strzelnicowej (atakujący stracili 7 poległych). Odtąd czołgi strzelają ponownie, aż do zużycia amunicji. Ok. 15:00 atakujący wycofali się. Także 30.01.1945 r. Volkssturm-Bataillon 87. zajmuje pozycje pomiędzy **PzW 772** oraz **773,** w celu ochrony wejścia **764** (str. 216).

31.01.1945 o 3:30 Volkssturm-Bataillon 87. otrzymuje rozkaz przygotowania do odwrotu i o 6:00 batalion wmaszerował przez wejście do podziemnego systemu komunikacyjnego. Następnie wejście zostało wysadzone. Batalion maszerował ok. 7 km do wyjścia oddalonego o 2 km od stacji Starpel (Staropole). Do następnego ranka z podziemi ewakuowano także ponad 1000 robotników przymusowych i przewieziono do Sieniawy (Schönow, s. 231). **1.02.1945 r.** w nocy 61. Korpus Strzelecki prowadził rozpoznanie walką na odcinku Gorzyca–Nowy Dworek (Obergörzig–Neuhöfchen **PzW 805-708**, s. 251). Następnie sztab 69. Armii rozkazał zaatakować o 10:00 rano. 370. Dywizja Strzelecka atakowała na odcinku Gorzyca–Kęszyca. Prawe skrzydło ruszyło na most zwodzony D 724 przeciwko Werkgruppe Schill, lewe skrzydło tym razem wykonało wyłom wzdłuż drogi Międzyrzecz-Pieski przy **PzW 743**. Piechota drugiego rzutu postępująca na szerokim froncie, ma za zadanie zdobywać zablokowane fortyfikacje. Lecz na odcinku od jeziora Długie (Langen See, PzW 811) do Lubrzy zatrzymuje się przed umocnieniami i nie może rozwinąć dalszego natarcia mimo podejmowania wielu ataków.

Odcinek Południowy:[4]

30.01.1945 r. ok. 16:00 wojska sowieckie osiągnęły Mostki (Möstchen). Miejscowość jest broniona. Nie można jej ominąć z uwagi na kanały forteczne i błota. Tworzy się długi zator na Reichsstrasse 167 (dziś droga krajowa nr 92). Dowódca 8. Korpusu Zmechanizowanego Gwardii rozkazał, aby główne siły, czyli 1. Brygada Pancerna Gwardii i 19. Brygada Zmechanizowana Gwardii, obeszły Mostki od północy, przez Lubrzę (Liebenau). Osiągają ten rejon o 22:00. Natomiast 20. Brygada Zmechanizowana Gwardii skierowana zostaje na południe, aby obejść jezioro Niesłysz (Nischlitz-See). W dniu **31.01.1945 r.** nie udaje się atak 1. Brygady Pancernej Gwardii na Lubrzę. Obchodzi więc jezioro Goszcza (Gast--See) od południa i atakuje Nową Wioskę (Neudörfel). Jednakże otwarty (przesunięty) most zwodzony **K 705** jest broniony, co nie pozwala jej przekroczyć kanał forteczny 704, co w konsekwencji zatrzymuje atak. Ostatecznie sowiecka piechota przechodzi po lodzie na kanale 706 i zwalcza opór niemiecki na zachodnim brzegu. O świcie **1.02.1945 r.** zamyka most zwodzony, którym następnie przechodzą sowieckie kolumny.

Jest to najważniejsze przełamanie linii fortyfikacji, choć jednocześnie ten jedyny na tym odcinku zdobyty most, przez kolejne dni stanowi wąskie gardło. W dniu 1 lutego zostaje też zdobyta Lubrza, a wieczorem tego dnia kolumny sowieckie osiągnęły Kownaty (Kemnath, około 25 km na zachód od Lubrzy).

Obchodząca Mostki od południa 20. Brygada Zmechanizowana Gwardii przechodzi przez Borów (Birkholz) i osiąga okolicę jazu **S 602** pod wsią Ołobok (Mühlbock, str. 235/236). Podczas gdy czołgi podchodzą do pozycji od frontu i ostrzeliwują **PzW 657** oraz sąsiednie schrony, piechota przekracza kanał 601 i zdobywa schrony oraz stanowiska polowe od tyłu. Tak więc obrona zostaje przebita w kolejnym miejscu. Wieczorem kolumna sowieckich wojsk dotarła do okolicy Toporowa (Topper). Linia fortyfikacji nad rzeczką Ołobok stanowi szeroki front osiągnięty 30-31.01.1945 roku. Dochodzi do zorganizowanych ataków począwszy od 31.01.1945 o 17:30 pod Przetocznicą (Hammer), z przełamaniem w nocy na Międzylesie (Mittwalde). Inne związki atakują 1.02.1945 r. o 5:00. Fortyfikacje zostają przełamane (s. 289).

Po przełamaniu

Drugorzutowe oddziały 69. Armii oblegały pojedyncze B-Werki ominięte wcześniej, które nadal się broniły, lecz nie miało to już wpływu na sytuację ogólną. Prawdopodobnie były to głównie obiekty podłączone do podziemnego systemu komunikacyjnego, ale również **PzW 712**. Na odcinku północnym Sowieci rozpoczęli badanie i ocenę niemieckich fortyfikacji w Werkgruppe Ludendorff. Aby zniszczyć fortyfikacje stawiające jeszcze opór, postanowiono użyć haubice 203 mm, które przybyły 13.02.1945 (s. 336). Ostrzał trzymanych przez Niemców PzW 717, PzW 730, PzW 775[5], PzW 728 przeprowadzono w dniu **14.02.1945 r**.

» **775**: odległość 400 m; oddano 8 strzałów do prawej kopuły pancernej (20P7), 17 do lewej (2P7), z czego 2 trafienia w strzelnice. Wewnątrz 9 zabitych, 6 rannych.

» **730**: odległość 400 m; oddano 28 strzałów do kopuły pancernej, uzyskując 24 trafienia. Gdy załoga odmówiła poddania, oddano jeszcze10 strzałów z odległości 150 metrów. Jedno zamknięcie strzelnicy zostało zniszczone.

» **717**: dwa działa ostrzelały 2 kopuły pancerne z dystansu 700 m, oddano 26 strzałów z ładunkiem nr 7, głębokość penetracji 5-6 cm, a następnie 22 strzały z ładunkiem nr 2, głębokość penetracji 7-8 cm. Prawa kopuła: uzyskano 2 trafienia w strzelnice, lewa kopuła trafiona w krawędź strzelnicy. Trafienia usunęły warstwę 1,5 m betonu przed kopułami.

» **728**: Odległość 400 m: oddano 1 strzał, w efekcie czego było 2 zabitych, 1 ranny.

Planowane ataki na ściany tylne nie były prowadzone, *„ponieważ garnizon tego ufortyfikowanego miejsca skapitulował"* (s. 340).

Przypisy:

[1] Od tłumacza: użycie terminu „Ostwall", czyli „Wał Wschodni", jako nazwy dla fortyfikacji na terenie przedwojennych Niemiec, jest fałszowaniem historii, analogicznie do terminu „polskie obozy koncentracyjne" propagowanego przez niemiecką Agencję 114 w akcji przerzucania odpowiedzialności za Holocaust. Faktyczny „Ostwall", z punktu widzenia niemieckiego kierownictwa politycznego i wojskowego, miał wyznaczać wschodnią granicę III Rzeszy przy pomocy łańcucha punktów oporu i garnizonów rozlokowanych na… Uralu, o czym piszą nawet świadomi rzeczywistego stanu rzeczy autorzy niemieccy (np. Gerd-Ulrich Herrmann, „Twierdza Kostrzyn 1945, oczekiwania a rzeczywistość"). Użycie nazwy „Ostwall" na określenie MRU, nawet w cudzysłowie, jest semantyczną manipulacją sugerującą, przeciwnie do stanu faktycznego, że w czasie II wojny Niemcy nie fortyfikowali granic swoich zdobyczy terytorialnych na terenie ZSRR. Obecnie termin „Ostwall" jest propagowany usilnie przez samozwańczych „ambasadorów MRU" i niemieckich „bunkrowców", w wyniku czego jest przenoszony przez polskie władze samorządowe i operatorów turystycznych do opracowań promujących zabytki województwa lubuskiego, informacji turystycznych, etc., a nawet na oznakowanie drogowe.

[2] Wykonane po walkach fotografie kopuł 6-strzelnicowych obu B-Werków oraz kazamaty 37 mm armaty ppanc. nie pokazują śladów ostrzału.

[3] Strumień ten nosił niemiecką nazwę Regenwurm, obecnie Struga Jeziorna.

[4] W książce walki o odcinek południowy opisują fortyfikacje na południe od wsi Ołobok

[5] Wg. źródeł sowieckich był to Pz.W. 729, co autorzy skorygowali na podstawie rzutu poziomego zawartego w raporcie i podanej lokalizacji.

Martin Büren

Mgr inż. mechanik, dyrektor biblioteki uniwersytetu w Dortmundzie, obecnie na emeryturze. Autor książki „Der Westwall. Die Geschichte der deutschen Westbefestigung im Dritten Reich" (Osnabrück 1990), fundamentalnej pracy o niemieckich fortyfikacjach zachodnich 1933-45 i licznych artykułów. Od 1988 roku współpracownik i konsultant polskich badaczy niemieckich fortyfikacji wschodnich.

REKLAMA

PROMOCJA KSIĄŻKI

KONKURS! WYGRAJ LOT NAD PIŁĄ!*

UFF, NIE SPALIŁEM KOPENHAGI

Swego czasu był jednym z najzdolniejszych i wyróżniających się pilotów w Siłach Zbrojnych Wojsk Lotniczych PRL. Należał do grupy polskich pilotów, którzy z Hermaszewskim typowani byli do lotu w kosmos. Uczestnicząc w pamiętnej defiladzie z 22 lipca 1974 roku, z Gierkiem na trybunie, przy szybkości około 720 km/h, wraz z kolegami na Su-20 przeleciał wzdłuż ulicy pomiędzy Domem Towarowym Centrum a Pałacem Kultury. Trzykrotnie szkolony w ZSRR – w Krasnodarze na Su-7, Su-20 i Su-22. Był pierwszym pilotem, który na lotnisku wojskowym w Pile lądował samolotem Su-22M4. Katapultował się z uszkodzonego Su-7U przeżywając przeciążenie ponad 20 G czyli sytuację, w której jego ciało ważyło ponad tonę. Był takim asem lotnictwa wojskowego, że w czasach „zimnej wojny" jego podobiznę publikowały amerykańskie informatory i encyklopedie wojskowe. Był najmłodszym polskim pilotem wojskowym, który w 1978 roku w Lidzie na Białorusi, należał do grupy pierwszych polskich pilotów wojskowych szkolonych w Związku Radzieckim do zrzucenia „specawiabomba" – „specAB" – tak Rosjanie nazywali bombę atomową. Tam też dowiedział się o swoim przyszłym zadaniu w wojnie między Układem Warszawskim a państwami paktu NATO. Prócz „wyrąbania bombami" korytarza dla Wojsk Pancernych Układu Warszawskiego zajmujących imperialistyczny zachód, miał zrzucić bombę atomową na Kopenhagę i Lubekę. Wielokrotnie ćwiczył samolotami odrzutowymi loty na wysokości około 100 metrów. Mimo 69 lat nadal jest czynnym pilotem cywilnym.

Spotkanie promocyjne
12 września 2015 r.
godz. 17:00
(Lotnisko w Pile) schronohangar nr 5 przy samolocie Su-22
siedziba Pilskiego Muzeum Wojskowego

Patronat medialny: ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Współorganizatorzy:

Kontakt z organizatorem:
POSTINDUSTRIAL DESIGN HOUSE
Anna Badzińska
book@pdhouse.pl, 609060758
www.pdhouse.pl

*kup książkę podczas spotkania promocyjnego, odpowiedz na pytanie i wygraj lot widokowy nad Piłą lub inne nagrody, regulamin dostępny na www.pdhouse.pl

Polowy schron żelbetowy pozycji „Rytro”

MAREK BEDNARSKI

Schron na wzgórzu Połom górującym nad Rytrem.

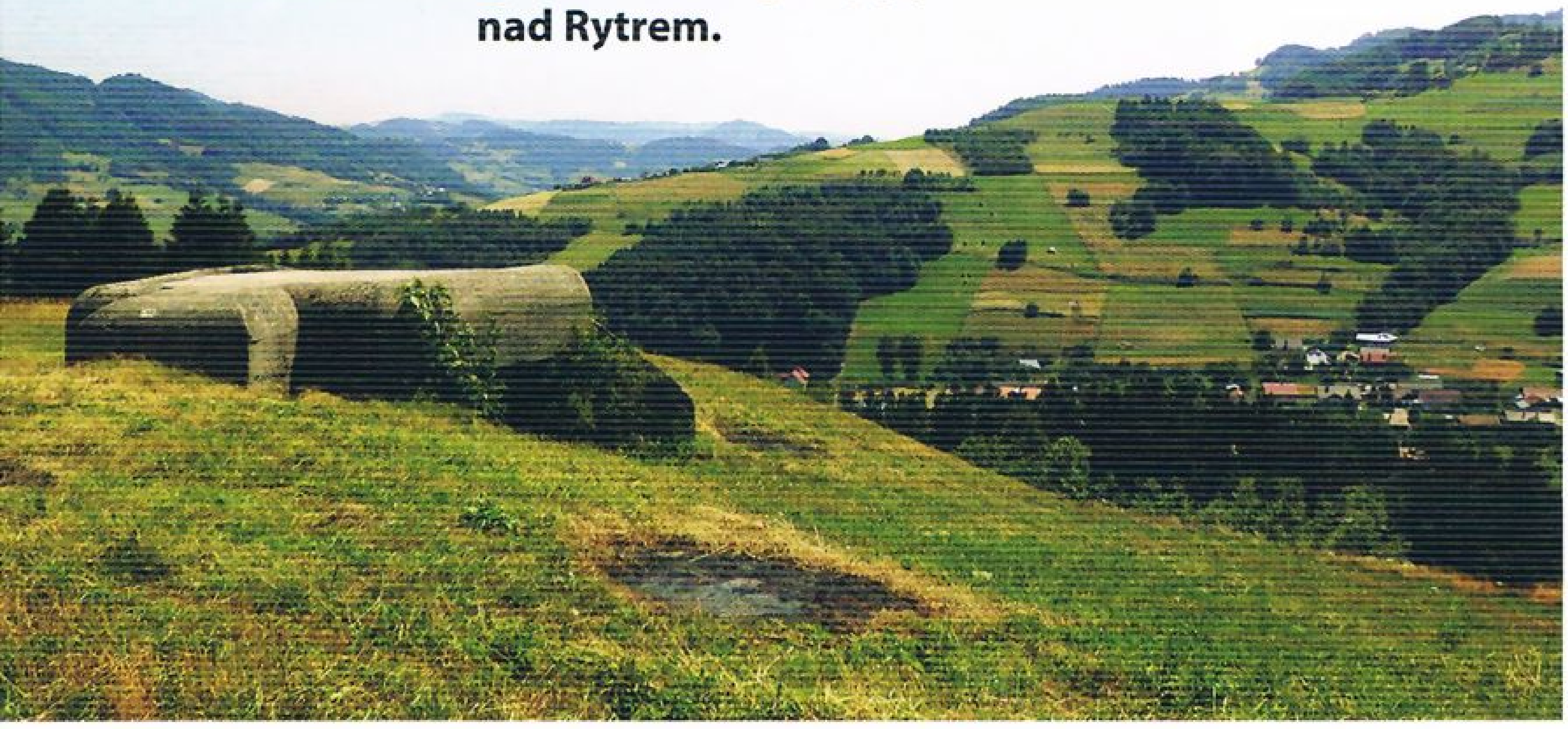

W sercu Beskidu Sądeckiego, w dolinie Popradu, leży Rytro, pięknie położona, znana miejscowość wczasowa. Głównym zabytkiem są tu ruiny zamku z przełomu XIII i XIV wieku. Nie wszyscy jednak wiedzą, że jest tu jeszcze jedna „perełka” – świetnie zachowany polski schron bojowy z 1939 roku. Jest on jedynym obiektem, który został zbudowany w ramach planowanej pozycji „Rytro”.

Powstanie tej pozycji wiązało się z koniecznością zabezpieczenia granicy ze Słowacją, po podporządkowaniu tego państwa Niemcom w marcu 1939 roku. Już wówczas podjęto pewne działania, mające wzmocnić południowy odcinek graniczny. Ze wschodniej granicy do Starego Sącza przerzucono batalion KOP „Żytyń”, który wraz z komisariatami Służby Granicznej „Krościenko”, „Rytro” i „Krynica” utworzył zgrupowanie o kryptonimie „Horyń”. Zadaniem tego zgrupowania było zablokowanie kierunków wyprowadzających ze Słowacji na Nowy Sącz. Później siły tego odcinka zostały wzmocnione innymi jednostkami (m.in. 1. psp i batalionem ON „Limanowa”). Początkowo omawiane jednostki były podporządkowane dowódcy armii „Kraków”, a z chwilą utworzenia armii „Karpaty” 11 września 1939 r. weszły w jej skład, w ramach 2. Brygady Górskiej.

W powiązaniu z tymi działaniami zaplanowano budowę fortyfikacji. Prace wstępne rozpoczęły się w czerwcu 1939 roku. Z ramienia Sztabu Głównego wysłana została ekipa pod kierownictwem płk. dypl. Mariana Porwita, celem rozpoznania terenu i zaplanowania umocnień. Następnie do budowy fortyfikacji na odcinek „Nowy Sącz” została skierowana Grupa Fortyfikacyjna nr 2, pod dowództwem mjr. Karola Kleczke, znanego specjalisty z zakresu fortyfikacji. W Rytrze miała powstać silna, polowa pozycja obronna, której zadaniem było zamknięcie doliny Popradu. Planowano jej wzmocnienie przez wybudowanie prawdopodobnie trzech polowych schronów żelbetowych tworzących szkielet ośrodka oporu. Powstał jednak tylko jeden schron bojowy dla ckm, ponieważ budowę rozpoczęto dopiero po 15 sierpnia.

Schron w Rytrze leży na wzgórzu zw. Połom górującym nad miejscowością. Według ogólnego planu jest standardowym schronem polowym żelbetowym, posiada jedną strzelnicę i przeznaczony jest do prowadzenia ognia bocznego (tradytorowego) ckm. Zgodnie z Instrukcją Saperską należy więc do typu II. Jednak nie jest całkowicie typowy, a tym, co odróżnia go od większości podobnych schronów, jest duża strzelnica depresyjna. Strzelnice takie spotykane są jeszcze w schronach k. Bielska Białej. Dzięki silnemu pochyleniu w dół parapetu strzelnicy (na tyle dużemu, że otrzymał stopniowanie przeciwrykoszetowe), zwiększono ujemny kąt ostrzału w płaszczyźnie pionowej. Było to niezbędne do prowadzenia ognia w dół, wzdłuż zbocza, ponieważ ogień schronu był skierowany na dolinę Wielkiej Roztoki. Ten niewielki, lecz istotny element mocno wyróżnia schron, ponieważ wy-

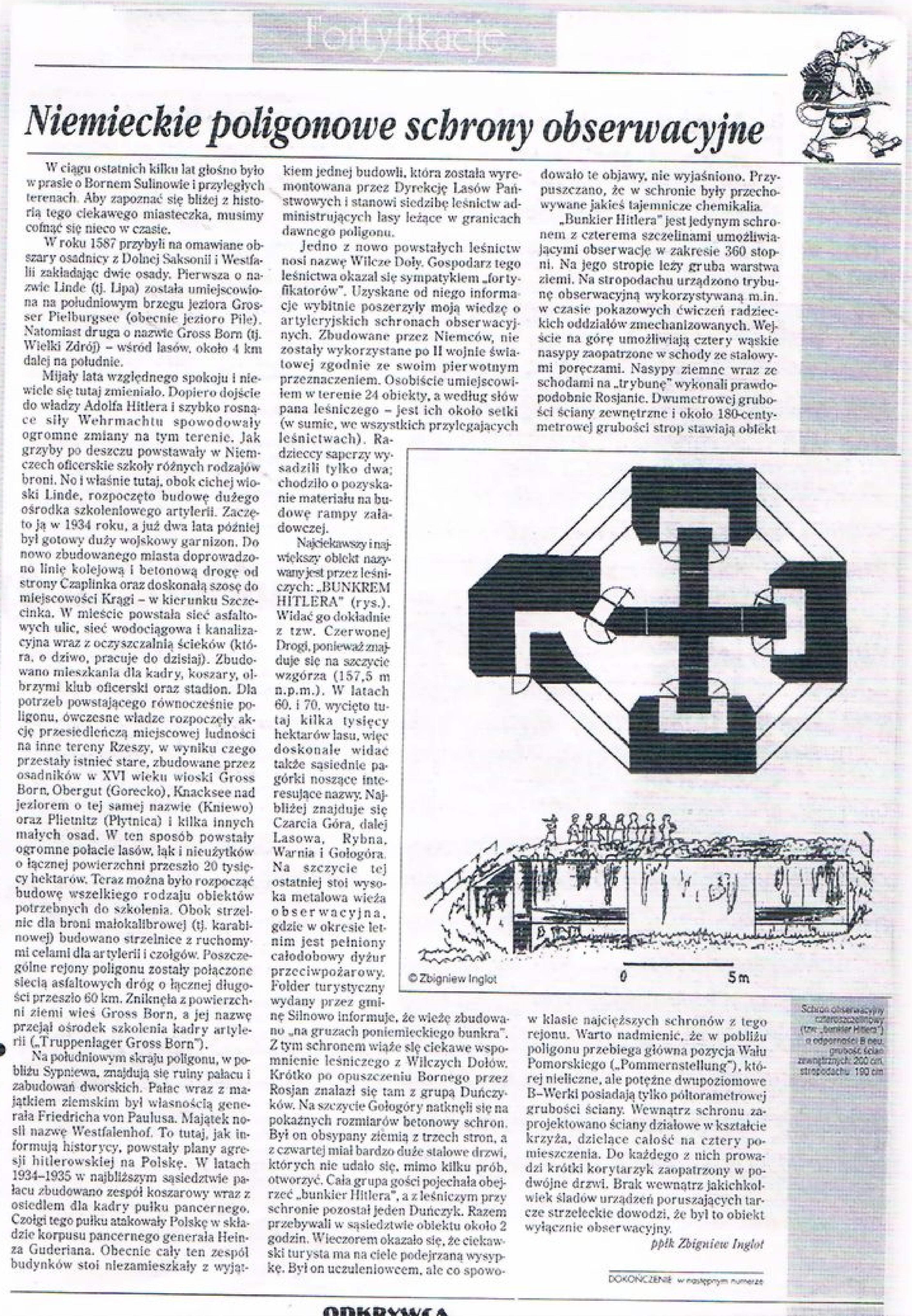

Fortyfikacje

Niemieckie poligonowe schrony obserwacyjne

W ciągu ostatnich kilku lat głośno było w prasie o Bornem Sulinowie i przyległych terenach. Aby zapoznać się bliżej z historią tego ciekawego miasteczka, musimy cofnąć się nieco w czasie.

W roku 1587 przybyli na omawiane obszary osadnicy z Dolnej Saksonii i Westfalii zakładając dwie osady. Pierwsza o nazwie Linde (tj. Lipa) została umiejscowiona na południowym brzegu jeziora Grosser Pielburgsee (obecnie jezioro Pile). Natomiast druga o nazwie Gross Born (tj. Wielki Zdrój) – wśród lasów, około 4 km dalej na południe.

Mijały lata względnego spokoju i niewiele się tutaj zmieniało. Dopiero dojście do władzy Adolfa Hitlera i szybko rosnące siły Wehrmachtu spowodowały ogromne zmiany na tym terenie. Jak grzyby po deszczu powstawały w Niemczech oficerskie szkoły różnych rodzajów broni. No i właśnie tutaj, obok cichej wioski Linde, rozpoczęto budowę dużego ośrodka szkoleniowego artylerii. Zaczęto ją w 1934 roku, a już dwa lata później był gotowy duży wojskowy garnizon. Do nowo zbudowanego miasta doprowadzono linię kolejową i betonową drogę od strony Czaplinka oraz doskonałą szosę do miejscowości Krągi – w kierunku Szczecinka. W mieście powstała sieć asfaltowych ulic, sieć wodociągowa i kanalizacyjna wraz z oczyszczalnią ścieków (która, o dziwo, pracuje do dzisiaj). Zbudowano mieszkania dla kadry, koszary, olbrzymi klub oficerski oraz stadion. Dla potrzeb powstającego równocześnie poligonu, ówczesne władze rozpoczęły akcję przesiedleńczą miejscowej ludności na inne tereny Rzeszy, w wyniku czego przestały istnieć stare, zbudowane przez osadników w XVI wieku wioski Gross Born, Obergut (Gorecko), Knacksee nad jeziorem o tej samej nazwie (Kniewo) oraz Plietnitz (Płytnica) i kilka innych małych osad. W ten sposób powstały ogromne połacie lasów, łąk i nieużytków o łącznej powierzchni przeszło 20 tysięcy hektarów. Teraz można było rozpocząć budowę wszelkiego rodzaju obiektów potrzebnych do szkolenia. Obok strzelnic dla broni małokalibrowej (tj. karabinowej) budowano strzelnice z ruchomymi celami dla artylerii i czołgów. Poszczególne rejony poligonu zostały połączone siecią asfaltowych dróg o łącznej długości przeszło 60 km. Zniknęła z powierzchni ziemi wieś Gross Born, a jej nazwę przejął ośrodek szkolenia kadry artylerii („Truppenlager Gross Born”).

Na południowym skraju poligonu, w pobliżu Sypniewa, znajdują się ruiny pałacu i zabudowań dworskich. Pałac wraz z majątkiem ziemskim był własnością generała Friedricha von Paulusa. Majątek nosił nazwę Westfalenhof. To tutaj, jak informują historycy, powstały plany agresji hitlerowskiej na Polskę. W latach 1934–1935 w najbliższym sąsiedztwie pałacu zbudowano zespół koszarowy wraz z osiedlem dla kadry pułku pancernego. Czołgi tego pułku atakowały Polskę w składzie korpusu pancernego generała Heinza Guderiana. Obecnie cały ten zespół budynków stoi niezamieszkały z wyjątkiem jednej budowli, która została wyremontowana przez Dyrekcję Lasów Państwowych i stanowi siedzibę leśnictw administrujących lasy leżące w granicach dawnego poligonu.

Jedno z nowo powstałych leśnictw nosi nazwę Wilcze Doły. Gospodarz tego leśnictwa okazał się sympatykiem „fortyfikatorów”. Uzyskane od niego informacje wybitnie poszerzyły moją wiedzę o artyleryjskich schronach obserwacyjnych. Zbudowane przez Niemców, nie zostały wykorzystane po II wojnie światowej zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem. Osobiście umiejscowiłem w terenie 24 obiekty, a według słów pana leśniczego – jest ich około setki (w sumie, we wszystkich przylegających leśnictwach). Radzieccy saperzy wysadzili tylko dwa; chodziło o pozyskanie materiału na budowę rampy załadowczej.

Najciekawszy i największy obiekt nazywany jest przez leśniczych: „BUNKREM HITLERA” (rys.). Widać go dokładnie z tzw. Czerwonej Drogi, ponieważ znajduje się na szczycie wzgórza (157,5 m n.p.m.). W latach 60. i 70. wycięto tutaj kilka tysięcy hektarów lasu, więc doskonale widać także sąsiednie pagórki noszące interesujące nazwy. Najbliżej znajduje się Czarcia Góra, dalej Lasowa, Rybna, Warnia i Gołogóra. Na szczycie tej ostatniej stoi wysoka metalowa wieża obserwacyjna, gdzie w okresie letnim jest pełniony całodobowy dyżur przeciwpożarowy. Folder turystyczny wydany przez gminę Silnowo informuje, że wieżę zbudowano „na gruzach poniemieckiego bunkra”. Z tym schronem wiąże się ciekawe wspomnienie leśniczego z Wilczych Dołów. Krótko po opuszczeniu Bornego przez Rosjan znalazł się tam z grupą Duńczyków. Na szczycie Gołogóry natknęli się na pokaźnych rozmiarów betonowy schron. Był on obsypany ziemią z trzech stron, a z czwartej miał bardzo duże stalowe drzwi, których nie udało się, mimo kilku prób, otworzyć. Cała grupa gości pojechała obejrzeć „bunkier Hitlera”, a z leśniczym przy schronie pozostał jeden Duńczyk. Razem przebywali w sąsiedztwie obiektu około 2 godzin. Wieczorem okazało się, że ciekawski turysta ma na ciele podejrzaną wysypkę. Był on uczuleniowcem, ale co spowodowało te objawy, nie wyjaśniono. Przypuszczano, że w schronie były przechowywane jakieś tajemnicze chemikalia.

„Bunkier Hitlera” jest jedynym schronem z czterema szczelinami umożliwiającymi obserwację w zakresie 360 stopni. Na jego stropie leży gruba warstwa ziemi. Na stropodachu urządzono trybunę obserwacyjną wykorzystywaną m.in. w czasie pokazowych ćwiczeń radzieckich oddziałów zmechanizowanych. Wejście na górę umożliwiają cztery wąskie nasypy zaopatrzone w schody ze stalowymi poręczami. Nasypy ziemne wraz ze schodami na „trybunę” wykonali prawdopodobnie Rosjanie. Dwumetrowej grubości ściany zewnętrzne i około 180-centymetrowej grubości strop stawiają obiekt w klasie najcięższych schronów z tego rejonu. Warto nadmienić, że w pobliżu poligonu przebiega główna pozycja Wału Pomorskiego („Pommernstellung”), której nieliczne, ale potężne dwupoziomowe B–Werki posiadają tylko półtorametrowej grubości ściany. Wewnątrz schronu zaprojektowano ściany działowe w kształcie krzyża, dzielące całość na cztery pomieszczenia. Do każdego z nich prowadzi krótki korytarzyk zaopatrzony w podwójne drzwi. Brak wewnątrz jakichkolwiek śladów urządzeń poruszających tarcze strzeleckie dowodzi, że był to obiekt wyłącznie obserwacyjny.

ppłk Zbigniew Inglot

© Zbigniew Inglot

0 5 m

Schron obserwacyjny czteroszczelinowy (tzw. „Bunkier Hitlera”) o odporności B neu, grubość ścian zewnętrznych: 200 cm, stropodachu: 190 cm

DOKOŃCZENIE w następnym numerze

ODKRYWCA

Również fortyfikacje towarzyszą nam od samego początku. Na łamach 200 numerów przemierzyliśmy cały kraj, i nie tylko, tropem wszelkich umocnień.

Fortyfikacje dominują nad doliną Wielkiej Roztoki.

Strzelnica o specjalnym stopniowaniu pozwalała na prowadzenie ognia w dół zbocza.

tyczne do budowy tego typu stanowisk bojowych wyraźnie zabraniały dokonywania modyfikacji. Jednak jest bardzo prawdopodobne, że projektantem schronu był sam major Kleczke.

Nie ma pewności co do obsady schronu we wrześniu 1939 roku. Najbardziej prawdopodobne jest to, że pochodziła ona z Komisariatu Straży Granicznej „Rytro" (komendant asp. ppor. T. Znojkiewicz) lub z 1. kompanii batalionu ON „Limanowa" (dowódca kpt. rez. M. Skibiński).

Schron nie wziął udziału w walkach. Załoga ośrodka oporu organizowanego pod Rytrem wycofała się 4 lub 5 września. Bowiem w związku z ogólną sytuacją armii „Karpaty" 2. Brygada Górska opuściła swoje pozycje w nocy z 5 na 6 września i odeszła w rejon Grybowa.

Dotarcie do schronu nie wymaga większego wysiłku, jednak znalezienie odpowiedniej trasy nie jest łatwe. Mimo że schron figuruje na mapie okolic Rytra, znajdującej się na tablicach informacyjnych, droga do niego nie jest oznakowana. Dla zainteresowanych przydatna będzie informacja, że schron mieści się tuż obok dużego wiatraka elektrowni wiatrowej, widocznego z prawie każdego miejsca w Rytrze.

Literatura:

1. T. Basarabowicz, „Pozycja »Rytro« na tle działań w Beskidzie Sądeckim. Wrzesień 1939" [w:] „Militaria" Nr 4(25) 2008
2. R. Dalecki, „Armia »Karpaty« w wojnie obronnej 1939 r.", Rzeszów 1989
3. S. Kucharski, „Punkt oporu »Rytro«" [w:] „Spotkania z Zabytkami" nr 4/2002
4. „Wielki Leksykon Uzbrojenia. Wrzesień 1939", T. 37, „Polowe schrony bojowe".

Marek Bednarski

Z zawodu lekarz, jeden z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji, członek Stowarzyszenia Dawnej Broni i Barwy, miłośnik i badacz fortyfikacji.

REKLAMA

Wrzesień – czas *Burzy nad Atlantykiem*

Po I tomie „Burzy nad Atlantykiem" czas na kontynuację kultowej serii. Tym razem Andrzej Perepeczko i ks. Wawrzyniec Markowski przypominają m. in. ewakuację aliantów spod Dunkierki, szczyt potęgi U-bootów oraz walkę o panowanie na Morzu Śródziemnym...

22 LATA WYDAWNICTWA OSKAR •1993–2015•

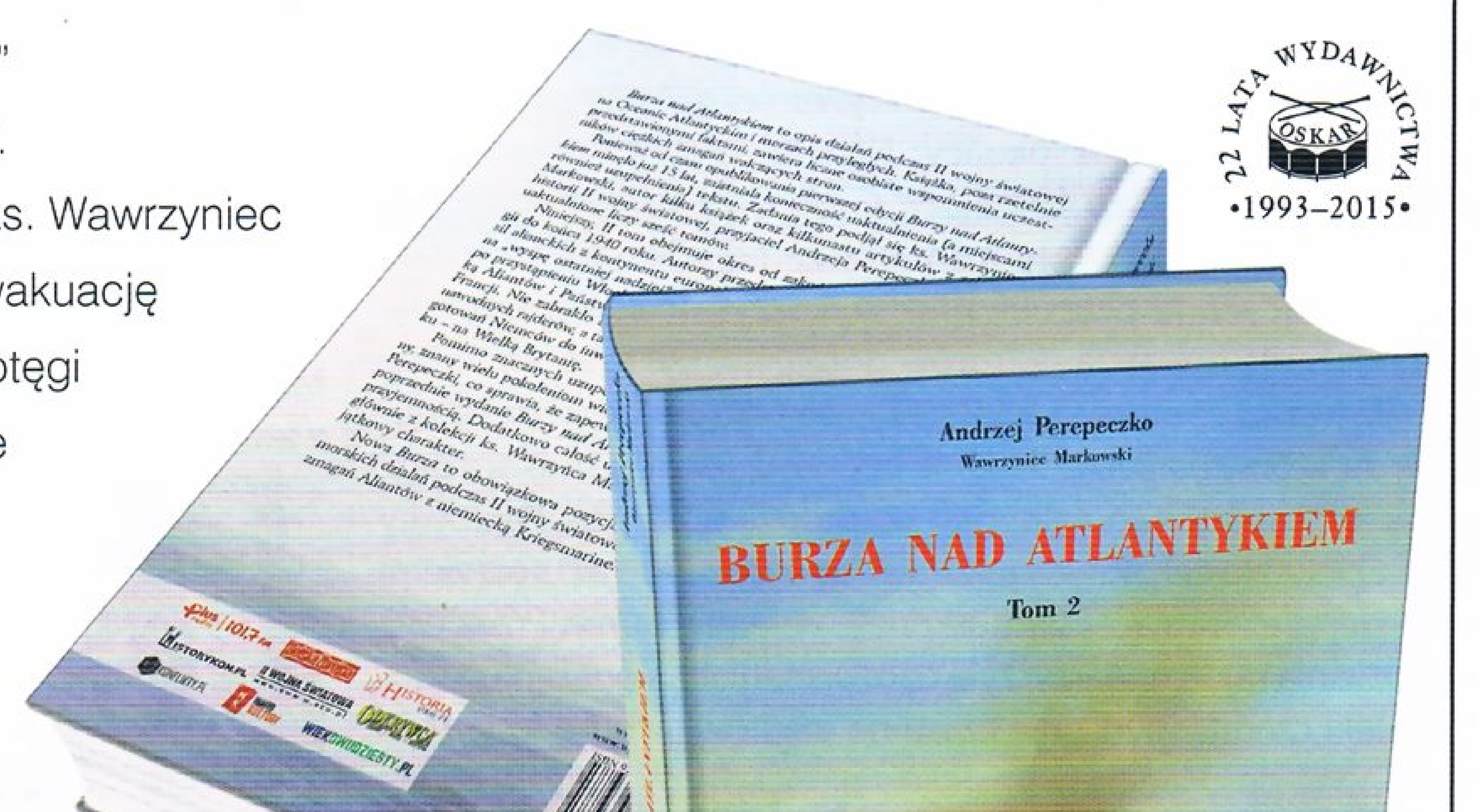

Wydawnictwo Oskar Sp. z o. o.
ul. Otwarta 5A, 80-169 Gdańsk
tel. 48 58 710 58 11
fax 48 58 712 63 09
oskar@wydawnictwooskar.pl
www.wydawnictwooskar.pl

Księgarnia internetowa
www.maszoperia.org

III Rajd Szlakiem Fortyfikacji Wału Pomorskiego 2015

Razem w (nie)znane

JUSTYNA KOPINSKA

PATRONAT MEDIALNY ODKRYWCA

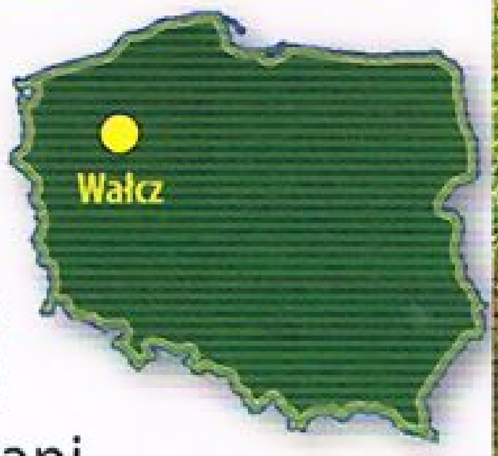

W dniach 15-16 sierpnia br. odbyła się trzecia już edycja Rajdu Szlakiem Fortyfikacji Wału Pomorskiego. Organizatorem było Muzeum Ziemi Wałeckiej–Skansen Fortyfikacyjny Grupa Warowna Cegielnia, patronat medialny sprawował miesięcznik „Odkrywca", a opiekę merytoryczną zapewniło wydawnictwo INFORT. Rajd jak co roku cieszył się sporym zainteresowaniem przyjaciół fortyfikacji z całej Polski. W tym roku w trasę wyruszyło około 45 osób. Organizatorzy zaproponowali w tej edycji trzy niezwykle interesujące trasy rozłożone na dwa rajdowe dni. Pierwszego dnia można było wybrać się w trasę pieszą albo, jeżeli ktoś wolał, rowerową.

Trasa piesza poprowadzona przez p. Jerzego Sadowskiego wiodła przez centralne obiekty odcinka Ma., w tym przez B-Werk Marianowo oraz przesmyk jezior: Chmiel Duży i Chmiel Mały, a punktem zwrotnym trasy były rowy przeciwpancerne przy schronach Be. 3 i Be. 4.

Miłośnicy rowerów dziarsko wyruszyli pod przewodnictwem p. Marcina Dudka w równie interesującą trasę poprzez: Strączno, Nakielno, Prusinowo Wałeckie i Rutwicę. Wszyscy śmiałkowie, którzy wyruszyli na trasę, wytrwali do końca i około 15:00 powrócili do Skansenu Fortyfikacyjnego Cegielnia, gdzie organizatorzy uraczyli ich pyszną, wojskową grochówką. Po przerwie, już pełni sił, uczestnicy udali się wysłuchać odczytów naukowych i zapoznać z prezentacjami multimedialnymi. Najbardziej wytrwali, czyli wszyscy, którzy nigdy nie mają dosyć fortyfikacji, spędzili wieczór przy ognisku tocząc dysputy fortyfikacyjne.

Kolejny dzień przyniósł nowe wyzwania. Tym razem w planie była wyprawa w przepiękne rejony lasu Rutwickiego przecięte fortyfikacjami odcinków Strau.N. i Gall. Wszyscy uczestnicy rajdu spotkali się z samiutkiego rana w Rutwicy, aby wyruszyć na poszukiwanie i odkrywanie tajemnic fortyfikacji znajdujących się w okolicy. Największe zainteresowanie wzbudziła tajemniczo brzmiąca Góra Gallów. Rzeczywiście, kto ujrzał po raz pierwszy rozmieszczenie schronów odcinka Gall. i łączących je przesiek oraz wykorzystanie ukształtowania terenu dla otwarcia sektorów ognia, nie był rozczarowany.

Całą wyprawę niezwykle interesująco poprowadzili komandorzy rajdu, którzy bardzo dokładnie opowiedzieli uczestnikom o historii i konstrukcji napotykanych po drodze obiektów. Rajdowcy oprócz ciekawostek dotyczących schronów poznawali uroki ziemi wałeckiej prezentującej się doskonale w letniej aurze. Przez cały czas trwania rajdu towarzyszyła nam wspaniała, słoneczna pogoda, dzięki czemu spędzenie czasu na wędrówkach po lesie było cudownym doświadczeniem. Rajd zakończyliśmy w doskonałym humorze, nie mogąc doczekać się kolejnej edycji.

ZDJĘCIA: JUSTYNA KOPINSKA, MARCIN DUDEK

Justyna Kopinska
Pracownik Muzeum Ziemi Wałeckiej–Skansen Fortyfikacyjny Grupa Warowna Cegielnia.

Grupa rowerowa przy schronie Pr.Ost 9.

Zbiórka uczestników rajdu przy leśniczówce Rutwica.

Schron Gall. 1A, przy którym zaplanowano dłuższy postój i odpoczynek.

Malownicza ruina ciekawego schronu Gall. 8 była jednym z końcowych punktów drugiej części rajdu.

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Hal Gold „Jednostka 731", opr. miękka, str. 254, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Cena: 39,90 zł

Praca została podzielona na dwie zasadnicze części. W pierwszej czytelnik pozna dzieje Jednostki 731 (tajnej organizacji wojskowej, która zajmować się miała badaniami nad prowadzeniem wojny biologicznej), od momentu jej powstania, aż do jej rozwiązania po klęsce Japonii w II wojnie światowej. W skład tego fragmentu pracy wchodzą rozważania na temat głównych założeń wojny biologicznej, organizacji i struktury Jednostki 731, a w końcu opisy eksperymentów dokonywanych na więźniach. Druga część pracy, to zbiór świadectw, zebranych od osób, związanych z działalnością Jednostki 731 – dwadzieścia cztery relacje naocznych świadków wydarzeń.

Olivier Schröm, Andrea Röpke „Cicha Pomoc dla nazistów", opr. miękka, str. 312, wyd. Replika. Cena: 30,90 zł

Organizacja weteranów SS Stille Hilfe – „Cicha Pomoc dla Jeńców Wojennych i Internowanych" – działa bez przeszkód od 50 lat. Jej najbardziej znanym członkiem jest Gudrun Burwitz, córka Heinricha Himmlera. Raport Olivera Schröma i Andrei Röpke ukazuje od wewnątrz funkcjonowanie środowisk nazistowskich, takich jak wspomniana organizacja. Opisuje jak mordercy pokroju Aloisa Brunnera czy Klausa Barbie zdołali zaangażować się w grę wywiadów i ruch neonazistowski. Przedstawia przypadki Ericha Priebkego, „księgowego śmierci" z Rzymu, oraz Antona Mallotha, brutalnego nadzorcy z Theresienstadt, jako dowód na opieszałość niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Zakreśla podłoże społeczne, na którym wyrosły dzisiejsze ruchy ekstremistyczne.

Andrzej Olejko „CANT Z-506 B Airone Morskiego Dywizjonu Lotniczego", opr. miękka, str. 106, wyd. historyczna.com.pl. Cena: 19,60 zł

Książka ta poświęcona jest wodnosamolotowi pływakowemu typu CANT Z-506 B Airone konstrukcji włoskiej. W 1939 r. był to najnowocześniejszy wodnosamolot znajdujący się w dyspozycji polskiej Marynarki Wojennej. Historia brawurowego przelotu tego hydroplanu i jego załogi na trasie z włoskiego Monfalcone koło Triestu do nadbałtyckiego Pucka oraz dalsze losy wodnosamolotu w trakcie kampanii wrześniowej, mogą służyć za kanwę sensacyjnego filmu. Miejsce, w którym został zniszczony CANT Z-506 B – Siemieński Staw – stanowiło magnes przyciągający badaczy, pasjonatów i historyków. Jezioro zagadkę omawianego wodnosamolotu kryło w sobie aż do 2007 roku. Niniejsza publikacja nie tylko prezentuje zawiłe dzieje CANT Z-506 B, ale również przedstawia opis techniczny maszyny.

Jerzy Rostkowski „Świat Muszkieterów. Zapomnij albo zgiń", opr. miękka, str. 438, wyd. Księgarnia Rostkowski. Cena: 48,30 zł

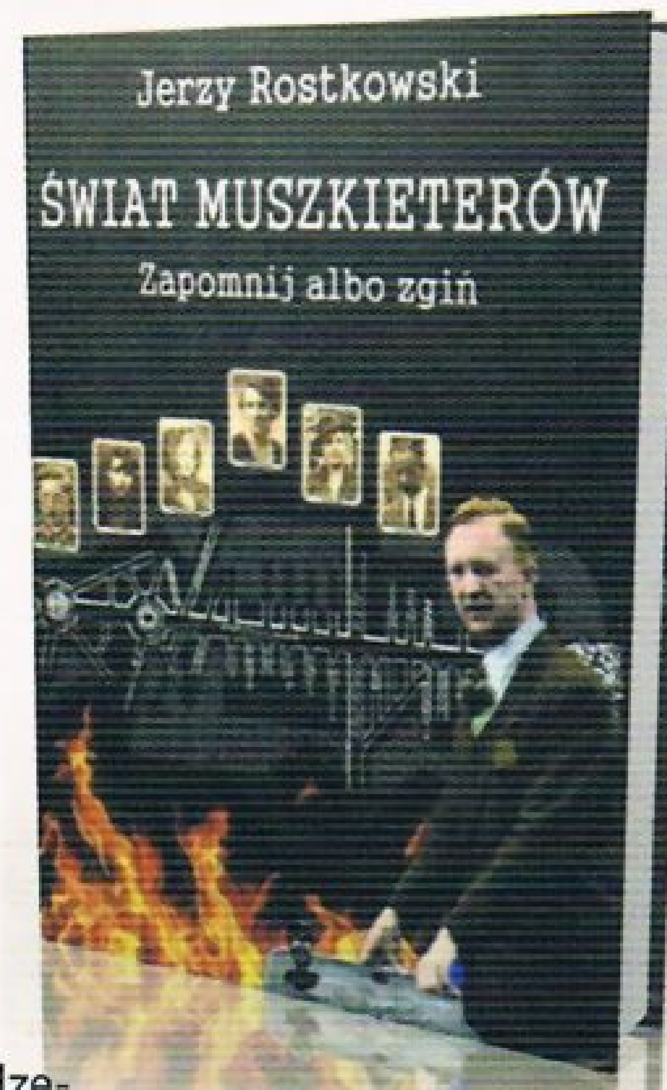

Tajna organizacja wywiadowcza o nazwie „Muszkieterzy" przez długie lata pozostawała jednym z najbardziej tajemniczych epizodów polskiej historii z czasów II wojny światowej. Na próżno było szukać wartościowych książek i publikacji na temat kontrowersyjnych działań polskich szpiegów pod dowództwem inżyniera Stefana Witkowskiego. Książka Jerzego Rostkowskiego jest szczegółową, wszechstronną i znakomicie udokumentowaną pracą na temat tej organizacji. Czytelnik będzie miał okazję poznać system jej dowodzenia, metody działania i szczegóły przeprowadzonych akcji. Autor wykonał niemal tytaniczną pracę, aby dotrzeć do tajnych dokumentów i nieopublikowanych wcześniej zdjęć i raportów, których treść wykorzystał w niniejszej pracy.

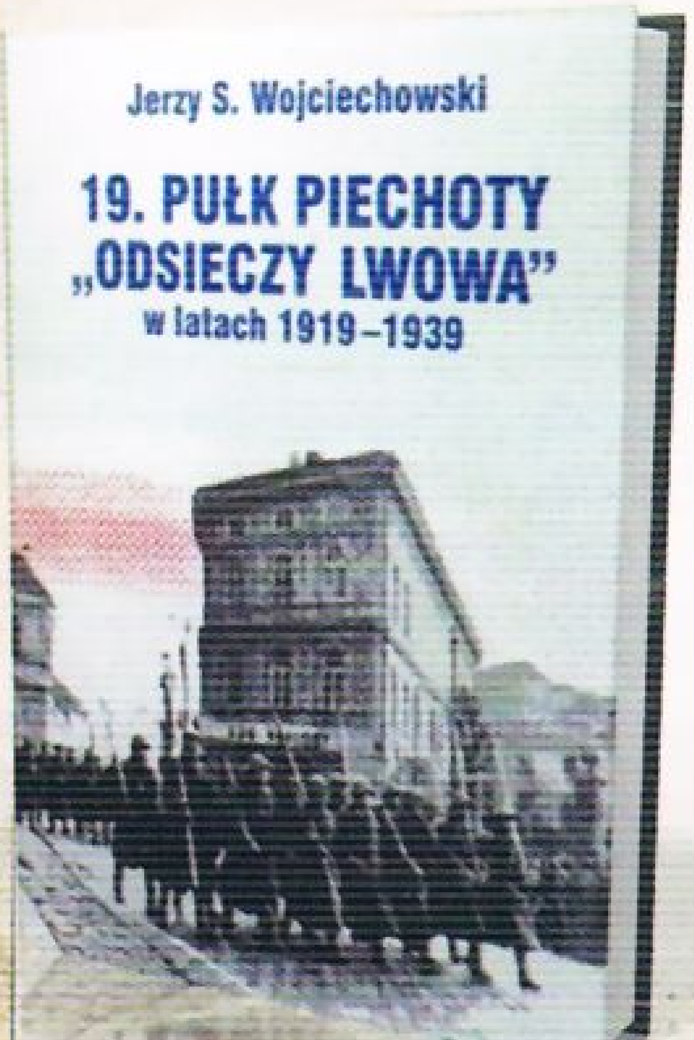

Jerzy S. Wojciechowski „19. Pułk Piechoty »Odsieczy Lwowa« w latach 1919-1939", opr. miękka, str. 139, wyd. AJAKS. Cena: 42 zł

Niniejsza publikacja przedstawia dzieje 19. Pułku Piechoty „Odsieczy Lwowa", związanego z historią Lwowa. Autor przedstawił proces formowania tej jednostki, jej walki o granice II Rzeczypospolitej, służbę garnizonową i walki w wojnie 1939 r. Tekst uzupełniają zdjęcia archiwalne. Praca zawiera następujące rozdziały: Warszawa na odsiecz Lwowa; Pułk w latach 1921-1939; Działania wojenne w 1939 roku; Obsada personalna 19. Pułku Piechoty „Odsieczy Lwowa" we wrześniu 1939 r.; Działania II rzutu batalionów zmobilizowanych przez 19.PP; Obsada personalna batalionów II rzutu mobilizowanych przez 19.PP; Insygnia pułku.

Jakub Wojtkowiak „Polacy i Litwini oficerowie Armii Czerwonej w latach 1922-1941", opr. twarda, str. 660, wyd. Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu. Cena: 44,80 zł

Publikacja ta podejmuje temat z zakresu dziejów Polaków w Związku Radzieckim. Problematyka ta pozostaje nadal nie w pełni zbadana. Polski czytelnik do tej pory miał szansę poznać zaledwie garść nazwisk Polaków, którzy służyli w szeregach radzieckich sił zbrojnych, a na dodatek informacje na ich temat w dotychczasowej literaturze bywają zwykle niepełne bądź sprzeczne. Tymczasem oficerowie polskiej i litewskiej narodowości, szczególnie na wyższych szczeblach hierarchii wojskowej bolszewickiej Rosji i ZSRR, odgrywali znacznie ważniejszą rolę niż ta, która wynikałaby z prostej statystyki. Stąd idea powstania niniejszego słownika, który zawiera prawie 400 biogramów oficerów wyższych i starszych służących w Armii Czerwonej w latach 1922-1941. Biogramów ukazujących losy niezwykle skomplikowane, a momentami dramatyczne.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

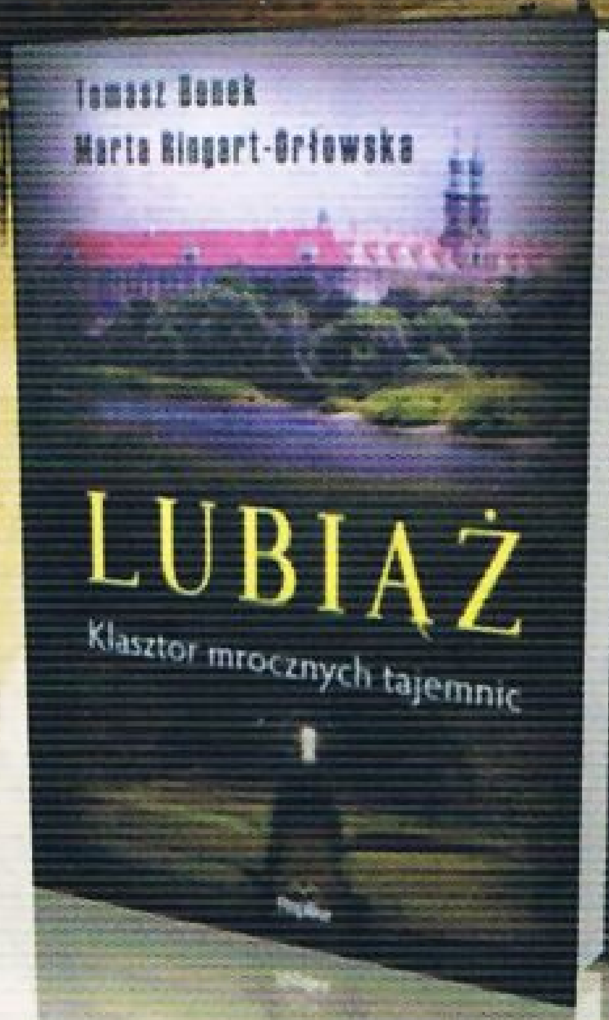

Tomasz Bonek, Marta Ringart-Orłowska „Lubiąż Klasztor mrocznych tajemnic", opr. twarda, str. 310, wyd. Replika. Cena: 44,90 zł
Klasztor w Lubiążu to jedno z piękniejszych, ale i bardziej tajemniczych miejsc w Polsce. Drugi co do wielkości obiekt sakralny w Europie powinien dawno stać się ogromną atrakcją turystyczną, ale wciąż stoi pusty. W prezentowanej książce autorzy starają się wyjaśnić choć część zagadek, jakie kryje to niezwykłe miejsce. Publikacja zawiera następujące rozdziały: Lubiąż, afera ART-B i nagonki na komuchów; Jak Michael Jackson miał uratować Lubiąż; Raport esbeka: „Pohitlerowska podziemna fabryka w Lubiążu"; Lubiąski wynalazek, który zrewolucjonizował świat; Skarb z Lubiąża, czyli zabawa esbeków w Indianę Jonesa; Szczątki wielkiego opata w szambie i zaginiony szkielet; Poszukiwania mumii śląskiego Rembrandta; Pierwsza na świecie korporacja biznesowa powstała w Lubiążu; Rozgrabione skarby cysterskiego opactwa; Co można dziś zobaczyć w Lubiążu.

Jarosław Burchardt, Piotr Świątkowski „Szpieg, który wiedział za mało", opr. miękka, str. 295, wyd. Poznańskie. Cena: 33,60 zł
Książka Jarosława Burchardta i Piotra Świątkowskiego to skrupulatne dziennikarskie śledztwo, które przybliża nam zapomnianą postać Zenona Celegrata. Wnikliwie i interesująco opisuje życie człowieka, który – podobnie jak Ryszard Kukliński – miał odwagę działać przeciwko władzom PRL. CIA zwerbowało Celegrata w Wietnamie. Jednak po kilku latach polskie Służby Bezpieczeństwa rozpracowały agenta, traktując to zdarzenie jako swój wielki sukces. W roku 1979 Zenon Celegrat został skazany na 25 lat więzienia za działania na szkodę PRL. „Szpieg, który wiedział za mało. Tajemnice kontrwywiadu PRL", to trzymająca w napięciu historia, która prezentuje postać Celegrata na tle kluczowych wydarzeń tamtego okresu i która odkrywa przed czytelnikiem nieznane karty historii.

Mirosław Sulej „Marian Bernaciak Orlik", opr. twarda, str. 600, wyd. Oficyna Wydawnicza Volumen. Cena: 65,80 zł
Bohater tej książki, Marian Bernaciak, ps. „Orlik" był oficerem Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej i wreszcie Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. 24 VI 1946 r. podczas obławy przeprowadzonej na jego oddział przez KBW i wojska saperskie został dwukrotnie ranny. Nie mając szans na ucieczkę popełnił samobójstwo. Praca Mirosława Suleja opisuje życie i działalność „Orlika". Książka podzielona została na pięć rozdziałów: On, rodzina, dzieciństwo, pierwsza młodość; „Ostrzyc". O tym, który miał być „Orlikiem"; Rzeczywistość okupacji niemieckiej wokół „Dymka" – „Orlika"; Walka orężna „Orlika" z okupantem sowieckim; Śmierć.

Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban „Tajne kompleksy lotnicze Trzeciej Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej", opr. miękka, str. 282, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 32,50 zł
„Tajne kompleksy lotnicze Trzeciej Rzeszy..." – to efekt kilkuletniej pracy dwóch przyjaciół, którzy połączyli swe pasje regionalistyczne z faktografią historyczną. Tak narodziła się unikalna książka, ukazujące dzieje powstania i funkcjonowania obozów pracy dla więźniów i robotników przymusowych, zatrudnionych w zakładach produkcji lotniczej, przeniesionych na Dolny Śląsk i na Ziemię Lubuską w końcowym okresie II wojny światowej. Dzięki temu czytelnik dowie się o miejscach, w których wytwarzano silniki odrzutowe, śmigła, urządzenia pokładowe, skrzydła, kadłuby, a nawet składano samoloty.

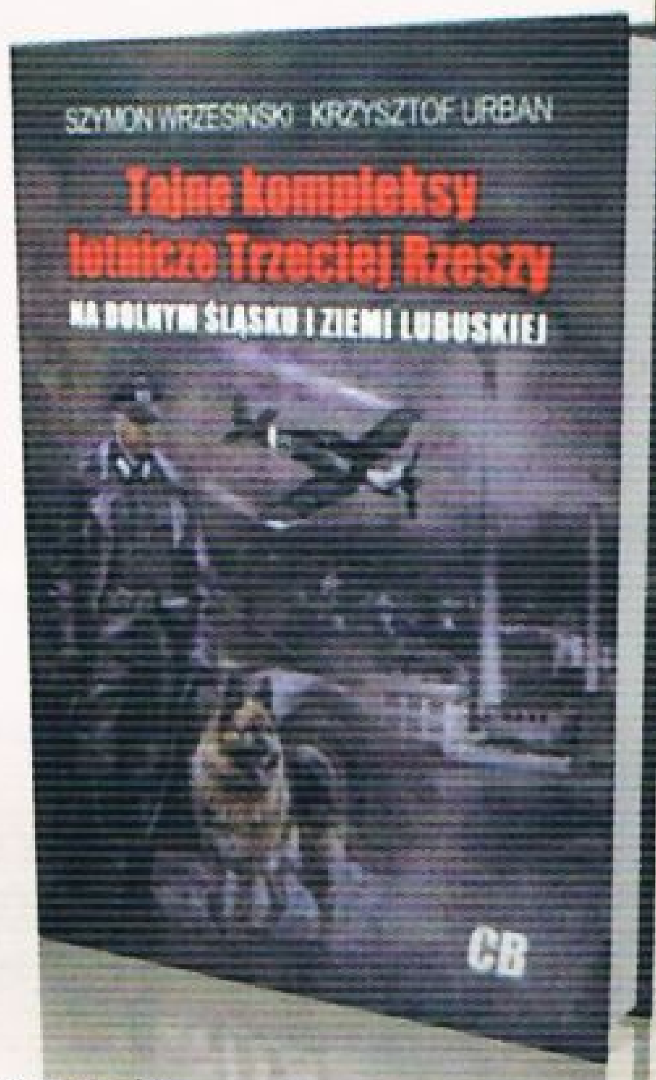

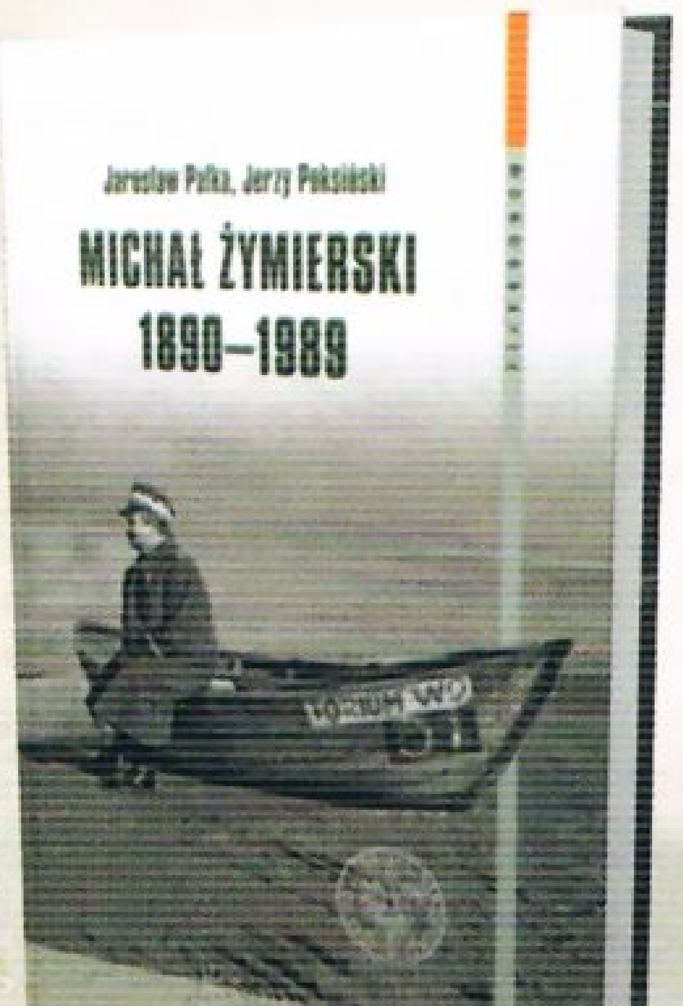

Jarosław Pałka, Jerzy Poksiński „Michał Żymierski 1890–1989", opr. twarda, str. 400, wyd. Instytut Pamięci Narodowej. Cena: 44,90 zł
Michał Żymierski był jedną z najbardziej osobliwych, a zarazem złowrogich postaci, jakie przewinęły się przez dzieje Polski. Zaczynał jako legionista Piłsudskiego, dzielny dowódca w wojnie polsko-bolszewickiej, obrońca rządu i prezydenta w czasie zamachu majowego, by trafić na 5 lat do więzienia za branie łapówek. Pchnęło go to na stronę dotychczasowych wrogów: stał się współpracownikiem wywiadu sowieckiego, a w 1944 r., jako „Rola", objął dowództwo Armii Ludowej. W 1945 r. został mianowany marszałkiem i do 1949 r. stał na czele Ludowego Wojska Polskiego. Swoje odsiedział też w komunistycznym więzieniu, tym razem nie za machlojki finansowe, ale w ramach stalinowskich czystek. Przez meandry tej biografii prowadzi czytelników Jarosław Pałka. Oparł się on na zgromadzonych dokumentach i badaniach rozpoczętych przez Jerzego Poksińskiego.

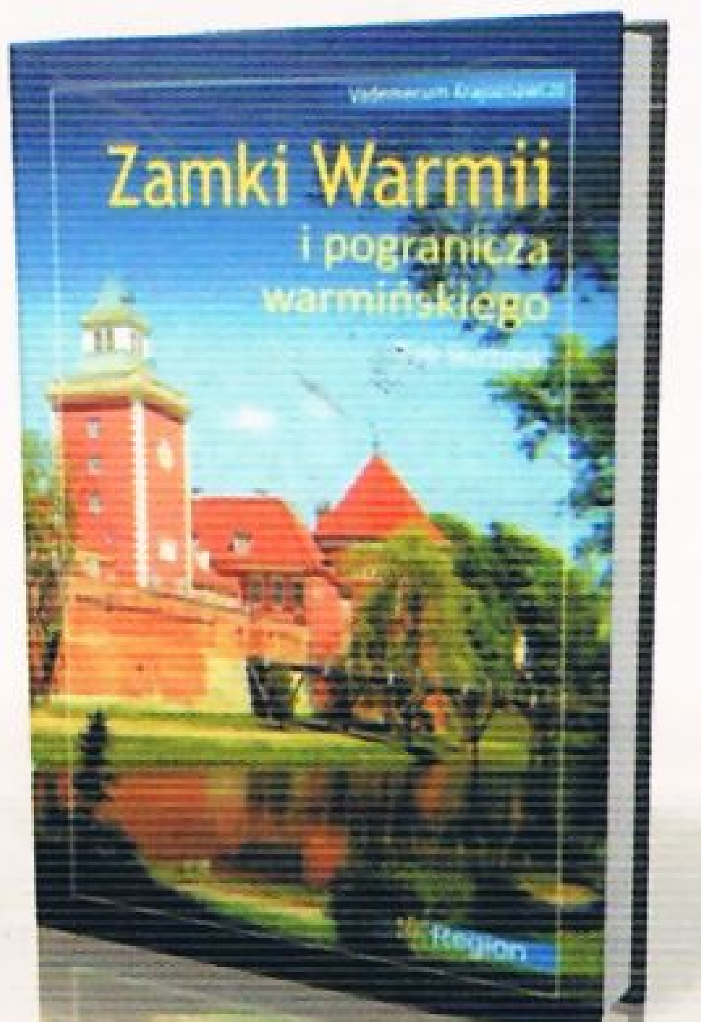

Piotr Skurzyński „Zamki Warmii i pogranicza warmińskiego", opr. miękka, str. 96, wyd. Region. Cena: 12,80 zł
Książka ukazuje piękno i potęgę dawnych siedzib obronnych na Warmii. Podążając śladami Kopernika i Krasickiego, autor zabiera czytelników w podróż po tej niezwykłej krainie. Przybliża nie tylko dzieje zamków, ale również dawnego księstwa biskupiego. Praca zawiera następujące rozdziały: Model warmińskiego zamku; Poczet biskupów warmińskich; Opisy zamków warmińskich (Barczewo, Biskupiec, Braniewo, Dobre Miasto, Frombork, Jeziorany, Lidzbark Warmiński, Olsztyn, Orneta, Pieniężno, Reszel); Zamki Pogranicza (Bezławki, Galiny, Kętrzyn, Olsztynek).

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI". To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET" Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

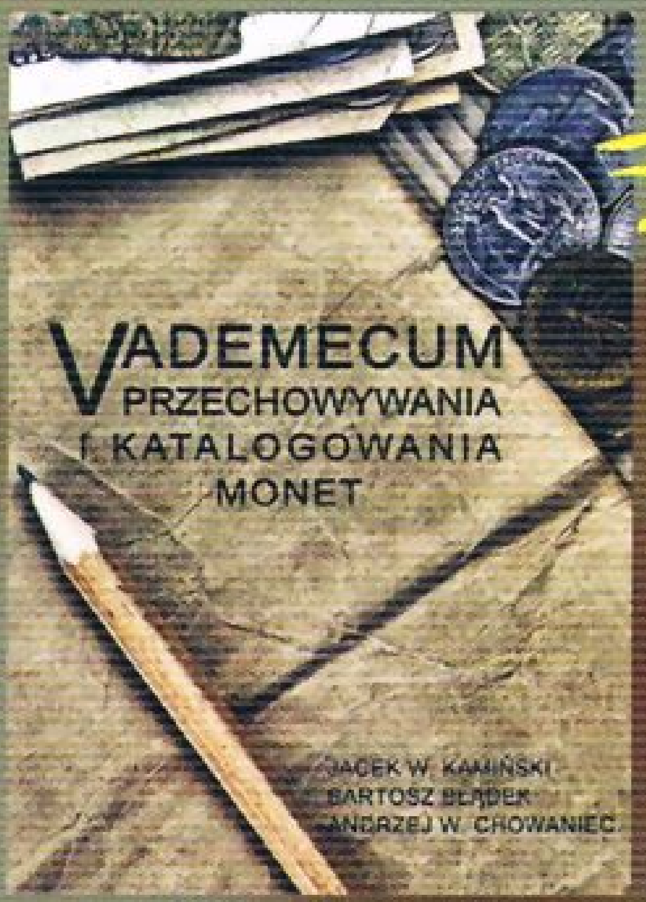

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET" Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY" Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

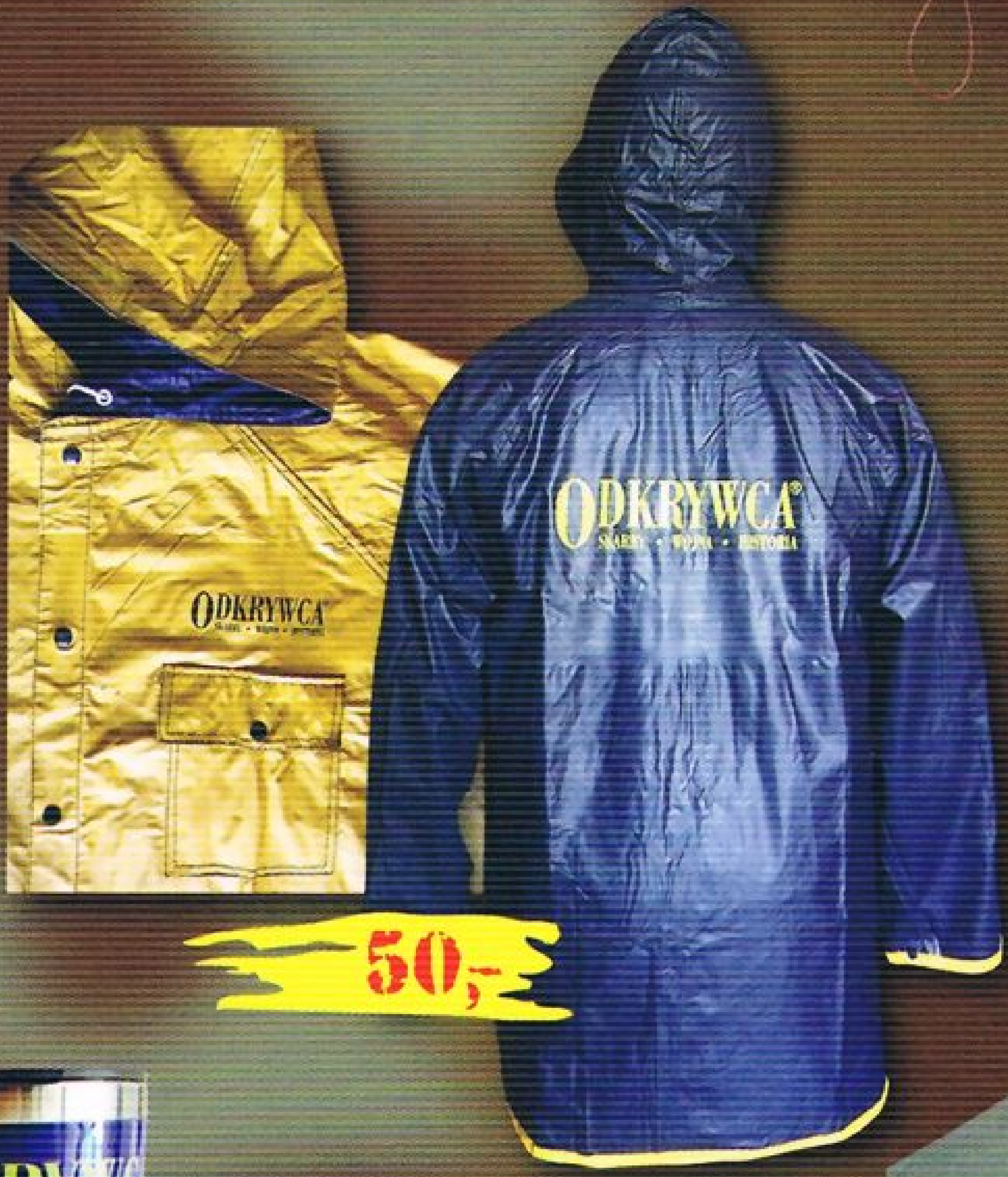

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 9/200

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy .... miejscowość

ulica .... nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.9

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawien faktury VAT bez mojego podp

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

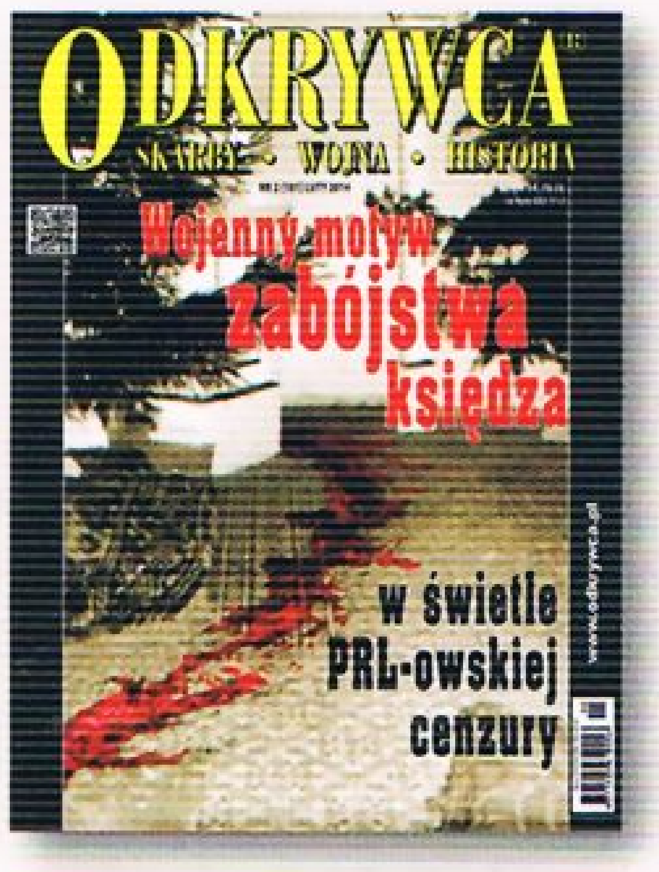

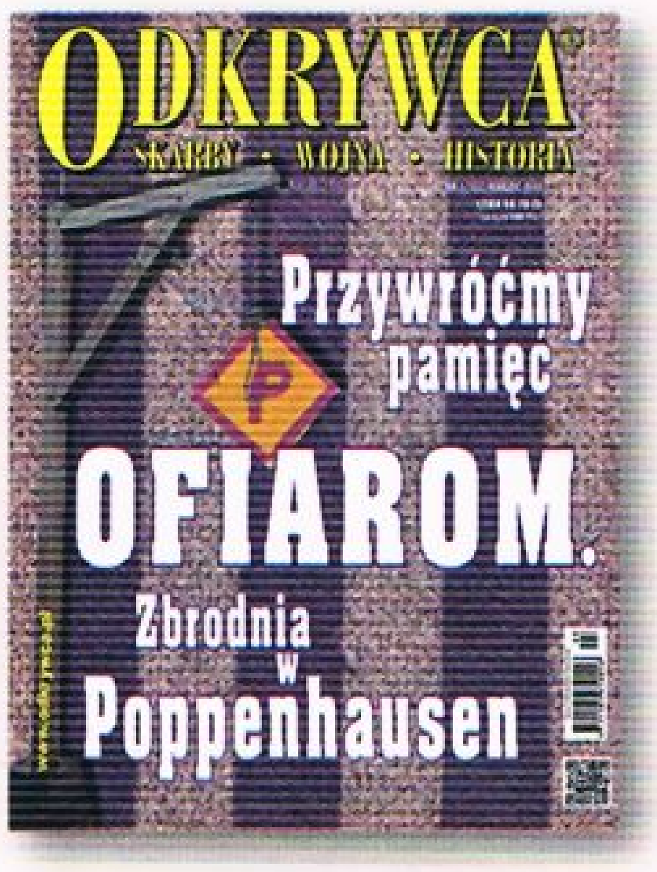

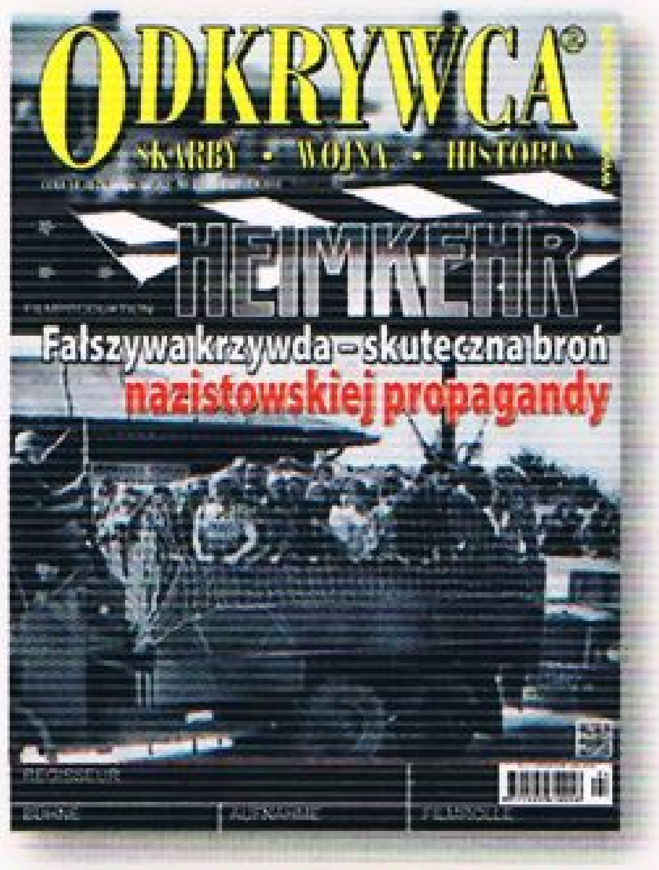

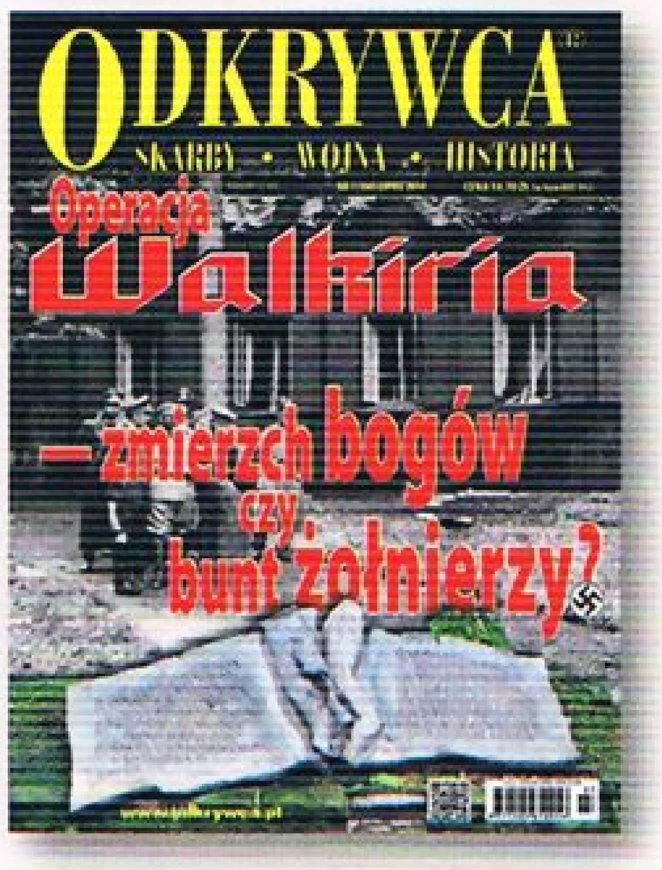

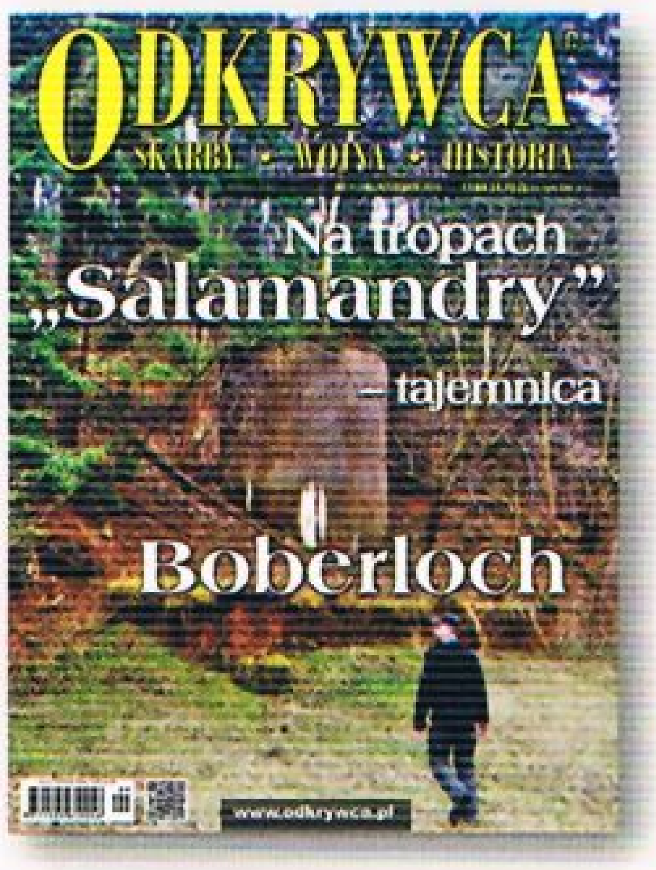

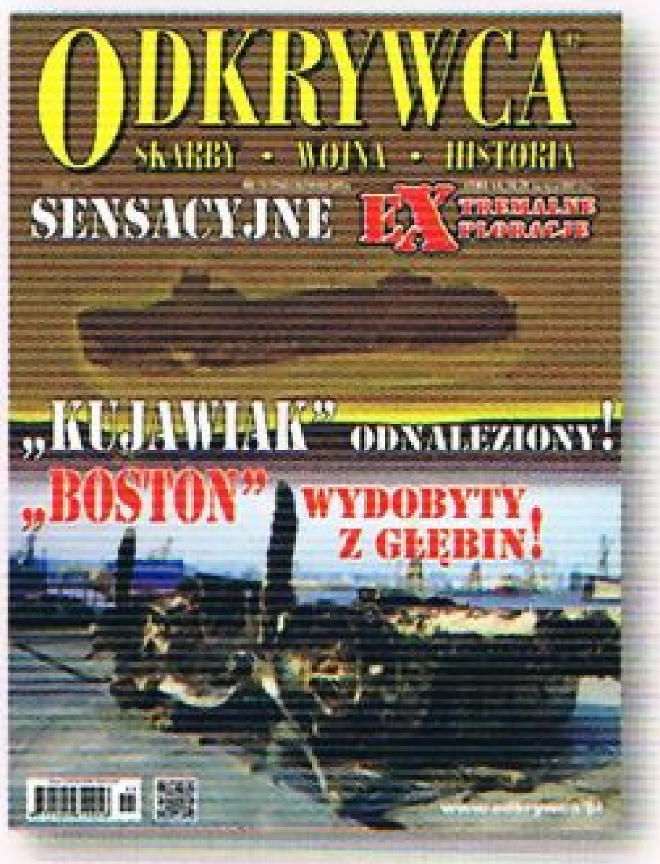

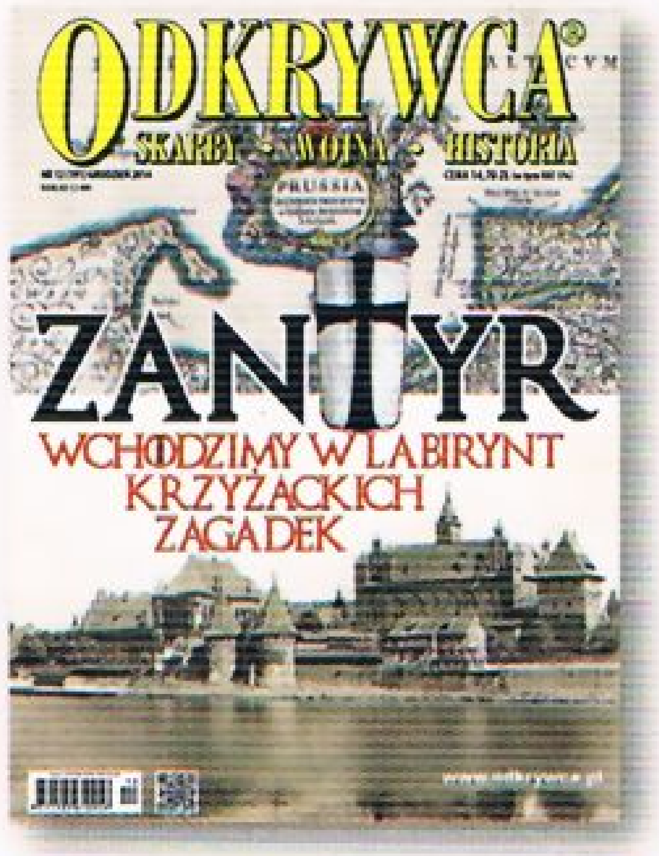

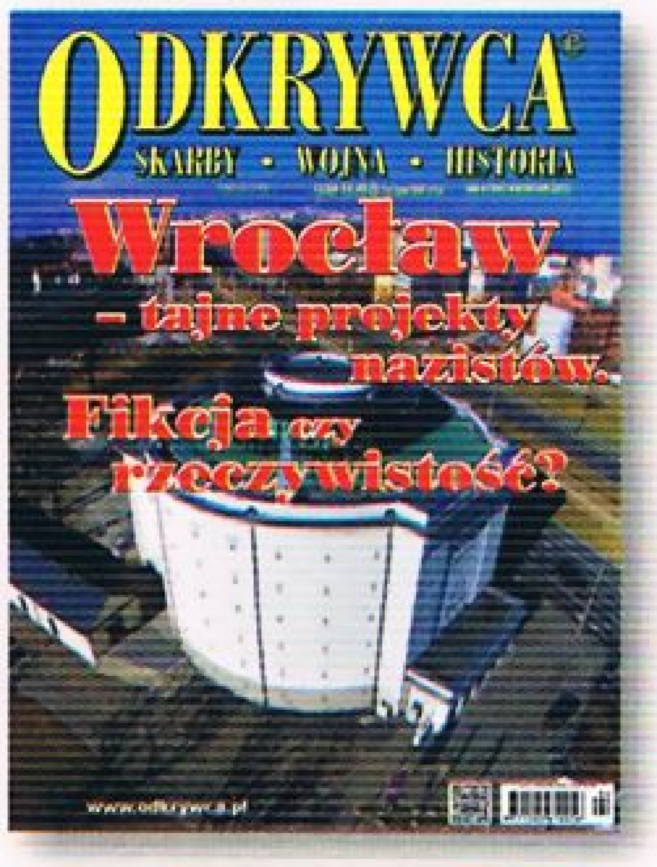

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

- ► bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl
- ► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71